


KATHERINE
SCHOLES

ŻONA
MYŚLIWEGO

Nowa powieść autorki
Królowej Deszczu

Świat Książki

The book cover features a painting of a woman in a patterned dress standing in a field of tall, golden grass, looking out over a landscape with a single tree and distant mountains under a soft, hazy sky. The author's name 'KATHERINE SCHOLES' is at the top in blue serif font. The title 'ŻONA MYŚLIWEGO' is in the center in a dark brown serif font. Below the title, the text 'Nowa powieść autorki Królowej Deszczu' is written in a smaller, dark brown serif font. At the bottom left, the publisher's name 'Świat Książki' is printed in a dark brown serif font.

Niezwykły romans przywodzący na myśl
Pożegnanie z Afryką.

Poruszająca historia silnej kobiety,
walczącej o swoje szczęście, przedstawiona na tle życia
Czarnego Łądu, osobliwego i tyleż malowniczego,
co pełnego niebezpieczeństw.

Wielka miłość sprawiła, że Australijka Mara związała się z Johnem, myśliwym organizującym safari w Afryce, i zamieszkała z nim wśród dzikiej przyrody Tanzanii. Po trzech latach posiadłość chyli się ku upadkowi, a Mara, zdradzona przez męża, czuje się samotna i opuszczona. I wówczas na farmie pojawia się barwna ekipa z Hollywood, by kręcić film. Dom ożywa. Mara czuje się znów potrzebna. Między nią a słynnym z urody i wierności żonie głównym aktorem Peterem rodzi się uczucie.

KATHERINE SCHOLES urodziła się i spędziła dzieciństwo w Tanzanii. Jest autorką bestsellerów: *Królowa Deszczu*, *Bożyszczce tłumów* i *Kamienny anioł*.

www.swiatksiazki.pl

ISBN 978-83-247-1656-2



9 788324 716562

Cena 32,90 zł Nr 6933

KATHERINE
SCHOLES

ŻONA
MYŚLIWEGO

Z angielskiego przełożyła
Anna Zielińska


Świat Książki

1

1968, środkowa Tanzania

Mara powoli wspinała się na wzgórze, pochylając się pod ciężarem jutowej torby na ramieniu. Lufa strzelby przewieszanej przez plecy przy każdym kroku ocierała się o skórę. Powietrze stało nieruchomo, żar południowego słońca spływał z bezchmurnego nieba.

Mijając wypiętrzenie skalne, zbliżyła się do potężnego ciernistego drzewa. Przystanęła na chwilę, wypatrując płowych łąp i ciemnych sylwetek przyczajonych w cieniu wśród gałęzi. Wiedziała, że dzikie zwierzęta wolą zostawić ludzi w spokoju - to była jedna z pierwszych rzeczy, jakich John nauczył ją o Afryce. Pamiętała jednak, że dwie martwe perliczki w torbie czynią z niej mięsożercę, polującego drapieżnika, który powinien mieć świadomość tego, że też może zostać upolowany.

Nie dostrzegając zagrożenia, skryła się przed palącym słońcem pod baldachimem z liści. Gdy odsapnęła, spojrzała na równinę poniżej. Drzewa, krzewy i rdzawe kopce termitów tworzyły zadziwiająco regularny wzór na bezkresnym obszarze pożółkłej trawy. Miała ochotę nacieszyć oczy widokiem, lecz tym razem oddaliła się od domu bardziej niż zwykle podczas samotnych wycieczek, a rzut oka na zegarek potwierdził jej obawę, że spóźni się na lunch. Oczyma duszy już widziała tę scenę. Kefa, chłopak do prac domowych, będzie krążył po kuchni, zastanawiając się, czy nie czas we-

zwać tropicieli i wysłać grupę poszukiwawczą. Menelik, kucharz, nie odezwie się ani słowem. Będzie tylko z ubolewaniem kręcił głową, dając do zrozumienia, że wcale nie dziwią go kłopoty, jakie nie po raz pierwszy sprawia żona *bwany*.

Najpierw doszedł ją zapach - intensywna woń świeżej zieleni mimo żaru i kurzu. Zanim zdążyła odgadnąć, skąd pochodzi, dotarła na szczyt wzgórza i zamarła w pół kroku. Miała przed sobą drzewo wyrwane z korzeniami. Obok sterczał pień kolejnego złamanego drzewa. W tle dojrzała dalsze zniszczenia: mnóstwo szczątków drzew i stratowanych gałęzi. Niedaleko miejsca, gdzie stała, ziemię znaczyły ciemne zwierzęce odchody.

Rozejrzała się szybko dokoła; wyęzając wzrok, dostrzegła potężne szare sylwetki poruszających się słoni. Nic dziwnego, że tak trudno je zobaczyć: przygaszony kolor ich skóry wtapiał się w zamglony krajobraz. Co do jednego nabrała pewności - nie było ich już w pobliżu.

Mara obejrzała zdewastowany teren. Przekonywała siebie, że w tym widoku nie ma nic nadzwyczajnego; słonie często niszczyły drzewa, żeby zdobyć kilka kęsów pożywienia, były niezgrabne i marnotrawne. A jednak nie mogła pozbyć się myśli, że w ich działaniu było coś świadomego i celowego. Ostentacyjna demonstracja siły. Wyczuwała potężną mieszkankę gniewu i mocy, które zdawały się nią zawładnąć i wciągać w środek spustoszenia.

Zmusiła się, by iść dalej. Po kilku krokach puściła się biegiem, lawirując pomiędzy krzewami i skałami. Za kolejnym wzniesieniem dotarła do sawanny i zwolniła do energicznego marszu. Po chwili okrążyła wodopój otoczony splekanym błotem, gdzie taplały się hipopotamy, i wreszcie znalazła się na drodze prowadzącej na płaskowyż. Miała przed sobą grupę mangowców o ciemnozielonych liściach, spoza których prześwitywały znajome czerwone szczyty dachów Raynor Lodge.

Szybkim krokiem przecięła parking, gdzie jedynym pojazdem w zasięgu wzroku była furgonetka land-rovera z wyblakłym lakierem i pogiętą blachą. Pozostałe miejsca parkingowe, starannie wytyczone rzędami białych kamieni, świeciły pustką. Górowała nad nimi tablica z napisem: *Witamy w domu myśliwskim Raynor Lodge*. Mara dotarła na skrót do głównej bramy i przeszła pod dwoma pożółkłymi ze starości słoniowymi kłami - końce tych potężnych zakrzywionych ciosów wmurowanych w betonowe filary prawie stykały się nad jej głową.

Ruszyła ścieżką ku domowi. Z przyzwyczajenia omiotła spojrzeniem teren i zabudowania, wyobrażając sobie, że jest nowo przybyłym gościem. Sprawdziła, czy romboidalne, witrażowe okna w fasadzie głównego budynku lśnią czystością i czy alejka została świeżo wygrabiona. Rzuciła okiem na widoczne ze ścieżki dwa rondawełe dla gości - tradycyjne okrągłe afrykańskie domki z glinianymi ścianami i z dachami krytymi strzechą - stanowiące egzotyczny kontrast z angielskim charakterem domu. Naftowe latarnie zawieszane przy drzwiach czekały, żeby ktoś je zapalił. Porozstawiane w pobliżu trzcinowe meble w każdej chwili mogły służyć gościom. Wszystko przygotowano jak należy. A jednak to miejsce wydawało się opustoszałe. Zasłony w oknach były zaciągnięte, nigdzie śladu pozostawionych książek, butów czy filiżanek. W ogrodzie kwitły aksamitki, geranium i bugenwille, tworząc barwne plamy we wszystkich możliwych odcieniach, lecz trawnik, zazwyczaj zielony przez cały rok dzięki wodzie spływającej z prysznicowych kabin, był suchy i zrudziały jak rajgras na sawannie.

Wzrok Mary przyciągnął jakiś przedmiot leżący na skraju ścieżki. Rozpoznała brązowe skórzane etui do słonecznych okularów męża; musiało mu wypaść, kiedy trzy dni temu szykował się do wyjazdu do Dar es-Salaam. Gdy schyliła się po futerał, strzelba zsunęła się jej na ramię. Zamykając dłoń na miękkiej skórze, wróciła myślami do ich

pożegnania. Zesztywniała, gdy John się pochylił, żeby ją pocałować. Lekko dotknął ustami jej policzka. Dostrzegła przegrany wyraz jego oczu, kiedy wsiadał do land-rovera, i wiedziała, że takie samo spojrzenie mówiące o porażce widoczne było w jej oczach. Patrzyła w milczeniu, jak samochód się oddala, podskakując na wyboistym podejździe.

W chwili gdy John skręcił za narożnik i zniknął z pola widzenia, jakieś inne, trudne do określenia emocje wezbrały w Marze. Usiłowała przywołać je w pamięci, jakby macała bolącą ranę. W końcu odkryła, czym były - ulgą, jaką niosła świadomość, że zostaje sama.

Przymknęła powieki. Słyszała głosy przebijające przez świergot ptaków na mangowcach. Pomyślała, że czas zanieść perliczki do domu, dać znać Kefie, że wróciła. Czuła się jednak ociężała, zmęczona i pozbawiona energii.

Jej uwagę przyciągnął szelest gałęzi na skraju ogrodu. Spomiędzy drzew wypadł na trawnik Afrykanin. Rozpoznała Tombę po charakterystycznej kowbojskiej koszuli, która zakrywała tradycyjną przepaskę na biodra.

Podbiegł do Mary, zatrzymując się zaledwie parę kroków przed nią. Pomimo pośpiechu pozdrowił ją uprzejmie w języku stanowiącym wyszukaną mieszaninę suahili i angielskiego.

- Jak twoja praca? - zapytał. - Co jesz? Jak zdrowie?

Starając się ukryć zniecierpliwienie, odwzajemniła się takimi samymi pytaniami. Na jego twarzy malowało się podniecenie. Gdy zakończył powitalny ceremoniał, spytała:

- *Namna gani?* O co chodzi? Czy coś się stało?

- Goście jadą! - wykrzyknął Tomba. - Będę nosić ich bagaże!

Mara przypatrywała mu się przez chwilę.

- Mylisz się - zaprzeczyła, kręcąc głową. - Nikt się do nas nie wybiera.

- Mówię prawdę - upierał się. - Widziałem ich land-rover. - Wskazał drogę do Kikuyu. - Przybiegłem skrótem między drzewami. Dlatego jestem przed nimi. To myśliwi.

Ja wiem. Urządzą wielkie safari. - Zamilkł, patrząc na nią zafasowany. - Nie cieszysz się, *memsahib*? *Bwana* lubi gości. Wszyscy ich lubią.

- Nikogo się nie spodziewamy - stwierdziła stanowczo.

Tomba już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował i tylko patrzył na nią w milczeniu. Wyczuwała, że zastanawia się, ile szacunku jest jej winien. Co prawda to żona *bwany* i biała, ale młodsza od niego i jeszcze nie matka.

Mara wpatrywała się w etui do okularów, unikając spojrzenia Tomby. Przykro jej było, że spotka go rozczarowanie. Minęły tygodnie - jeśli nie miesiące - odkąd do Johna zawitał ostatni klient. Wiedziała, że ludzie z pobliskiej wsi od lat dostawali opłatę za każde zwierzę upolowane na ich terenach plemiennych. Część młodszych wieśniaków liczyła też na dorywcze prace w posiadłości.

- Wkrótce tu będą - oświadczył.

- Jeżeli ktoś przyjeżdża na safari - tłumaczyła cierpliwie Mara - robi wcześniej rezerwację. Agent Johna z Dar powiadamia nas o tym przez radio.

- Ach! - Tomba spojrzął na nią z wyższością. - Przecież radio nie działa. Widziałem, jak *bwana* Stimu je reperował.

- Kiedy radio jest zepsute - wyjaśniała dalej - agent Johna przekazuje wiadomość do misji. A oni przysyłają gońca. Jeżeli widziałeś tutaj land-rover, musiała nastąpić jakaś pomyłka. Ci ludzie się zgubili. A może słyszeli o domu myśliwskim i sądzą, że to jest hotel.

Uśmiechnęła się pośępnie na myśl, że jakiś podróżny, geolog czy też urzędnik, może zajechać do nich, licząc na porządny posiłek. Poza dwiema perliczkami w worku i tym, co jeszcze rosło w warzywniaku, w domu praktycznie nie było nic do jedzenia. Pewnie mogłaby zaserwować jedynie gotowaną, dziko rosnącą zieleninę - danie, które Afrykanie mieszkający w miastach nazywają *sukuma wiki*, czyli końcem tygodnia, albo podszewką portfela...

Tomba splótł ramiona na piersi i stał niewzruszony.

- Czekam, żeby nosić bagaże.

Mara obejrzała się przez ramię. Zaczęły ogarniać ją wątpliwości. A jeśli zrobiono rezerwację i wiadomość nie dotarła? Co wtedy? Nie miała pieniędzy na zakupy. A Johna nie było.

Ciszę zakłócił odległy warkot silnika.

Twarz młodego mężczyzny opromienił uśmiech.

- Zaraz tu będą.

Obróciła się na pięcie i pobiegła do dobudówki na tyłach domu. Szarpnięciem otworzyła drzwi z metalowej siatki i weszła do kuchni.

- Dobrego dnia, Meneliku - pozdrowiła pośpiesznie kucharza.

Odwrócił się od płyty. Poruszał się powoli, lecz wcale nie dlatego, że dobiegał siedemdziesiątki. Miał w tym swój cel. Nie zwracając uwagi na jej wyraźny pośpiech, demonstracyjnie zatrzymał wzrok na drugich drzwiach, prowadzących do frontowej części domu. Co Mara sobie myśli, wchodząc tylnymi drzwiami? Że jest jakąś pomocą kuchenną?

- Szukam Kefy - powiedziała. - Mamy gości. - Zrzuciła z ramienia jutową torbę na stół, żałując, że nie ma czasu pochwalić się swymi perliczkami. - Musisz mi go znaleźć. Powiedz mu, żeby wprowadził gości do środka i podał *czaj**.

Słyszała proszący ton w swoim głosie. Zawsze trudno jej przychodziło wydawanie poleceń temu staremu człowiekowi. Jak wielu członków plemienia Amhara z górzystych terenów Etiopii miał w sobie coś z arystokraty. Sprawiały to mocno zarysowane kości policzkowe i sposób trzymania głowy, a także prosty i jednocześnie elegancki krój jego długich białych szat.

* Herbata parzona z aromatycznymi przyprawami i podawana z mlekiem. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Nie mamy mleka - oświadczył Menelik. - Ani kropli. Była Masajka, ale nie mieliśmy czym zapłacić.

Mara znieruchomiała, przekładając pas strzelby ponad głową.

- A mamy piwo?

Kucharz uniósł brwi.

- Tylko dwie butelki. Ostatnie.

- "Powiedz Kefie, niech je przyniesie. - Zrezygnowana, wzruszyła ramionami.

W sypialni najpierw schowała broń oraz amunicję, po czym otworzyła szafę i zdjęła z wieszaka swą suknię gospodyni safari. Zmagając się z zamkiem błyskawicznym, patrzyła przez okno, jak nowiutki, kremowy land-rover wtacza się na parking. Trochę się odprężyła, teraz już pewna, że jego pasażerowie nie są klientami Johna. Agent z Dar zawsze zaopatrywał ich w identyczne stroje do safari, a samochody, które podstawiał, były niezmiennie mocno sfatygowane.

Na karoserii był jakiś napis. *Hotel Manyala*. Otworzyła usta ze zdziwienia. Czemu ktoś stamtąd miałby przyjeżdżać do Raynor Lodge? Rozplotła warkocz i czesząc długie ciemne włosy energicznymi ruchami, czuła, jak przy każdym muśnięciu szczotki wzbiera w niej coraz większy gniew. To przez hotel Manyala John był właśnie w Dar es-Salaam na rozpaczliwej misji, której celem była pożyczka pieniędzy.

Ten duży obiekt został otwarty dwa i pół roku temu, akurat gdy w Raynor Lodge zakończono budowę szeregu rondaweli i bungalowów. Mara dobrze pamiętała tamtą podróż z Johnem, kiedy wybrali się na rekonesans. Skręcili w szeroką aleję przecinającą ogród wielkości małego parku, która prowadziła na wybrukowany podjazd ocieniony markizą w biało-niebieskie pasy. Zaparkowali land-rover przed głównym wejściem. Mara nadal miała w pamięci wyraz twarzy Johna, gdy rozglądał się na prawo i lewo, wodząc wzrokiem po eleganckiej, nowoczesnej fasadzie.

Wkrótce mieli się dowiedzieć, że hotel Manyala oprócz kortów tenisowych, basenu, a nawet platformy widokowej nad oświetlonym wodopojem, oferował gościom wyprawy na safari z namiotami, z grupą francuskich kucharzy i z trzema zawodowymi myśliwymi.

W hotelowym barze John i Mara zamówili drinki. Trwali w ponurym milczeniu, czekając, aż barman je przygotuje. Podróż samochodem z lotniska w Arusha do hotelu zajmowała pięć godzin, tymczasem, żeby dotrzeć do nich, należało dołożyć jeszcze pół dnia jazdy po wertepach. I chociaż tereny wokół Raynor Lodge z ukrytymi dolinami, głębokimi wąwozami i z łańcuchem jezior wyglądały bardzo malowniczo, nie miały atutów, które agent mógłby wykorzystać w swojej reklamie i które mogłyby konkurować z panoramą oglądaną na powitanie przez gości Manyali z platformy widokowej. Hen, daleko na horyzoncie, rysował się bowiem widok, który nie miał równego sobie w całej Afryce - na ośnieżone szczyty Kilimandżaro.

Mara po raz ostatni przeciągnęła szczotką po włosach. Potrząsnęła głową, jakby chciała przegonić obrazy z przeszłości. Odrzuciła włosy na plecy i odwróciwszy się do toaletki, popatrzyła krytycznie na swoje odbicie. Prosta suknia podkreślała wysoką, smukłą sylwetkę. Śniada cera współgrała z ciemnymi oczyma pod mocno zarysowanymi łukami brwi. Niestety twarz lśniła od potu. No i coś przylgnęło do policzka. Pośliniła palec i starła szare piórko przyklejone kropelką krwi. Na nic więcej nie było czasu.

Nie znalazła Kefy z gośćmi w bawialni. Przechodząc tamtędy, poprawiła poduszkę i wyszła na werandę.

Najpierw zobaczyła chłopaka; stał przy rondawelach i rozmawiał z dwoma mężczyznami - Afrykaninem i Europejczykiem. Idąc w ich kierunku, po raz kolejny pomyślała, jak bardzo niestosownie zwracano się do Kefy. Chłopak... Co prawda smukły, niemal tyczkowy jak młodzieniec,

w rzeczywistości był mężczyzną w średnim wieku i miał na utrzymaniu liczną rodzinę. Rozmawiał z obcymi spokojnie i pewnie.

Zanim dołączyła do rozmawiających, Mara otaksowała wzrokiem nowo przybyłych. Europejczyk wyglądał jak typowy klient Johna; zamożny i nieco otyły, tylko zamiast stroju safari miał na sobie luźną koszulę z krótkimi rękawami w kolorowe palmy i kwiaty. Towarzyszący mu Afrykanin wydawał się przy nim niski. W oficjalnym brązowym garniturze, ubrany niestosownie do warunków, był zgrzany.

Europejczyk, wyraźnie podekscytowany, nie słuchał Kefy. Co rusz przeciągał dłonią po ciemnych włosach, burząc je w sterzące kępki.

- Witam panów - odezwała się Mara, stając przy nich. Zorientowała się, że naśladuje angielski akcent Johna. W jej uszach to powitanie brzmiało dziwnie oficjalnie, bo Australijczyk powiedziałby po prostu: „Dzień dobry”. Wiedziała jednak, że tutaj tak właśnie należało się zwracać do ludzi, których widzi się po raz pierwszy.

Mężczyzna nie odpowiedział i tylko patrzył na nią przez chwilę dość nieprzytomnie. Przeszło jej przez myśl, że być może nie zna angielskiego.

Afrykanin wysunął się do przodu.

- Witam - odezwał się uprzejmie. - Nazywam się Daudi Njoma. Proszę pozwolić sobie przedstawić pana Carltona Millera z Ameryki.

Lekki uśmiech wypłynął na twarz Amerykanina.

- Cześć. Miło mi panią poznać.

Odwzajemniła uśmiech.

- Jestem Mara Sutherland. Żona myśliwego.

Miller patrzył na nią w taki sposób, jakby dopiero teraz ją zobaczył. Przez dłuższą chwilę lustrował kobietę w milczeniu.

Wyglądziła spódnicę, prostując nieistniejące zagniecenia.

- Niestety, mąż wyjechał do Dar w interesach - wyjaś-

niła krótko, jednak żaden z mężczyzn nie oczekiwał dodatkowych informacji. - Czy skierował tu panów nasz agent? - spytała na wszelki wypadek. - Nie dostałam wiadomości, lecz akurat zepsuło nam się radio. Chwilowo nie działa. Coś takiego rzadko się zdarza. - Uśmiechnęła się znowu, tym razem przepraszająco. Ruchem głowy wskazała land-rover. - Widzę, że przyjechaliście z Manyali... - Zawiesiła głos.

- Zgadza się - potwierdził Daudi. - Według planu mieliśmy się tam zatrzymać, ale warunki nam nie odpowiadają. Szef Departamentu Łowiectwa, pan Kabeya, zarekomendował nam to miejsce.

Mara, słuchając starannej, poprawnej angielszczyzny Daudiego, patrzyła na niego w roztargnieniu, zastanawiając się, co takiego mogło im nie odpowiadać w hotelu Manyala. Jednocześnie przypomniała sobie nazwisko Kabei. Był dawnym przyjacielem Johna. Wywodził się z tutejszego plemienia i w młodości przez wiele lat służył u pana Raynora jako tragarz broni. Uznała, że lepiej o tym nie wspominać, na wypadek gdyby wolał zataić fakt, iż w przeszłości pracował u białego myśliwego.

- Proszę podziękować od nas panu Kabei - powiedziała uprzejmym tonem. - I przekazać pozdrowienia.

W trakcie rozmowy z Daudim cały czas czuła na sobie wzrok Carltona Millera; wodził nim po jej twarzy i sylwetce. Kiedy zatrzymał spojrzenie na dłoniach, schowała ręce za siebie. Skóra na nich zrobiła się szorstka od kopania i podlewania grządek z warzywami, a paznokcie były brudne i połamane.

Mara przeszła do przedstawiania oferty Raynor Lodge, starając się nie zwracać uwagi na Amerykanina. Pominęła milczeniem sześć mniejszych domków, a właściwie przerbionych na kwatery blaszanych kontenerów, które John odkupił od kompanii węglowej, choć dzięki dachom krytym strzechą i wolnej przestrzeni pod okapem, pełniącej rolę wietrznika, panował w nich zadziwiający chłód. Skupiła się

natomiast na rondawelach, zaznaczając, że każdy z nich ma aneks z prysznicem i prywatny taras. Zwróciła też uwagę gości na nowe moskitiery w oknach.

Zauważyła, że Daudi przenosi wzrok z zasłon w oknach na jej sukienkę. Tak, to był ten sam materiał - *kitenge* w niebieski wzorek. Przytaknęła nieznacznym skinieniem głowy, dając do zrozumienia, że to nie przypadek. Suknia została pomyślana jako rodzaj uniformu. (Na wieczór miała drugą wersję sięgającą kostek). Strój odróżniał ją od żon, córek czy narzeczonych klientów, które potrafiły przebierać się po kilka razy dziennie, a także od pojawiających się, co prawda sporadycznie, kobiet myśliwych. Ubiór miał przypominać, że Mara jest gospodynią safari. Goszczące w Lodge kobiety nie musiały się obawiać konkurencji - nawet gdy chodzi o uwagę jej męża, ich myśliwego.

- To miejsce mi odpowiada - oznajmił Miller, po czym odwrócił się i wskazując głęboki wykop, pytając uniósł brwi.

- Basen - wyjaśniła. - Jak pan widzi, jeszcze w trakcie budowy - dodała różnym tonem, chcąc dać w ten sposób do zrozumienia, że za parę tygodni dziura w ziemi zmieni się w basen wypełniony po brzegi chłodną, niebieską wodą. Liczyła na to, że goście nie zauważą roślin przeciskających się przez pęknięcia w zeskorupiałej glinie.

Szybko przeszła do tematu jedzenia, który zawsze budził zainteresowanie gości.

- Nasz kucharz przygotowuje posiłki zarówno w domu, jak i podczas wypraw na safari. Specjalizuje się w tradycyjnej angielskiej kuchni. - Uśmiechnęła się do Carltona, bo sądząc z wyglądu, należał do ludzi, którzy lubią dobrze zjeść. Obejmując spojrzeniem jego obfite kształty, przyjrzała się wzorzystej koszuli: niewyprasowana, trzy górne guziki rozpięte, w wycięciu widoczne ciemne włosy na piersi. Miała nadzieję, że gość się przebierze, zanim zobaczy go Mene-lik. Jego poprzednia pracodawczyni, angielska baronessa,

wpoiła mu europejskie manieri. Nie byłby zachwycony. - Skontaktuję się z mężem, poproszę, żeby jak najszybciej wrócił. Być może nawet już jest w drodze. Jeśli nie, powrót zajmie mu dwa dni.

Starła się nadać głosowi spokojny, pewny ton, choć w jej głowie kołatało się tysiąc myśli. W spiżarni pustki. Nafta i ropa na wykończeniu. Nawet świec pozostało niewiele. Próba zakupów na kreskę w którymkolwiek ze sklepów w Kikuyu była skazana na klęskę. John od dawna zalegał z opłatami.

- Obejrzyjmy ten stary dom wewnątrz - odezwał się niespodziewanie Carlton. - To bardzo istotne.

Nie czekając na gospodynię, natychmiast ruszył w stronę werandy.

Miller stał na środku głównego pokoju, oglądając go uważnie. Mara usiłowała zobaczyć to miejsce jego oczyma - poszewki na poduszkach z lokalnie tkanego materiału; meble z ciemnego, miejscowego drewna; na podłodze, obok wyblakłych orientalnych dywaników, skóry zebr i lampartów; hoja pnąca się po listwie do wieszania zdjęć. Ze ściany pochylały się ku nim łby bawołów, nosorożców i antylop umocowane na podstawach z lakierowanego drewna. Niektóre z nich nadgryzione przez mole i nieco zapadnięte. Pośród nich sterczał jeden słoniowy kieł, którego John nie miał serca sprzedać - pozostałość po kolekcji kości słoniowej. Poniżej dwie mapy, przymocowane do ściany na wysokości wzroku. Na pierwszej widniał administracyjny podział regionu z zaznaczonym terenem łowieckim Johna, na drugiej - Afryka Wschodnia z zakreślonym różowym tuszem sporym obszarem, obejmującym Tanganikę, Kenię i część ościennych krajów. W poprzek biegł napis pogrubionymi, drukowanymi literami: SAFARILAND.

Pomieszczenie wyglądało niemal dokładnie tak samo jak za życia pierwszego właściciela domu, Billa Raynora. John

był przeciwny wszelkim zmianom, poza tym całą energię i wszystkie pieniądze włożyli w budowę nowych kwater dla gości. Pokój miał prosty, tradycyjny wystrój, co, jak sądziła Mary, nadawało mu szczególny charakter, lecz jednocześnie była boleśnie świadoma, że Amerykaninowi może się wydać staroświecki i prymitywny.

Usiłowała rozszyfrować wyraz twarzy Carltona, kiedy podszedł do ściany w głębi, obwieszanej oprawionymi w ramki fotografiami z safari. Ruszyła za nim, gotowa służyć odpowiedzią na ewentualne pytania. Tymczasem on nie odzywał się ani słowem. Poczowała się niezręcznie, kręcąc się przy nim, więc udała zainteresowanie zdjęciami. Przesuwała się wzdłuż ściany, przyglądając się fotografiom, jakby sama też była gościem.

Wszystkie wyglądały mniej więcej tak samo: przedstawiały klientów pozujących z bronią i z upolowaną zwierzyną, często w towarzystwie zawodowego myśliwego. Tu i ówdzie widać było pomarszczoną, rasową twarz Raynora. John także był na niektórych zdjęciach; na jednych wyglądał tak jak teraz, po trzydziestce, na innych został uwieczniony jako nastolatek, młody chłopak, zapewne jeszcze uczeń.

Na honorowym miejscu wisiała czarno-biała fotografia z 1928 roku, zrobiona podczas słynnego safari księcia Walii. Raynor stał tam z Denysem Finchem Hattonem, również myśliwym, obok zażywnego mężczyzny w średnim wieku, którego Afrykanie dość nieadekwatnie nazywali Toto wa Kingi - Dzieckiem Króla. Mara zerknęła na Carltona, żeby sprawdzić, czy chce usłyszeć coś na temat tego zdjęcia, bo zazwyczaj goście mieli takie życzenie, lecz on patrzył gdzie indziej.

- Kto to? - zapytał, wskazując zdjęcie kobiety z martwym lwem. Palcami zahaczonymi o kąciki paszczy unosiła łeb zwierzęcia do obiektywu. Spokojny wyraz jej twarzy, pięknej, o delikatnych rysach, nie licował z charakterem tej sceny.

- Alice - odparła Mara. - Żona człowieka, który zbudował ten dom, Billa Raynora. - Zaczęła opowieść o tym, jak Alice i Bill zostali współnikami w czasach, kiedy kobiet w zasadzie nie dopuszczano do udziału w safari. Tymczasem ona organizowała myśliwskie obozy nie gorzej od mężczyzn. Niestety, zmarła bardzo młodo...

Carlton już jej nie słuchał. Najwyraźniej tracąc zainteresowanie dla zdjęć, okrążył stoły i bufet, po czym podszedł do kredensu Alice i otwierając drzwiczki oraz szuflady, zaglądał do środka. Mara walczyła z chęcią zwrócenia mu uwagi, że nie jest u siebie. W myślach powtarzała radę, jaką dał jej John, gdy przyjechała tu przed trzema laty: „Traktuj ich jak dzieci. Pozwalaj robić, co im się żywnie podoba”. (Naturalnie miał na myśli wyłącznie pobyt w domu. Udział w safari to zupełnie inna historia).

Pobrzękiwanie szklanek zwiastowało nadejście Kefy z tacą z napojami. Gospodyni zachęciła obu gości, aby usiedli. Miller chyba nie usłyszał zaproszenia. Zakończył przegląd kredensu i stanął przy drzwiach na werandę. Mara odniosła wrażenie, że chce się już zbierać.

Daudi natomiast rozgościł się na kanapie. Usiadła naprzeciw niego w trzcinowym fotelu, krzyżując nogi w kostkach jak należy i przesuwając je nieco w bok. Gdy Kefa podawał mu szklanicę z piwem, zauważyła, że nie ma na niej śladu rosy. Spojrzała na służącego, który już wychodził z pokoju. Czemu nie trzyma piwa w lodówce? To jedna z żelaznych zasad. W domu zawsze musiały być pod ręką zimne napoje dla gości. I zaraz sobie przypomniała, że po wyjeździe Johna do Dar sama kazała wyłączyć lodówkę, żeby oszczędzać naftę.

Daudiemu temperatura piwa wyraźnie nie przeszkadzała. Wychylił je ze smakiem. Mara sączyła ciepłą wodę.

Miller nadal się nie odzywał. Przedłużająca się cisza zdawała się wprawiać jego towarzysza w skrępowanie. Odstawił szklankę na stolik i zakasłał.

Ni stąd, ni zowąd Carlton odwrócił się do Mary, rozkładając ręce w geście zachwytu.

- Idealne! Autentyk... - Zacierał ręce. - Chcemy cały dom wyłącznie dla siebie. Na dwa tygodnie, może na trochę dłużej. Proszę się nie obawiać, z nawiązką pokryjemy straty, jeśli musi pani odwołać jakieś rezerwacje.

Raz jeszcze omiótł pokój spojrzeniem, po czym wskazał werandę. Mara powiodła oczyma za jego ręką. Zaledwie kilka kroków za krawędzią tarasu teren opadał stromo ku rozległej równinie. Widać było też połyskujący w słońcu wodopój. Rodzina żyraf pasła się spokojnie na przeciwległym brzegu. W ich pobliżu przechadzało się stado zebra.

- Polowanie zrobi się tam - dodał Carlton. Rozpromieniony z podniecenia, odwrócił się do Daudiego. - Tam będziemy strzelać, dokładnie w tym miejscu!

Zaskoczona poderwała głowę.

- Przykro mi - zaczęła stanowczo. - Nie pozwalamy na polowanie w pobliżu posiadłości. - Wskazała odległy horyzont, gdzie nad równiną wyrastała liliowa skarpa. - Pierwszy obóz znajduje się za tamtymi wzgórzami. Mój mąż zaprowadzi was tam zaraz po powrocie. Wytropi, co tylko zechcecie. Wielką Piątkę*. Krokodyle. Antylopy...

- Och, nie przyjechaliśmy polować - odrzekł.

- Nie? - Patrzyła na niego speszona.

- Kręcimy film.

Spojrzała na Daudiego, jakby u niego szukała odpowiedzi, czy Carlton żartuje, czy raczej odebrało mu rozum. Roześmiała się, kręcąc głową. John opowiadał jej historie zasłyszane od Raynora o tym, jak hollywoodzkie studia robią filmy w Afryce. Rozkładają obóz z trzystoma namiotami, podróżują w konwoju złożonym z mnóstwa ciężarówek, polowych szpitali i przenośnych kin. Przed dziesięcioma laty Raynor Lodge odkupiło cały komplet prawie nowych na-

* Lew, lampart, słoń, bawół, nosorożec.

miotów firmy Low and Bonar od rekwizytora z planu *Mogambo*. W filmach przygodowych grały takie gwiazdy, jak Clark Gable, Ava Gardner czy Grace Kelly. John chętnie wspominał swoim klientom, że aktorzy światowej sławy kiedyś sypiali w tych samych namiotach.

- To nie tak - odezwał się Carlton, jakby czytając w jej myślach. - Zdjęcia są na ukończeniu, zostały tylko dwa dni w Zanzibarze. Potem większość ekipy wraca do domu. Tu przyjedzie jakieś dwanaście osób. Pracownicy techniczni i dwoje głównych aktorów - mówił szybko, gestykulując dla podkreślenia słów. - Zarezerwowaliśmy pokoje w Manyali. Plener był w pobliżu. Planowaliśmy przerobić wiejską zagrodę na dom myśliwski, na coś w rodzaju miejsca, w jakim Hemingway mógłby się zatrzymać w latach trzydziestych. - Rozejrzał się ponownie, jakby nadal nie wierzył własnym oczom. - Dokładnie takim jak to! Zagroda na zdjęciach, które mi pokazano, wyszła bardzo dobrze. Natomiast plenery, gdy pojechałem je obejrzeć, okazały się do niczego. Za dużo trzeba byłoby zmieniać. Zaczynało brakować czasu, nie mówiąc już o pieniądzach... - Carlton kręcił głową, wyraźnie zatroskany. - Pojawiało się tyle problemów. Ciągłe coś wyskakiwało. Pani sobie nawet nie wyobraża...

- I jak pan widzi - Daudi wszedł mu w słowo uspokajającym tonem - wszystko się dobrze skończyło. Znaleźliśmy odpowiednie miejsce.

- Tak jest - odrzekł tamten, starając się powściągnąć emocje. - Znaleźliśmy. Trzeba będzie zmienić parę szczegółów w scenariuszu. Ale miejsce idealne. Nie ma lepszego.

Mara pokiwała głową z umiarkowanym optymizmem.

- Ile kwater potrzebujecie?

- Wystarczy nam to, co jest. Nie ma problemu. Być może będziemy musieli dostawić parę namiotów. Naturalnie na czas zdjęć na terenie posiadłości potrzebny będzie namiot pełniący funkcję jadalni. Ale to się da załatwić. - Westchnął,

przymykając oczy. - Dzięki Bogu. Prawdziwy dar niebios!
Istny cud.

Przyglądała mu się z zaciekawieniem. Mówił tak, jakby to była kwestia życia i śmierci.

- Oczywiście niezbędna jest obecność pani męża - kontynuował Carlton, wracając do rzeczowego tonu. - Będziemy robić kilka dużych scen w plenerach. A to, że my nie polujemy, wcale nie oznacza, iż ktoś nie zechce zapolować na nas! - Zarechotał z własnego żartu. Daudi rozciągnął usta w uprzejmym uśmiechu. - Pozostaje jeszcze kluczowa sprawa - ciągnął. Postąpił krok ku Marze. W jego głosie nie było już rozbawienia. Patrzył na nią ze śmiertelną powagą. - Muszę o to zapytać. Czy jest pani w stanie zagwarantować nam absolutną prywatność przez cały pobyt?

- Nie sądzę, aby był z tym jakiś problem - odparła. - Nawet nasze radio nie działa.

- Świetnie. Proszę go nie naprawiać. Mamy za sobą długi okres zdjęciowy. Wszyscy dużo przeszliśmy. Upały w Zanzibarze. Tłumy gapiów. Sceny na kolei. Mnóstwo kłopotów... Pozostało do zrobienia kilka ważnych ujęć do scen kluczowych dla filmu. Jednym z powodów, dla których wybraliśmy na bazę hotel Manyala, było jego położenie na końcu drogi. Nikt tamtędy nie przejeżdża. - Zamilkł, wyraźnie speszony. - Hmm, naturalnie oprócz ludzi, którzy kierują się do państwa. Tak czy owak nie chcemy, żeby ktokolwiek z zewnątrz zakłócał nam spokój. Główne role grają dwie wielkie gwiazdy: Lillian Lane i Peter Heath.

Mara wstrzymała oddech. Nigdy nie słyszała o Peterze Heasie, ale Lillian Lane była popularna nawet w Australii. Ludzie biegali na jej filmy, a w „Women's Weekly” często pojawiały się artykuły o jej wytwornym stylu życia.

Usiłowała wyobrazić sobie, jak Lillian Lane - taka piękna i elegancka - siedzi na jednym ze starych trzcinowych foteli w Raynor Lodge i popija herbatę z wyszczerbionej fili*

żanki z napisem *Linie kolejowe Tanganika*. Nagle ta cała oferta wydała jej się idiotyczna. To nie było miejsce dla gwiazd filmowych! Zwykłe gospodynie domowe z Kalifornii stroiły tu fupy. (Woda w prysznicach jest za gorąca albo za zimna. Włosy po niej robią się sztywne. W ryżu trafiło się ziarenko piasku - można było nadłamać ząb...).

- Proszę posłuchać, panie... Carlton. Czuję się zaszczycona, że chcecie tu pracować, ale to miejsce nie zostało stworzone z myślą o ludziach z filmu. Raynor Lodge zawsze oferowało skromne zakwaterowanie. Nie staramy się ukrywać faktu, że jesteście w Afryce.

- Oni będą zachwyceni - rozmówca rozwiął jej obawy. - Poza tym to tylko dwa tygodnie. Dotąd zatrzymywali się w najlepszych, luksusowych hotelach. Mogą przez jakiś czas pomieszkać w spartańskich warunkach. - Spowaźniał. - Musi pani wiedzieć, że wszyscy z drugiej ekipy filmowej są w stu procentach zaangażowani w projekt. Lillian Lane i Peter Heath zgodzili się nawet sami zadbać o charakteryzację i kostiumy! Bo, rozumie pani, oni wierzą w wizję Leonarda - dodał cicho, niemal z czcią. - To reżyser. Mój brat. A więc, jak sama pani widzi, wszyscy tkwimy w tym po uszy.

Mara zasepiła się, nie do końca przekonana.

- Nadal nie jestem pewna, czy to wyjdzie...

Daudi zamaszystym gestem odstawił szklanekę, ściągając na siebie uwagę.

- Muszę tu coś wytłumaczyć - zwrócił się do gospodyni. - Reprezentuję Ministerstwo Informacji. Ten projekt ma poparcie samego ministra. Nasz rząd chce, aby wszyscy się dowiedzieli, że Tanzania jest dobrym miejscem do robienia interesów. Nie chcemy słyszeć o żadnych opóźnieniach czy utrudnieniach. Wszyscy będą zadowoleni, wiedząc, że problemy naszych przyjaciół znalazły rozwiązanie. - Pochylił się ku Marze, patrząc na nią znacząco. - Do Kabei na pewno dotrze wiadomość o waszej chęci udzielenia pomocy.

Dokładnie zrozumiała aluzję. Po odzyskaniu niepodległości prezydent Nyrere obiecał poparcie dla białych Tanzańczyków, takich jak John, którzy zdecydowali się tu pozostać. Kabeya osobiście pomógł Johnowi załatwić koncesję na polowania za panowania nowego reżimu. Teraz nadszedł czas spłaty długu.

Powoli pokiwała głową. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Carlton przeszedł przez pokój i pochwycił jej dłoń.

- Umowa stoi. Obiecuję, że nie będzie pani żałować. Zjedziemy tu za trzy dni i następnego dnia rozpoczniemy zdjęcie. Nie możemy marnować czasu.

Zajął się omawianiem z Daudim organizacji transportu. Mara udawała, że słucha, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Ogarnęło ją podniecenie, bo oczyma duszy widziała już siebie, jak stojąc w kuchni, daje pracownikom zaległą wypłatę i mówi, że mogą ściągnąć córki i synów, bo w domu będzie dodatkowa robota. Następnie wezwie tragarza broni Johna, który od dwóch miesięcy był bezrobotny. A potem pojedzie do Kikuyu, ureguluje wszystkie rachunki i wreszcie zrobi porządne zakupy. Tysiąc myśli wirowało w jej głowie. Należało załatwić mnóstwo spraw - wiele z nich jeszcze przed powrotem męża.

Carlton skierował się do wyjścia. Ruch wytrącił Marę z zamyślenia. Podniosła się z miejsca.

- Jedną chwilę - zaczęła i urwała, szukając odpowiednich słów. Nigdy nie omawiała kwestii finansowych z klientami. John też tego nie robił. Rachunkami zajmował się ich agent w Dar. Naturalnie myśliwy dostawał gratyfikację, zależną od wielkości i jakości trofeów, ale pieniądze wręczano dyskretnie, jak przystało na dżentelmenów. Mara zebrała się na odwagę. Starła się naśladować zachowanie żon bogatych klientów. One zawsze wiedziały, jak dostać to, co chcą. Tak jak to u nich widziała, uniosła podbródek i szeroko otworzyła oczy. Poznała skuteczność tej pozy, sugerującej

zarazem bezradność, jak i stanowczość. - Muszę poprosić o depozyt, który stanowi gwarancję rezerwacji - usłyszała własne słowa. Ton głosu miała chłodny i zdecydowany. - A także o pewną kwotę na pokrycie kosztów wyżywienia oraz alkoholi, no i częściową opłatę noclegów. - Myślała szybko. - Oczywiście, później pojawią się też inne wydatki.

- Jasne, jasne, naturalnie - przytaknął skwapliwie Carlton. - Opłaty za korzystanie z plenerów, gratyfikacja dla wsi, tak jak zwykle. A teraz... - Wyjął spory zwitek tanzańskich szylingów i zaczął go rozwijać.

Mara ukryła zachwyt na widok rosnącego pliku banknotów.

- Tyle wystarczy? - spytał, przytrzymując pieniądze. Podniósł na nią oczy i powiódł spojrzeniem po twarzy, dłoniach i sylwetce, jakby jej osoba stanowiła składową transakcji.

Patrzyła na niego skrępowana, stojąc z wyciągniętą ręką. Skinął, uśmiechnął się i wręczył jej banknoty.

- Wszystko załatwione - rzekł.

Daudi ruszył przodem na werandę. Kiedy kierowali się ku schodom, mijając po drodze donice z ostrolistnymi aloesami, Carlton przystanął przy ogromnej białej czaszce, która sięgała mu powyżej kolan. Była starannie przepięłowana na pół.

- Co to? - spytał, kucając przy niej.

- Głowa słonia - wyjaśniła Mara. - Widać miejsca, skąd wyrastały kły. - Pochyliła się, wskazując dwa otwory.

- Czemu jest w dwóch częściach? - zapytał, przeciągając dłonią po porowatej kości.

- Mój mąż pokazuje na niej klientom, gdzie znajduje się mózg - odpowiedziała. - Żeby wiedzieli, jak celować. Najłatwiej jest położyć słonia strzałem w głowę. Ale bardzo ważna jest precyzja. - Nachyliła się nad czaszką. - Widzi pan to owalne wgłębienie na środku? Tam właśnie znajdu-

je się mózg. Mniej więcej wielkości bochenka chleba. - Uśmiechnęła się zdawkowo do Carltona. Zazwyczaj nie do niej należało udzielanie takich wyjaśnień. - A widzi pan teraz ten fragment kości przypominający wyglądem plaster miodu? Właśnie w to miejsce należy celować. Dokładnie tu. - Mówiąc to, oczyma duszy zobaczyła połamane drzewa na równinie i ponownie odczuła napięcie wiszące wtedy w powietrzu. - Oczywiście, jeśli się uda, najlepiej jest zejść zwierzę od przodu, odliczyć siódmą zmarszczkę na trąbie i wycelować pomiędzy kły. Jest taka tradycja, że powalając słonia, najpierw należy odciąć mu trąbę, żeby mieć pewność, iż nie przeżyje i nie będzie cię szukać. Nie wiem, czy wymyślili to Afrykanie, czy raczej ktoś z naszych...

Cofnęła się, splatając dłonie. Przemowa skończona. Zobaczyła, jak mężczyźni wymieniają spojrzenia.

- Mąż wiele panią nauczył - zauważył Miller, prostując się. Patrzył teraz na Marę z nowym zainteresowaniem.

- John Sutherland jest znanym myśliwym - wtrącił Daudi. - Kabeya mi mówił, że dwukrotnie zdobył Trofeum Sha-wa i Huntera, jako najmłodszy z nagrodzonych.

- Za co je dają? - zapytał Carlton.

- Przyznaje je Stowarzyszenie Zawodowych Myśliwych Afryki Wschodniej myśliwemu, który wytropi najbardziej imponujący okaz dla swego klienta - wyjaśnił Daudi. - O ile się nie mylę, rozdano ich tylko siedemnaście. Naturalnie żadne nie trafiło do Afrykanina. - Na ułamek sekundy zwięziły mu się oczy, lecz zaraz ponownie przywdział na twarz maskę. - Podobno niektórzy Europejczycy mówią, że to Oscar w świecie myśliwych.

Carlton uniósł brwi.

- W takim razie będziemy w dobrych rękach.

- Niewątpliwie - przytaknęła Mara. Sprowadziła ich z werandy i ruszyła w stronę okrągłych chat. Gościowi nieco zrzęda mina.

- Dobrze byłoby trochę ozdobić kwaterę Lillian - pod-

powiedział. - Może jakiś bukiet w wazonie czy coś w tym rodzaju. Tylko żadnych żółtych kwiatów. Nie lubi ich. Aha, i jeszcze jedno: musi mieć ręczniki w tym samym kolorze. Wie pani, kąpielowe i te do rąk. Jest na to bardzo wyczułona. - Wskazał pierwszy z brzegu domek. - W tym proszę umieścić Lillian, a w tym drugim Petera Heatha. Czy wnętrza wyglądają tak samo?

Skinęła głową.

- Mniej więcej.

- Dobrze, bardzo dobrze. Mnie i Leonarda może pani umieścić w jednej chacie. W dzieciństwie przez dziesięć lat dzieliliśmy pokój. Nic się nie stanie, jeśli znowu pomieszkaemy razem!

Kiedy doszli do land-rovera, Carlton otworzył drzwi po stronie kierowcy i gestem wskazał Daudiemu miejsce dla pasażera. Wsiadając, znieruchomiał z nogą uniesioną nad progiem, jakby coś jeszcze przyszło mu do głowy.

- A właśnie, gdzie jest lądowisko?

Mara popatrzyła na niego bez słowa, po czym spuściła oczy, udając, że ogląda zamek przy drzwiach. Najbliższe lądowisko znajdowało się w misji, przynajmniej godzinę jazdy stąd po bardzo kiepskiej drodze.

- Lillian i Peter przylecą oczywiście samolotem - powiedział Miller. - Trudno od nich wymagać, aby jechali samochodem, szczególnie po takich drogach.

Gospodyni boleśnie przygryzła dolną wargę. Już widziała, jak szansa na zarobienie dużych pieniędzy znika tak samo szybko, jak się pojawiła. Nagle przypomniała sobie, że pewien zamożny klient przyleciał własnym samolotem i posadził go po prostu na sawannie. Machnęła dłonią w kierunku równiny. Płat złotawego stepu prześwitywał pomiędzy drzewami.

- Tam zazwyczaj lądują samoloty - oznajmiła. - Każę sprawdzić pas startowy i przygotować rękaw lotniskowy.

Zerknęła na Daudiego. Niewątpliwie wiedział, że zmysł-

la. Nieznacznie skinął głową na znak aprobaty i zwrócił się do Carltona:

- Musi pan poinstruować pilota, aby zrobił kilka okrążeń przed lądowaniem, wtedy ludzie będą wiedzieli, że mają odpędzić zwierzęta.

- Jasne. Nie ma sprawy. Proszę mi jeszcze przypomnieć o tym po powrocie - odparł Miller. Wdrapał się do land-rovera. Chwilę później silnik zawarczał i samochód ruszył, wzbijając tuman rdzawego pyłu.

2

Mara w skupieniu prowadziła samochód po głównej ulicy Kikuyu, omijając dziury w jezdni i lawirując pomiędzy pieszymi, rowerzystami oraz samochodami o pogiętych karoseriach. We wstecznym lusterku widziała przynajmniej z tuzin podskakujących głów Afrykanów stłoczonych na pace land-rovera. Wieści z domu myśliwskiego błyskawicznie docierały do wsi i zanim zdążyła przygotować się do podróży, cała gromadka chętnych do skorzystania z okazji stawiała się na parkingu, by zamiast dreptać do miasta cały dzień dotrzeć tam w godzinę samochodem.

Skręciwszy w boczną, wąską uliczkę, jechała wzdłuż rzędu sklepików z materiałami *kitenge*. Wywieszone na zewnątrz próbki kołysały się na wietrze, rywalizując o uwagę przechodniów. W głębi ulicy bezładne skupisko blaszanych bud i straganów pod płóciennymi daszkami tworzyło rynek. Kiedy zahamowała, pasażerowie zaczęli zbierać kosze i tobołki, gotowi opuścić samochód.

- Wy macie zostać - nakazała stanowczo dwóm chłopcom, bratankom Kefy, których zabrała do pomocy przy zakupach. Siedzieli w szoferce, ściśnięci na fotelu przy oknie, podczas gdy środkowe miejsce pozostało puste. Mara zachęciła jednego z nich, żeby się przesiadł, lecz on na samą

myśl, że miałyby siedzieć tak blisko niej, tylko się uśmiechnął, skrzepowany.

- Tak, *memsahib* - odpowiedzieli zgodnym chórem.

- Musimy zrobić mnóstwo zakupów - dodała.

Zerknęła na zegarek. Po załatwieniu spraw w Kikuyu planowała podjechać do misji i przez agenta w Dar przesłać wiadomość dla Johna. Zastanawiała się, czy nie zacząć od wizyty w misji, lecz uświadomiła sobie, że rynek zdążyłby opustoszeć, zanim znów dojechałaby do miasta. Następny targ odbywał się dopiero w sobotę.

Wręczyła chłopcom puste kosze oraz torby i powiodła ich na targ. W powietrzu unosiła się kwaśna woń fermentujących owoców pomieszana z zapachem kurzu i odorem zwierzęcych odchodów. Wkrótce znaleźli się pośród kolorowych piramid owoców ułożonych na prowizorycznych stołach lub na płachtach rozesłanych na ziemi. Handlarki, siedząc przy swoich straganach i odpędzając muchy, wesoło gawędziły z kupującymi.

Mara nie miała dzisiaj czasu na tradycyjne rytuały powitalne z każdym ze straganiarzy i oglądanie towarów przed dokonaniem wyboru. Szła wzdłuż straganów, wskazując potrzebne produkty. Wybierała błyszczące fioletowe bakłażany, gruzłowate korzenie manioku, kabaczki oraz małe, zapiaszczone ziemniaki sprowadzane z gór. Brała całe skrzynki niekształtnych miejscowych pomidorów oraz kosze cytryn i limonek. Odzierała ananasy z liści, żeby sprawdzić, czy są dojrzałe, oglądała arbuzy i kosztowała plasterów gujawy. Zgodziła się wziąć papaję i marakuję, ale odrzuciła mango, mimo że było świeże, prosto z Kongwy, bo chociaż sama zdążyła przywyknąć do afrykańskiej odmiany, wiedziała, że włókniste owoce o ostrym smaku nie przypadną do gustu Amerykanom.

Za każdym razem, płacąc za zakupy przy którymś ze straganów, wyciągała z pliku pieniędzy Carltona banknot o najniższym nominale. Mimo to Afrykanki, żeby wydać jej

resztę, musiały wymieniać między sobą monety. Chłopcy biegali tam i z powrotem i znosząc zakupy do land-rovera, uginali się pod ciężarem wyładowanych koszy.

- *Bwana* szykuje się do wielkiego safari! - skomentowała jedna z handlarek. Odliczała dynie i jednocześnie żuła kawałek trzciny cukrowej, zdzierając włókna zębami.

- Tak jest - potwierdziła Mara. - Przyjedzie dużo gości. - Postanowiła nie wdawać się w wyjaśniania dotyczące kręcenia filmu, gdyż kobieta niewiele by z tego pojęła.

Ruszając dalej, zauważyła, że jeden z bratanków Kefy zatrzymał się przy straganie z dyniami i podekscytowany opowiadał coś w miejscowym narzeczu. Widziała, jak machnął przy tym ręką w stronę rządowych budynków. Zdziwiła się w pierwszej chwili, lecz zaraz sobie przypomniała, że jest tam sala, w której czasami wyświetlano hinduskie filmy. Nigdy na żadnym nie była, ale sądząc po reklamujących je krzykliwych plakatach, stanowiły oszałamiającą kombinację przygodowych i romantycznych wątków, okraszoną dużą dawką śpiewów i tańców. Sprzedawczyni dyń z początku patrzyła na chłopca z niedowierzaniem, a potem z podziwem. Krzyknęła coś do sąsiadki. Mara, robiąc zakupy na kolejnych straganach, obserwowała, jak wiadomość rozchodzi się po całym targu. Wyłowiła słowo *filmi* wypowiedane w suahili. *Filmi americani mkubwa*, czyli „wielki amerykański film”. A może „film wielkiego Amerykanina”? Nie była pewna. Tak czy owak całe Kikuyu niewątpliwie wkrótce się dowie, że w Raynor Lodge spodziewają się szczególnych gości. Zatrokana ściągnęła brwi, pamiętając, że obiecała Carltonowi dyskrecję. Pocieszała się jednak, że nic złego się nie stanie, gdy Afrykanie będą wiedzieli o filmie. Obawa Carltona dotyczyła bowiem nalotu dziennikarzy i fotoreporterów. A tych w okolicy nie było.

Dom Handlowy Nowa Tanzania zajmował narożny budynek w samym centrum Kikuyu. Na wąskiej fasadzie po-

malowanej cukierkowo pastelowymi kolorami roiło się od napisów w hindi. Sklep został niedawno przemianowany i resztki szyldu *Skład Kolonialny* tu i ówdzie nadal były widoczne pomiędzy nowymi reklamami. Z otwartych drzwi rozchodził się zapach smażonych przypraw i rozgrzanego oleju. Mara uprzytomniła sobie, że nie miała nic w ustach od śniadania, które zjadła o świcie.

Odchyliła zasłonę z trzcinowych koralików i weszła do mrocznego wnętrza, wypełnionego gęstym, gorącym powietrzem. Mijała metalowe beczki z olejem i otwarte worki pełne mąki kukurydzianej, fasoli, soczewicy, orzeszków ziemnych, ryżu i mąki ze zbóż. Elektryczny wentylator wmontowany w ścianę mieszał powoli powietrze, przez co temperatura w sklepie wydawała się jeszcze wyższa.

Ledwie Mara zdążyła wyjąć listę zakupów, gdy jakiś głos doszedł ją z zaplecza.

- Tak, tak. Czego chcesz? Tylko mów. Szybko.

Rozpoznała łamany suahili ze śpiewną hinduską intonacją, którym posługiwała się żona właściciela sklepu.

- Bina! - zawołała. - To ja, Mara.

Korpulentna postać przecisnęła się przez drzwi i stanęła za ladą. Była w jaskraworóżowym sari z połyskującym złotym haftem. Uśmiechnęła się do klientki, błyskając złotymi zębami.

- Mam pieniądze - szybko poinformowała ją przybyła. - Chcę pokryć rachunek, a potem zrobić trochę zapasów.

Bina uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Już słyszałam waszą nowinę! - Przeszła na angielski, którym posługiwała się ze znacznie większą starannością niż suahili. - Wiem, czemu się zjawiłaś. - Pstryknęła palcami i wtedy u jej boku stanęła drobna, chuda kobieta. Bina wskazała kartkę w dłoni Mary. - Widzę, że masz listę. - Machnęła łokciem w stronę sprzedawczyni. - Moja szwagierka zgromadzi zakupy i przygotowuje rachunek. A ty chodź ze mną posiedzieć.

Mara uśmiechnęła się niepewnie. Myśl o chwili wytchnienia była bardzo kusząca, a Bina zawsze częstowała ją herbatą z mlekiem, aromatyzowaną kardamonem i goździkami, podając do niej pikantne hinduskie przekąski. Ale nie miała ochoty narażać się na lekceważące spojrzenia Menelika, gdyby wróciła z niewłaściwymi zakupami. Prześliznęła się wzrokiem po półkach zastawionych puszkami, paczuszkami i kartonikami. Większość produktów była w jednym gatunku - margaryna Kimbo, cukier Kilombero, herbata Brooke Bond - więc problemu z wyborem nie było.

- Dobrze. Z przyjemnością - powiedziała w końcu. - Lista nie jest skomplikowana, tylko długa. - Już miała podać kartkę, gdy jej uwagę przyciągnęły mydła ustawione na ladzie. - Muszę jedynie wybrać mydło. - Powiodła spojrzeniem od kremowych kostek marki Palmolive, chyba bardziej odpowiednich dla gwiazd, do ciemnoczerwonych kawałków firmy Lifebuoy, które Raynor Lodge zawsze kupowało dla swych klientów, bo chociaż karbolowe mydło może nie najlepiej pachniało, miało tę zaletę, że zabijało zarazki.

- Weź jedno i drugie - podpowiedziała Bina. - Zostaw im wybór. - Machała pulchną, a przy tym delikatną dłońią w rytmie słów, jakby dyrygowała własną mową. - To moja rada numer jeden, gdy się ma do czynienia z ważnymi klientami. Nawet jeśli oba produkty wcale nie są dobre, będą zadowoleni, że pozwala im się wybierać.

Poprowadziła Marę do salonu pełniącego jednocześnie funkcję pracowni krawieckiej. Pod ścianą leżały bele tęczyowych jedwabi przetykanych połyskliwą metalową nitką. Kawałki nici, skrawki tkanin oraz strzępy papierowych form walały się na rozestanych na podłodze matach wyplatanych z sitowia.

- Wiem wszystko o tych paniskach - oznajmiła Bina. Powoli opuściła się na fotel o szerokim siedzisku i czekała, aż Mara umyje ręce w umywalce w rogu pokoju i do niej dołączy. Wtedy zawołała coś w kierunku drugich drzwi. -

Moi krewni w Udaipur od pokoleń pracują w pałacu - zwróciła się znów do gościa. - Oto moja rada numer dwa: twój personel musi się dobrze prezentować. - Wskazała miseczkę pełną guzików naszytych na kartoniki. - Weź parę i każ wszystkim uzupełnić brakujące guziki. Oczywiście muszą je przyszyć nitką w odpowiednim kolorze.

Z drzwi wyłoniło się dziecko, niosąc na tacy dwie szklanki *czaju* i talerz pierożków *samosa*, przybranych plasterkami limonki. Ślinka pociekła Marze do ust na widok małych trójkącików z cieniutkiego ciasta usmażonych na złotobrązowy kolor. Wiedziała, że kryje się w nich nadzieje z mielonego mięsa i zielonego groszku, przyprawione garam masalą, chili i świeżą kolendrą.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Biny.

- Twoje ulubione - zaznaczyła Hinduska. - Musisz ich dużo zjeść. Jesteś za chuda.

Mara przemilczała tę uwagę. Gospodyni była dumna z wałeczków śniadego ciała, wylewających się w przerwie między spódnicą sari i krótkim stanikiem, przekonana, że właśnie obfite kształty skłoniły jej męża do ożenku z nią. Te dwie kobiety nigdy nie doszłyby do zgody w kwestii ideału kobiecej figury.

Żeby zmienić temat, Mara otworzyła torbę i wyjęła egzemplarz „Woman's Day”. Po wyjeździe Carltona przewertowała stare czasopisma, które goście zostawiali w Raynor Lodge, i w jednym z nich znalazła zdjęcie Lillian Lane. Aktorka stała pod rękę z przystojnym mężczyzną na pokładzie luksusowego jachtu. Chociaż zdjęcie było nieduże, Mara natychmiast ją rozpoznała.

Podsunęła Binie otwarty magazyn, rozkładając go na właściwej stronie.

- To ona - powiedziała. - Ta aktorka, która przyjeżdża do Raynor Lodge.

Hinduska westchnęła z podziwem.

- Jest bardzo, bardzo piękna! A jacht! No i ten mężczyz-

na! - Przechylając głowę, wpatrywała się w Lillian krytycznie. - Też za chuda. Czym ty ją będziesz karmić? Co jedzą Amerykanie?

Mara wzruszyła ramionami.

- Zawsze serwujemy angielską kuchnię. Wszyscy wydają się zadowoleni - odrzekła.

Nie przejmowała się jedzeniem. Nigdy nie miała najmniejszych zastrzeżeń do gotowania Menelika. Potrawy były niewyszukane, ale dobrej jakości. Na wypadek gdyby klienci mieli nie docenić umiejętności kucharza, zawsze pamiętała, aby przed pierwszym posiłkiem wspomnieć nazwisko baronessy, która nauczyła go gotować i korzystać z własnych przepisów.

Bina nie wyglądała na przekonaną.

- Muszą mieć swoje, amerykańskie dania - stwierdziła. - Jak długo zostaną?

- Dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie! To mnóstwo czasu. Wiele posiłków.

Mara przerwała jedzenie. Niepokój odebrał jej apetyt.

- Wiem, co należy zrobić - oznajmiła jej rozmówczyni, z namysłem kiwając głową. - Musisz urządzić specjalne wieczory z potrawami z różnych stron świata. W Arusha jest świetny kucharz, oczywiście pochodzi z Gujaratu. Skontaktuj się z nim.

- Nie! Wykluczone - zaproponowała pani Sutherland. - Menelik nigdy by nie zaakceptował obecności innego kucharza. Przecież go znasz.

Bina zasznurowała usta. Stosunki między właścicielką sklepu i kucharzem z Raynor Lodge nie układały się najlepiej. Kiedy Menelik przyjeżdżał po zapasy, nie reagował na łamany suahili Hinduski i przechodził na angielski. Odnosił się do niej z taką samą nieukrywaną pogardą, z jaką ona traktowała Afrykanów.

- Masz okazję dać mu nauczkę - powiedziała, wzruszając pulchnymi ramionami. - Zresztą to nie twój problem. -

To był jeden z jej ulubionych zwrotów, kiedy chciała skierować rozmowę na inne tory, nawet jeśli omawiana sprawa stanowiła kłopot dla danej osoby. Rozparła się w fotelu i obrzuciła krytycznym spojrzeniem roboczy strój swego gościa w kolorze khaki. - A więc potrzebna ci nowa suknia.

Mara spojrzała na nią zaskoczona. Nie przyszło jej do głowy, żeby kupić sobie coś nowego. Lecz kiedy Bina podniosła ten temat, pomysł wydał się wielce kuszący. Od czasu, kiedy właścicielka sklepu uszyła jej stroje gospodyni safari, czyli od dwóch i pół roku, nie sprawiła sobie ani jednej nowej sukienki.

Sięgnęła po czasopismo; wiedziała, że na końcowych stronach znajdzie fasony. Miała poczucie winy - ani ona, ani John nie wydawali pieniędzy na ubrania. Nie musieli. Raynor wykupił cały zapas koszul safari, spodni i bluz, kiedy hurtownik w Arusha związał interes po drugiej wojnie światowej. Wieczorami John chodził w posiadłości w jednym ze swych dwóch tropikalnych garniturów z kremowego lnu. Mara zaś nosiła swoje niebieskie sukienki. Na rzadkie okazje - gdy udawali się na przyjęcie do któregoś z farmerów lub jechali do kościoła w Boże Narodzenie - wybierała coś ze skromnego zestawu ubiorów przywiezionych z Australii. Pewnie zdążyły już wyjść z mody i trochę się zniszczyć, lecz dla żony myśliwego były w sam raz.

Naprawdę nie potrzebowała nowej sukni.

Teraz jednak, z plikiem pieniędzy w kieszeni i ze zdjęciem Lillian Lane przed oczyma, czuła, że traci poczucie rzeczywistości. Zaczęła przerzucać kartki. Prawie natychmiast wpadł jej w oko komplet składający się ze spódnicy i dopasowanej do niej góry. Wiedziała, że w tym fasonie będzie jej do twarzy.

Bina pokiwała głową na znak aprobaty.

- Ale bardzo proszę - zastrzegła - tym razem żadnych afrykańskich materiałów.

Zaczęła wyciągać wzorzyste jedwabie i przykładać je

do Mary, podczas gdy ta lustrowała półki, szukając czegoś w swym guście. W końcu wypatrzyła kupon miękkiej bawełny w nieregularne plamy zieleni, złota i brązów. Deseń przypominał sawannę.

Przeszła przez pokój i zdjęła belę z półki.

- Ten. Idealny. Od razu wpadł mi w oko...

Bina skrzywiła się nieznacznie; najwyraźniej rozczarowanie wyborem klientki walczyło w niej z dumą, że ma w sklepie coś, co tak bardzo się jej podoba.

- Proszę, zdejmij sukienkę - poleciła, sięgając po centymetr.

Mara czekała, kiedy Hinduska zacznie kręcić głową z ubolewaniem, zapisując obwód jej bioder. Zamiast tego usłyszała komentarz, że nie szkodzi, iż jest taka chuda, bo wzór, który wybrała, idealnie pasowałby dla chłopca.

Krawcowa otoczyła ją ramionami, opasując centymetrem wokół talii. Mara natychmiast wciągnęła w nozdrza nieco zjełczały zapach jej natłuszczonych włosów z nutą olejku sandałowego.

- Ile ty masz lat? - zagadnęła ją niespodziewanie Bina takim tonem, jakby już kiedyś o tym rozmawiały.

- Dwadzieścia siedem - odparła tamta, zastanawiając się, co się kryje pod tym pytaniem.

- I od trzech lat jesteś mężatką - stwierdziła Hinduska. Nie musiała o to pytać, bo już tu mieszkała, kiedy Mara przyjechała do Raynor Lodge jako młoda żona Johna Sutherlanda. - W takim razie powiedz mi, czemu nie widać dzieci. Masz jakieś problemy zdrowotne?

- Nie! - padła odpowiedź. - Po prostu... John i ja nie chcemy na razie mieć dzieci. Tyle jest pracy w Lodge. No i problemy finansowe...

Bina stała odwrócona plecami do Mary z centymetrem zwisającym z dłoni.

- Dla nikogo interesy nie są ważniejsze od dzieci - oświadczyła stanowczo. - Według mnie coś jest nie tak. -

Obrzuciła klientkę badawczym spojrzeniem. - Myślę, że twój mąż nie jest dobrym mężem. Nie sypia z tobą.

Mara wstrzymała oddech. Wezbrał w niej gniew, lecz stłumiła go na widok troski malującej się na twarzy Hindu-ski. Odwróciła się i zapatrzyła w okno. Wychodziło na wewnętrzne podwórko - nagi płacyk z jedną wybujałą palmą. Nadal czuła na sobie wzrok Biny.

- Sypia. Sypiamy ze sobą - odrzekła słabym głosem.

Objęła się ramionami. Czuła się naga, stojąc w samej bieleźnie, jakby jej ciało mogło jakimś cudem wyjawić prawdę, że był taki czas, kiedy uważali z Johnem, żeby nie zaszła w ciążę - naprawdę chcieli doprowadzić Raynor Lodge do rozkwitu, zanim założą rodzinę. Teraz jednak sprawy miały się inaczej. Mara rozmyślnie kładła się wcześniej spać. A kiedy mąż wchodził do sypialni, leżała nieruchomo, udając, że śpi, żeby uniknąć jego dotyku i nie mieć poczucia winy, że nie chciałyby go odwzajemnić.

Bina nie powiedziała nic więcej. Skupiła się na zdejmowaniu miary, delikatnie przykładając centymetr wzdłuż jej pleców i w poprzek ramion. A potem podniosła zwój materiału do twarzy Mary, wygładzając go na jej ciele. Przemawiała przy tym cichym, kojącym głosem, jakim się mówi do dziecka.

- Będziesz pięknie wyglądać - zaszemrała śpiewnie. - Zobaczysz.

Młoda kobieta zacisnęła powieki, wstrzymując łzy.

Niedaleko za ostatnim sklepem w Kikuyu zabudowania zmieniły się w bezładne skupisko prymitywnych chat i bud. Mara skręciła w stronę ogrodzonego terenu i wjechała przez bramę z metalowym szyldem: „B.H. Wallimohammed. Broń i amunicja. Opony Michelin”.

Zatrzymała się przy pochyłej stercie używanych opon, nakazując chłopcom przesiaść się na pakę i siedzieć tam, dopóki ona nie załatwi ostatniej sprawy.

- Musicie pilnować tych kartonów z hotelu - powiedziała, wskazując skrzynki z alkoholami i napojami. - Są bardzo ważne.

Chłopcy posłusznie wykonali polecenie. Wiedziała, że reagują na zdecydowany ton i energiczną gestykulację. Była gospodynią safari - zajęta obowiązkami i kompetentną osobą, która nie ma czasu myśleć o sobie. Ani cokolwiek czuć...

Skierowała się do niskiego, długiego budynku z oknami wychodzącymi na podwórze. Zbudowany z cementowych bloczków, wyglądał solidnie, a zarazem siermiężnie. W oknach były kraty. Mara szła miarowym krokiem. Bała się, że gdyby zwolniła, mogłaby stanąć i zawrócić.

Kiedy dotarła do schodów, w drzwiach ukazał się żyłasty mężczyzna z kręconymi, siwymi włosami. Splótł ramiona na piersi, blokując wejście.

- Dzień dobry, panie Wallimohammed - przywitała go. Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy, po raz kolejny próbując odgadnąć jego pochodzenie. Cerę miał smagłą; może to była mocna opalenizna, może spadek po mieszanych przodkach, a może jedno i drugie. Mówił płynnie zarówno w suahili, jak i po angielsku.

Skinął głową, lecz nie odpowiedział na pozdrowienie. Kiwając się lekko na piętach, patrzył na kobietę.

- Przyszłam uregulować rachunek Johna - oznajmiła.

Uniósł brwi, a skóra na jego czole pofałdowała się, tworząc głębokie bruzdy.

- Całość?

Mara wyjęła z kieszeni zwitek banknotów.

- Ile jest winien?

Wallimohammed zaświstał przez szpary pomiędzy żółtymi zębami.

- Wejdzie pani do biura.

Podążyła za nim, starając się nie oddychać zbyt głęboko. Wiedziała, że poza zapachem oleju do broni i ropy wyczuje coś jeszcze. Tamta słaba woń pochodziła z szopy za biurem.

Kiedy przyjechała tu po raz pierwszy, w czasach, gdy nie mieli długów, a John był szanowanym klientem, Wallimohammed zaprosił ją, żeby tam zajrzała.

- To mój drugi interes - mówił, prowadząc ją do domku gospodarczego. - Torebki i kosze na śmieci.

Szła za nim różnym krokiem, absolutnie nie podejrzewając, co tam zastanie. W progu zamarła.

Na podłodze stały rzędy słoniowych stóp. Suche, wydrażone kształty wyglądały jak kolekcja butów na obciętych mniej więcej w połowie pieszczeli nogach. Patrząc na nie, ogarniała wzrokiem coraz więcej szczegółów - linie na zrogowaciałych paznokciach, podwinięte brzegi włochatej skóry, trociny w środku każdej z nóg, chroniące przed ich odkształceniem.

Za nimi leżały sterty uszu. Każde wielkości małego dywanika, ze skóry przypominającej wyglądem gumę poznaną siecią żyłek. Wszystkie miały ten sam kształt podobny do mapy Afryki, lecz każde było inaczej nadcięte, co stanowiło oznakowanie danej sztuki. Na postrzępionych, ciemnoczerwonych brzegach uszu zerowały roje much.

Powietrze wypełniał odór zakrzepłej krwi i gnijącego mięsa.

Mara po prostu odwróciła się na pięcie i czym prędzej wyszła przez biuro na parking, łapczywie chwytając haustami powietrze. Wallimohammed musiał pobiec za nią, potrząsając skrzynkami z amunicją, po którą przysłał ją John.

Od tamtej pory zajeżdżała do sprzedawcy broni wyłączanie wtedy, kiedy nie miała wyboru. Teraz też nie zamierzała zostać tu ani chwili dłużej, niż to było konieczne.

Podążyła za Wallimohammedem do biurka wciśniętego w róg pomieszczenia. Na otaczających je półkach piętrzyły się stosy szpargałów i skrzynki z częściami zamiennymi do samochodów. Gdy patrzyła, jak mężczyzna sięga po kasetkę z pieniędzmi, uderzyło ją, że w biurze jest jakby jaśniej niż zwykle.

Odwróciła głowę do okna; tam, gdzie przedtem dach szopy zasłaniał widok, ujrzała teraz płat błękitnego nieba. Podeszedłszy bliżej, zobaczyła na miejscu komórki kopiec z porytej ziemi, zasłanej gałęziami i liśćmi. Z boku leżały ułożone w stertę resztki połamanych ścian oraz dachu.

Rozglądając się dokoła, zorientowała się, że całe podwórze zostało doszczętnie ogołoczone z krzewów i drzew.

- Dwie noce temu przyszyły tu słońce - powiedział Wallimohammed, nie podnosząc głowy znad księgi rachunkowej. - Nocny stróż nie dał rady ich przepłoszyć, a o ile go znam, może nawet nie próbował. Zburzyły szopę i stratowały ogród.

W biurze zapanowała cisza, zakłócana jedynie odległym, monotonnym odgłosem żaren mielących kukurydzę. Mara stała wpatrzona w okno. Dziwnie wygląda ta długa pryzma usypana ze zrytej ziemi - pomyślała, czując skurcz żołądka. Tam coś zostało zakopane.

- Co było... potem? - spytała.

Mężczyzna przycisnął kościsty palec do rzędu cyfr, żeby zaznaczyć miejsce, w którym skończył liczyć, i podniósł na nią wzrok.

- Szopa była pełna koszy na śmieci i skór na torebki, jak zawsze. - Przerwał i krzywiąc się, wyrzał za okno. - Cholerne słońce je zakopały, wszystkie stopy i wszystkie uszy, co do jednego. Musiały ryc ziemię kłami. A na koniec nazywały kawałków pni i gałęzi i ułożyły na wierzchu. Tak czy owak - dodał - szopa była stara. Zbuduję nową. - Pokręcił głową. - Ale powiem pani, że przypomniały mi się wszystkie stare bajania o słońiach. Nie chcę już słyszeć ani jednej historii o wykopywanych kościach i martwych słońiátkach noszonych przez matki. Dla mnie to są tylko zwierzęta.

Mara stała jak zaklęta, prawie nie słysząc jego słów. Przerazenie walczyło w niej z głębokim podziwem. Miała ochotę pójść tam i dotknąć dłońmi zrytej ziemi. Poszukać na niej śladów stóp...

- W związku z tym będzie robota dla Johna - głos Wallimohammeda zdawał się dudnić w ciszy. - Agresywne słonie idą na miasto. Człowiek ze straży łowieckiej pośle go za nimi.

Mara odwróciła się do rozmówcy. Nie od razu dotarł do niej sens jego słów. Wreszcie zrozumiała.

- Nie ma go - ucięła krótko.

- Do kiedy? Nie można z tym długo czekać.

Pokręciła głową.

- Jak wróci, będzie zajęty. Mamy dwutygodniową rezerwację dla dwunastu osób.

Wallimohammed popatrzył na nią sceptycznie, po czym przeniósł wzrok na zwitek pieniędzy w jej dłoni; namacalny dowód, że coś się odmieniło w fortunie Raynor Lodge.

- Dwunastu klientów - rzekł. - Będzie musiał ściągnąć dodatkowych myśliwych. - Odpiął od paska pęk kluczy i otworzył metalową szafkę za plecami. Stało w niej pełno pudełek z nabojami i kulami. - Orientuje się pani, co mąż chce?

Odczytała zamówienie z końca swojej listy. Potrzebowała głównie lekkiej amunicji, której używali z Johnem na drobną zwierzynę przeznaczoną do kuchni, i trochę naboju większego kalibru do broni noszonej dla ochrony.

- Tego przyda się pani trochę więcej! - stwierdził Wallimohammed ze śmiechem.

- Wcale nie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - To nie jest safari połączone z polowaniem.

Wymawiając te słowa, poczuła nagły przypływ optymizmu. Taki właśnie mieli plan: zmienić Raynor Lodge w miejsce, gdzie ludzie przyjeżdżają poznawać przyrodę i podziwiać zwierzęta, a nie zdobywać trofea.

- No to co będą robić? - zdziwił się handlarz bronią. - Wylegiwać się przy basenie?

Mara skwitowała to pytanie uśmiechem. Oczyma duszy ujrzała siebie u boku Johna w nadchodzących tygodniach.

Będą wspólnie rozwiązywać małe i duże problemy, które na pewno się pojawią wraz z przybyciem Carltona i pozostałych Amerykanów. W obliczu całego zamieszania i różnych kłopotów będą wymieniać dodające odwagi spojrzenia. Ludzie zobaczą, jak oni się kochają i szanują nawzajem. I że jako mąż i żona stanowią idealnie zgrany tandem. Tak jak kiedyś Raynor i Alice.

Było tak, jak o tym marzyła, na początku jej pobytu w Afryce, zanim jeszcze wszystko się popsuło.

Figowiec o rozłożystych konarach na podwórku misji osłaniał przed słońcem tłum pacjentów czekających na otwarcie ośrodka. Dwójka dzieci goniła się dokoła pnia, przeskakując wystające korzenie, a reszta maluchów siedziała apatycznie na ziemi, nie zwracając uwagi na muchy pchające się im do oczu i nosów. Ich matki patrzyły przed siebie ze znużeniem i rezygnacją. Mara podejrzewała, że większość tych ludzi szła tutaj przez wiele godzin w upale, prawie nie jedząc po drodze. Miała nadzieję, że nie widzą jej land-rovera wyładowanego po brzegi większą ilością zapasów, niż ich rodziny zjadły w ciągu ostatnich lat, nie mówiąc już o niewyobrażalnym dla nich bogactwie tych delikatesów.

Kiedy szła ścieżką do głównego budynku, dostrzegła żonę doktora, Helen, i ich trzy córki, ubrane w jednako- we sukienki z bawełny w biało-czerwona kratkę. Wiedziała, że to były ich szkolne mundurki; kiedyś dziewczynki wyjaśniły jej, że zawsze noszą je w powszednie dni, mimo że odbywają lekcje w domu, w bungalowie misji.

Mara uniosła dłoń na powitanie, a żona doktora poma- chała do niej z uśmiechem. Pani Sutherland, jak zawsze, poczuła dzielący je niewidzialny dystans. Helen prowadziła pracowite, pożyteczne życie, pomagając mężowi w praktyce lekarskiej i wychowując troje dzieci. W wolnym czasie uczyła młode Afrykanki krawiectwa. Tymczasem Marze życie upływało na dogadzaniu bogatym obcokrajowcom. Wie-

działa, że według mieszkańców misji pijący alkohol klienci Raynor Lodge stanowili zły przykład dla tubylców i demoralizowali miejscowych wieśniaków sutymi napiwkami. Nic więc dziwnego, że państwo Sutherland nigdy nie złożyli towarzyskiej wizyty w misji, a Helen z mężem nigdy nie zajęli do Lodge.

Dwie białe kobiety łączyło jednak coś w rodzaju cichego porozumienia. Mara wyczuwała, że jej życie intryguje Helen. Czasem pytała, co robią klienci Raynor Lodge, jak się ubierają i jakiego pokroju są ludźmi. Wyraźnie pociągał ją blichtr wielkiego świata. Mara z kolei zazdrościła jej prostego życia i pewności jutra. W misji wszystko wydawało się jasne. Były choroby i leczenie, życie i śmierć. Dobro było dobrem, a zło złem i dzieliła je wyraźna granica.

Dziewczynki podbiegły do gościa i zaczynając od najmłodszej, po kolei się przywitały. Matka obserwowała je z czułością, pozwalając im opowiedzieć o nowym domowym zwierzątku, żółwiku, zanim przypomniawszy, że czas wracać do nauki.

- Muszą być podniecone podróżą - zauważyła Mara, gdy dzieci pobiegły do bungalowu. Kiedy ostatnio zajrzała do misji, Helen planowała zabrać je na wakacje do Anglii. Miały poznać swoich dziadków.

Cień smutku przebiegł teraz po jej twarzy.

- Niejedziemy - odrzekła. - Za drogo. To dla nas wszystkich ogromne rozczarowanie. - Zdławiony głos wskazywał, że była bliska łez.

- Tak mi przykro - zmartwiła się Mara.

Helen westchnęła, po czym przeniosła wzrok na pacjentów. Po chwili pokiwała głową, jakby chciała upomnieć siebie, że w porównaniu z tym, co tu widzi, jej problemy są naprawdę błahę.

- Szłam do radiostacji - wyjaśniła pani Sutherland.

Żona lekarza, ciągle jeszcze zaprzątnięta niewesołymi myślami, powoli pokiwała głową.

- Właściwie to rano przyszła dla ciebie wiadomość. Joseph miał wysłać umyślnego.

- Byłam w Kikuyu - powiedziała Mara. Czuła, jak wzrasta w niej napięcie. Prawie na pewno wiadomość przysłał John. Czy to oznacza dobre, czy złe wieści z banku?

- O, idzie Joseph - zauważyła Helen. - Zapytaj go. Miał dyżur rano.

Niski Afrykanin o bardzo ciemnej skórze zbliżył się do nich szybkim krokiem. Po wymianie krótkich europejskich pozdrowień wyjął złożoną kartkę i pochylając się w lekkim w ukłonie, podała ją Marze.

Nerwowo marszcząc brwi, wyprostowała papier i szybko przebiegła oczyma odręczną wiadomość, napisaną wielkimi literami.

*NIE POWIODŁO SIĘ ZE SLOANEM I Z RANJITEM. MAM PRACĘ NA
PIEC TYGODNI. PISZE SAFARI W SELOUS. WYJEŻDŻAM NATYCHMIAST.
BRAK KONTAKTU RADIOWEGO. JOHN.*

Jeszcze raz przeczytała lakoniczną wiadomość, bezradnie poruszając ustami, zanim dotarł do niej jej sens. Sloan był przedstawicielem londyńskiego banku Lloyda, Ranjit natomiast hinduskim handlarzem, który parał się udzielaniem pożyczek - miał być ostatnią deską ratunku dla Johna, gdyby bank odrzucił jego wniosek.

Nie powiodło się... a więc nie ma szans na pożyczkę.

Mara skupiła się na drugiej części wiadomości. Pięć tygodni w Selous! Rezerwat Selous był rozległym, niezamieszkanym terenem na rubieżach Tanzanii, a właściwie Afryki. Stąd brak możliwości jakiegokolwiek kontaktu.

- Wszystko w porządku? - spytała Helen. W jej głosie było zaciekawienie zabarwione troską. Przez moment kusiło Marę, aby podzielić się z nią swymi problemami. Wiedziała jednak, że John byłby zły za wtajemniczanie obcych ludzi w ich sprawy.

- Tak, w jak najlepszym, dziękuję - powiedziała. - To wiadomość od Johna. Nic ważnego.

Zmusiła się do pożegnalnego uśmiechu i ruszyła do land-rovera. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Cóż za ironia losu! Nareszcie dom wypełnią goście, a Johna nie będzie. Wyląduje na drugim końcu kraju, na czele długiego pochodu tragarzy, przewodząc grupie ekscentrycznych myśliwych podczas tradycyjnego pieszego safari.

Przystanąła. Przebiegł ją dreszcz, bo teraz w pełni dotarło do niej znaczenie tej wiadomości. Nie ma jak ściągnąć męża. Lada moment przyjedzie na farmę ekipa filmowców. Musi sama poradzić sobie z tym wszystkim, co się będzie działo.

Weszła do domu przez frontowe drzwi. Zamiast po drodze wrzucić słoneczny kapelusz do sypialni zostawiła go na stoliku w holu, tam gdzie zazwyczaj John kładł swój.

Przeszła przez korytarz do kuchni. Solidne drewniane drzwi były zamknięte, lecz szmer prowadzonej rozmowy sączył się przez szparę nad progiem. Rozpoznała głosy Menelika i Kefy, ale były tam jeszcze przynajmniej dwie inne osoby. Domyśliła się z ożywionego tonu pogawędki, że dotyczy amerykańskich filmowców, którzy mieli się wkrótce pojawić. Podejrzewała, iż podniecenie i oczekiwania wieśniaków były niewspółmierne do wagi wydarzenia.

Przed drzwiami przystanąła na moment, po czym otworzyła je na całą szerokość i energicznym krokiem weszła do wewnątrz. Cztery głowy odwróciły się w jej stronę. Czekwała, aż Menelik spojrzy znacząco na tylne drzwi, dając jej do zrozumienia, że cokolwiek robi, zawsze robi to źle. Lecz on tylko popatrzył na nią zaskoczony, unosząc lekko jedną brew.

- Mam dla was wiadomość - oznajmiła bez wstępów. - Możliwe, że nie uda mi się skontaktować z *bwana*. Pojechał na długie safari. Nie wróci prędzej niż za pięć tygodni.

Kefa otworzył usta, ale przez chwilę nie był w stanie wydobyć głosu. Oczy zrobiły mu się okrągłe z przerażenia.

- Przecież przyjeżdżają goście! Będziemy go potrzebować.

- Musimy poradzić sobie bez niego - stwierdziła. Starła się utrzymać spokojny ton i pewne spojrzenie.

- Niemożliwe - powiedział Kefa. - Zawsze jest *bwana*. Każde miejsce ma *bwane*. Musi nam mówić, co robić. Musi strzelać z broni.

- Załatwię z Departamentem Łowiectwa, żeby przysłali strażnika - odrzekła Mara. - I możemy ściągnąć z wioski tragarza broni Johna. Będzie drugim strzelcem.

- To niedozwolone. - Afrykanin pokręcił głową.

- Wiem. Ale nie będzie polowania. Potrzebujemy go wyłącznie dla ochrony. Widzieliście człowieka z rządu. Mamy poparcie samego prezydenta. Jeśli coś się wydarzy, natychmiast skontaktujemy się z Kabeyą.

Kefa pozostał nieprzejeđnany.

- Niedobrze. *Bwana* nie byłby zadowolony. Nie zgodziłby się na przyjazd strażnika, kogoś, kogo sam by nie wybrał.

Mara wzięła głęboki oddech.

- *Bwany* nie ma - powtórzyła. Mówiła cicho, tak jak robił to John na szlaku.

Wszyscy czterej mężczyźni pochylili się ku niej odrobinię. Włożyła rękę do kieszeni spodni i wyciągnęła zwitek banknotów. Był cieńszy niż jeszcze parę godzin temu, ale nadal robił wrażenie. Widziała, jak słuźący wymieniają spojrzenia.

Popatrzyła najpierw na Kefę, potem na Menelika.

- To ja dostałam te pieniądze. Są moje. Dostaniecie całą zaległą wypłatę. A potem otrzymacie podwójną stawkę za ciężką pracę, która was czeka. Ale musicie robić wszystko, czego zażądam. *Sasa hivi*. Bez wahania. Ja teraz jestem *bwana*.

Mężczyźni przenieśli spojrzenie z Mary na pieniądze

i z powrotem na nią. W pełnej napięcia ciszy słyhać było brzęczenie muchy na szybie. Menelik wzruszył ledwo dostrzegalnie ramionami: znak, że zostawia odpowiedź Kefie. W końcu on był tylko kucharzem. Zawsze odpowiadał za kuchnię, tu w Lodge i na safari, obojętnie czy *bwana* był, czy go nie było. Mara widziała jednak, że czujnie obserwuje Kefę, czekając, jak on zareaguje na to wyzwanie.

Chyba w końcu podjął decyzję. Wyprostował się jak struna, przyciskając ramiona do boków.

- Tak jest, *memsahib* - powiedział. - *Bwana memsahib*.
- Dziękuję - odrzekła Mara. - Bardzo dziękuję.

3

Materace ułożone rzędem na trawie wietrzyły się na słońcu. Bratankowie Kefy sprawdzali, czy nie ma na nich pluśkiew, i zdejmowali pojedyncze ziarenka z kapokowego wypełnienia, którym udało się przecisnąć przez inletowe pokrycie.

Mara rzuciła na ziemię stertę świeżo wypranych moskitier. Wybrała dwie nylonowe.

- Te idą do chat numer jeden i dwa - zaznaczyła. Wskazała pozostałe staromodne, bawełniane siatki, pyłące drobnymi kłaczkami i poznaczone tu i ówdzie brunatnymi plamami, w miejscach, gdzie goście zdusili napęczniałe od krwi moskity. - Cała reszta może dostać te.

- Tak, *bwana memsahib* - odparli chórem.

Przez moment miała wrażenie, że zanim odpowiedzą, zerwą się na równe nogi i wyprężą jak struny. Kiedy zostali oficjalnie zatrudnieni do obsługi chat, Kefa wydał im z zapasów Raynora koszule i krótkie spodnie w kolorze khaki. Ubrania były na nich za obszerne; wystające z szerokich rękawów chłopięce ramiona wydawały się chude, a łokcie kościste. Wystrojeni w uniformy poczuli się jednak ważni.

Bina by ją pochwaliła; nie brakowało ani jednego guzika, a ubrania, chociaż miały prawie dwadzieścia lat, wyglądały jak nowe.

Mara obserwowała ich przez chwilę przy pracy, żeby sprawdzić, czy wykonują ją dokładnie. Wiedziała, jak ważne są łóżka; goście, zazwyczaj zajęci za dnia, w nocy nie tolerowali najdrobniejszych niedogodności. Kiedy nie mogli zasnąć, zamiast wsłuchiwać się w odgłosy nocy, ukradkowe kroki aksamitnie miękkich łap, tajemnicze szelesty, przejmujące poszczekiwanie hien, koncentrowali się na irytujących drobnostkach. Rano Mara zawsze potrafiła poznać po ich minach, że coś ich pogryzło, wystraszyło albo z innych powodów nie dawało spać.

- Obejrzelście siatki? - spytała. Zwracała się do chłopców po angielsku, sprawdzając ich znajomość języka, wiedziała bowiem, że będą zmuszeni porozumiewać się z gośćmi chociażby w podstawowych sprawach. - Nie tylko te w oknach, ale i u góry. - Wskazała najbliższy rondawel z wolną przestrzenią pod okapem. - Byłoby niedobrze, gdyby do środka wpadł nietoperz.

Pewnego razu żona jednego z klientów spłoszyła nietoperza w swoim pokoju. Biedne stworzenie fruwało przerażone i niechęć wplątało się w jej długie, nastroszone włosy. Zanim udało mu się z nich wydostać, kobieta wpadła w histerię. W efekcie o bladym świetle przeniosła się z mężem do hotelu Manyala.

Mara przeszła przez trawnik po zrudziałej trawie chrzęszczącej pod stopami. Przystanęła na chwilę pod obwisłymi gałęziami pieprzowca, rozkoszując się cieniem. Wdychała korzenny aromat nasion, a pierzaste liście muskały jej twarz.

Prześledziła w myślach wszystko, co zostało zrobione w ciągu ostatnich dwóch dni po wizycie Carltona Millera. Spiętrzenie prac w Lodge wydawało się wręcz niewiarygodne w porównaniu z marazmem poprzednich miesięcy. Gdy krzątała się, wydając polecenia, często miała wrażenie, że

całe to przedsięwzięcie tylko jej się śni. Ale pieniądze były jak najbardziej prawdziwe, co potwierdzały uśmiechnięte twarze służących. A po powrocie z Kikuyu rozładowanie zakupów zajęło chłopcom ponad godzinę.

Wyszedszy z powrotem na oślepiający żar, Mara skierowała się ku zabudowaniom za domem. Dostrzegła Menelika; posiwiały, z lekko przygarbionymi plecami stał przy grządkach z ziołami, nadzorując kuchcika starannie podlewającego sadzonki. O mało nie nadepnęła na koguta kroczącego do nowego kojca zbudowanego dla kurczaków, które lada chwila miały przybyć ze wsi.

Otworzyła drzwi kontenera z falistej blachy, gdzie trzymali generator. Temperatura wewnątrz była jeszcze o parę stopni wyższa niż na dworze, a powietrze mocno pachniało ropą. Środek ponurego pomieszczenia wypełniała ciemna sylweta generatora. Stał cichy i nieruchomy. Nawet kiedy mieli gości, urządzenie pracowało wyłącznie od świtu do czasu, gdy wszyscy udali się na spoczynek.

- *Bwana* Para, jesteś tam?! - zawołała, wyężając wzrok. Nadal trochę śmieszyło ją to imię.

Pamiętała, jak John go przedstawił: „To *bwana* Para, nasz fachowiec od elektryczności. Nasz *fundi wa umeme*”. Sądziła, że Para to nazwisko. Tymczasem Afrykanin wyjaśnił jej z dumą, że odziedziczył tytuł po ojcu, który obsługiwał generator w Raynor Lodge w czasach, kiedy silniki były napędzane parą. Jego syna, oznajmił Marze, też kiedyś będą nazywać *bwana* Parą.

Bwana Para wyłonił się spoza walczaka o pojemności czterdziestu czterech galonów, wycierając dłonie w szmatę. Uśmiechał się szeroko. Wiedziała, jak bardzo go cieszy, że znowu mają dużo paliwa.

Wymienili pozdrowienia. Po pytaniu o zdrowie rodziny *bwany* Pary przeszła do konkretów.

- Jak się ma silnik Listera?

- Jest bardzo mocny - odrzekł, patrząc z czułością na

generator. - Czysty w środku i na zewnątrz. Bardzo zadowolony.

- To dobrze - pochwaliła Mara. - Myślę, że będzie bardzo zajęty, kiedy przyjadą amerykańscy goście.

Afrykanin skwapliwie pokiwał głową.

- Być może przywiozą też własny generator - uprzedziła go. Pamiętała jak przez mgłę, że widziała gdzieś zdjęcia z produkcji filmu; aktorów zawsze oświetlały reflektory. - Możliwe, że będą potrzebować twojej pomocy.

Zaintrygowany *bwana* Para, marszcząc czoło, usiłował przetrawić jej słowa.

- Jak mogą przywieźć generator?

- Może na specjalnej ciężarówce. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem.

Zaświstał przez zęby i pokręcił głową, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

Uśmiechnęła się. Wiedziała, że według niego coś takiego jak przewoźny generator stanowi krańcowy przykład europejskiej ekstrawagancji, przy którym nawet podróżowanie z całymi walizami koszul, butów i marynarek wypada błado.

- Naturalnie - dodała - mogą mieć swojego specjalistę od elektryczności. Trudno powiedzieć.

Po raz dwudziesty tego dnia naszła ją refleksja, jak trudno cokolwiek zaplanować, mając tak małą wiedzę o całym przedsięwzięciu. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na generator, zaprzątnięta gonitwą myśli do chwili, gdy uderzyła ją dziwne napięta cisza. Odwróciła się do *bwany* Pary i zobaczyła jego oczy, szeroko otwarte z gniewu.

- W Raynor Lodge ja jestem specjalistą od elektryczności - oświadczył, prężąc się.

- Tak, bez dwóch zdań, jesteś nim - potwierdziła skwapliwie, żałując bezmyślnie rzuconych słów. - To oni muszą tobie pomagać.

Bwana Para wydawał się uspokojony tym zapewnieniem.

Wyczuwała jednak, że nie do końca wie, co myśleć o ewentualnej obecności innego elektryka na swoim terytorium, nawet jeśli miałyby pojawić się dodatkowo generator. Położył dłonie na obłej powierzchni wysłużonego listera i pogładził go pieszczotliwie.

Zmierzając do ostatniej chaty w rzędzie, Mara obierała jajko ugotowane na twardo. Dzisiaj nie było czasu na normalne posiłki, więc Menelik przygotował dla niej talerz przekąsek, żeby mogła coś przegryźć w wolnej chwili. Zaskoczył ją tym gestem. Zazwyczaj sprawiał wrażenie, jakby interesowało go wyłącznie napełnianie żołądka *bwany*. W nagrodę postanowiła pilnować się przez cały dzień i wchodzić do jego królestwa właściwymi drzwiami.

Uniosła rygielek i weszła do chaty. Wilgotne powietrze pachniało pleśnią. Ostatni domek, pierwotnie pomyślany jako sypialnia, powoli przeistoczył się w magazyn, ponieważ od dawna nie mieli w Lodge pełnego obłożenia. Mara zaczęła wyciągać kartony, kawałki drewna i sterty pożółkłych gazet. Wyrzucała je przed drzwi, żeby obsługa chat mogła to wszystko posprzątać.

Wyciągnęła kilka worków szarej soli, używanej do konserwacji skór przed wysyłką do wypychacza zwierząt w Dar. Starła się usunąć z myśli obraz świeżych skór, poskładanych i przesypanych warstwą soli. I szarobiałych kryształków, które z czasem nabierały różowej barwy, absorbując wilgoć ze skór.

Za ostatnim workiem natrafiła na karton. Nie pamiętała go, rozchyliła więc klapy i ostrożnie zajrzała do środka, na wypadek gdyby leżał tam zwinięty wąż. Coś załśniło perłowo.

Suknia ślubna.

Mara stała nieruchomo, wpatrzona w dyskretnie połyskliwy strój. Z zaskakującą wyrazistością powróciło wspomnienie tamtej pieszczoty jedwabnej spódnicy muskającej nogi

i cichego szelestu sukni, gdy pozwoliła jej zsunąć się z ramion i spłynąć po ciele.

W dzień ślubu ubrała się w nią w pokoju hotelowym w Kikuyu. Woń lawendy unosząca się spomiędzy fałd przywiodła na myśl matkę w odległej Tasmanii. Ze łzami w oczach Mara wspominała, z jakim staraniem Lorna kroїła, a potem szyła tę suknię, ślęcząc nad nią do późna w nocy i siadając do pracy bladym świtem, żeby zdążyć z robotą, zanim córka odbędzie krótką podróż z Melbourne, aby się z nimi pożegnać. W ruchach Lorny była jakaś zawziętość; wbijała igłę w materiał jak lancę, ignorując zimne spojrzenia, które ojciec Mary co rusz posyłał w jej stronę.

Ted nie ukrywał, że jest przeciwny temu małżeństwu. Już sam fakt, że córka wyjechała do pracy na główny ląd, był dla niego nie do przyjęcia. Liczył, że szybko się opamięta i wróci do domu. A tymczasem ona zamierzała udać się do Afryki, żeby poślubić kogoś, kogo nikt nie zna. Według niego to nie miało sensu. Przecież w sąsiedztwie było sporo synów farmerów, z których każdy mógłby zapewnić jej solidny byt.

Matka Mary nie wdawała się z mężem w dyskusję, tylko szyła zawzięcie. U Hamiltonów prawo wyrażania poglądów przysługiwało wyłącznie głowie rodziny. Lorna komunikowała się z domownikami poprzez gesty: fdiżanka gorącej czekolady dla ukaranego dziecka; para nowych skarpetek wetknięta pod poduszkę dziewczynki, która przyniosła ze szkoły kiepskie świadectwo. I regularne wymykanie się do sypialni ze szklanką wody i aspiryną w garści.

Kiedy matka skończyła podszywać listwę, Mara przymierzyła suknię w kuchni. Dopiero wtedy zobaczyła, jak bardzo szerokie rękawy przypominają anielskie skrzydła - zupełnie jakby ich kreatorka chciała zapewnić córce wszelką pomoc w jej ostatecznej ucieczce.

- Dziękuję - wyszeptwała dziewczyna. - Jest piękna.

Lorna przez dłuższą chwilę wpatrywała się w przyszłą

pannę młodą, a potem pomogła jej zdjąć suknię i przesy-
pując ją suszoną lawendą z ogrodu, owinęła w ogromny ar-
kuszy bibułki. Patrzyła w milczeniu, jak Mara wkłada strój do
wypchanej walizki. Nie powiedziała: „Szkoda, że mnie tam
nie będzie”, bo pomysł wyprawy za granicę wydawał się ab-
surdalny, pomijając nawet pogląd jej męża na to małżeń-
stwo. Nikt z Hamiltonów nigdy nie wyjechał poza Australię;
większość członków rodziny nie odbyła nawet podróży
z wyspy na główny ląd.

- Przyślę list - obiecała córka Lornie. - Wszystko ci
w nim opiszę.

Kiedy nadszedł czas wyjazdu, cała rodzina zgromadziła
się przed domem. Bracia Mary byli cisi i przygaszeni, ojciec
stał ze zwieszonymi ramionami i z zagubioną miną, jakby
do ostatniej chwili nie wierzył w wyjazd córki. Po kolei
ucałowała wszystkich na pożegnanie, na koniec stając przed
matką.

- Mam nadzieję, że twoje życie ułoży się szczęśliwie -
powiedziała Lorna. W jej głosie zabrzmiała tęskna nutka.
Mara dokładnie rozumiała znaczenie tych słów.

Bądź szczęśliwsza ode mnie. Nie przegap szansy. Idź za
swymi marzeniami... zanim obróć się wniwecz...

- Byłam szczęśliwa. - Głos Mary zabrzmiał donośnie
w nieruchomym powietrzu wiszącym w chacie, gdzie jedy-
nym odgłosem było potrzaskiwanie desek wysychających od
upału. - Byłam szczęśliwa.

Te słowa dzwoniły jej w uszach, gdy wróciła myślami do
pierwszego spotkania z mężczyzną, który był teraz jej mę-
żem, wspominając podniecającą obietnicę rodzącej się mi-
łości, która tamtego dnia tak niespodziewanie pojawiła się
w jej życiu.

Zatrudniła się w muzeum w Melbourne na stanowisku
asystentki kustosza, choć jej praca polegała głównie na prze-
pisywaniu listów na maszynie i sporządzaniu protokołów
z niekończących się zebrań. Niewiele miała okazji, by zaj-

rzeć do magazynów. Przechadzała się wtedy wzdłuż zakurzonych półek, oglądając eksponaty - kości, owady, rzeźbione figurki, minerały, wypchane zwierzęta - pościągane ze wszystkich zakątków świata. Lubiła czytać naklejki na workach i kartonach, egzotyczne, magicznie brzmiące słowa: Wąwóz Oliduvai, Dorzecze Amazonki, Górna Volta, Obrzeża Mongolii. Przystawała w podziemiach, wdychając powietrze z zapachem formaliny i naftaliny. Wyobrażała sobie, że spod powłoki chemikaliów uda jej się wyłowić ślad czegoś dziwnego, nieznanego i odległego.

W tamten zwykły zimowy poranek szła do swego biurka w głównym pomieszczeniu z pudełkiem próbek pod pachą. Żeby odwlec powrót do maszyny do pisania, wybrała okrężną drogę przez Wielką Salę Wystawową. Sądziła, że o tej poprze będzie pusta, tymczasem zastała tam wysokiego mężczyznę w letnim garniturze. Oglądał słońca w samym środku sali. Kiedy się zbliżyła, stając za nim, gotowa uprzemie udzielić informacji na temat zbiorów historii naturalnej, przestąpił aksamitny sznur odgradzający eksponat i przykucnął przy przedniej stopie słońca.

- Przepraszam pana! - zawołała. - Nie wolno tego robić.

Wyprostował się, odwrócił i spojrzał na nią. Niebieskie oczy kontrastowały ze śniadą cerą i rozjaśnioną słońcem czupryną.

- Chciałem tylko dokładniej się przyjrzeć - powiedział. Natychmiast rozpoznała angielski akcent, który wydawał się współgrać z jego lnianym garniturem o nieco niemodnym kroju. Mężczyzna wskazał bładą, poszarpaną szramę wokół potężnej szarej stopy. - To blizna po sidłach kłusownika.

- Biedactwo - westchnęła.

- Był wtedy bardzo młody. O mało nie zdechł, zanim wylizał się z rany. Można to poznać po ciosach. Jednak zginał od kuli. - Uniósł rękę na wysokość boku zwierzęcia. - Widać, którądy weszła. Dokładnie w tym miejscu. Ale dożył sędziwego wieku, okres godowy miał już poza sobą.

- Widzę, że słońcie to pańska specjalność - zauważyła Mara.

Powoli pokiwał głową. Powiódł spojrzeniem po długich, zakrzywionych kłach.

- Można tak to ująć.

Usiłowała sobie wtedy przypomnieć, czy przypadkiem nie doszło do jej uszu, że oczekują jakiegoś zoologa. Pracownicy naukowci bez przerwy kręcili się po muzeum; badali zbiory i wygłaszali wykłady. Nie sądziła jednak, aby słyszała cokolwiek o znawcy słońi.

- Pan z którego uniwersytetu? - zainteresowała się.

Z początku wydawał się zdezorientowany, a potem nabrał rezerwy. Kiedy przemówił, miał zgaszony głos.

- Z żadnego. Jestem myśliwym - wyjaśnił.

Mara przyglądała mu się zaskoczona. Wiedziała, że myśliwi polujący na grubą zwierzynę współpracują z muzeum, realizując zamówienia na różne okazy do kolekcji. Nie dostarczali jednak zwierząt osobiście. Przynajmniej ona żadnego z nich dotąd nie spotkała.

Mężczyzna przeszedł ponad aksamitnym sznurem i zbliżył się do słońia, zatrzymując się przy tylnych nogach, a dziewczyna machinalnie podążyła za nim. Fascynowały ją jego płynne, ostrożne ruchy. Wyobraziła sobie, jak tropi w dżungli zwierzynę ze strzelbą gotową do strzału...

Odwrócił się, jakby czując na plecach jej wzrok. Uśmiechnęła się zażenowana, że ją przyłapał, a on odwzajemnił uśmiech.

Przez chwilę po prostu patrzyli na siebie. W Wielkiej Sali panowała podniosła cisza. Szklane oczy setki martwych zwierząt zdawały się ich obserwować, czekając, co się dalej stanie...

W holu trzasnęły drzwi. Rozbrzmiały dziecięce głosy. Czar prysł.

Mara pożegnała nieznanego nieznacznym skinieniem dłoni i szybkim krokiem ruszyła do wyjścia. Obcasy

jej pantofli stukały o parkiet. Była pewna, że na nią patrzy. Przemogła chęć, by poprawić spódnice czy przygładzić włosy.

W przerwie na lunch ponownie natknęła się na myśliwego. Kiedy wyszła na słońce z książką pod pachą i z jabłkiem w dłoni, stał w pobliżu wejścia do muzeum. W ulicznym rozgardiaszu wydał jej się mniej pewny siebie. Rozglądał się na prawo i lewo, jakby nie bardzo wiedział, co z sobą począć. Przypominał chłopca pierwszego dnia w nowej szkole, a ta bezradność kłóciła się z potężną sylwetką. Sprawiał wrażenie, jakby czekał, aż ktoś przyjdzie mu na ratunek.

Niespodziewanie poczuła się w pewnym sensie za niego odpowiedzialna. Podeszła z życzliwym uśmiechem.

- Zgubił się pan? A może pan na kogoś czeka? - Po tych słowach spiekła raka, bojąc się, że może je odebrać jako sugestię, iż czekał na nią.

- Zamierzałem pójść na lunch - odpowiedział z uśmiechem. - Gdzieś...

- Tam w głębi ulicy jest całkiem niezłe bistro - doradziła, wskazując kierunek.

Skinął głową, jednak nie ruszył się z miejsca. Na moment zawisła między nimi kłopotliwa cisza.

- A może - nabrał oddechu - zechciałaby pani... Zgodziłaby się pani dotrzymać mi towarzystwa? - Zakłopotany swą propozycją, machnął dłonią, jakby chciał cofnąć to pytanie. - Jasne, pani pewnie nie ma czasu.

- Wcale nie. - Uśmiechnęła się. - Chętnie panu potowarzyszę.

Przy kanapkach i kawie dokonali prezentacji.

- John Sutherland - przedstawił się myśliwy.

- A ja jestem Mara. Mara Hamilton.

- Mara... - powtórzył z lekkim zdziwieniem w głosie. - Niezwykłe imię.

- Moja matka wybrała je z poradnika o pielęgnacji niemowląt - wyjaśniła i zaśmiała się. - Niestety, jego znaczenie

nie należy do przyjemnych. Kiedyś sprawdziłam. Po hebrajsku to tyle co „gorycz”.

- Mnie się inaczej kojarzy - odparł. - Rezerwat Masai Mara to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi. Musi tam pani kiedyś pojechać.

Wtedy podniosła na niego wzrok. Te słowa w jego ustach zabrzmiały proroczo, niczym przepowiednia już zaplanowanej przyszłości.

Przeszli do innych tematów, lecz tamto wrażenie pozostało. John wyjaśnił, że przybył aż ze wschodniej Afryki, żeby przekazać kolekcję afrykańskich wykopalisk z epoki kamiennej, zapisaną w spadku dla muzeum przez jego starego, niedawno zmarłego przyjaciela.

- Nie można było tego przesłać pocztą? - zdziwiła się. - To taki kawał drogi.

- Zgadza się - przytaknął. - Niestety, mój przyjaciel życzył sobie, żebym dostarczył zbiory osobiście. Zobowiązał mnie do tego w testamencie. Uznał, że dobrze mi zrobi krótki pobyt poza Afryką, coś na kształt wakacji, zanim zdecyduję, co chcę dalej robić. Bo, widzisz, on mi zostawił posiadłość w Tanzanii. Dom myśliwski.

- I co postanowiłeś? - zaciekała się Mara. Taka swobodna rozmowa podczas pierwszego spotkania wcale nie wydawała jej się dziwna. Wręcz przeciwnie, była naturalna i całkiem na miejscu.

John, w odpowiedzi, wyjął z kieszeni zdjęcie, małą czarno-białą fotografię z nieobciętym brzegiem. Podsunął ją dziewczynie.

- To ten dom - powiedział. - Nie ma takiej rzeczy na świecie, która skusiłaby mnie do wyjazdu stamtąd.

Mara patrzyła na kamienny dom otoczony potężnymi drzewami. Wyglądał imponująco, a zarazem sprawiał wrażenie wygodnego, był egzotyczny, a jednocześnie wydawał się przyjazny. Przed wejściem stał Afrykanin. Trzymał ogromną strzelbę. Obok, na ziemi, leżała sterta lamparcich skór.

Marszcząc czoło, Mara usiłowała pogodzić w myślach te dwa obrazy: pociągający widok posiadłości i realia polowań na grubą zwierzynę.

- To już dłużej nie będzie dom myśliwski - wyjaśnił John, jakby czytając w jej myślach. - Skończyłem z tego rodzaju polowaniem.

Opisał jej swoją wizję przyszłości Raynor Lodge: jak zamierzał organizować piesze safari, aby jego uczestnicy mogli naprawdę doświadczyć życia w afrykańskim buszu. Owszem, tropiliby dzikie zwierzęta tak, jak to robią wytrawni myśliwi, lecz mogliby wyłącznie je obserwować. Nawet namawiałyby do rezygnacji z aparatów fotograficznych. Zdjęcia też stanowią swego rodzaju trofeum - wyjaśnił; ludzie, którzy koncentrują się na tym, co mogliby zabrać do domu, nie przeżywają w pełni tego, co się dzieje w danej chwili. Oczy błyszczały mu z przejęcia, kiedy przedstawiał jej swój plan. Wszystko brzmiało tak prosto i pozytywnie.

W filiżankach nie pozostała ani kropla kawy, zrzędnił tłum klientów, którzy wpadli do bistra na lunch, a oni dalej rozmawiali. Mara opowiedziała Johnowi o swoim dzieciństwie spędzonym w Tasmanii, o hałaśliwej gromadce braci, o farmie, którą szczerze kochała, a mimo to od dawna wiedziała, że musi się stamtąd wyrwać.

W końcu podnieśli się od stolika.

- Jeśli kiedyś przyjedziesz do wschodniej Afryki - powiedział John - pamiętaj, żeby zatrzymać się w Raynor Lodge.

Napisał adres na skrawku papieru. Gdy ich oczy spotkały się ponad wręczaną jej kartką, Mara poczuła, iż oboje wiedzą, że choć nadeszła chwila pożegnania, ich historia się na tym nie kończy. Dopiero się zaczyna.

I rzeczywiście, następnego dnia w południe John czekał na Marę przed muzeum. Przy drugim wspólnym lunchu zadała sporo pytań dotyczących jego życia. Kiedy opisywał wyprawę na safari z namiotami, wspomniała, że przez wiele

lat każde wakacje spędzała na obozach harcerskich. Wyznała, że nigdzie nie czuła się taka wolna od monotonii domowego życia jak pod tamtym kawałkiem płótna, dzielącym ją od zewnętrznego świata.

- Gdybym mogła, zamieszkałabym w namiocie - dodała.

Żartowała, lecz sposób, w jaki John przytaknął ruchem głowy, świadczył, że dobrze to rozumie. Ten moment niespodziewanie bardzo ich do siebie zbliżył, a powab wspólnej wizji owinął ich niczym jedwabna przędza, delikatna, a zarazem mocna.

Dziesięć miesięcy później Mara po raz pierwszy w życiu siedziała w samolocie linii BOAC lecącym do Nairobi. W podręcznym bagażu wiozła plik listów. Od wielokrotnego czytania kartki pomięły się i postrzępiły; szczególnie ta, na której John Sutherland poprosił, aby przyleciała do Tanzanii i za niego wyszła.

Odpiła tego samego dnia, gdy dotarła do niej jego propozycja; odpowiedź brzmiała: tak. Nie miała wątpliwości, że podjęła słuszną decyzję. I, jak wierzyła, John też ich nie miał.

Kochał ją. A ona jego. To było jasne, pewne i radosne jak słońce sunące ku zenitowi. Mara przymknęła oczy. Na wspomnienie tamtej radości przeszył ją tępy ból.

Wsunęła dłonie do kartonu i zanurzyła je w fałdach białego materiału, jakby dotknięcie sukni miało cudem przenieść ją w dzień ślubu i pozwolić rozpocząć całą podróż od nowa.

Wyciągnęła suknię, trzymając za gorset wykończony koronką, strzepnęła spódnice i uniosła do światła. Z wrażenia przebiegł ją dreszcz.

Jedwab znaczyły setki małych dziurek. Na jej oczach strzępki pogryzionych nitek wzbity się w powietrze i powoli opadły na ziemię. To przecież robota białych mrówek - uspokajała się. Nie powinna była zostawiać kartonu z suknią na podłodze.

To tylko suknia - i tak więcej jej nie włoży.

Nie ma się czym przejmować.

Z trudem przywołała na pamięć radosny obraz ślubnej ceremonii. Bukiet intensywnie różowych kwiatów w dłoni. Łagodny, śpiewny głos afrykańskiego urzędnika, który czytając z modlitewnika, zwrócił się do Johna: „Czy ślubujesz kochać ją, szanować, otaczać opieką, chronić i dochować wierności małżeńskiej?”.

Mara patrzyła Johnowi w oczy, kiedy odpowiedział, a jego głos zadudnił w małym pomieszczeniu. „Ślubuję”.

„I dochować wierności małżeńskiej”.

Te słowa, nadal głośne i wyraźne, dudniły echem w jej głowie, gdy wrzuciła zniszczoną suknię z powrotem do kartonu i wyszła z chaty na słońce.

Prowadziła land-rover powoli, gdyż chłopcy z obsługi chat stali na przednim zderzaku. Rdzawy rajgras był bardzo przerzedzony o tej porze roku - wygłodniałe zebry, żyrafy i stada bawołów wyszczypały trawę niemal do gołej ziemi. Kamienie, korzenie, mrowiska i zwierzęce odchody były widoczne z daleka. Gdy chłopcy dostrzegali ewentualną przeszkodę, stukali w maskę, Mara zatrzymywała samochód, a oni zeskakiwali na ziemię. To, czego nie udało im się rozkruszyć maczetą (*pangq*), wrzucali na pakę pick-upa. Widziała we wstecznym lusterku, że prawie cały pas stepu przeznaczony na lądowisko jest już równy i gładki. Na poboczu Kefa wkopywał długi pał do umocowania rękawa lotniskowego.

Wkrótce Mara dotarła do ostatniego odcinka. Gdy chłopcy zajęli się wyrąbywaniem ciernistego krzewu, zapatrzyła się na drugi brzeg wodopoju. Widziała tam ciemne cieleśko hipopotama i przycupniętą na nim całą rodzinę białych ptaków. Nieopodal stadko gazeli, stąpając ostrożnie, przedzierało się przez błoto do wody, a czarne obrączki z mułu znaczyły kremową sierść na ich pęcinach. Typowa scena

emanująca spokojem. Kolejny raz Marę naszła refleksja, że cały zwierzęcy świat zawsze ciągnie do miejsc, gdzie panuje spokój. Rwetes i zamieszanie wybuchają wraz z atakiem drapieżnika, lecz gdy tylko minie zagrożenie, potencjalne zdobycze szybko wracają do swych wędrówek i szczypania trawy. Odwrotnie niż w świecie ludzi; tu wiecznie panuje zamęt. Mara zatrzymała spojrzenie na stadzie białych wodnych ptaków, które sfrunęły na ziemię i dreptały przy brzegu. Wyobraziła sobie, że do nich dołącza; wchodzi do wody, napawa się jej orzeźwiającym chłodem i zapomina o wszelkich kłopotach.

Kiedy chłopcy skończyli, wysłała ich do Kefy.

- Teraz pomóżcie wujowi - powiedziała. - Dobrze się spisaliście.

Z rozpostartymi ramionami puścili się biegiem po lądowisku, bucząc jak samoloty. Gazele podniosły głowy i odprowadziły ich wzrokiem.

Mara zawróciła do miejsca, gdzie trakt otwierał się na równinę. Przejechała wzdłuż dawnych żywopłotów dla bydła, utworzonych z ciernistych krzewów wzmocnionych drutem kolczastym, zwanych *borna*. Była to pozostałość po czasach, gdy Raynor próbował wypasać bydło na sawannie, zanim odkrył, że myślistwo przyniesie mu większy dochód.

W pewnej odległości od ostatniej *bomy* Mara zatrzymała land-rover i wysiadła z szoferki. Podeszła do dwóch stosów kamieni ułożonych obok siebie na małym wzniesieniu, skąd rozpościerał się widok na równinę i wodopój. Nawet z daleka widać było chwasty obrastające kamienie; rośliny o twardych, gorzkich liściach, których żadne ze zwierząt nie chciało tknąć. Dziwiło ją, że John nie każe ich wypielić; kamienne kopczyki były dla niego świętym miejscem. Starszy, ułożony przed dziesiątkami lat, znaczył miejsce pochówku Alice Raynor, nowszy z kamieni połączonych cementem wzniesiono na grobie starego myśliwego.

John nie poznał Alice - zmarła w wyniku komplikacji po

poronieniu, na długo przedtem, zanim zamieszkał w Raynor Lodge. Darzył ją jednak ogromnym szacunkiem, wpojonym przez Billa. Starego myśliwego kochał natomiast jak rodzinnego ojca.

Przyklękając przy grobie Alice, Mara powyrywała chwasty i poukładała z powrotem kamienie rozrzucone przez zwierzęta. Rękawem starła kurz z drewnianej plakietki u podstawy kopca. Prawdopodobnie wyrzeźbił ją z hebanu ojciec obecnego stolarza z wioski. Epitafium było zwięzłe:

Alice Raynor
Miłość jest wieczna

Zapatrzyła się na słowa wybrane przez Billa Raynora. Ich znaczenie było wyraźne i jasne. On kochał wyłącznie Alice. Po jej śmierci do końca życia pozostał sam.

Mara szarpnęła ciernisty krzew wczepiony mocno w suchy piach. Gdy wreszcie udało jej się go wyrwać, korzenie nadal były oblepione grudkami ziemi. Potem zabrała się do następnego. Gdy opielila cały kopczyk, podeszła do nowszego grobu. Ten miał mosiężną tabliczkę. Odbijało się w niej słońce, więc żeby odczytać inskrypcję, Mara musiała zmrużyć oczy.

Pamięci Billa Raynora
Wzniesiony przez
Stowarzyszenie Zawodowych Myśliwych
Afryki Wschodniej
Nec timor, nec temeritas

Ostatni wers stanowił dewizę stowarzyszenia: „Bez strachu, bez nierozwagi”. John wytłumaczył Marze jej znaczenie, kiedy po raz pierwszy przyprowadził ją na groby. Na początku każdy myśliwy odczuwa strach, później staje się zbyt pewny siebie i działa pochopnie, aż wreszcie odnajduje kompromis, czyli podejmuje wyłącznie dopuszczalne ryzyko. Wtedy może się uważać za zawodowego myśliwego.

Mara pochyliła się i starła z mosiądzu pobielełe ptasie odchody. Nic dziwnego - pomyślała - że w ostatnich miesiącach, kiedy przyszłość Raynor Lodge rysowała się tak niepewnie, John nie potrafił się przemóc, żeby tu przyjść. To nie jego wina, że plany, jakie wiązał z tym miejscem, nie wypaliły - nie działał pochopnie, podjął jedynie dopuszczalne ryzyko. Jednakże wiedziała, że ta świadomość wcale nie podnosiła go na duchu. Zawiódł Raynorów.

Odwróciła głowę i nasłuchiwała odgłosów płynących z daleka. Od strony wsi dochodziło ciche, rytmiczne dudnienie - „mówiące bębny” poszły w ruch. Domyśliła się, że przekazywały dobrą wiadomość dnia sąsiadom z dalej położonych wiosek. Westchnęła, nagle ogarnięta znużeniem. Jak łatwo dać się ponieść podnieceniu przygotowań i rozejniom, że przyjazd Carltona i jego ludzi zmieni położenie Raynor Lodge. W rzeczywistości można liczyć jedynie na chwilę wytchnienia. Z jej zarobku i z honorarium Johna za safari w Selous spłacać dług u miejscowego lichwiarza i, o ile szczęście dopisze, zostanie im trochę pieniędzy na bieżące wydatki. Ale to nie rozwiąże problemów.

Będą musieli zamknąć myśliwski dom.

Pomimo popołudniowego ciepła Marę przebiegł zimny dreszcz. Nikt nie kupi posiadłości. Przejdzie na własność państwa i w rezultacie przejmie ją wieś. Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak kamienny dom i rząd zadbanych chat dla gości zasiedlają okoliczne rodziny. Kury na parapetach Raynora z tekowego drewna. Dym bijący z wietrzników pod okapami rondaweli. Poszarzałe, niegdyś białe ściany. Drzewa powycinane na opał. Busz wdzierający się do ogrodu i porastający grządki.

Mara zapatrzyła się na horyzont. Gdzie się podzieją, ona i John? Co będą robić? Usiłowała zobaczyć siebie u boku męża w jakimś innym miejscu. Może gdzieś w Tanzanii? Albo w Australii czy w Anglii...

Nie potrafiła przywołać nawet mglistego obrazu. W gło-

wie miała przerażającą pustkę. A kiedy patrzyła w dal, uderzyła ją myśl, że przyszłość jej małżeństwa rysuje się równie ponuro jak dalsze losy Raynor Lodge. Coś, co kiedyś było takie cenne i dawało poczucie bezpieczeństwa, zostało poważnie nadwątlone i trudno było przewidzieć, czy przetrwa.

4

Mara stała w miejscu, które normalnie zajmowała jej toaleta. Kłębki kurzu snuły się po podłodze, a samotne krzesło na małym, wytartym dywaniku wyglądało żałośnie. Oglądała się w ręcznym lusterku, przesuwając nim w różnych kierunkach. Jej niebieska suknia była czysta i starannie wyprasowana. Włosy ściągnięte w koński ogon. Twarz świeżo umyta. Wiedziała, że być może przyjdzie jej witać ostatnią grupę gości Raynor Lodge, postanowiła więc pełnić rolę gosподyni najlepiej, jak potrafiła.

Z koszyka stojącego na podłodze wyjęła szminkę i puderniczkę. Ustawiła lusterko na parapecie i pochyliła się, by przypudrować nos i czoło oraz pomalować usta. Cały czas nasłuchiwała sygnału od Tomby; obiecał, że nie ruszy się z punktu obserwacyjnego i zawiadomi domowników, gdy tylko dostrzeże zbliżających się gości.

Roztarta pomadkę wargami, żeby wyrównać kolor. Szminkę zostawiła narzeczona jednego z klientów Johna. Mara popatrzyła krytycznie na odcień. Zbyt jaskrawy. Być może w ogóle nie powinna malować ust. Jeszcze ktoś pomyśli, że stara się zwrócić na siebie uwagę.

Zaczęła ścierać szminkę, gdy z daleka doszedł ją okrzyk Tomby.

W ciągu paru minut cały personel wyległ przed dom. Kefa ustawił ludzi rzędem pod łukiem ze słoniowych kłó; zjawił się nawet półprzytomny nocny strażnik. Personel składał się głównie z mężczyzn i chłopców - kobietom z wioski

czas upływał na ciężkiej pracy w rodzinnych *shamba* i przechodziły do Lodge tylko wtedy, gdy miały na zbyciu jajka, mleko czy warzywa. Kefa prawdopodobnie wcześniej dokonał lustracji ubiorów. Wszyscy mieli na sobie coś w rodzaju stroju safari. Poszczególne części garderoby różniły się krojem i wiekiem, lecz wszystkie, świeżo wyprane i wyprasowane, były w kolorze khaki.

Mara, uśmiechając się nerwowo, szła wzdłuż rzędu i po kolei oglądała swych pracowników. Wzruszyło ją ich staranie; mieli przyszyżone włosy i wybłyszczone pasy. Część z nich poprzyszywała nawet nowe guziki od Biny, chociaż nie wszystkim wyszło to najzgrabniej.

Stając przed Menelikiem, spuściła wzrok. Nie chciała, aby odniósł wrażenie, że go sprawdza, nawet jeśli przejęła teraz pozycję *bwany*. Onieśmielał ją nie tyle wygląd starszego mężczyzny, jego wiek czy nawet krytyczna postawa, jaką wobec niej demonstrował, ile nieustannie towarzysząca jej świadomość, że on pamiętał Alice. Kiedy po powrocie baronessy do Anglii zatrudnił się w Raynor Lodge, Alice jeszcze tu była. Chcąc nie chcąc, porównywał obie *memsahib*. I Mara wiedziała, że w jego oczach musi wypadać gorzej.

Zajęła miejsce obok Kefy. Cała grupa zastygła w pełnym napięcia oczekiwaniu. Codzienne, zwykłe gdakanie kur, szelst ptasich skrzydeł pośród gałęzi drzew brzmiały przesadnie głośno. I wtedy pojawił się Tomba; migając czerwono-niebieską kratą kowbojskiej koszuli, przebiegł przez trawnik.

Stanął przed Marą i ciężko dysząc, zgiął się wpół, żeby podkreślić, jak szybko i z jakim wysiłkiem biegł do nich z wiadomością.

- Zaraz tu będą - obwieścił.

Wszyscy wyczekująco skierowali wzrok na drogę dojazdową. Mara kątem oka dostrzegła, jak Kefa pokazuje Tombie, że ma usunąć się z rzędu personelu i stanąć w cieniu pieprzowego drzewa.

Pierwszy ukazał się land-rover, podskakując na wybo-

jach. Karoserię w czarno-biały deseń, który miał imitować paski zebry, pokrywała warstwa rdzawego kurzu.

Kiedy pick-up zahamował, wyłonił się drugi pojazd - duża ciężarówka z plandeką. Mara zerknęła na *bwanę* Parę, odgadując, że samochód może transportować generator.

Najpierw otworzyły się drzwi land-rovera po stronie pasażera. Wysiadł z nich jakiś człowiek i ruszył prosto do Mary.

- Cześć, jestem Leonard - oznajmił. - Reżyser.

Spojrzała na niego zaskoczona. Ani trochę nie przypominał brata. Carlton był raczej niski i otyły, Leonard natomiast miał smukłą budowę i pociągłą twarz. Obaj mieli ciemne włosy, Carlton proste, ten zaś skręcone w pierścionki. Zauważyła, że idąc, rzuca spojrzenia we wszystkie strony, jakby starał się zdobyć jak najwięcej informacji w możliwie najkrótszym czasie.

- Jak się pan ma? - odezwała się.

Leonard energicznie wyciągnął rękę, gotów uścisnąć jej dłoń.

- Doskonale. Po prostu świetnie. A pani?

- Dzięki, dobrze. - Mara uśmiechnęła się serdecznie. Podobał jej się nieformalny sposób bycia Amerykanów. John nigdy się do niego nie przyzwyczaił, ale jej odpowiadał, bo nie różnił się wiele od zachowań Australijczyków.

Kefa wysunął się przed szereg.

- Witamy w Raynor Lodge.

Leonard błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

- Dzięki. Supermiejsce!

- To jest Kefa, nasz chłopiec do prac domowych - przedstawiła go gospodyni.

Przybysz również do niego wyciągnął dłoń. Zaskoczył tym gestem Afrykanina. Zauważyła, jak wysuwając prawą rękę, autpmatycznie oparł lewą dłoń w zgięciu prawego ramienia; ten tradycyjny gest oznaczał, że nie ma przy sobie broni.

- Miło mi - rzucił Leonard, lecz jego uwaga była znów

skupiona na otoczeniu. - Drugi samochód został kilka godzin za nami - wyjaśnił, patrząc ponad ramieniem Mary na zabudowania. - Złapali gumę i mieli problemy z silnikiem. Reperuje go jakiś wiejski mechanik. Mam przynajmniej nadzieję, że go...

Teraz, z bliska, Mara dostrzegła sine cienie pod oczyma mężczyzny, lecz tym oznakom wyczerpania przeczył sposób, w jaki się poruszał, gdyż zdawał się kipieć energią.

Zamaszystym krokiem podszedł do ciosów słońca i przesunął palcami po kości. Potem zadarł głowę i podziwiał zagięte kły.

Obserwując go, Mara usłyszała trzask otwieranych drzwiczek i głosy wysiadających ludzi. Nagle zorientowała się, że wyrósł przy niej Daudi. Był w tym samym brązowym garniturze, w którym przyjechał z Carltonem. Po uprzejmym, a zarazem zwięzłym przywitaniu w angielskim stylu wskazał formującą się za nim grupę ludzi.

- Pozwoli pani, że wszystkich przedstawię - powiedział. Zaczął od mężczyzny z blond kędziorami zwisającymi przy uszach.

- To pan Rudi.

- Po prostu Rudi - odezwał się blondyn. - Specjalista od rekwizytów. Tyle że w tej ekipie służę za piątkę ludzi: odpowiadam za kostiumy, za rekwizyty, jestem scenografem planu zdjęciowego, dyrektorem artystycznym... Robię za cały dział.

- Pani Sutherland. - Daudi wskazał Marę.

Nabrała powietrza, gotowa się odezwać. Chciała zaproponować, aby wszyscy zwracali się do niej po imieniu, tak jak to zrobił Rudi, lecz nie była pewna, co w tej sytuacji wypadało.

Przeszli do kolejnych prezentacji. Z grupy wysunął się mężczyzna z posępną miną, przedstawiony jako gaffer. Mara dopiero po chwili odgadła, że odpowiada za oświetlenie, no i za generator. Postanowiła, że kiedy nadarzy się okazja,

Kefa zapozna go z *bwaną* Parą. W ekipie znajdowało się też dwóch Afrykanów, robotników budowlanych. Byli słusznego wzrostu i mieli bardzo ciemną skórę typową dla Somalijczyków, ubrani swobodnie, po europejsku, w rzeczy, które wyglądały na modne i nowe. Uprzejmie przywitali się z panią Sutherland, natomiast na personel patrzyli z wyraźnym lekceważeniem. Mara widziała, jak Menelik z Kefą wymienili spojrzenia pełne maskowanego gniewu. Zerkając na Daudiego, wyczuła, że wychwytuje wszelkie niuanse całej sytuacji i jako przedstawiciel władzy jest gotowy interweniować w razie jakiegoś konfliktu. Może się okazać bardzo użytecznym sojusznikiem - pomyślała. Liczyła, że z racji przyjaźni Johna z Kabeyą Daudi stanie po jej stronie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Zza ciężarówki wyłonił się ostatni z Amerykanów. Rudowłosy i piegowaty, z zaczerwienioną cerą, której wygląd świadczył o tym, że za długo przebywał na słońcu. Dołączając do grupy, podejrzliwie spojrzął w niebo, po czym wbił zielone oczy w Leonarda.

- Co z moim problemem? - zaatakował go.

Reżyser patrzył na niego beznamyślnie.

Rudzielec westchnął z irytacją.

- Nie... mam... operatora... boomu. Pamiętasz?

- Realizator dźwięku - wyjaśnił półgłosem Daudi, nachylając się do Mary. - Pan Jamie. *Bwana Matata* - dodał. - Pan Problem.

- Nie stawiał się - kontynuował Jamie. Rozejrzał się, jakby nie był do końca pewny, do kogo to mówi. - Wrócił do domu. Szczęściarz.

Leonard, pogrążony w myślach, pokiwał głową.

- Zdaje się, że Carlton wspominał o przyuczeniu któregoś z miejscowych ludzi. Na pewno dasz sobie radę. I tak połowę scen kręcimy bez dźwięku.

- Nie musisz mi przypominać - mruknął ponuro Jamie.

- Może pani nam pomoże - reżyser zwrócił się do

Mary. - Potrzebujemy pomocnika dla Jamiego, kogoś do trzymania boomu, wysięgnika do mikrofonu. Musi znać odrobinę angielski, no i być bystry, silny i mieć głowę na karku.

Zanim Mara zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyrósł przy niej Tomba. Postąpił krok do przodu i znacząco powiódł wzrokiem od Leonarda do Jamiego.

- Ja nim będę - oświadczył pewnym tonem. - Ja będę tym pomocnikiem, co trzyma boom.

Mara zacisnęła usta, żeby powstrzymać uśmiech. Oczywiście Tomba nie miał pojęcia, co to boom czy też wysięgnik mikrofonu. Zresztą sama też nie bardzo wiedziała.

Leonard podszedł do ochotnika i poklepał go po ramieniu.

- Załatwione. Jesteś przyjęty.

Jamie z powątpiewaniem powiódł wzrokiem po pozbawionej rękawów koszuli Tomby, opasce na biodrach i wiekowych tenisówkach. Na koniec zatrzymał spojrzenie na jego dobrze rozwiniętych mięśniach.

Wzruszył ramionami.

- Chyba się nadasz. Jak się nazywasz?

Chłopak uśmiechnął się promiennie, pokazując komplet białych zębów.

- *Bwana Boom.*

Leonard pierwszy ruszył ścieżką do frontowych drzwi. Mara przyspieszyła kroku, żeby się z nim zrównać, a Kefa przeciął trawnik, aby zdążyć przed nimi i przywitać gości przed wejściem.

Reżyser zerknął z ukosa na gospodynię.

- Teraz widzę, co Carlton miał na myśli - odezwał się. - Z przyciemnionymi włosami możesz wyglądać jak ona.

Mara uprzejmie pokiwała głową, usiłując dociec, o co mu chodzi.

- Jak kto? - zapytała w końcu.

- Lillian Lane - odparł.

- Nie rozumiem. - Spojrzała na niego zdezorientowana. Zatrzymał się i odwrócił do niej. Skurcz irytacji przebiegł mu po twarzy.

- Sądziłem, że wszystko zostało ustalone. Że Carlton już to z tobą załatwił.

- Co załatwił? - podchwyciła czujnie. Ogarnął ją lekki niepokój.

- To naprawdę nic trudnego - tłumaczył Leonard. - Od czasu do czasu będziemy potrzebować dublerki. Jesteś wzrostu Lillian i masz długie włosy. Macie również podobną budowę. Poprosimy, żebyś wspięła się na skały czy, powiedzmy, pochodziła po buszu. Ujęcia zrobimy z tyłu w szerokim planie, więc będziesz tylko sylwetką widoczną w oddali. Nikt się nie zorientuje, że to nie ona.

- Po co robić coś takiego?

- Lillian jest zmęczona, ot i wszystko - stwierdził sucho. - Dobiegamy do końca długiego etapu zdjęciowego. Musimy dopilnować, żeby zachowała energię na ważne sceny. - Ponownie zerknął na Marę. - Poza tym ty swobodniej się czujesz w tym otoczeniu. To twój dom. Zawsze łatwo poznać, czy coś jest autentyczne. Aktorzy grają, to ich rzemiosło. A ty jesteś prawdziwa. - Uśmiechnął się do niej z podziwem. - Naturalnie dostaniesz honorarium. Carlton spisze z tobą umowę. - Przesunął wzrok niżej. - Pokaż ręce. Mówił, że masz świetne dłonie.

Wyciągnęła ręce przed siebie. Poczuła się jak mała dziewczynka, która pokazuje matce, że są czyste, zanim siądzie do stołu. Niestety, teraz skóra na jej dłoniach była szorstka, a paznokcie pozadzierane od pracy w ogrodzie warzywnym.

Reżyser skinął głową z aprobatą, a Mara czym prędzej schowała ręce za siebie. W końcu nie jest jakąś małą dziewczynką. Nie musi słuchać czyichś poleceń. Odwróciła się od Leonarda, wymykając się poza strumień jego energii.

W tej samej chwili znalazła się twarzą w twarz z Daudim. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Nie musiał się odzy-

wać, żeby jej przypomnieć, co powiedział podczas ostatniej wizyty.

„Sam prezydent jest zainteresowany szczęśliwym dokończeniem filmu”.

Nie chciała narażać przyszłości Johna w tym kraju - jakkolwiek ta przyszłość miała wyglądać - ani nie stać jej było na rezygnację z okazji do zarobienia dodatkowych pieniędzy. Biorąc głęboki oddech, odwróciła się z powrotem do Leonarda.

- Z chęcią pomogę w każdej sprawie, jeśli tylko będę potrafiła.

- Umiesz obchodzić się z bronią?

- Naturalnie - odparła. - Strzelam z dwudziestkidwójki. I ze śrutowki.

- Doskonale. Musimy nakręcić kilka scen w plenerach, no wiesz, takich, żeby było widać, że naprawdę jesteśmy w Afryce.

Doszli do domu, lecz Leonard zdawał się nie dostrzegać Kefy, który czekał przy otwartych drzwiach, by wprowadzić gości do środka.

- Widziałas *Lawrence 'a z Arabii* Davida Leana? - zwrócił się do Mary.

- Tak. Przed samym wyjazdem z Australii. Wspaniały film.

Wyszła po filmie na chłód dżdżystego zimowego dnia w Melbourne i patrzyła osłupiała na szare budynki sąsiadujące z kinem. Upał i pył na pustyni, tajemniczy arabscy jeźdźcy, strach i chaos wojny, no i sam Lawrence - to wszystko wydawało jej się takie realne, że miała wrażenie, iż nie należy już do swego świata.

- W takim razie musisz pamiętać, jak on traktował pustynię - podsunął Leonard. - Bo pustynia też była bohaterką tego filmu, równie ważną jak Lawrence. Właśnie na czymś takim mi zależy. Chcę, żeby sawanna była naprawdę obecna w tych scenach, które planujemy nakręcić. Nie tylko dlate-

go, że jesteśmy w sercu dzikiej przyrody Afryki. Tu chodzi o coś więcej. - Reżyser podkreślał słowa gestami rąk. - Bezkres równin ma odzwierciedlać moralny klimat całej historii i kontrastować z duszną tajemniczością Zanzibaru z jego wąskimi uliczkami i zamkniętymi okiennicami. Rozumiesz, co mam na myśli?

Mówił gorączkowo, jakby to, czy Mara go rozumie, było sprawą wielkiej wagi. Poczowała się doceniona. Nic dziwnego, że ekipie i Carltonowi tak bardzo zależało, aby pomóc mu w realizacji wizji.

Przypomniała sobie jego pytanie o broń.

- Nie będziesz mnie potrzebować do ochrony - wyjaśniła. - Departament Łowiectwa obiecał przysłać strażnika z Arushy.

- Tak, ale w kadrze ujmiemy również zwierzęta, kiedy będziesz dublować Lillian. - Zaśmiał się. - Nie ryzykowalibyśmy ujęć Lillian z lwami i słoniami. Maggie, to imię bohaterki, chodzi z bronią. - Uśmiechnął się do własnych myśli, wyraźnie zadowolony z pomysłu. - Naturalnie - dodał po chwili - to tylko tak na wszelki wypadek. Poza kadrem, gdzieś w pobliżu, będzie czuwał twój mąż i zareaguje w razie potrzeby.

Mara się zasępiła.

- Niestety, nie będzie go tutaj - wyjaśniła. - Nie mogę się z nim skontaktować. Ale, jak mówiłam, Departament Łowiectwa ma przysłać strażnika. - Słyszała własne, szybko rzucane słowa, jakby się bała zostawić lukę na jakąś niechętną uwagę Leonarda. - Wyznaczyli kogoś, kto pochodzi z tych terenów, więc będzie znał okolicę. To żaden problem - dokończyła. - Chyba że... - Naszła ją pewna myśl. - Chyba że John też miałby być dublerem?

- To nie będzie konieczne - uspokoił ją reżyser. - Peter Heath lubi wszystko robić sam, czasem nawet gra sceny kaskaderskie. Uwielbia otwarte przestrzenie. Myślę, że przypominają mu dzieciństwo. Słuchając go, nigdy byś nie od-

gadała, że pochodzi z Australii. - Rzucił Marze przelotny uśmiech. - Tak jak ty.

Menelik stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami uniesionymi nad dużym kuchennym stołem. Przed nim leżał jego ukochany nóż z ostrzem z damasceńskiej stali. Mara podsłuchiwała kiedyś, jak opowiadał kuchcikowi, że w trakcie kucia metal składa się ponad tysiąc razy. Stąd właśnie bierze się ten magiczny efekt, że stal sama się ostrzy, zupełnie jakby była żywa. Kucharz kupił go jeszcze w młodości od arabskiego handlarza. Teraz nóż leżał na wyszorowanym blacie, wyglądał na bardzo ostry i niebezpieczny.

- Na początek przygotuję zupę z awokado - oznajmił Menelik. - Według przepisu baronessy. Podaje się ją na zimno. Po niej podam potrawkę z dziczyzny.

Mara przytaknęła z roztargnieniem. Nie przyszła omawiać menu, całkowicie polegała na wyborach swego kucharza. Bardziej nurtowała ją kwestia wody; jak dopilnować, żeby nikt nie napił się surowej wody i nie zachorował. Pomimo ciągłego tłumaczenia personelowi, że Europejczycy mają bardzo delikatne żołądki, pracownikom zdarzały się uchybienia. A Carlton wyraźnie podkreślił, że ekipa ma bardzo napięty grafik. Niepokoiło ją też, gdzie się podziewa Leonard. Wymusiła na nim obietnicę, że nie wyjdzie poza teren, dopóki nie zjawi się strażnik, ale nie była pewna, czy może polegać na jego słowie.

- Wiem, co pani myśli - odezwał się Menelik. - Zastanawia się, co to za dziczyzna. - Mówił w suahili, trochę niezręcznie formułując myśli, jak ktoś posługujący się obcym językiem. Mara nigdy nie potrafiła przewidzieć, w jakim języku - w angielskim, suahili czy w kombinacji obu - zechce się z nią porozumieć. Podejrzewała, że tym razem zastosował fortel, żeby pokazać, kto w kuchni rządzi. - To impala - wyjaśnił. - Dostaliśmy z wioski. Zwierzę było tylko trochę uszkodzone przez strzałę. Ale mięso jest dobre. Sam ją sprzą-

wiłem. A teraz musi pani otworzyć piwniczkę i dać mi trochę czerwonego wina. Najlepiej nadałby się burgund.

- Tak, oczywiście - przystała skwapliwie. Jej uwagę przyciągnął warkot silnika. Czyżby to Leonard wybierał się na rekonesans?

Dokładnie w tej samej chwili do środka wpadł kuchcik.

- Więcej Amerykanów przyjechało! - wyskandował, kładąc nacisk na każde ze słów.

O ile Mara wiedziała, chłopak nigdy nie chodził do szkoły, mimo to jego sposób mówienia przypominał ucznia recytującego lekcje. Często musiała uważać, żeby przypadkiem się nie roześmiać. W dodatku miał na imię Dudu, w suahili to tyle co „owad”, a z patykowatymi ramionami i wypukłym brzuchem rzeczywiście wyglądał jak żuk.

- Kefa wie? - spytała.

- Tak, *bwana memsahib*. Kefa z nimi rozmawia.

- Dobrze.

Postanowiła nie wychodzić gościom na powitanie. Musiała jeszcze dopilnować wielu spraw, upewnić się, czy wszystko jest w należytym porządku, zanim zjawi się Carlton z głównymi aktorami. Samolot miał przylecieć za parę godzin.

Widziała, że Dudu chce wybiec na dwór, więc przytrzymała go za ramię.

- Musisz tu zostać - nakazała. - Nastaw uszu i słuchaj uważnie. Menelik jest bardzo zajęty. Masz się zachowywać jak dorosły i starannie wykonywać polecenia.

Dudu, patrząc na nią z powagą, słuchał dalszego ciągu przemowy. Przypomniała mu, że teraz, kiedy w domu jest tylu gości, musi codziennie czyścić z tłuszczu okapy nad kuchnią. Ma też zanurzać jajka w misce z wodą i pamiętać, iż tylko te, co spadną na dno, są świeże. A ryż należy płukać i dokładnie przeglądać, czy nie ma w nim kamyków. Tak samo trzeba postępować z fasolą i z soczewicą.

Menelik udawał brak zainteresowania, gdy recytowała kolejne przykazania, lecz Mara wiedziała, że słucha uważ-

nie, kontrolując, czy czegoś nie przeoczy. Ucieszyła się, że kiedy skończyła, lekko skinął głową na znak aprobaty. Wychodząc, usłyszała, jak mówi do Dudu:

- Słyszałeś wszystko, co *bwana memsahib* do ciebie mówiła? Lepiej się postaraj. Jak zrobisz coś źle, dostaniesz od niej baty.

Mara lustrowała rząd chat, zaczynając od ostatniej, którą zajął już Daudi. Przez otwarte drzwi widziała jego brązowy garnitur rozłożony na jednym z łóżek. Miał dzielić domek ze strażnikiem. Z lekkim niepokojem pomyślała, jak John zareagowałby na wiadomość, że Afrykanie mieszkają w kwaterach dla gości. Coś takiego nigdy dotąd nie miało miejsca. Podczas wypraw na safari nawiązywały się bliskie więzi pomiędzy białym myśliwym, klientami oraz miejscowymi tragarzami broni i tropicielami. Sprzyjało im wspólne przeżywanie zagrożeń i ekscytacji związanych z polowaniem, a także zdecydowana przewaga tubylców w kwestii orientacji w terenie i znajomości zwyczajów zwierząt. Natomiast w domu obowiązywała ścisła etykieta. Mara nie bardzo wiedziała, gdzie ma umieścić Afrykanów z ekipy filmowej, i z radością zdała się w tej sprawie na Kefę. To on postanowił, że Daudi ze strażnikiem zajmą jedną z chat i będą jadać posiłki razem z białymi. On także przydzielił pracownikom budowlanym pokoje w starym domku dla robotników rolnych, gdzie mieli sypiać, a także spożywać posiłki. Mara miała nadzieję, że podjęto dobre decyzje. Nie było już Tanganiki, tylko niepodległa Tanzania. Obowiązywały nowe zasady, tyle że nikt nie był do końca pewien jakie.

Doszła do drugiego rondawela ze ścianami z błota suszonego na słońcu, przeznaczonego dla Petera Heatha. Zauważyła, że chłopcy z obsługi chat wieszają tam starą, poplamioną moskitierę.

- *Namna gani?* - zganiła ich w przypływie zniecierpliwienia, po czym przypomniała sobie, że należy zachęcać

pracowników do mówienia po angielsku. - Co wy robicie? To stara siatka. Poplamiona! - W swoim głosie słyszała wyraźny wpływ sposobu, w jaki Melik zwracał się do kuchcika. - To pokój dla wielkiego szefa aktorów. Jeśli nie będzie zadowolony, narobi wam kłopotów!

Wchodząc do pokoju, zatrzymała się w pół kroku na widok białego mężczyzny stojącego przy łóżku. Odwrócony plecami, przytrzymał ramę do napinania siatki. Jej uwagę przyciągnęły zakurzone buty i plamy na niebieskiej lnianej koszuli. Na podłodze leżał rzucony niedbale, złachany marynarski worek.

- Przepraszam - odezwała się. - Ten pokój jest zarezerwowany dla Petera Heatha. - Zmusiła się do uśmiechu, by pokryć zniecierpliwienie, i machnęła ręką w kierunku blaszanych kontenerów. - Może pan sobie wybrać którąś z tamtych chat.

Mężczyzna podał ramę jednemu z posługaczy i postąpił ku niej. Kiedy wszedł w plamę słonecznego światła, Mara zamarła. Jego twarz wydała jej się znajoma. Dopiero po sekundzie uświadomiła sobie, że wcale jej wcześniej nie widziała. To było coś innego - oświetlona z profilu, sięgała ideału. Regularne rysy, niesamowite zielononiebieskie oczy, ciemne włosy z pasemkami rozjaśnionymi słońcem i oliwkowa cera.

Opuściła rękę. Nie musiała pytać, wiedziała. To musiał być on. Ten aktor.

- Cześć! - odezwał się. - Jestem Peter Heath.

- Przepraszam. - Czuła, jak fala gorąca rozlewa się po jej ciele i rumieniec wypływa na twarz. - Sądziłam... Mówiono mi, że przylecicie samolotem po lunchu. - Wzięła się w garść. - Jestem Mara Sutherland. Jak się masz?

- Świetnie, dzięki - odparł Peter, uśmiechając się do niej przyjaźnie.

- Niestety, pokój nie jest do końca gotowy. Ale załatwimy to w parę minut.

- Nie ma sprawy - odparł. - Mnie się nie spieszy. Poza

tym to moja wina, bo zjawiłem się za wcześnie. Postanowiłem zabrać się z resztą ekipy. Jeśli nadarzy się okazja, wolę podróżować samochodem. Więcej można zobaczyć.

Mara nasłuchiwała australijskiego akcentu. Leonard miał rację, nigdy by nie odgadła, że Heath pochodził z jej ojczyzny. Mówił jak Amerykanin.

Strzepnął dłonią koszulę. Z przodu była równie uwalana brudem jak z tyłu.

- Musieliśmy zmienić oponę.

- Na to wygląda! Hmm... - Zdobyła się na uśmiech. Zaczepnęła powietrza i wyprostowała ramiona. - Witam w Raynor Lodge. - Zorientowała się, że przesuwa się w bok, żeby niebieska sukienka znalazła się dalej od zasłon w tym samym kolorze. Zastanawiała się, czy został choć ślad pudru na policzkach i szminki na ustach.

- Dzięki! Pięknie tutaj. - Peter zajął się z powrotem mocowaniem ramy do moskitiery.

- Nie powinieneś się tym zajmować - zaprotestowała. - Naprawdę nie należy.

- Czemu nie? - spytał. - Czyż nie jestem „wielkim szefem aktorów”? Mogę robić, co mi się podoba! - Posłał jej rozbijający uśmiech i nagle wydał się młodszy, niż był, niemal skory do psot.

Mara rozejrzała się bezradnie, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą począć i co jeszcze powiedzieć.

Dotknęła włosów, jakby chciała sprawdzić, czy jakieś pasmo nie wymknęło się z ciasno spiętego końskiego ogona. W końcu skupiła uwagę na chłopcach.

- Dopilnujcie, żeby bagaż pana Heatha znalazł się na stole - nakazała. - Nie chcemy, aby pocięły go mrówki. I wymieńcie siatkę na nową. - Spojrzała przelotnie na Petera. - Gdybyś czegoś potrzebował, proszę, daj mi znać.

Energicznym krokiem wyszła z chaty. Pospiesznie zawróciła do domu, po drodze chłodząc dłońmi nadal płonące policzki.

Chłopcy z obsługi chat pędzili z krzykiem wzdłuż pasa startowego i wymachując ramionami, płoszyli stadko gazeli. Zwierzęta uciekały w popłochu i nonszalancko podrzucały tylne kopyta, dając w ten sposób do zrozumienia napastnikowi, że nie są łatwą zdobyczą.

Mara stała w pobliżu, obserwując krążący samolot. Zaczął schodzić do lądowania, gdy tylko chłopcy dobiegli do końca pasa. Potem omiotła spojrzeniem gromadę wieśniaków, którzy, przygnani ciekawością, wylegli na trawiastą równinę. Miała nadzieję, iż rozumieją, że powinni zachować bezpieczną odległość, dopóki samolot nie wyląduje. Powiodła wzrokiem po pasie startowym, niepokojąc się, czy przypadkiem nie zostały tam jakieś korzenie czy odłamki skał. W końcu odwróciła głowę. W tej chwili i tak już nic nie mogła zrobić.

Zaczęła krążyć myślami wokół Lillian. Czy w rzeczywistości jest równie piękna jak na ekranie? Jak będzie ubrana? Wyobrażała ją sobie wyłaniającą się z samolotu w długiej sukni, otuloną etolą. Niestety, zapewne przyleci wystrojona jak większość kobiet przewijających się przez ich dom. Prawie wszystkie zjawiały się w kostiumach safari, bezsensownie dopasowanych, ale za to eksponujących figurę, i w kapeluszach kupowanych w Nairobi czy w Dar, jakie nosi się w buszu, z otokiem ze skóry lamparta.

Po raz pierwszy sławna twarz mignęła w okrągłym okienku, kiedy samolot skończył kołować i znieruchomiał na pasie. Pomimo odległości i chmury pyłu wznieconej przez koła, nie mogło być mowy o pomyłce. Mara w nerwowym podnieceniu czekała, aż śmigła przestaną się obracać.

Pierwszy zeskoczył pilot i otworzył drzwi dla pasażerów. Przez chwilę, która zdawała się bardzo długa, nic się nie działo. Potem ze środka wygramolił się Carlton i wyprostował ramiona, jakby z ulgą opuszczał ciasną kabinę. Moment

później wysunęła się stopa w eleganckim zamszowym kozaczku. Zawisła w powietrzu, zanim spłynęła na metalowy stopień. Następnie dołączyła do niej druga stopa. Cała postać ukazała się dopiero wtedy, gdy Lillian, wsparta na wyciągniętych ramionach Carltona, zeskoczyła na ziemię. Przez chwilę stała nieruchomo, po czym rozejrzała się dookoła i wreszcie lekkim skinieniem dłoni pozdrowiła gapiów. W odpowiedzi tłum się zbliżył. Przed zgromadzonych wysunęło się dziecko z ogromnym bukietem lilii.

Mara też podeszła bliżej, starając się nie przyglądać aktorce zbyt natarczywie. Tak jak się spodziewała, Lane była w stroju safari. Tyle że jej kostium, zamiast składać się ze spodni i dopasowanej bluzy, przypominał kombinezon ściągnięty w tali skórzanym paskiem. Była bez kapelusza, a włosy miała zwinięte w ciasny koczek nad karkiem. Usta pomalowane karminową pomadką odcinały się od jasnej cery.

Lillian, zamiast oddalić się od samolotu, usunęła się na bok i obejrzała na wejście do kabiny. Marze przeszło przez myśl, że pewnie przyleciała z przyjacielem, z tym mężczyzną, który stał przy niej na jachcie. Na szczęście w jej rondawelu były dwa łóżka. Można je łatwo zestawić, a z podwójną moskitierą też nie będzie kłopotu.

Tymczasem z samolotu wysiadł Afrykanin w czerwonym berecie i w zielonym mundurze. Mara rozpoznała w nim strażnika z Arushy. Sięgnął w głąb ciemnej czeluści i wyciągnął dwulufową strzelbę dużego kalibru. Pod czujnym spojrzeniem Carltona i Lillian złamał lufę, wyjął dwa naboje z kieszeni na piersi i załadował broń. Dopiero wtedy, że strażnikiem u boku, ta dwójka wyłoniła się z cienia skrzydeł samolotu.

Carlton, podtrzymując gwiazdę za łokieć, kierował ją ku gospodyni. Z powodu obfitych kształtów poruszał się niezgrabnie na nierównym terenie.

- Lillian, to jest pani Mara Sutherland - powiedział, podchodząc. - Pani Sutherland, panna Lane - dokończył prezentacji.

Aktorka uśmiechnęła się ciepło, odsłaniając zęby w obwódce szkarłatnych warg. Mimo braku makijażu wyglądała olśniewająco. Końce kolczyków z perłami w kształcie kropli muskały brzeg postawionego kołnierza kombinezonu.

- Mów mi Lillian - poprosiła.

- Dziękuję - odezwała się gospodyni uprzejmie. - Ja jestem Mara.

- Mara - powtórzyła aktorka. - Jakie ładne imię! Pierwszy raz je słyszę. - Patrzyła na swą rozmówczynię z uważnym zainteresowaniem.

Mara uśmiechnęła się zadowolona, zupełnie jakby sama wybrała sobie imię.

Lane pochyliła się ku niej i położyła jej rękę na ramieniu. - Tak się cieszę, że tu jestem - wyznała. - Wiesz, ja nie cierpię małych samolotów. I mam lęk wysokości.

- Och, biedactwo - rzekła współczująco pani Sutherland. Poruszył ją przyjazny sposób bycia Lillian. Nie tego się spodziewała. - W takim razie może udasz się prosto do swojego bungalowu na filiżankę herbaty?

- Jesteś kochana - odparła aktorka. - Ale ja nie piję herbaty. Ani kawy.

- Hmm, w takim razie napij się lemoniady - wtrącił Carlton. - Musisz coś pić w takim upale.

Lillian zdawała się go nie słuchać. Odwróciła się do małej dziewczynki z kwiatami. Przykucnęła i odbierając bukiet, położyła dłoń na jej kręconych włosach i popatrzyła w oczy. Mara rozpoznała to samo uważne spojrzenie, które przed chwilą było skupione na niej. Być może tak właśnie zachowują się sławni ludzie - pomyślała; dzielił uwagę na małe, starannie wyważone porcje.

Ruszyli wszyscy wąską, wydeptaną już ścieżką pomiędzy pasem startowym a drogą do posiadłości. Strażnik ze strzelbą w dłoniach podążał tuż za nimi, niemal depcząc im po piętach. Lillian ponownie pochyliła się ku Marze, którą owionął kwiatowy zapach perfum aktorki, niewinny i lekki.

- Tak szczerze mówiąc - wyznała - mam ochotę na dżin z tonikiem i z lodem.

Mara opanowała odruch, by spojrzeć na zegarek; mogła być najwyżej trzecia.

- Oczywiście - odparła konfidencjonalnym tonem. - Chłopak z obsługi przyniesie ci drinka do pokoju.

- Dziękuję - odrzekła Lane. - Jesteś aniołem.

Gospodyni prowadziła ją do rondawelu widocznego w głębi. Aktorka rozglądała się dyskretnie. Lekki uśmiech zadowolenia błąkał się na jej ustach. Kiedy przeszli pod słoniowymi kłami, stał się bardziej promienny i wcale nie zniknął, gdy idąc na skróty przez brunatny trawnik, minęli na wpół wykopany dół pod basen. Gdy Lillian oglądała wnętrze rondawelu, Mara wciąż nie odrywała wzroku od jej uśmiechu. Carlton natomiast zastygł w drzwiach, wstrzymując oddech. Napięta cisza zdawała się przedłużać w nieskończoność. I nagle Lane przemówiła:

- Jestem zachwycona. Cudowne miejsce!

Kiedy napięcie ustąpiło, Mara odetchnęła z ulgą.

- Na pewno - rozpoczęła swą przemowę - będzie ci tu wygodnie. To jeden z naszych najlepszych pokoi. Jak widzisz, zamiast podłogi jest klepisko. - Wskazała ziemię u stóp świeżo pokrytą kolejną warstwą wosku pszczelego wymieszanego z olejem jadalnym. - To znacznie lepsze rozwiązanie od drewnianych podłóg, jakie mamy w blaszanych chatach; tu nic się nie może zagnieździć. Musisz tylko uważać na białe mrówki. Zjedzą wszystko, co pozostawisz na ziemi, i dlatego trzymaj rzeczy na stojaku do walizek albo na drugim łóżku. Naturalnie masz jeszcze do dyspozycji szuflady. - Wskazała dłonią toaletkę przyniesioną z własnej sypialni.

Zauważyła, że Lillian ze zdziwieniem patrzy na małe słoniczki pod nogami obydwu łóżek.

- Jest w nich nafta - wyjaśniła. - Dzięki temu żadne rozbactwo, takie jak kleszcze czy pluskwy, nie wejdzie do łóżka, gdybyś przypadkiem zapomniała zaciągnąć moskitierę. -

Wskazała gniazdko połączone przez *bwanę* Parę przewodem z oprawką lampy. - To do twojej suszarki. Nie przejmuj się tym kablem. Nic ci nie zagraża.

Carlton wszedł do środka, jakby ściągnięty tym słowem.

- Co zagraża? - podchwycił. Skrzywił się na widok przewodu wijącego się po ziemi. - Nie dotykaj tego. Przyślę Brendona, niech rzuci okiem.

- Nie ma potrzeby - Mara obruszyła się w imieniu *bwan*ny Pary. - Później, kiedy włączymy generator, poproszę naszego elektryka, żeby pokazał ci, co i jak. - Przeszła przez pokój i zajrzała do aneksu pełniącego funkcję łazienki. Poczowała zapach świeżo ściętej trawy, którą chłopcy z obsługi obrzucili czterogalonowy pojemnik z drewnianą deską służący za toaletę. - To jest *chow*. Po użyciu nasyp popiołu, żeby zniechęcić muchy. Zbiornik jest codziennie wymieniany.

Spojrzenie Mary zatrzymało się na komplecie ręczników rozwieszonych na haczykach. Wszystkie: kąpielowy, do twarzy i do rąk, były, jak zalecił Carlton, w takim samym, wrzosowym kolorze. W szafach z bielizną dla gości nie mieli pełnego kompletu ręczników w jednym odcieniu - te Mara dostała w prezencie ślubnym. Ciocia Ade wyszyła na nich słowa: „dla niej” i „dla niego”. Wręczyła je siostrzenicy ukradkiem w kuchni, jakby, podobnie jak suknia ślubna uszyta przez Lornę, były zakamuflowaną demonstracją buntu przeciwko zasadom obowiązującym kobiety w ich domu. Mara zastanawiała się, czy powiesić tutaj te ręczniki - przecież tylko ona i John mieli ich używać. Teraz, kiedy poznała Lillian, uznała, że podjęła słuszną decyzję. Jeżeli pomogą aktorce lepiej się tu poczuć, z radością ich jej użyczy.

Gdy znów na nią spojrzała, zauważyła, że uśmiech znikł z jej twarzy i kobieta rozgląda się teraz w popłochu. Mara ukryła konsternację, przypominając sobie, że nie pierwszy raz spotyka się z podobną reakcją. Pozostało jej jedynie wygłosić ostatnią część przemowy - tę, która miała uświadomić gościom pozytywne strony pobytu w Raynor Lodge.

- Oczywiście, nawykłaś do innych warunków. Tutaj jest inaczej niż w domu. To Afryka. Prawdziwa Afryka!

Z wyrazu twarzy Lillian odgadła, że toczy się w niej walka pomiędzy jej prawdziwą naturą i chęcią do wyrażenia spontanicznej reakcji a tym, jak chciałaby być postrzegana. Wielokrotnie widziała podobną minę u gości.

- Prawdziwa Afryka - powtórzyła Lane. - Nareszcie...

Mara zauważyła, jak Carlton, z ulgą przysmykając oczy, wycofuje się dyskretnie i kieruje ku pozostałym chatom. Chłopcy z obsługi, mając teraz wolne przejście, zaczęli wnosić bagaże aktorki. Pierwszy z nich wtaszczył ogromną, podniszczoną walizę oraz wypchaną torbę z gobelinowego materiału, którą przewiesił sobie przez ramię; drugi wniósł na głowie komplet trzech walizek z czerwonej skóry.

- Chcesz, żeby pomogli ci się rozpakować? - spytała Mara.

- Wolałabym, żebyś została - wyznała Lillian. - O ile masz czas... - Jednocześnie skinieniem ręki odprawiła chłopców.

Zachęciła Marę gestem, aby usiadła. Otworzyła pierwszą z walizek i wyjęła z niej buteleczkę perfum. Wtarała odrobinę w nadgarstki, a wtedy powietrze wypełnił delikatny, kwiatowy zapach.

- Moje ulubione perfumy - powiedziała. - L'Air du Temps. Zobacz, jaki śliczny flakonik.

Podawała go Marze, żeby mogła obejrzeć charakterystyczny szklany korek w kształcie dwóch gołąbków złączonych dzióbkami. Następnie wyciągnęła z walizki fotografię w ramce. Trzymając ją na wysokości pasa, wpatrywała się w nią z czułością, po czym podsunęła pani Sutherland.

Mara otworzyła oczy ze zdumienia. Spodziewała się zobaczyć mężczyznę, być może tego ze zdjęcia w czasopiśmie, tymczasem miała przed sobą portret owczarka niemieckiego.

- To Theo - wyjaśniła Lillian. - Strasznie za nim tęsknię. Zazwyczaj wszędzie ze mną jeździ. - Westchnęła. - Po-

ważnie się zastanawiałam nad przyjęciem roli Maggie, bo nie mogłam go tu zabrać. Niecodziennie jednak trafia się szansa na pracę z braćmi Millerami. Robią takie ciekawe filmy w porównaniu z tym, co się kręci w studio. - Uśmiechnęła się promiennie. - Wiesz, oni napisali tę rolę z myślą o mnie.

Mara odwzajemniła uśmiech i pokiwała głową, nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć. Nie nawykła do tego rodzaju rozmów. Lillian wypakowała aksamitną piżamę i rzuciła ją za siebie na łóżko. Gospodyni czuła, że powinna zaproponować pomoc, lecz z przyjemnością siedziała, słuchając wyurużeń aktorki. Kobiety, które przyjeżdżały do Raynor Lodge, niechętnie z nią rozmawiały. Właściwie często były rozczarowane jej obecnością, która niekorzystnie wpływała na romantyczny wizerunek Johna jako myśliwego.

Lillian podniosła gobelinową torbę. We wnętrzu zaszczeptał metal.

- To mój ekwipunek - wyjaśniła. - Kiedy Catherine Hepburn kręciła w Kongu *Afrykańską królową*, zawsze miała pod ręką swój niezbędnik. - Z torby wysypały się na łóżko zapasowe baterie, latarka, kompas i kilka bandaży.

- A to do czego? - Mara uniosła brwi na widok emaliowanego naczynia wielkości garnka.

Lane podniosła ów tajemniczy przedmiot, oglądając go ze wszystkich stron niczym niezwykle antyk.

- To na wypadek, gdyby nie było nocnika, przenośnej toalety czy jakkolwiek chciałybyś to nazwać. Hepburn bardzo pilnowała, żeby zawsze mieć w zasięgu toaletę. Bo, widzisz, jej ojciec był urologiem. - Odczekała, aż Mara skinie głową, zanim powróciła do rozpakowywania. - Jak dotąd żadna z tych rzeczy mi się jeszcze nie przydała. Ale teraz, w tej dżicy, kto wie? - Odwróciła się i spojrzała w okno. - Pierzasta korona ciernistego drzewa na tle spalonej słońcem trawy i jaskrawoniebieskiego nieba wypełniała ramę. - Czy tam są lwy? - spytała niepewnie.

- Są, ale nie musisz się przejmować - uspokoiła ją Mara. - Raczej rzadko schodzą z sawanny. Przy każdym wyjściu poza teren będzie ci towarzyszyć strażnik. - Widziała, jak rysy aktorki się odprężają. - I uwierz mi, nic ci nie grozi.

- Och, ja się wcale nie przejmuję - zachnęła się Lillian. - Lubię lwy. Widziałas *Elzã z afrykańskiego buszu*? Naturalnie ta dziewczyna w roli Joy Adamson była kiepska, mężczyzna też grał niewiele lepiej, ale lwy były cudowne.

Mara usiłowała wymyślić jakąś sensowną odpowiedź. Nic nie przychodziło jej jednak do głowy poza wspomnieniem widoku poszarpanych zwłok zebr i innych dzikich zwierząt oraz krwawych plam na rajgrasie.

- Może pomogę ci ją rozpakować - zaproponowała, wskazując największą walizkę.

- Nie teraz - odparła Lane. - Tam są kostiumy oraz przybory do charakteryzacji. Wszystko zależy, gdzie będzie garderoba... Przypuszczam, że Carlton to z tobą uzgodni. A może Rudi. Nie mamy w ekipie kostiumologa ani charakteryzatorki. Zgodziliśmy się z Peterem radzić sobie sami. To bardzo nietypowa sytuacja. Wszyscy ciężko pracujemy, żeby pomóc uratować ten film. - Zerknęła na okno i zniżyła głos: - Mamy poważne opóźnienie i budżet jest na wyczerpaniu. - Wróciła do walizki i wyjęła jedwabne kimono. - Ale zdjęcia są cudowne. To arcydzieło w trakcie tworzenia. Sama zobaczysz któregoś dnia... i dopiero wtedy zrozumiesz, dlaczego nam wszystkim tak bardzo zależy. - Niosąc szlafrok do wieszaka na drzwiach, podeszła do Mary. Przystanęła i popatrzyła jej prosto w oczy tym samym intensywnym, magnetycznym spojrzeniem, które już wcześniej pojawiło się w jej wzroku. Zupełnie jakby rozbłysło światło. - To będzie jeden z tych filmów, które pamięta się do końca życia. - Słowa Lillian zawisły w ciszy pokoju, jakby była w nich moc obietnicy albo przekleństwa. Po chwili czar prysł. Aktorka uśmiechnęła się do Mary. - Tak na marginesie, mam wielką ochotę na ten dżin z tonikiem.

- Ależ naturalnie. - Gospodyni zerwała się na równe nogi. - Zaraz przyślę Kefę.

Usiadła u szczytu głównego stołu, na miejscu, które zawsze zajmował John. Rozglądając się po jadalni, promieniała z dumy. Wszystkie stoły zostały nakryte. Kieliszki do wina i świeżo wyczyszczone srebrne sztuce tworzyły połyskliwe rzędy na hebanowym drewnie. Szeregi wykrochmalonych płóciennych serwetek poskładanych w trójkąty kontrastowały z czernią stołów. Wazony z bukietami z białych, morelowych i różowych bugenwilli dodawały szyku zastawie. Całe wnętrze dyskretnie oświetlały świece i lampy naftowe, mimo że nadal pracował generator.

Kefa płynnymi gestami dłoni wskazywał gościom miejsca. Pomagali mu chłopcy z obsługi chat, wystrojeni teraz w długie białe kaftany i małe czerwone czapeczki. Przy końcu stołu Mary zajęli miejsca Nickowie - operator zdjęć i jego młody asystent - obaj w identycznych białych garniturach. Siedzieli za daleko, aby mogła się z nimi przywitać, więc tylko pozdrowiła ich skinieniem dłoni. W tej samej chwili zauważyła, że Carlton, Leonard i Peter zbliżają się do jej stołu. Kefa usłużnie wysunął im krzesła. Miejsce po prawej stronie gospodyni było zarezerwowane dla Lillian. Bracia zostawili puste krzesło, zajmując miejsca zaraz za nim, a Peter usiadł po lewej ręce Mary. Spojrzała na niego ukradkiem, koncentrując uwagę na rasowych, regularnych rysach i niezwykłych niebieskozielonych oczach. Wolała nie wracać myślami do ich pierwszego spotkania. Nie rozumiała, jak mogła się tak pomylić, biorąc go za technika z ekipy.

Nagle zorientowała się, że on na nią patrzy.

- Czy wszystko w pokoju jest jak należy? - spytała.
- Tak, dzięki - odparł. - Pokój jest świetny.
- Cjeszę się. - Szukała w myślach czegoś błyskotliwego, sensownego. - Moskitiera w porządku?
- Tak. Idealnie rozwieszona. - Ślad uśmiechu błąkał się

na jego ustach. - Lubię spać pod moskitierą, przypomina mi czasy dzieciństwa.

Mara popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Korciło ją, żeby zapytać, gdzie był jego rodzinny dom - w buszu czy nad morzem. Tymczasem Leonard, przechylając się ponad stołem, zwrócił się do niego:

- Zastanawiałem się nad tekstem w scenie czterdziestej siódmej - zaczął. - Tej, gdzie Maggie odbiera telefon. Musisz być bardziej stanowczy, wręcz ostry.

Peter posłał Marze przepaszające spojrzenie i odwrócił się do reżysera. Carlton przestał się bawić spinką przy mankiecie i również skupił całą uwagę na bracie. Odnosiło się wrażenie, że taka sytuacja często się musi powtarzać; gdy mówił reżyser, cała reszta słucha.

- Dużo od tego zależy - kontynuował Leonard. Dla podkreślenia słów gestykulował rękami, rozcapierzając kościste palce. - Kłótnia między tobą i Maggie ma wyglądać bardzo poważnie!

Heath potaknął głową ze zrozumieniem, po czym podniósł do ust szklanekę z wodą. Kiedy pijąc, odchylił głowę, oczy Mary zatrzymały się na zarysie jego podbródka i szyi. Żółta poświata z lamp padała na twarz Petera. Cera na tle białej koszuli wydawała się ciemniejsza, a oczy jasnozielone. Delikatne cienie kładły się na kościach policzkowych i czole. Znowu wyglądał jak aktor - ktoś zupełnie niezwykle, prawie nierealny.

Wiedziała, że nie powinna się tak w niego wpatrywać. Mógłby wyczuć jej wzrok na sobie, tak jak zdaniem wielu ludzi wyczuwają to słonie. Dlatego John uczył klientów obserwować zdobycz kątem oka do chwili, kiedy będą gotowi złożyć się do strzału i nacisnąć spust.

Peter odstawił szklanekę. Zwrócił się ku Marze, a ona czym prędzej udała, że pilnuje Kefy, który akurat wskazywał Daudiemu wolne miejsce obok operatora dźwięku, Jamiego. Afrykanin zmienił brązowy garnitur na prostą nie-

bieską koszulę ze stójką w stylu Mao, preferowanym przez prezydenta. Zastanowiło ją, czy celowo wybrał tę koszulę jako rodzaj milczącej demonstracji przeciwko gromadzie białych, wystrojonych w eleganckie garnitury i krawaty.

Kiedy wszyscy usadowili się przy stołach i na moment przycichł szum rozmów, do jadalni wkroczyła Lillian. Czerwona wieczorowa suknia spływała po jej ciele miękkimi fałdami, odsłaniając jedno nagie ramię. Brylantowe kolczyki skrzyły się w uszach, rzucając migotliwie iskierki na szyć.

Aktorka przystanęła na środku i nagle stało się jasne, że to ona stanowi centralny punkt tej sceny, nadając jej pełnię i sens. Bukiety w wazonach wydawały się ułożone wyłącznie dla niej, a stoły ustawione tak, aby wszyscy mogli widzieć jej wejście. Nawet zapach afrykańskiej nocy zdawał się sączyć do wewnątrz na jej powitanie.

Carlton wstał, żeby wysunąć jej krzesło. Reszta towarzystwa nie ruszyła się z miejsc; zachowywali się inaczej niż Anglicy, którzy zawsze wstawali na widok kobiety wchodzącej do pokoju i trwali tak, dopóki ona nie poprosiła, żeby usiedli, lub sama wcześniej nie zajęła miejsca. Mara z nostalgią przypominała sobie, jak bardzo podobał jej się ten zwyczaj u Johna. Jak pochlebiał jej ów kurtuazyjny gest. Sprawiał, że czuła się kimś szczególnym, kimś takim jak Lillian, a nie środkową córką z siódemki dzieci, dorastającą w Mole Creek, na skraju Western Tiers na Tasmanii.

- Nie mogę tu usiąść - oświadczyła aktorka.

Mara spojrzała na nią zaskoczona. Przechylając się, sprawdziła krzesło, ale niczego tam nie dostrzegła.

- Wiesz, ja mam taki mały problem - wyjaśniła Lillian i zachichotała piskliwie. - Wolę siedzieć plecami do ściany.

Pani Sutherland natychmiast się podniosła, wyczuwając rosnące napięcie Carltona.

- Zamień się ze mną. - Wskazała swoje krzesło.

- Dziękuję, Maro - Lillian uśmiechnęła się z wdzięcznością, zajmując jej miejsce. Usadowiona, przywołała Kefę i za-

mówiła drinka. Potem odwróciła się do Petera i położyła mu dłoń na ramieniu. Już po chwili szczebiotała do niego radośnie, wciągając do rozmowy również Leonarda.

Carlton obserwował ją przez chwilę, po czym skupił uwagę na gospodyni. Patrzył na nią przyjaźnie, a zarazem z powagą.

- Maro, powiedz mi - zwrócił się do niej - jak to się stało, że zostałeś żoną myśliwego.

Goście często zadawali to pytanie. Zazwyczaj wyjaśniała krótko, iż poznali się z Johnem przez przypadek w Melbourne. Podejrzewała jednak, że taka odpowiedź nie zadowoli Carltona. Pamiętała, z jakim zainteresowaniem wypytywał o czaszkę słońca podczas pierwszej wizyty i jak ona zrobiła się bardziej wylewna, niż z początku zamierzała.

- Kiedy się poznaliśmy - zaczęła z namysłem - John planował skończyć z zawodowym myślistwem. Nie chciał dłużej strzelać do grubej zwierzyny. Miał dość pomagania ludziom w zabijaniu zwierząt tylko po to, żeby mogli zawieźć do domu łby czy ciosy jako trofea.

- Słyszałem o takich przypadkach - przyznał Carlton. - Znałem gościa, który co sezon polował w Jukonie. Któregoś roku wrócił do domu i sprzedał strzelbę. „Ostatni raz zabiłem sarnę” - oznajmił. I rzeczywiście. Nigdy więcej nie pojechał na polowanie.

- Tak. - Mara pokiwała głową. - Niestety, w naszym wypadku to nie było takie proste. John zakładał, że ludzie będą tu przyjeżdżać na wakacje, żeby odpoczywać, obserwować dzikie zwierzęta. Jednak nic z tego nie wyszło.

- Więc... musiał wrócić do polowania? - Carlton uniósł brwi, czekając na dalszy ciąg.

- Tak. - Mara wiedziała, że nie powinna w takim tonie snuć dalej tej opowieści. Lecz ujmowanie w słowa trudnej sytuacji, w jakiej się z Johnem znaleźli, sprawiało jej ulgę. Zresztą nieważne, o czym rozmawia z Carltonem, co innego, gdyby zwierzała się Helen. Jej rozmówca za dwa tygodnie

wyjedzie i nigdy więcej go nie zobaczy. - John źle się z tym czuł, było mu bardzo trudno. Ale się przemógł. - Westchnęła. - A ja musiałam nauczyć się roli gospodyni safari. Do moich obowiązków, oprócz wszelkich spraw związanych z organizowaniem obozowiska, należał również udział w polowaniu. - Spojrzała Carltonowi prosto w oczy. Teraz czuła się jak podczas spowiedzi. - Starłam się oswoić z widokiem zabijanych zwierząt, w końcu jestem córką farmera. Polowanie na antylopy czy gazy dla zdobycia mięsa to normalna sprawa. Jednak gruba zwierzyna... W miarę dobrze znosiłam strzelanie do bawołów, krokodyli czy nawet do lwów. Zawsze odchodziłam, zanim skórnik zabrał się do roboty. Ale nie mogłam patrzeć, jak zabija się słonie. Po prostu nie mogłam. - Przygryzła wargę. Choć przypuszczała, że Carlton nie ma ochoty tego słuchać, nie mogła się opamiętać. - Kiedy słoń pada, cała ziemia drży, dosłownie czujesz, jak te drgania przebiegają ci przez ciało. I wiesz, że to... jest złe.

- Wyobrażam sobie - odezwał się producent.

- Nie. - Mara powoli pokręciła głową. - Nie wyobrażasz sobie. - Spuściła głowę i utkwiała wzrok w dłoniach z kostkami pobielającymi z napięcia, zaciśniętych na rąbku obrusa. - W każdym razie, kiedy John musiał zastrzelić słoniątko, coś się we mnie załamało. Jeden z klientów zbagatelizował jego instrukcje i przez pomyłkę zabił matkę. Wiem, że maleństwo samo by nie przeżyło i nie było innego wyjścia. Jednak nie mogłam patrzeć, jak mój mąż to robi... Od tamtej chwili przestałam jeździć z nim na safari. I wtedy wszystko zaczęło się psuć. - Czuła, jak zaciska się jej krtań, a głos staje się piskliwy. - Problem w tym, że kiedy coś się popsuje, wszystko zaczyna układać się coraz gorzej. Nie da się cofnąć czasu i czegokolwiek odwrócić. Nic już nie można zrobić.

Urwała, świadoma, że to, co mówi, nie ma za wiele sensu. Carlton jednak kiwał głową, jakby rozumiał każde jej słowo.

- Uwierz mi, ja to znam - powiedział. - W branży filmowej mamy takie powiedzenie: „Jeśli nie ma wypalić, to nie wypali. I nic z tego nie będzie”. Ale wiesz co? - Przechylił się do Mary. Jego okrągła twarz miała ciepły, życzliwy wyraz. - Prawie zawsze wszystko się w końcu układa. Nie wiedzieć czemu, przychodzi odmiana, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa.

Chłonęła jego słowa. Miał kojący ton głosu i mówił z takim przekonaniem... Nagle uświadomiła sobie, że on jest filmowcem. Sprawianie, aby ludzie wierzyli w bajki, to jego chleb powszedni.

Podawanie do stołu przebiegało bardzo sprawnie, a chłopcy z obsługi chat okazali się zaskakująco zręcznymi kelnerami. Nerwowość pojawiła się dopiero wtedy, gdy Lilian odeśłała drugie danie do kuchni z prośbą, aby każdą z potraw podać jej na osobnym talerzu, tak żeby mogła dokładnie widzieć, co je. Mara z niepokojem oczekiwała reakcji Menelika, lecz uspokoiła się, kiedy Kefa przyniósł na tacy miseczki do lodów z małymi porcjami wszystkich dań. Przy deserze nad stolikami unosił się szmer zadowolonych głosów. Gospodyni poczuła się niemal odprężona, chociaż czekała ją dzisiaj jeszcze jedno zadanie.

Przy kawie szepnęła Carltonowi, że zanim ktokolwiek opuści jadalnię, ona musi powiedzieć parę słów o zasadach bezpieczeństwa. Tak zawsze postępował John, gdy przyjeżdżała nowa grupa gości. Robił to przede wszystkim ze względów praktycznych, a poza tym umacniał w ten sposób swój autorytet. Przybierał wówczas stanowczy, a zarazem uprzejmy ton i przemawiał jak rodzic, ktoś, kogo należy słuchać i poważać. Należało na wstępie ustalić odpowiednie relacje z klientami, którzy nie zawsze wiedzieli, jak się zachowywać na szlaku, nie potrafili przewidzieć wszystkich niebezpieczeństw lub, połączając, mogli nieświadomie naruszyć zasady etyczne lub prawne, a czasem i jedno, i drugie zarazem.

- Jesteś pewna, że to konieczne? - Carlton wymownie zerknął na Lilian. - Nie możesz powiedzieć tego mnie, a ja przekażę dalej?

Mara się zawahała. Zdecydowanie nie miała ochoty odgrywać roli *bwany*. Nie bardzo wiedziała, kogo się będzie bardziej krępować podczas tego publicznego występu - ludzi z fdmu czy własnych pracowników.

Potrząsnęła jednak głową i podniosła się z miejsca. Wszystko musi się odbyć tak, jak należy.

Stała w taki sposób, aby ogarnąć wzrokiem całe towarzystwo, a jednocześnie nie patrzeć na nikogo konkretnie. I świadoma, że naśladuje sposób mówienia Johna, zaczęła przemowę.

Najpierw wyliczyła najpoważniejsze potencjalne zagrożenia w tej części Afryki: ugryzienia komarów przenoszących malarię; możliwość zapadnięcia na dyzenterię po wypiciu wody z kranu; atak małpy lub psa chorych na wściekliznę; spotkanie z lwem, lampartem czy słoniem; a także nadeptanie na zieloną mambę, miejscowego węża, którego ukąszenie zawsze kończy się tragicznie.

Środki ostrożności omówiła tonem, który, jak miała nadzieję, brzmiał krzepiąco. Zapewniła słuchaczy, że dzięki zwierzęta z zasady unikają kontaktu z człowiekiem, podkreślając jednocześnie, że gościom wychodzącym poza teren zawsze musi towarzyszyć ktoś z personelu. Ludzie przyzwyczajeni do życia w Afryce potrafią bowiem dostrzegać ewentualne zagrożenia, natomiast nowo przybyli nie powinni niepotrzebnie narażać się na ryzyko. Kończąc tę część przemowy, zrobiła pauzę, aby jej słowa wszystkim zapadły w pamięć, po czym przeszła do mniej poważnych spraw: nie należy zostawiać jedzenia w pokojach, gdyż nietoperze i małpy znajdują do niego drogę, a to bardzo niechlujni intruzy; chodzenie boso po terenie grozi ugryzieniami tęgoryjca lub pchły piaskowej; jeśli komuś wpadnie do latryny zegarek czy ślubna obrączka, nie ma sposobu na ich odzyskanie.

Mara wyczuwała wzrastające w pokoju napięcie. Rozumiała, że nie ma dodającej odwagi prezencji *bwany*, białego myśliwego. Brakowało jej pewności siebie.

Kiedy skończyła, odetchnęła z ulgą. Usiadła, a w jadalni zapadła martwa cisza. Wzięła serwetkę ze stołu i żeby zająć ręce, rozłożyła ją na kolanach. Ze spuszczoną głową i ze wzrokiem wbitym w kwadrat białego płótna zaczęła skręcać materiał w węzeł.

- Jak ty to wszystko zapamiętałaś? - doszedł ją miły, przyjazny głos Petera. - Nawet nie miałaś notatek.

Teraz, gdy cisza została przerwana, jadalnię na nowo wypełnił szmer rozmów.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Och, wielokrotnie miałam okazję tego słuchać.

- Skoro mowa o środkach ostrożności... - Lillian wyszczyła drinka i potoczyła spojrzeniem po zebranych przy stole. - Czy wiecie, że Bogart, kiedy kręcił *Afrykańską królową*, cały czas popijał dzin? Poważnie, cały czas. To szczerą prawdą. - Wstała, skinęła na Kefę, a gdy podszedł, uniosła szklanekę. - I wiecie co? On jeden ani razu nie zachorował. Od dziś zamierzam traktować dzin jako lekarstwo.

- Lekarstwo - powtórzył Kefa. Odwrócił się do Mary: - *Dawa?* - powtórzył jeszcze raz w suahili, żeby sprawdzić, czy dobrze zrozumiał.

Wymijająco wzruszyła ramionami. Tłumaczenie było poprawne, lecz nie chciała, żeby ktokolwiek pomyślał, iż potwierdza zdanie Lillian. Owszem, według niektórych ludzi chinina zawarta w toniku chroniła przed malarią, lecz Mara nie słyszała, żeby dzin zabezpieczał przed chorobami tropikalnymi.

Kefa powrócił z drinkiem, a Lane obwieściła, że zabiera go do swego pokoju. Stłumiła ziewnięcie, przyciskając do ust palce ze starannie wymanikiurowanymi paznokciami.

- To był długi dzień. - Wyciągnęła rękę do Petera. - Mój drogi, byłbyś tak dobry i odprowadził mnie do pokoju? Strasznie ciemno na dworze.

Heath natychmiast podniósł się z miejsca, przepaszając panią Sutherland, Carltona i Leonarda.

- Ależ oczywiście.

Lillian ujęła go pod ramię. Mara złapała się na tym, że odprowadza ich wzrokiem. Z początku odniosła wrażenie, że w ruchach Petera dostrzega pewną rezerwę, lecz gdy obchodząc ze swą towarzyszką drugi stół, odwrócił się do niej bokiem, zobaczyła, jak swobodnie i naturalnie się śmieje. Na ułamek sekundy Lillian oparła mu głowę na ramieniu. Ten gest świadczący o zażyłości zaskoczył, wręcz zszokował Marę. Zaraz jednak pomyślała: Właściwie czemu nie miałyby ich łączyć serdeczne stosunki, skoro od wielu tygodni przebywają i pracują razem. Co więcej, zapewne grają w filmie kochanków, takie role zawsze przypadają parze głównych aktorów.

Lillian z Peterem wyszli na werandę. Ómy, zwabione światłem lampy nad drzwiami, wirowały ponad ich głowami jak złote konfetti. Kiedy para zniknęła w ciemnościach, Marę uderzyła myśl, że być może nawet są kochankami. Pewnie tak się dzieje wśród ludzi ich pokroju. Każdy nowy film niesie z sobą kolejny romans. A potem nadchodzi rozstanie. Są na tyle obyci w świecie i wystarczająco odporni, żeby nie przejmować się zanadto takimi sprawami.

Poświata księżycy, padając przez szybę, tworzyła chłodną, niebieskawą obrączkę wokół płomienia naftowej lampy. Mara powiesiła ją wysoko na ścianie, żeby rzucała delikatne światło na cały pokój. Stała przy oknie w krótkiej nocnej koszuli z białej bawełny, trzymając w dłoni lakoniczną notatkę od radiooperatora z misji. Wyprostowała kartkę i jeszcze raz przeczytała wiadomość od Johna. Wiedziała, że informacje radiowe zawsze brzmią oschle; mają być rzeczowe i zwięzłe. A jednak wyczuwała chłód w słowach męża i... obojętność.

Składając kartkę, zapatrzyła się w noc, na horyzont za ciemnym zarysem ogrodu. Gdzieś tam, na drugim końcu

kraju, leży rezerwat Selous. A w nim, na dziesięciu tysiącach kwadratowych mil dzikiego buszu, jest John.

Zobaczyła go, jak siedzi przy ognisku z łokciami wspartymi na kolanach, obejmując dłońmi metalowy kubek. Milczy, obojętny na rozmowy współtowarzyszy przy ognisku i śpiewy tragarzy płynące z drugiego końca obozowiska. Jest odprężony, bo wie, że dobrze wybrał teren pod obóz - otwartą przestrzeń osłania kilka potężnych drzew. Niemniej cały czas skupia się na odgłosach dochodzących z buszu: podejrzanym potrzaskiwaniu gałęzi czy cichych pomrukach lamparta.

Mara niemal czuła woń dymu z ogniska pomieszaną z zapachem środka na owady i starego potu. Słyszała syk lampy Tilleya i ciche skwierczenie owadów smażących się na szklanej osłonie. Ciekawe, co jedli na kolację - zastanawiała się - ci amatorzy pieszego safari.

I co to byli za ludzie?

Chciała odciąć tę myśl, jak przecina się nożyczkami kawałek płótna i wysnuwa z niego kolejną nitkę. Ale wyobraźnia nadal podsuwała jej obraz twarzy wokół ogniska. Odbijające się w oczach migotanie płomieni, policzki skąpane w pomarańczowej poświacie, smagłe twarze mężczyzn o ostrych, surowych rysach, ciche dudnienie ich mieszających się głosów. A potem wznoszący się ponad nimi inny głos, wysoki i dźwięczny. Smukłe nogi przebiegające na tle ogniska, łydki muskane światłem...

Kobiety nie biorą udziału w pieszych safari w Selous - powiedziała sobie Mara. To ogromny wysiłek nawet dla mężczyzn.

A jednak ta myśl natrętnie krążyła po głowie, jak ćma wokół światła, choć płomień opala jej skrzydła.

Kto wie, czy nie było tam jakiejś kobiety: czyjejs córki lub żony niekochającej męża albo jednej z tych kobiet zoologów, tak bardzo przez wszystkich podziwianych. Mara miała okazję poznać grupę takich badaczek, gdy udawały się

do ośrodka Jane Goodall* - były twarde, niezależne, interesujące i atrakcyjne.

Zdecydowanie postanowiła odsunąć te myśli. Nie wolno im ulegać.

Tymczasem odepchnęła się dłońmi od okna, a nogi same zanosły ją w przeciwległy kąt pokoju. I już po chwili stała przed komodą Johna, przeszukując po omacku sterty uprasowanych krótkich spodni i skarpet pozwijanych w pary...

Jest - upchnięta w głąb stara myśliwska kamizelka, której już nie nosił.

Wyjęła kopertę z kieszeni na piersi. Powoli wyciągnęła z niej dwa zdjęcia i trzymając jedno na drugim, przechyliła ku lampie. Starła się patrzeć na nie jak na coś, co budzi lekkie zaciekawienie - takie, z jakim Carlton oglądał fotografie w salonie.

Światło, igrając na matowej powierzchni pierwszego zdjęcia, jeszcze pogłębiało wyraźne kolory filmu Kodachrome. John i wysoka kobieta z długimi, jasnymi włosami. Stoją blisko siebie, niemal dotykają się ramionami i biodrami; nie rozdziela ich żadne martwe zwierzę u stóp. Taki sam kolor oczu i podobny odcień włosów sprawiają, że wyglądają jak rodzeństwo. A postawa, swobodna i niewymuszona, mogłaby świadczyć, że znają się od lat. W pozie kobiety nie ma śladu kokieterii czy fałszywej brawury, tak typowej dla zdjęć klientów z polowań. Jej spojrzenie cechuje spokój i szczerść. Wygląda jak ktoś, kogo ma się ochotę poznać. Sprawia sympatyczne wrażenie.

Mara przymknęła powieki. Skurecz zazdrości zacisnął jej żołądek i boleśnie rozszedł się po ciele. A jednak wyjęła spod spodu drugie zdjęcie.

Tu była sama.

Matilda.

* Brytyjska uczona prowadząca badania nad szympanсами w parku narodowym Gombe w Tanzanii.

Mara wymówiła to imię szeptem. Brzmiało tak wdzięcznie, ładnie, a jednocześnie miało w sobie pewną dostojność i powagę.

Matilda, przebrana do kolacji w długą, obcisłą suknię ze srebrnej lamy, z jasną etolą wokół ramion, stoi na stopniach schodów przed Muthaiga Club. Suknia skrzy się w świetle flesza, a ona wygląda jak bogini spowita w księżycową poświatę. Usta ma lekko pociągnięte ciemnoczerwoną pomadką, a włosy wysoko upięte. Tak upozowana i taka piękna, wygląda jak gwiazda filmowa - ktoś taki jak Lillian Lane.

Mara wyciągnęła z koperty złożoną kartkę. Palce zawisły w powietrzu, gotowe ją rozłożyć. Nie było jednak takiej potrzeby, bo znała na pamięć każde słowo i kształt ręcznie pisanych pochyłych liter.

Na tę kopertę natrafiła przypadkiem, szukając w szufladach Johna jakiejś starej koszuli dla siebie. Układanie i rozwieszanie jego wypranych rzeczy należało do kuchcika i kiedy znalazła starą, ciasno zwiniętą kamizelkę, upchniętą za stosem krótkich spodni khaki, była gotowa go zawołać, żeby się wytłumaczył, dlaczego ją tam włożył, zamiast powiesić w szafie. I wtedy dostrzegła wystający z kieszeni rozek koperty. Z początku nie przejęła się zdjęciami. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, że klienci je przysyłali - przez jakiś czas żyli jeszcze wspomnieniami z safari i wyobrażali sobie, że ich pobyt zapisał się w jakiś szczególny sposób w historii Raynor Lodge. Zazwyczaj takie zdjęcia przypinało się do korkowej tablicy nad bufetem, aby mogli je oglądać kolejni goście. Czasem któreś z nich się oprawiało, dodając do kolekcji na ścianie.

Jednak te zdjęcia John trzymał schowane. A na kopercie widniały zaledwie dwa słowa: „dla Johna”. Nie było na niej adresu ani znaczka, więc nie przyszła poczta.

A potem zobaczyła list. Zanim jakiegokolwiek skrupuły zdążyły zrodzić się w jej głowie, rozpostarła pojedynczą kartkę z nagłówkiem Raynor Lodge.

Słowa tańczyły jej przed oczami - układały się z klarowną jasnością i ginęły we mgle wywołanej szokiem.

Wspomnienie tamtej nocy zostanie ze mną na zawsze... I chociaż więcej się nie spotkamy, nigdy nie zapomnę pieśczęty Twoich rąk i dotyku ust na mych włosach... Nie mówmy o miłości, przecież jesteśmy dwojgiem obcych sobie ludzi - jednak nigdy już nie wydarzy się coś tak cennego, tak prawdziwego...

Stała z listem w drżącej dłoni, a słowa nie chciały znieruchomieć; ich wymowa była tak jednoznaczna. Brakowało jej tchu. Nogi zmiękły w kolanach. Ból, niczym klinga miecza, wwiercał się w duszę.

To się zdarzyło pięć miesięcy temu. Minęło pięć miesięcy, trzy dni i jedna noc.

Mara niezliczenie wiele razy odtwarzała w myślach kolejne odczucia wynikające z tamtego koszmarnego odkrycia. Najpierw ucieczka w niedowierzenie. Niemożliwe, aby John złamał najważniejszą z żelaznych zasad wpajanych przez Raynora: Można cię wynająć jako myśliwego, lecz prywatnie życie jest twoją własnością. Te dwie sprawy dzieli granica, której nigdy nie wolno przekroczyć.

Ajednak przekroczył. Przekroczył...

A potem, patrząc wstecz, przebiegała w myślach zapamiętane sceny, usiłując je zinterpretować w nowym świetle.

Pamiętała przyjazd Matildy z ojcem do Lodge. Odgadła, że są Brytyjczykami, zanim jeszcze otworzyli usta, żeby wypowiedzieć tradycyjne *How do you do?* W wieczór poprzedzający wyjazd na safari urządzono kolację. Mara spodziewała się, że Matilda przyjdzie na nią - tak jak zwykle inne kobiety - wystrojona w wieczorową suknię. Tymczasem ona ubrała się w skromną sukienkę do kolan, w której, o dziwo, wyglądała olśniewająco.

Najbardziej jednak utkwiał Marze w pamięci poranek

w dniu wyjazdu Matildy z ojcem i z Johnem na safari. Wyruszyli tuż przed świtem. Drzewa wokół domu przypominały ciemne wycinanki na tle intensywnie różowego nieba. O tej porze w przyrodzie panuje cisza. Wkrótce miało wzejść słońce - złocista kula oblewająca równinę światłem. Powietrze wypełniały przyciszone, podekscytowane głosy ludzi szykujących się do wyjazdu na safari. Menelik stał przy land-roverze z przyborami kuchennymi i pilnował Dudu, który znosił z kuchni butelki, worki, wiaderka i puszki z prowiantem. Kefa kręcił się przy samochodzie, licząc prycze, worki z namiotami, śpiwory, lampy i miski. Tragarz brojni, idąc wzdłuż rzędu strzelb, sprawdzał wszystkie po kolei i mocował je na specjalnym stojaku na pace.

Matilda wkroczyła na scenę, dojadając ciepłą bułeczkę ze śniadania. Za nią podążał ojciec. Poprawiał coś przy naramiennikach myśliwskiej koszuli i Mara w jego sztywnych ruchach wyczytała napięcie człowieka, u którego podniecenie miesza się z obawą. Był doświadczonym myśliwym i wiedział, co ich czeka.

Uśmiechnęła się do Matildy na powitanie. Poczowała świeży zapach jej mydła.

- Nie wiem, jak możesz wytrzymać, zostając w domu! - zwróciła się do niej dziewczyna. Miała taki sam akcent jak John i, podobnie jak on, starannie wymawiała każde słowo. - Nie żałujesz, że nie jedziesz z nami?

- Pewnie, że żałuję. Ale czeka mnie tutaj mnóstwo pracy - odrzekła Mara.

Miała nadzieję, że Matilda nie będzie drażyć tematu. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby komuś, kto z takim entuzjazmem opowiadał Johnowi o tropieniu jeleni w rodzinnej posiadłości, wytłumaczyć, że ona nie potrafi stać za uzbrojonymi ludźmi i patrzeć, jak celują do pasącego się słonia czy lwa ziewającego o zachodzie słońca. I że nie jest do końca pewna, czy nie wyrwałby jej się z ust ostrzegający okrzyk albo nie chwyciłaby za róg, czekając w land-roverze, pod-

czas gdy myśliwi pokonywaliby pieszo obowiązkowe ostatnie jardy przed złożeniem się do strzału.

Nie potrafiła wyjaśnić, że dotąd prześladowuje ją żalosne zawrodożenie małego, bladego słońiatka, które rozpaczliwie wymachując trąbą, usiłowało obudzić nieruchomą matkę. I tamta cisza, która zamknęła się nad ziemią, wysysając tlen z powietrza, po tym jak John przyłożył mu lufę do głowy i nacisnął spust.

W ów poranek wyszedł z domu ubrany starannie, żeby pasować strojem do świeżo umytego pojazdu. Mara patrzyła, jak sprawdza poczerwiałe opony i zagląda pod podwozie. Był gotowy ruszać w drogę.

Kiedy Matilda z ojcem wsiadali do land-rovera, John stanął przed Marą. Wymienili zdawkowe pożegnania, pokrywając napięcie uśmiechem, a w powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie: czy żona życzy mu szczęścia na polowaniu, czy raczej niepowodzenia?

Pochylił się, żeby ją pocałować. Muskając wargami jego policzek, wyobraziła sobie, że czuje od męża zapach powietrza otwartych przestrzeni, ostrą woń dzikiej szafalii miazdzonej butami, oliwę do konserwacji broni i krew...

Kiedy natrafiła na jego spojrzenie, dostrzegła w nim coś na kształt buntu. Czy już wiedział? - pytała siebie teraz. A Matilda? Być może to było tak nieuniknione, że nawet Menelik, patrząc z boku, widział, co się święci.

Mara wsunęła list i dwa zdjęcia z powrotem do koperty i ostrożnie włożyła ją do kieszeni. Zwinęła kamizelkę dokładnie tak, jak znalazła ją za pierwszym razem, i wepchnęła w głąb szuflady. Nie chciała, aby John się domyślił, że jej kiedykolwiek dotykała.

Jego tajemnica stała się jej sekretem.

Kto wie, czy gdyby nie było go w domu, kiedy dokonała tamtego odkrycia, nie spakowałaby walizki i nie wyjechała. Tylko dokąd? Nawet gdyby miała pieniądze na podróż do Australii, takiego wyjścia absolutnie nie brała pod uwagę.

Nie mogła wrócić do domu i przyznać ojcu, że od początku miała rację. Nie miałyby serca powiedzieć Lornie, że ich wspólna wiara w siłę marzeń okazała się płonna. A jakie życie czekałoby ją jako rozwódkę? Nie znała ani jednej osoby po rozwodzie. U farmerów w Tasmanii więzy małżeńskie były silne i solidne, jak płoty pomiędzy farmami.

Tak się złożyło, że tamtego dnia John był w domu i pracował na dworze. Przez chwilę stała w sypialni jak skamieniała, a wraz z sączącą się świadomością tego, co się stało, wzbierał w niej gniew. Postanowiła poszukać męża.

Było coś nierealnego w tym, że jej stopy, jakby nigdy nic, tak normalnie poruszały się jedna za drugą, odnajdując drogę przez drzwi i po schodach.

Znalazła Johna przy wykopie pod basen; miarowo wybierał łopaty ziemi. Zastygła na jego widok, po kręgosłupie przebiegł jej dreszcz. Jakaś częścią swej istoty zapragnęła podbiec do niego i w jego ramionach szukać ukojenia, jakby ból, który czuła, zadał jej wróg. John ją obroni, pomoże, pocieszy...

Niestety, wszystko było o wiele bardziej skomplikowane.

Wycofała się za krzew uroczynu; serce tłukło się jej w piersi, a ciężki zapach różowych kwiatów przyprawiał o mdłości. Obserwowała Johna zza parawanu gałęzi i liści.

Pracował rozebrany do pasa i pokryty kurzem. Przy każdym ruchu łopaty napinały się mięśnie jego ramion i torsu.

Patrzyła na ciało męża - to samo, którego dotykała inna kobieta.

Ciało, które już do niej nie należy...

Pot strużkami spływał mu po twarzy. W jego ruchach była jakaś desperacja, jakby wszystko zależało od powiększenia tego dołu i ukończenia basenu. Zaciśnięte wargi wykrzywił posępny grymas jak u kogoś, kto zмага się z bólem.

Mara stała nieruchomo. Przyszła, żeby się z nim rozmówić, lecz teraz, kiedy zastanawiała się, od czego zacząć, żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Wyraz twarzy Johna

odbierał odwagę, wydawał się obcy. Nie potrafiła przewidzieć, jak zareaguje.

W oczach zakręciły się jej łzy. Gniew słabł, stawał się bezużyteczny i bezsensowny. Jego miejsce zajęły niepewność i zagubienie, a strach oblewał ciało zimną falą. Ta chwila zaciąży na jej życiu na zawsze. Nie można cofnąć czasu.

Przeszło jej przez myśl, że może lepiej byłoby spróbować zapomnieć o tym, co się stało. Matilda napisała, że ona i John nigdy więcej się nie spotkają, cała treść listu sugerowała jednonocną przygodę. Być może nie powinna przywiązywać aż tak wielkiej wagi do całej sprawy.

Wiedziała, że gdyby zapytała którąś z kobiet we wsi, co zrobiłaby na jej miejscu, zostałyby zwyczajnie wyśmiana. „Wyrzuca cię z domu?” - zapytałaby. „Będzie płodzić z tą drugą dzieci, a ciebie odprawia?” Mogłaby nawet zaproponować, żeby Mara zażądała poślubienia przez męża tej drugiej kobiety - wtedy obie *memsahib* mogłyby się dzielić pracą w Lodge.

Mara wiedziała również, że gdyby była jedną z kenijskich żon z Happy Valley, gdzie zarówno single, jak i małżeńskie pary urządzają w domach kilkudniowe orgietki, prawdopodobnie nie przejęłaby się aż tak bardzo niewiernością Johna.

Niewątpliwie najrozsądniej było przełknąć gorzką pigułkę i żyć dalej.

Okazało się to jednak nie takie proste. Mara zaczęła unikać jakichkolwiek szczerych rozmów z Johnem, żeby przypadkiem się nie zdradzić.

Często krytycznie oglądała się w lustrze. Przeżyli ze sobą swój „pierwszy raz” i w noc poślubną oboje byli w tych sprawach ignorantami. Teraz Marę prześladowała myśl, że mąż miał ją z kim porównywać.

Dreńczyło ją mnóstwo pytań. Ona ma ciemne włosy, a Angielka jasne. Czy Johnowi bardziej odpowiadała delikatna

uroda blondynki? Czy śniada cera żony wydawała mu się prostacka? Jakie tajemnice kryło ciało tamtej kobiety?

Jeśli John jej teraz dotykał - albo nie dotykał - nurtowało ją, czy nie żałuje, że ona nie jest kimś innym. Kimś, kto wyglądał jak anioł i przemawiał głosem monarchini.

Z czasem w Marze rosło przekonanie, że rozumie, dlaczego mąż ją zdradził. Wiedziała, że odmowę towarzyszenia mu na safari potraktował jako brak akceptacji. Była świadoma, że chociaż szczerze chciał skończyć z polowaniem dla zdobywania trofeów, głęboko raniła go odraza, jaką ona czuła do tego zajęcia. Polowanie na grubego zwierza było tym, co potrafił robić najlepiej - jego największą umiejętnością. Pozostawał jeszcze podziw dla ukochanego nauczyciela, Raynora. Do tych rozterek dochodził stres związany z upadającą firmą. Kłopoty finansowe. I niekończąca się ciężka praca.

Czy to nie są wystarczające powody, aby męczyzna poddał się urokowi podziwiającej go pięknej kobiety?

Chociaż Mara potrafiła usprawiedliwić Johna, nie umiała uporać się ze skutkami zdrady. Czuła, jak ze wszystkich niewypowiedzianych słów i powstrzymanych serdecznych gestów wznosi wokół siebie niewidzialny mur, który więzi ją w pustej, zimnej przestrzeni. Z każdym mijającym dniem ten mur rósł w górę. Nie miała pojęcia, jak można byłoby go teraz skruszyć, jak cokolwiek mogłoby przebić się przez tę niewidzialną ścianę lub ją poruszyć.

Leżała na swojej połowie łóżka z ramionami ułożonymi wzdłuż ciała, jakby John zajmował przestrzeń obok, a nie był gdzieś, setki mil od niej. Stłumione dźwięki - szmer głosów, trzask drzwi, kaszlnięcie, śmiech - przerywały wieczorną ciszę. To nie były zwykłe odgłosy buszu, tylko dźwięki domu zamieszkanego przez ludzi. Przypomniało jej się, jak oboje z Johnem marzyli o Raynor Lodge pełnym gości, tętniącym życiem. Teraz to już nie miało znaczenia. Nic już się nie liczyło.

Przesunęła głowę na poduszce, usiłując zmniejszyć napięcie mięśni karku. Zmęczenie, które wcześniej czuła, zdążyło z niej spłynąć. Leżała wyprostowana, a natłok myśli spędzał sen z jej powiek. Wirowały w głowie, wzburzone i gniewne, jak głodne owady polujące w ciemnościach.

6

Jednostajne dudnienie powoli wdzierało się w świadomość Mary, budząc ją w końcu z ciężkiego snu. Uniosła głowę. Usłyszała szmer głosów dochodzący z ogrodu. Z drugiej strony, zza ściany, doszedł ją brzęk talerzy zmywanych w kuchni. Usiadła wyprostowana i spojrzała w okno. Jasne i mocne światło świadczyło o tym, że dawno minął świt.

Odrzuciła kołdrę, wyciągnęła koniec moskitiery spod materaca i wyskoczyła z łóżka. Chwyciła zegarek z nocnego stolika, patrząc w popłochu na maleńkie wskazówki. Dochodziła ósma. Jak mogła zaspać, mając na głowie dom pełen ludzi?

Pobiegła do łazienki. Odkręciła kurek z gorącą wodą, podstawiając palce pod strumień. Odetchnęła z ulgą, gdy popłynęła ciepła woda. Mimo braku nadzoru palacz dobrze się spisał.

Umyła się pospiesznie, założyła robocze ubranie i wyszła z pokoju, stąpając cicho po korytarzu. Czuła się jak intruz. Dzień zaczął się bez niej i teraz musiała znaleźć sposób, aby odnaleźć swe miejsce w wirze zajęć. Bała się wejść do bawialni i stanąć twarzą w twarz z siedzącymi tam ludźmi. Za drzwiami nie było słyhać rozmów, pewnie wszyscy trwają w ponurej ciszy. Może są bez śniadania. Chłopcy z obsługi chat mogli zapomnieć o dostarczeniu ciepłej wody do pokoi. Może nie podali nawet *czaju* do łóżek na dobry początek dnia.

Przystanęła przed drzwiami, niepewna, co dalej robić.

Jeśli przemknie się przez część jadalną schylona za bufetem, może pozostanie niezauważona. W części wypoczynkowej mogłaby rozejrzeć się zza bambusowego parawanu i ocenić sytuację, zanim pokaże się gościom. Sięgała ręką do klamki, gdy jej wzrok padł na kapelusze leżący na pobliskim stoliku.

Kapelusze *bwany memsahib*.

Po krótkim wahaniu podniosła go i opuszczając rondo, nasadziła na głowę. Potem zapięła patkę na kieszeni, a koniec paska wsunęła w szlufkę przy spodniach. Zadarła podbródek i ściągnęła brwi jak ktoś zaaferowany pilnym zadaniem. Dopiero wtedy pchnęła drzwi i zdecydowanym krokiem weszła do pokoju.

Minęło parę sekund, zanim do niej dotarło, że prawie nikogo tam nie ma. Tylko jedna sylwetka poruszała się w ciszy. Po jasnych kędziorach rozpoznała rekwizytora Rudiego; pochylony, oglądał książki rozłożone na stołach. Gdy skierowała się w jego stronę, starając się utrzymać energiczne ruchy, jej uwagę przyciągnęła barwna plama na tle ściany. Na kredensie stał wazon z dużym bukietem czerwonych kwiatów. Zielone gałęzie obsypane karminowymi kielichami pochodziły z krzewów hibiskusa okalających werandę. Na moment zatrzymała spojrzenie na tej malowniczej kompozycji i wtedy odniosła wrażenie dziwnej pustki w sąsiedztwie wazonu. Zatrzymała się w pół kroku; ktoś usunął kolekcję artystycznych talerzy Alice. Rozglądając się, zauważyła inne zmiany. Na bufecie leżała sterta poskładanych białych obrusów i nieznana jej strzelba. Pojawił się stołek na trzech nogach z siedzeniem obciągniętym skórą zebry. I znikły książki z biblioteczeki.

- Cześć! - Rudi podniósł głowę i uśmiechnął się do Mary. - Wyglądasz na bardzo zajęta.

- Eee, tak. Ty też - odparła.

Przekładał książki.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe - zaczął, nie patrząc na nią. - Usunąłem trochę twoich drobiazków, no

i książek. Nie pasowały mi tutaj. *Zbiór wierszy Audena, Mity staroskandynawskie, Hamlet*. Skąd się tu wzięły te rzeczy?

Mara szukała wzrokiem książek. Należały do najcenniejszych pamiątek Johna. Oprawne w skórę wydania kupił mu Raynor, uważając za swój obowiązek zapewnienie odpowiedniej edukacji młodemu praktykantowi. Jeszcze cenniejszy od tego zbioru był dla Johna zniszczony egzemplarz *Kopalni króla Salomona*, który zawsze trzymał na nocnym stoliku. Ta powieść towarzyszyła mu podczas samotnych lat w szkole z internatem, gdy wyjechał z Afryki do Anglii.

- Nic się nie martw, są bezpieczne - uspokoił Rudi Marę, widząc jej minę. - Włożyłem wszystko do tej komody przy drzwiach. - Brał książki ze stołu i czytając tytuły, wstawił do biblioteczki. - *Wędrowki łowcy słoni* Karamoja Bella, *Wędrowki myśliwego* Fredericka Selousa. - Posłał Marze łobuzerski uśmiech. - Widać, ci goście cholernie lubili wędrować! - Podniósł książkę w ciemnych okładkach z grzbietem w kolorze akwamarynu i pieszczotliwie obracał ją w dłoniach. - Popatrz na ten rarytas. Pierwsze wydanie *Zielonych wzgórz Afryki*. Mam także *Śniegi Kilimandżaro*. Przyda nam się dużo Hemingwaya.

Mara ledwo go słuchała. Rozglądając się po pokoju, dostrzegała coraz więcej drobnych zmian. Pokój został subtelnie odmieniony. Nerwowo wciągnęła powietrze, wyobrażając sobie, co by na to powiedział John. Niczego tu nie przestawiono po śmierci Raynora, a i on sam nie przesunął nawet jednego bibelotu od czasów, gdy Alice nastąpiła tutaj jako *memsahib*.

- A właściwie co ty robisz? - Mara zażądała wyjaśnień.

Rudi zerknął na nią przez ramię.

- Sprawiam, żeby to miejsce wyglądało bardziej prawdziwie. Mamy się znaleźć w domu myśliwskim z lat trzydziestych. Akcja filmu toczy się współcześnie, a więc wszystko powinno być wyblakłe i podniszczone.

Rozglądała się zdezorientowana.

- Ale... tak tu właśnie jest. - Z miejsca pożałowała tych słów. Zabrzmiały tak... naiwnie.

- Muszę nadać temu miejscu jeszcze bardziej przekonujący wygląd - wyjaśnił Rudi. - Na tym polega moja praca. Trzeba wykreować obraz zgodny z oczekiwaniami widzów, mając na uwadze ich wiedzę. A potem dodać kilka zaskakujących szczegółów, których nie podsunęłaby im wyobraźnia. - Spojrzał wyczekująco na Marę jak artysta, który liczy na aplauz.

- Rozumiem - powiedziała.

- Zgoda, tu wszystko nam pasuje - mówił. - To miejsce jest o niebo lepsze od tamtej wiejskiej chaty w pobliżu hotelu, gdzie z początku planowaliśmy kręcić. Myśleliśmy, żeby dobudować ściany, obniżyć sufity, powstawić trochę podstawowych sprzętów, dołożyć trofea, fotografie, strzelby... - Przerwał, patrząc na nią z powagą. - Wiesz, ja muszę tu odwalić kawał dobrej roboty... a właściwie lepszej niż dobrej. Praca z Millerami to dla mnie życiowa szansa. Kiedy ten film wejdzie na ekrany, będę mógł rzucić dotychczasową robotę. Skończyć zjeżdżeniem na taksówce.

Mara skwitowała jego słowa niepewnym uśmiechem.

- Co jeszcze planujesz tu zmienić? - zapytała ostrożnie.

Rudi lustrował tymczasem gzyms nad kominkiem, wzdając oczyma po kolekcji afrykańskich rzeźb i masajskich naszyjników z koralików.

- Mnóstwo rzeczy. Dopiero zacząłem.

Wiedziała, że powinna mu tego zabronić, powiedzieć, żeby natychmiast przestał, lecz nie miała ochoty go powstrzymywać; nie tylko ze względu na jego entuzjazm. Tak naprawdę, w głębi duszy czerpała perfidną satysfakcję z tego, co robił. Odkąd przyjechała do Raynor Lodge, wiele razy sama miała ochotę wprowadzić tu trochę zmian.

- Hmm, pamiętaj jednak, że kiedy skończycie, musisz poustawiać te wszystkie rzeczy dokładnie na swoje miejsca - zastrzegła.

- Jasne. Nie ma sprawy. Zawsze tak robimy - zapewnił ją Rudi. Ta obietnica bez zająknięcia popłynęła mu z ust, jakby nie przywiązywał do niej większej wagi. - A tak przy okazji. Śniadanie było bajeczne. A omelet pikantny jak diabli. Miałem wrażenie, że się znalazłem w Meksyku.

Mara uniosła brwi, mając cichą nadzieję, że z tą miną wygląda na uprzejmie zainteresowaną, a nie zaskoczoną. Menelik niezmiennie przygotowywał angielskie omelety: lekkie, puszyste i mdłe. A skoro śniadanie już zostało podane, czemu nie pozostały po nim żadne ślady?

- Zamówiłem tanzański omelet - zdradził Rudi. - Taki, jaki podpatrzyłem u Daudiego, z mnóstwem zielonych papryczek chili. Daje niezłego kopa. Fantastyczny.

- Miło mi to słyszeć - skwitowała. Za wszelką cenę starała się ukryć zaskoczenie. Tanzański omelet? Papryczki chili? Przyjęła na powrót rzeczową postawę, splatając ramiona na piersi. - Gdzie znajdę Carltona?

- Kiedy go ostatnio widziałem, kończył śniadanie.

- U siebie?

Rudi pokręcił głową, a kędziory zatańczyły mu wokół twarzy.

- Na zewnątrz, tam gdzie wszyscy jedliśmy. Nie mogłem ich tu wpuścić, żeby mi jedli na środku planu, nie?

- Oczywiście, że nie - przytaknęła. Odwróciła się energicznie na pięcie i wyszła na werandę.

Stoły na kozłach, nakryte białymi obrusami, stały na trawniku pod dużym baldachimem. Był jeszcze w trakcie mocowania; dwóch Somalijszczyków z ekipy wbijało kołki w twardą ziemię. Krzesła stały w nieładzie, tam gdzie ich użytkownicy je pozostawili, wstając od stołu. Tu i ówdzie leżały pomięte serwetki, a okruchy chleba i czerwone plamy z dżemu znaczyły miejsca po talerzach i sztućcach. Kiedy Mara ogarniała oczyma tę scenę, wrona zanurkowała na kawałek grzanki. Zanim zdążyła go porwać, pojawił się kuchcik, machając packą na muchy z ogona zebry.

- *Jambo, bwana memsahib* - pozdrowił ją śpiewnie.

- *Jambo, Dudu!* - zawołała za nim, gdy gonił za ptakiem. Machając ramionami, sam wyglądał jak ptak albo duży owad. Ten widok ją rozbawił.

Carlton siedział u szczytu ostatniego stołu w rzędzie. Nawet w cieniu baldachimu pozostawał rozpoznawalny dzięki swojej hawajskiej koszuli w jaskrawych, wesołych kolorach. Mara zmierzała ku niemu, kiedy podszedł do niej Kefa, wyłoniwszy się z kuchni. Przystanęła w pół kroku, czując, jak tężeje z niepokoju.

- Tu pani jest! - ucieszył się. Trzymał tacę z malutką filiżanką parującej kawy. Obok leżała bułeczka i zgrabnie uformowany kawałeczek masła. - Menelik mi kazał pani poszukać. Pani jest zajęta, ale musi jeść.

Popatrzyła mu w oczy. Wiedział, że zasnęła, była tego pewna. O tej porze rzadko wychodziła na polowanie. Ale to właśnie było typowe dla Afrykanów - uprzejmość nakazywała pozwolić drugiej osobie zachować twarz. Z pokorą i z wdzięcznością spuściła wzrok.

- Podałeś śniadanie - stwierdziła. Podnosząc oczy, widziała, jak Kefa przytaknął skinieniem głowy. - Były jakieś problemy? - Użyła słowa *shauri* w suahili, szerokiego pojęcia, które obejmowało wszystko, od drobnych trudności po totalną katastrofę.

- Żadnych problemów. Wszyscy zadowoleni.

Choć w oczach Afrykanina nie było śladu wyrzutu, Mara czuła się winna, że w ten pierwszy poranek on i Menelik musieli sami zadbać o całą ekipę filmową. Już otwierała usta, żeby wyznać, jak jej z tego powodu przykro, gdy przypomniała sobie radę, której zaraz po przyjeździe udzieliła jej Bina: „Nigdy nie usprawiedliwiał się przed personelem. Przeszanę cię szanować. Potem nie utrzymasz ich w ryzach”.

- Świetnie się spisałeś - powiedziała po prostu.

Kefa uśmiechnął się z dumą.

- Dziękuję, *bwana memsahib*.

- I... - szukała odpowiednich słów. - Żałuję, że zaspalam, kiedy powinnam nad wszystkim czuwać.

Z powagą pokiwał głową i wyciągnął do niej rękę z tacą.

- *Pole sana*. Bardzo przepraszam - dodała jeszcze, zanim ją od niego wzięła.

Kefa nie odpowiedział. Ukłonił się tylko i podał tacę. Ale widziała, że bardzo go zaskoczyła tymi słowami. Zaskoczyła i - miała nadzieję - sprawiła przyjemność, choć tego nie była do końca pewna.

Skierowała się z tacą do Carltona. Idąc, spoglądała tęsknie na filiżankę z kawą. To nie była lura z ekspresu, jaką Menelik podał Amerykanom. Dla niej zrobił kawę po etiopsku. Jakimś cudem w tym całym okołodziadaniowym zamieszaniu znalazł czas, żeby uprażyć zielone ziarenka i utłuc je w móżdżerzu. Napar będzie mocny i słodki. Mara wdychała jego aromat. Już wyobrażała sobie, jak kawa rozpułynie się po ciele, usuwając znużenie. Dokładnie tego w tej chwili potrzebowała. Czyżby Menelik odgadł, że tak kiepsko spała tej nocy?

Carlton siedział skupiony nad sporą stertą papierów rozłożonych na stole. Sądząc po zmarszczkach na czole, to, co czytał, było źródłem jego zafrasowania. Podchodząc bliżej, zobaczyła, że przegląda słupki cyfr: *Koszty poniesione*, *Przewidywane wydatki*, *Koszt całkowity*. Były tam jeszcze inne rubryki: *Hotel i utrzymanie*, *Kamery*, *Taśma filmowa*.

Gdy tylko się zorientował, że Mara stoi obok, usunął dokumenty z widoku. Powitał ją uśmiechem.

- Za dwie godziny zaczynamy zdjęcia - powiedział. - Jak na razie nieźle.

Posłała mu uśmiech, który w jej mniemaniu miał mu dodać otuchy.

- Potrzebujesz czegoś? Może masz ochotę na kawę?

' - Nie, dzięki. Wypiłem już cztery, mocne. - Machnięciem dłoni wskazał tacę. - Ale ty się nie krępuj.

Przez moment sączyła kawę i mrużąc oczy, delektowała

się jej smakiem i aromatem. Kiedy uniosła powieki, Carlton na wpół uniesiony nad krzesłem wpatrywał się w ścieżkę do rondawela. Mara powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła Leonarda, który energicznym krokiem zmierzał w ich stronę. Z paska okręconego wokół jego szczupłego nadgarstka zwisał megafon.

- Co jest?! - zawołał Carlton.

- Rudi przejrzał walizkę! - odkrzyknął reżyser, podchodząc. - Ludzie od garderoby spakowali tylko połowę kostiumów. Reszta jest w drodze do Stanów.

- A rzeczy na dzisiejsze zdjęcia?

- Poleciały.

Producent siedział zrezygnowany przez kilka sekund, popatrując wokół siebie bezradnie. Potem się zmobilizował. Uniósł ręce i pocieszającym gestem poruszał nimi powoli, jakby poklepywał powietrze.

- No trudno. Spokojnie. Zaczniemy od innej sekwencji. Tamte kostiumy nie były jeszcze filmowane. Znajdziemy coś w zamian. - Zwrócił się do Mary: - Potrzebujemy ubrań w stylu safari. Dwóch kompletów. Dla Lillian i Petera. Najlepiej takich, które wyszły już z mody. Możesz nam pomóc?

- Szczerze mówiąc, tak - usłyszała swój zadowolony głos, lecz wcale nie poczuła się tym speszona. To miło, kiedy człowiek może tak łatwo rozwiązać czyjś problem. - Tak się akurat składa, że mam całą szafę rzeczy kupionych w latach pięćdziesiątych: koszul, spodni, a nawet pasów i butów. Wszystko nienoszone.

Wstała, gotowa zaprowadzić ich do domu. Carlton podążył w jej ślady, natomiast Leonard nie ruszył się z miejsca. Niespodziewanie wskazał palcem koszulę Mary.

- Odprułaś kieszeń - stwierdził. - Widzę ślad po szwie.

Patrzyła na niego niepewnie. Ta uwaga nie miała sensu.

- Zawsze tak robimy - wyjaśniła po krótkiej chwili. - Inaczej można zawadzić kolbą strzelby o patkę albo o guzik.

- I doszyłaś dodatkowy rząd pętelek na naboje.

- Właściwie to koszula mojego męża - powiedziała. - Zawsze ma przy sobie dwa rodzaje nabozi.

Leonard, nachylając się, oglądał z uwagą jej spodnie. Mara spojrzała w dół. Na jednej nogawce miała nieregularną brunatną plamę z zaschniętej krwi.

Reżyser zerwał się z miejsca z impetem kukiełki umocowanej na sprężynie.

- Weźmiemy twoje rzeczy, jeśli się zgodzisz. Są nawet lepsze od tego, co mieliśmy! Potrzebne nam jeszcze ubranie twojego męża. Najlepiej stare, porządnie znoszone...

- Bylibyśmy bardzo wdzięczni - zwrócił się do niej Carlton. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie. Absolutnie - zaprzeczyła.

Czemu miałyby mieć cokolwiek przeciwko wypożyczeniu starych, znoszonych ubrań - pytała się w myślach. Czuła się trochę niezręcznie, wyrażając zgodę w imieniu Johna, lecz zaraz sobie przypomniała, jak kiedyś, podczas safari, dał klientowi swoją zapasową koszulę. Gość zamierzał jechać na polowanie w kowbojskiej koszuli w czerwono-niebieską kratę, tej, która przypadła w spadku Tombie.

- Pan chce polować czy zostać upolowany? - zwrócił się John do klienta. Zadał to pytanie niby żartem, lecz Mara wiedziała, jak bardzo poważnie podchodzi do ryzyka wiążącego się z noszeniem barwnych strojów na polowaniu. Klient, dyrektor spółki węglowej, poczuł się zażenowany i zarazem obleciał go strach. Potulnie włożył koszulę Johna, chociaż ledwo ją dopiął na okazałym brzuchu.

- Zróbcie listę - zaproponowała. - Przyniosę wszystko, czego potrzebujecie.

Carlton spojrział na zegarek.

- Rudi jeszcze nie skończył urządzić planu, mamy więc trochę czasu. Możesz spokojnie dać mi te rzeczy przed lunchem.

Zbierała się do odejścia, lecz Leonard zatrzymał ją, dotykając ramienia.

- Jaki rozmiar nosi twój mąż? Czy jego rzeczy będą pasować na Petera?

Mara wpatrywała się w ziemię, kopiąc czubkiem buta grudkę zbitej trawy. Czuła się niezręcznie, wyobrażając sobie Johna i aktora obok siebie i porównując ich ciała.

- Popatrzmy na to w ten sposób - taktownie podpowiedział Carlton. - Mówiłaś, że masz na sobie jego starą koszulę. Według mnie powinna być dobra na Petera. Jakiego wzrostu jest twój mąż?

Podniosła głowę.

- Nie ma problemu. Ubranie będzie pasować.

W korytarzu przez woń świeżo wypastowanej podłogi przebijał dochodzący z kuchni zapach smażonej cebuli. Mara przystanąła przy konsolce i spojrzała na zegarek. Skończyła naradę z Kefą, podczas której próbowali ustalić, jak poradzić sobie z wychowanymi w mieście Somalijszymi, którzy poprzedniego wieczoru zachowywali się zbyt hałaśliwie, i co zrobić z Tombą - odkąd został *bwana* Boom, uznał bowiem, że wolno mu zasiadać do posiłków w jadalni wraz z całą ekipą. Wcześniej Menelik wyrecytował jej menu na lunch godne podniebienia księcia Walii. Nadszedł czas zająć się ubraniami dla Carltona.

W drodze do swego pokoju przystanąła przed drzwiami bawialni. Spoglądała na nie z niepokojem, wyobrażając sobie najgorszy z możliwych scenariuszy, a mianowicie taki, że Rudi pomalował wszystkie ściany i meble, na wieki pokrywając farbą cenne afrykańskie drewno. Wiedziała, że czegoś takiego na pewno by nie zrobił, lecz dla własnego spokoju uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

Zacisnęła rękę na klamce pod wrażeniem martwoty panującej w pokoju. Miejsce wyglądało na opustoszałe. Niewiele światła wpadało do środka przez zaciągnięte, wyblakłe zasłony. Kłębki kurzu walały się na meblach i wisiały uczone fotografie. Kominek został zabity deskami, a nad nim straszyl pusty gzyms. Na środku pokoju leżał ptasi szkie-

let, a obok niego kilka zasuszonych płatków kwiatu hibiskusa.

Zasepiła się. Ogarnęło ją przykre wrażenie, że oto ma przed sobą wizję przyszłości: dom zamknięty i opuszczony po ich wyjeździe z Johnem. Denerwująco realistyczna sceneria.

Jej uwagę przyciągnął jakiś ruch w odległym końcu pokoju. To Leonard stał przy bambusowym parawanie. Rozglądał się po bawialni z rękami splecionymi za szczupłymi plecami. Mruzczał coś pod nosem jak ksiądz odmawiający modlitwę. Mara cicho zamknęła drzwi i oddaliła się na palcach.

Szła ścieżką do rondawela Lillian. Przebrała się w nowe ubranie wyjęte z zapasów i sztywny materiał drapał jej skórę. Spodnie i koszulę, które wcześniej miała na sobie, trzymała zwinięte pod pachą. Carlton poprosił, żeby zaniósła te rzeczy Lane i pomogła jej się przebrać, ponieważ aktorka nie miała zwyczaju ubierać się sama.

Teraz, gdy zbliżyła się do rondawela, z powodu roli, jaką za chwilę miała odegrać, ogarnęło ją wrażenie, że obraca się w jakimś nierealnym świecie. Lillian niewątpliwie okazała się znacznie miłsza i łatwiejsza w kontaktach od wielu bogatych pań, które przyjeżdżały do ich domu, i jak dotąd stroiła fochy jedynie przy kolacji, żądając zmiany miejsca przy stole i podania jedzenia na osobnych talerzach. Nie należało jednak zapominać, kim jest. W innych okolicznościach Mara mogłaby się uważać za szczęściarę, gdyby udało jej się poprosić ją o autograf.

Przystanęła przed drzwiami. Ta sytuacja budziła w niej skojarzenia z chwilą przed rozpoczęciem spektaklu: publiczność czeka wyciszona, świadoma energii emanującej z aktorów ukrytych za kurtyną.

Zapukała nieśmiało.

- Kto tam?! - zawołała Lillian.

- To ja, Mara.

Drzwi otwały się na oścież. Ogarniając wnętrze spojrzeniem, Mara nie mogła uwierzyć, że widzi ten sam ładny, schludny rondawel, który z takim staraniem przygotowała na przyjazd aktorki; wszędzie walały się ubrania, pościel leżała skołtuniona na łóżku, moskitiera zwisała opuszczona, a taca po śniadaniu nadal stała na stole. Wrzosewy ręcznik ze ślubnego kompletu leżał mokry i zmięty na podłodze.

Twarz Lillian była blada, niemal biała. Marę zastanowiło, czy to wpływ przyćmionego światła, bo zasłony nadal były zaciągnięte, czy braku szkarłatnej pomadki na ustach.

Kiedy weszła głębiej, aktorka wysunęła się zza drzwi, za którymi skryła się jak za parawanem, w samej tylko bieliźnie. Mara wbrew woli nie potrafiła oderwać oczu od skąpych czerwonych majteczek wykończonych koronką.

- To moje szczęśliwe majtki - wyjaśniła Lillian. - Właśnie udało mi się je znaleźć. Dzięki Bogu. A już zamierzałam zawiadomić Carltona.

Gospodyni milczała, nie bardzo ją rozumiejąc.

- Muszę zawsze mieć je na sobie w pierwszy dzień zdjęć, po prostu muszę. - Powaga w głosie Lane przypominała stosunek Johna do myśliwskich przesądów. Większość ich dotyczyła polowania na słońce, jakby wszyscy po cichu się zgadzali, że to największy grzech, więc popełniając go, należy zachować najwyższą ostrożność. Zanim grupa myśliwych opuściła land-rover, John kazał klientom wywracać kieszenie, żeby sprawdzić, czy ktoś przypadkiem nie ma przy sobie pieniędzy. Słonia - wyjaśniał - nie można kupić. Ostrzegaliśmy również przed podnoszeniem z ziemi igieł jeżozwierza, jeśli chcą wytropić okazałą sztukę.

- Naturalnie, tę parę mam od lat - wyjaśniła Lillian. - Ale gdybym miała więcej rozumu, kupiłabym ich całe mnóstwo i nosiła codziennie. Idealnie sprawdzają się w Afryce, są przewiewne i szybko schną.

Mara wolała się nie zastanawiać, co myśleliby chłopcy z obsługi chat, piorąc całe stopy takiej bielizny. Niewątpliwie wzięliby panią Lane za prostytutkę.

- Twój kostium. - Podała przyniesione rzeczy.

Lillian obejrzała spodnie, a potem koszulę, podnosząc je do słabego światła sączącego się przez zasłony.

- Całkiem udany, nie? Suzie była dobra w takich sprawach; robiła plamy, strzępiła mankiety...

Mara postanowiła przemilczeć fakt, że to jej ubranie i że, hmm, niedawno je z siebie zdjęła. Najchętniej dla potrzeb filmu sięgnęłaby po czysty komplet do szuflady, lecz Carlton wyraźnie podkreślił, że Leonard życzy sobie, aby to były te spodnie i ta koszula, w których ją widział.

Lillian zdecydowanie nie przeszkadzała małomówność Mary.

- Suzie zajmowała się moją garderobą - szczebiotała dalej. - Carlton jej zaproponował, żeby została z drugą ekipą, ale ona wolała wrócić do domu. - Te ostatnie słowa wymówiła niemal z pretensją. Przypominała dziecko porzucone przez towarzyszy zabawy. - Ale my jej nie potrzebujemy, prawda? - dokończyła, uśmiechając się przez ramię.

- Nie - zgodziła się z nią Mara. - Nie potrzebujemy. - Odwzajemniła uśmiech, podchwytyjąc jej spojrzenie. Ogarnęła ją miłe poczucie przynależności, bycia potrzebną.

- Najpierw charakteryzacja - zarządziła Lillian. Sięgając po jedwabne kimono, wskazała stolik przy drzwiach. Stał tam nieduży czarny neseser podobny do lekarskiej walizeczki.

Mara przeniosła go na toaletkę i odpięła zamki. Gdy uniosła wieko, w powietrze wzbil się pudrowy zapach. Wewnątrz, w przegródkach, leżały starannie posegregowane kosmetyki. Samych słoiczków z podkładem w różnych odcieniach było przynajmniej z siedem i tyle samo puderniczek z prasowanym pudrem. Oprócz tego leżały tam szczoteczki, grzebyki do brwi, małe gąbki, kilka rodzajów tuszu

do rzęs, parę zalotek, krem do usuwania charakterystyki oraz z pół tuzina kredek do ust. Było też kilka fiolek z czerwonym płynem, który wyglądał zupełnie jak krew.

Lillian wyciągnęła notes z walizki. Otworzyła go i pokazała Marze schemat kobiecej twarzy, z kośćmi policzkowymi, czołem, powiekami i skrzydełkami nosa zaznaczonymi różnymi kolorami. Na każdej części była adnotacja z nazwą kosmetyku, który należało nałożyć.

Zerkając na schemat, aktorka zaczęła wyjmować kosmetyki z neseseru i ustawiać je rzędem na toaletce.

- Nie uwierzysz, ile czasu zajmuje uzyskanie naturalnego wyglądu. - W skupieniu spojrzała na swe odbicie w lustrze. - Przyda nam się więcej światła.

Mara odsłoniła okno. Słońce wlało się do wnętrza, dodatkowo obnażając chaos panujący w pokoju. Lillian szperała w gobelinowej torbie, tej, w której trzymała garnek do specjalnych celów. Wyciągnęła stamtąd powiększające lustro, jakiego mężczyźni używają przy goleniu.

- Mój niezbędnik na nieprzewidziane okoliczności - powiedziała zadowolona z siebie. Podeszła do okna i ustawiła lustro na parapecie.

Kiedy usiadła, Mara stanęła za nią jak instrumentariuszka czekająca na polecenia chirurga. Aktorka zaczęła od rozprowadzenia podkładu na twarzy i szyi za pomocą malutkiej gąbki. Obserwowanie miarowych, pieszczotliwych pociągnięć miało na Marę hipnotyczny wpływ; niemal czuła ten kojący dotyk na własnej skórze. Następnie Lillian nałożyła cienie na powieki, najpierw w kolorze skóry, a potem o ton ciemniejszy. Efekt był bardzo subtelny - nie wyglądała jak efektowna kobieta z makijażem, tylko jak jeszcze piękniejsza wersja siebie samej.

Dopiero pod koniec tych pracochłonnych zabiegów Mara się zorientowała, że dwaj chłopcy z obsługi chat oraz Dudu przyglądają im się przez okno. Zmarszczyła brwi, dając do zrozumienia, żeby natychmiast się oddalili. Tymczasem

Dudu odczytał jej minę jako zachętę do zabrania głosu. Wskazał słoiczek z jasnym podkładem, stojący na parapecie.

- Ona smaruje ciało błotem - stwierdził. Ruchem głowy wskazał chłopców z obsługi chat. - Oni chcą wiedzieć, czy *memsahib* urządza przyjęcie z tańcami. - Użył słowa *ngoma*, które oznaczało trwające czasem kilka dni plemienne spędy połączone z tańcami i z ucztowaniem. Wojownicy nakładali wtedy tradycyjne stroje i malowali ciała czerwoną glinką.

- Co on powiedział? - spytała Lillian, zatrzymując w pół drogi szczoteczkę z tuszem.

- Chce wiedzieć, co robisz - wyjaśniła Mara. - To chłopcy ze wsi, wcześniej u nas nie pracowali. Nie widzieli nigdy kogoś, kto by nakładał makijaż.

Dudu postąpił krok do przodu. Zanim odezwał się do Mary w suahili, ponownie wskazał chłopców z obsługi chat.

- Mówią, że teraz smarowanie się błotem jest zabronione w Tanzanii. Prezydentowi to się nie podoba. Twierdzi, że tak robią tylko dzikusy.

Spojrzała zaskoczona na chłopców.

- Kto wam tak powiedział?

- *Bwana* Daudi - odparł jeden z nich. - I mówił jeszcze, że dłużej nie będziemy obsługiwać chat. Prezydent zbuduje szkoły we wszystkich wsiach. Nauczymy się czytać i pisać, staniemy na własnych nogach i nie będziemy potrzebować żadnego *bwany* z Europy.

Wpatrywał się w Marę, jakby czekał na potwierdzenie tych słów.

Zwlekała z odpowiedzią. Uderzyła ją myśl, że cokolwiek powie, może to dotrzeć do Daudiego, a może nawet do samego Kabei.

' - Jesteście wspaniałymi służącymi - powiedziała ostrożnie. - I będziecie również świętymi uczniami.

- O czym teraz rozmawiacie? - zniecierpliwiła się Lillian.

- Oni mają nadzieję pójść do szkoły - odparła Mara.

- Porozmawiaj z Carltonem - rzuciła Lane, nie przestając tuszować rzęs. - On wszystko załatwia. - Podniosła lusterko i przyglądała się sobie w skupieniu, po czym z aprobatą skinęła głową. - Dokładnie tak samo, jak robiła to Wanda, moja charakteryzatorka. - Spojrzała na Marę. - Wiesz, ja mam artystyczne zacięcie. Trochę szkicuję.

- Co szkicujesz? - zaciekawiła się tamta. Podeszła do łóżka, wzięła spodnie i trzymała je dla Lillian. Miała świadomość, że czas ucieka. Carlton prosił, żeby możliwie najszybciej przyprowadzić aktorkę na plan.

- Głównie ludzi. - Lane zsunęła kimono i upuszczając je u stóp, zaczęła nakładać spodnie. - I oczywiście Thea. - Spojrzała tęsknie na oprawione w ramki zdjęcie niemieckiego owczarka. - On jest lepszy od wielu ludzi, jakich miałam okazję spotkać... - Urwała i spojrzała na Marę. - Ty musisz poznawać najróżniejsze osoby, prowadząc ten dom.

- Oj, tak - przyznała pani Sutherland. - Czasem poznamy ich bardzo dobrze.

Bardzo dobrze...

Skupiła się na rozpinaniu guzików przy koszuli. Ale ból się odezwał; zamieszał w żołądku, prowokując mdłości. Miała w pamięci głos Matildy słyszany przy kolacji podczas pierwszego wieczoru w Raynor Lodge. Zwyczajne, normalne zdania.

„John, proszę, podaj mi sól. Dziękuję, Johnie. Jak uprzejmie z twojej strony...”

I tamten srebrzysty śmiech. Głowa odrzucona do tyłu, jasne włosy spływające na ramiona niczym kaskada księżycowego światła.

Zmusiła się, żeby przywołać myśli o innym gościu, Kanadyjczyku, który uparł się, że będzie spać pod gołym niebem. Uczepiła się wspomnienia jego pomarszczonej twarzy i siwiejących włosów. Przypomniała sobie, jak uczył się podstawowych słów w suahili przed wyjazdem na safari. I jak, zamiast pleść trzy po trzy przy ognisku wraz z pozo-

stałymi klientami, dosiadł się do ogniska Afrykanów i poprosił Menelika, żeby opowiadał mu ludowe podania z Etiopii. Później pracownicy zaprosili go na nocne śpiewanie. Kronikarz safari, a za dnia tragarz broni, nadał mu imię Rafiki Bilu Ubagazi - Europejczyk, Którego Obchodziły Nie Tylko Europejskie Sprawy.

Mara przytrzymała rozłożoną koszulę, aby Lillian mogła wsunąć w nią rękę.

- Naturalnie, oni potem wyjeżdżają - powiedziała lekko tonem. - I pojawiają się nowi.

- Wiem, o czym mówisz - wyznała aktorka. - Tak samo jest z robieniem filmów. Obsada i ekipa są jak rodzina. Wiele dla siebie znaczą. - A potem... - Rozłożyła ręce i potrząsnęła głową. - To niesamowite. Nagle, jednego dnia, wszystko się urywa. I szybko się ich zapomina.

Mara powoli pokiwała głową. I szybko się ich zapomina. Jak prosto to zabrzmiało. Przypomniała sobie jeszcze jedno, dobrze znane jej powiedzenie: wybac i zapomnij. Jakże często powtarzała je niczym zaklęcie o nadzwyczajnej mocy. Niby proste wskazanie, a jak trudno wprowadzić je w życie. Czasami udawało jej się zapomnieć, a czasem wybaczyć, lecz obie te rzeczy naraz wymagały siły, której najwyraźniej jej brakowało.

W jadalnianej części bawialni pełno było ludzi i sprzętu. Mara przyglądała się, jak dwaj Nickowie przesuwają tam i z powrotem wózek podobny do wagonika na szynach biegnących nad podłogą. Nieco dalej stał trójnóg z olbrzymią kamerą. Konstrukcja wyglądała dość ryzykownie - ciężka, masywna kamera, a pod nią cienkie, pająkowate nóżki. Przed kamerą stał Tomba. Jak się domyślała, został „wypożyczony” od Jamiego. Najwyraźniej nakazano mu pilnować kamery. Ramiona trzymał rozpostarte i rozglądał się wokół siebie, jakby spodziewał się inwazji z kogoś z kątów bawialni.

Lillian siedziała na jednym z trzech płóciennych krzeseł, ustawionych przy drzwiach na werandę. Mara wiedziała, że na oparciu każdego z nich widnieje nazwisko: *Pan Heath, Pani Lane, Pan L. Miller*. Domyślała się, że gdzieś musi być jeszcze jedno krzesło dla *Pana C. Millera*. Jednak Carlton, pochłonięty organizacją całości i rozwiązywaniem wszelkich problemów, prawdopodobnie nigdy nie miał okazji posiedzieć na planie.

Rudi stanął przy Marze.

- I jak? - zapytał, gestem ręki ogarniając pokój.

- Robi wrażenie. Wygląda na zapomniany i opuszczony - przyznała. - Po co zadałeś sobie tyle trudu z tymi książkami i drobiazgami? Przecież wszystko jest pozakrywane.

W oczach rekwizytora pojawił się cień rozczarowania. Wzruszył ramionami.

- Leonard przyszedł obejrzyć plan i wpadł na pomysł, żeby porozkładać te pokrowce. Planowaliśmy położyć jeden czy dwa, ale on chciał, żeby wszystko było nimi zakryte. To coś w rodzaju metafory odnoszącej się do fabuły; rozumiesz, sekrety i kłamstwa, ukryta prawda. Kefa mi pomógł i poszukiwał starych prześcieradeł. - Rudi nie odrywał spojrzenia od przykrytej biblioteczki. - Ale nigdy nie wiadomo. Leonard może zmienić koncepcję, zanim zaczniemy kręcić. Albo Maggie czy Luke'owi przyjdzie ochota ściągnąć któreś z prześcieradeł. Wszystko się może zdarzyć.

- Kim są Maggie i Luke? - zaciekała się Mara. Czyżby przyjechali kolejni członkowie ekipy?

Rudi wydawał się zaskoczony jej ignorancją.

- To główne postaci w tym filmie - wyjaśnił po chwili z wyrozumiałym uśmiechem. - Właśnie oni przeżywają te wszystkie przygody. Naturalnie są kochankami, bez tego Hollywood się nie obejdzie. - Ponownie wskazał pokój. - Tutaj znajdują schronienie. Musieli się gdzieś ukryć i Maggie przypomniała sobie myśliwski dom, do którego jeździła z rodzicami w dzieciństwie. Kiedy wreszcie docierają tutaj

po długiej podróży, okazuje się, że dom stoi opuszczony i zamknięty na wszystkie spusty. I to właśnie w jakimś sensie jest piękne. Widziałaś *Doktora Żywago* Davida Leana? - Zaśmiała się lekceważąco, zanim Mara zdążyła pokręcić głową. - Zapewne jeszcze tutaj nie dotarł! W każdym razie Julie Christie i Omar Sharif przyjeżdżają do pałacu gdzieś na pustkowiu w głębi Rosji. Wszędzie tylko lód, kurz i meble pod pokrowcami. A oni po prostu idą przez te wnętrza. To jedna z najlepszych scen w całym filmie. Ten rodzaj nastroju chcemy wywołać tutaj.

Mara słuchała go z uwagą, zadowolona, że wreszcie dowie się czegoś o fabule filmu. Chciała poprosić, żeby opowiedział o nim coś więcej, kiedy Brendan, fachowiec od elektryczności, zbliżył się do nich, rozwijając długi kabel. Drugi, luźny zwój trzymał pod pachą.

- Przejdźcie! - zawołał.

Rudi szybko usunął się z drogi, a Mara poszła w jego ślady. Brendan, podchodząc do niej, rzucił splątany zwój na podłogę u jej stóp.

- Naprawdę sam nie daję rady! - warknął sfrustrowany.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponowała.

Pochylając się po kabel, zerknęła w stronę Lillian, żeby sprawdzić, czy jej czasem nie potrzebuje, gdyż opieka nad aktorką była teraz jej głównym zadaniem. Lane, opuściwszy swoje krzesło, rozmawiała przy wyjściu na werandę z mężczyzną w stroju safari. Miał na głowie kapelusz, manierkę na wysokości biodra i strzelbę na ramieniu, jakby wrócił prosto z polowania. Mara wyprostowała się powoli, przyciskając zwój kabla do piersi. Zdążyła postąpić ku nim dwa kroki, gdy zawadziła o nogę krzesła, przewracając je z hukiem. Hałas przyciągnął uwagę ludzi z ekipy. Ona nie odrywała jednak wzroku od mężczyzny w myśliwskim stroju.

Peter Heath.

Zanim zdążyła się odwrócić, ich spojrzenia się skrzyżowały. Aktor się uśmiechnął i skinął głową na przywita-

nie. Mara ruchem podbródka wskazała jego ubranie, jakby chciała tym gestem wyjaśnić, iż wzięła go za męża, sądząc, że w jakiś niewytłumaczalny sposób wrócił z Selous. Zmusiła się do uprzejmego uśmiechu, zła na siebie, że tak się w niego wpatruje. W końcu sama wybrała mu te rzeczy z garderoby Johna.

Była wdzięczna, gdy znalazł się przy niej Brendan. Miała pretekst, żeby się odwrócić.

- Trzeba to rozplatać - wskazał kabel, który trzymała w ramionach. - Ktoś go źle zwinął. Najlepiej to zrobić na dworze, bo jest więcej miejsca.

Mara ochoczo podążyła za jego wskazówką. Kiedy przechodziła obok drzwi na werandę, Peter był pogrążony w rozmowie z Carltonem. Z przodu absolutnie nie przypominał jej męża. I wcale nie wyglądał jak aktor, tylko jak człowiek pracujący w buszu - ktoś, kogo nigdy przedtem nie spotkała.

Wczesnym popołudniem w bawialni zapanowała potworna duchota; reflektory Brendana dodatkowo podgrzewały powietrze płynące z dworu. Carlton ustawił chłopców z obsługi chat przy werandzie, ażeby za każdym razem, gdy Leonard zawoła: „Cięcie!”, otwierali drzwi i wietrzyli pokój. Przez resztę czasu drzwi musiały pozostawać zamknięte, broniąc dostępu dziennego światła.

Mara trzymała się na uboczu. Bez przerwy ktoś do niej podchodził, prosząc o różne rzeczy: kawałek sznurka, świecę, scyzoryk. Rudi wyjaśnił, że w normalnych okolicznościach każdy z nich ma do dyspozycji kilka ciężarówek pełnych sprzętu i wszystkiego, co ewentualnie może się przydać, lecz druga ekipa miała podróżować „lekko”. Lekko, czyli tanio - podsumował.

W przerwach pomiędzy spełnianiem wszelkich próśb Mara wracała na swoje krzesło i stamtąd obserwowała obsadę i ekipę przy pracy. Była zaskoczona, jak to wszystko mozolnie się toczy. Lillian i Peter musieli wielokrotnie powtarzać

te same sceny, dopóki nie zadowolili Leonarda. Wszyscy wykazywali ogromną cierpliwość, chociaż zauważyła, jak Carlton od czasu do czasu ukradkiem zerkał na zegarek. Uwaga całej ekipy pozostawała skupiona na reżyserze. Łatwo było śledzić jego smukłą sylwetkę w dziwnym czerwonym kombinezonie, jaki zazwyczaj noszą robotnicy. Nawet gdy ludzie gwarzyli ze sobą czy podchodzili do otwartych drzwi, aby zaczerpnąć powietrza podczas długich przerw pomiędzy ujęciami, nie spuszczała z niego oka, w każdej chwili gotowi spełniać polecenia.

W miarę jak płynął dzień, Mara coraz lepiej poznawała rytm pracy przy fdmie. Najpierw były długie, powolne przygotowania, podczas których Leonard w skupieniu omawiał coś najpierw z Lillian i Peterem, a następnie z Nickiem. Nick z kolei rozmawiał z Brendanem i z Nickiem Numer Dwa, a Rudi się przysłuchiwał. Natomiast Jamie wydawał się absolutnie niezainteresowany tym, co się wokół dzieje - dźwiękowiec wiecznie tkwił pochylony nad swymi pokrętłami. Za to Tomba, jakby w jego zastępstwie, pilnie nadstawiał uszu.

Po wydaniu instrukcji wybuchała gorączkowa, mniej więcej półgodzinna krzątanina, po której następowała uważna cisza. Leonard omiatał spojrzeniem cały pokój, jakby zbierał energię z przestrzeni i chwycił ją w garść. Ludzie z obsady i ekipy przypominali posągi czekające na słowo, które wprawi je w ruch.

Uwaga. Cisza, proszę. Dźwięk. Kamera.

Te słowa w ustach Leonarda brzmiały jak polecenia kapłana. I wszyscy na nie reagowali.

Jest. Poszła.

Po tych meldunkach Leonard, zanim dał znak, zawsze odczekał kilka sekund, które zdawały się trwać w nieskończoność. Mara obserwowała, jak Lillian i Peter zaczynają się przeobrażać; zmieniał się wyraz ich twarzy, inaczej trzymały sylwetki. Zanim Leonard zawołał: „Akcja!”, tych dwoje

przed kamerą nie było już Lillian Lane i Peterem Heathem; oni stawali się Maggie i Lukiem.

W trakcie kręcenia scen, podzielonych na krótkie ujęcia, były takie momenty, które na dobre utkwily Marze w pamięci. Na przykład, kiedy Brendan włączył reflektor i pod odpowiednim kątem skierował światło na twarz Petera, ten jakby nagle wyprzystojniał i znowu wyglądał jak gwiazdor, a delikatne cienie wydobyły szlachetną rzeźbę regularnych rysów.

Gdy przeszli do pierwszej sceny dialogowej, Mara, zaskoczona, aż wychyliła się z krzesła, zaciskając dłonie na oparciu, bo Maggie i Luke mówili z irlandzkim zaśpiewem.

Była tam, między innymi, scena burzliwej kłótni pomiędzy kochankami. Mara akurat wyszła do kuchni, żeby wydać Menelikowi i Kefie polecenia w związku z kolacją. Gdy wróciła, w bawialni panowała typowa cisza poprzedzająca polecenie Leonarda, by włączyć kamerę i mikrofon. Kiedy Leonard dał znak, Maggie natychmiast eksplodowała gniewem. Krzyczała na Luke'a, miotając się po pokoju, przy czym o mało nie ściągnęła prześcieradła z biblioteczki, zawadzając o nie stopą. Jej partner z początku panował nad sobą, lecz w końcu i on podniósł głos. Kłócili się o to, czy powinni tu zostać, czy wrócić do Zanzibaru i zmierzyć się z tym, co ich tam czeka. Oboje grali tak przekonująco; rysy Maggie wykrzywiał gniew, z całej sylwetki Luke'a biła frustracja. W końcu złość ustąpiła miejsca rozpacz i kobieta zaniosła się płaczem. Łzy ciurkiem spływały jej po policzkach, oczy poczerwieniały, a usta nabrzmiały. Mara patrzyła na twarz aktorki, powtarzając sobie, że to tylko gra, a jednak odczuła przygnębienie. I wtedy Leonard zawołał: „Cięcie!” i było po wszystkim. Lillian i Peter na powrót stali się sobą; opanowani i uprzejmi, przygotowywali się w skupieniu do kolejnego ujęcia.

Mara, spodziewając się dubla, zastanawiała się, czy uda im się odbyć tę emocjonalną podróż po raz drugi. Ku jej zaskoczeniu - i wyraźnemu zadowoleniu Carltona - Leonard

oznajmił jednak, że nie ma potrzeby powtarzać sceny. Do-
stał dokładnie to, o co mu chodziło. Odczekał, aż Nick Nu-
mer Dwa potwierdzi, że kamera wszystko nagrała, po czym
zajrzał do pogniecionego scenopisu, który trzymał zatknięty
za kombinezon. Po chwili podniósł głowę i spojrzeniem od-
szukawszy Marę, przywołał ją skinieniem ręki.

Przestąpiła ostrożnie kable Brendana, obeszła trójnog
z kamerą, zbliżając się do Jamiego. Tomba uniósł boom,
żeby mogła przejść - dzierzył go niczym wojownik dzidę.

- Czego ci potrzeba? - zwróciła się do Leonarda.

- Ciebie - rzucił. Patrzył przy tym na Rudiego, który
ustawiał na stole lampę Tilleya. - Musimy zrobić ujęcie
Maggie, jak zapala to coś.

Mara pokiwała głową.

- Mam pokazać Lillian, jak się to robi? - upewniła się.
Wiedziała, że będzie taka scena; wcześniej pomogła aktorce
nałożyć gąbką podkład na dłonie.

- Tak, dla planu ogólnego. Najpierw jednak chcę zrobić
zbliżenie twoich rąk.

Patrzyła na niego zdenerwowana. Prosił o coś bardzo
prostego, ale obawiała się, że na oczach tych wszystkich lu-
dzi, nie wspominając już o dużym, ciemnym oku kamery,
zrobi się niezdarna i nieporadna.

- Rozluźnij się - uspokajał ją Leonard, jakby czytając
w jej myślach. - Mamy mnóstwo czasu. Zapomnij o tym
wszystkim. - Machnięciem ręki wskazał otoczenie. - Wy-
obraź sobie, że jesteś sama.

Chwilę później Mara siedziała przy stole z lampą i pudeł-
kiem zapalek przed sobą. Ciepło z reflektora łaskotało jej
skórę. Zataczęły zapach rozgrzanych prześcieradeł wnikał do
płuc. Nick stał nad nią z kamerą wycelowaną w jej dłonie.

Unosząc wzrok, zobaczyła, że Lillian siedzi teraz na swo-
im krześle, ustawionym w taki sposób, aby mogła swobod-
nie obserwować jej gesty i odtworzyć je później w ogólnym
planie. Nieopodal stał Peter. Pochwycił spojrzenie Mary,

uśmiechnął się nieznacznie dla dodania jej odwagi, po czym taktownie się odwrócił i biorąc do ręki książkę, pochylił się nad nią. Rozumiał, że patrząc na dublerkę, wprowadziłby ją w jeszcze większe zdenerwowanie, ale coś w jego pozie, w sposobie, w jaki przechylał głowę, sugerowało, że jej sekunduje...

Z trudem przełknęła ślinę przez suche gardło. Czekwała na znak Leonarda, niespokojna i spięta. Już po włączeniu kamery, a jeszcze przed zapaleniem zapałki, przypomniała sobie radę reżysera, aby wyobraziła sobie, że jest sama. I wtedy naszła ją myśl, że wcale nie chce w taki sposób przeżyć tej chwili. Pragnie poznać smak bycia w centrum uwagi. Wiedziała, że jej wkład jest błahy, a rola wkrótce się skończy. Ale w tej chwili należała do zespołu Leonarda. Nie była gospodynią safari - kimś, kto nosi suknie, a nie widzi się w nim kobiety; kimś, kogo pomimo białej skóry klienci traktują z góry; ani też żoną, która czy to w domu, czy na safari ma sprawiać wrażenie podwładnej męża.

Ona była teraz Maggie.

Na znak reżysera potarła zapałkę i odczekała parę sekund, aż się na dobre rozпали. Trzymając ją fachowo w dwóch palcach, uniosła klosz lampy. Przytknęła zapałkę do knota, a ten najpierw się rozżarzył, a potem rozbłysnął niebieskim płomieniem. Odczekała chwilę, nałożyła klosz i zdmuchnęła zapałkę.

- Cięcie! - zawołał Leonard. - Doskonale. Zróbmy to jeszcze raz. Nick, podejdź bliżej.

Po trzecim dublu reżyser był wreszcie zadowolony.

- O to mi właśnie chodziło, Maggie - pochwalił. Podszedł do Mary i położył jej dłoń na ramieniu. - Dziękuję. Niektórych ludzi kamera paraliżuje i najprostsze czynności wyglądają sztucznie. Ale ty byłaś świetna! - Uśmiechnął się i odwrócił.

Schyliła głowę. Gdy chowała do pudełka zużyte zapałki, pochwała Leonarda wciąż ją grzała niczym ciepły słoneczny promień.

Kostki lodu grzechotały w sześciu szklankach z wodą, które Mara niosła na tacy, zakłócając monotonne buczenie generatora Brendana. Ten pomruk, słyszany za dnia, a nie, jak zwykle, dopiero po zachodzie słońca, ciągle jeszcze wprawiał ją w zdziwienie. Szła wzdłuż werandy do wyplatanej sofki, gdzie ulokowała się Lillian. Aktorka ściągnęła wysokie buty - zapasową parę Mary - i podwinęła nogi pod siebie. Pochylała się nad szkicownikiem. W jej pobliżu, na krześle, siedział Jamie. Tomba rozsiadł się przy nim na ziemi po turecku, z łokciami wspartymi na kolanach. Kiedy podeszła, zerwał się na równe nogi.

- Nie potrzebują nas w środku - mówił gorączkowo, jakby się bał, że dostanie reprimendę za opuszczenie stanowiska. - Kręcą teraz, ale fdmują tylko meble. Nie ma dźwięku. - Odwrócił się do Jamiego, licząc na wsparcie.

- Tak jest - odezwał się dźwiękowiec, oglądając z uwagą swoje upstrzone piegami przedramiona. - Masz rację. To się nazywa nieme ujęcie.

Mara z aprobatą pokiwała głową. Tomba dopiero drugi dzień asystował operatorowi dźwięku, lecz wyraźnie nieźle sobie radził. Odwróciła się do Lillian, uśmiechając się na powitanie.

- Kefa mi powiedział, że siedzisz na dworze. - Rozglądała się w poszukiwaniu aktora. - Mówił, że Peter też tu jest.

- Poszedł się przejść - wyjaśniła aktorka. - Na razie nie będą go potrzebować. Jest kilka scen tylko ze mną.

- Dokąd poszedł? - zaniepokoiła się Mara. Miała nadzieję, że pamiętał jej ostrzeżenie, aby nie ruszać się poza teren.

- Do ogrodu. Chyba. Gdzieś niedaleko - odrzekła Lillian. Podniosła szkicownik.

Była na nim ludzka postać narysowana ciemną, zdecydo-

waną kreską. Zanim Mara zdążyła lepiej się przyjrzeć, tamta opuściła szkicownik na kolana i zamasyżyła złożyła w rogu ozdobny podpis, jak ktoś nawykły do rozdawania autografów. Potem wyrwała kartkę i podała ją Jamiemu.

Wpatrywał się w rysunek z nieodgadnioną miną, potem uśmiechnął się z entuzjazmem.

- Bardzo dziękuję. Zachowam go na pamiątkę.

Lillian przyjęła jego słowa pełnym wdziękiem skinieniem głowy. Zdjęła szklanekę z podsunętej przez Marę tacy i sącząc wodę drobnymi łyčzkami, obserwowała swego modela.

Jamie obracał rysunek w dłoniach, świadomy, że ona nie spuszcza z niego oczu. Uśmiechnął się jeszcze raz.

- Świetny szkic.

Odchyliła się na oparcie.

- Dzięki. Chyba rzeczywiście uchwyciłam podobieństwo.

- Jak najbardziej. - Jamie pokazał rysunek Marze. - Popatrz tylko! Niesamowity, co?

Podeszła bliżej i ze zdumieniem stwierdziła, że sylwetce brakuje proporcji, a twarz wygląda jak z drewna. Podobieństwo było znikome.

- Kreska zdecydowanie bardzo... dramatyczna - pochwaliła. Spojrzała na Jamiego i jeszcze raz na rysunek. - Masz rację, niesamowity.

Tomba przysunął się bliżej, żeby zobaczyć, o czym rozmawiają. Ujął kartkę ostrożnie w obie dłonie i wpatrywał się w nią z uwagą. Mara widziała, jak otwiera oczy ze zdziwienia. Czym prędzej stanęła przed nim, zasłaniając Lillian jego widok, gdy odwrócił kartkę do góry nogami i znowu się w nią wpatrywał.

- Tomba, jak się już napatrzysz - powiedziała, wyciągając rękę po rysunek - schowam go w jakimś bezpiecznym miejscu.

W tej chwili z jadalni wynurzył się Carlton. Twarz błyszczała mu od potu.

- Będziesz potrzebny do następnej sceny - zwrócił się

najpierw do Jamiego, po czym z zachęcającym uśmiechem odezwał się do Lillian: - Leonard cię oczekuje..

- Już? - Zmarszczyła nos i odłożyła szkicownik. Krzywiąc się, wciągnęła buty.

Gdy tylko się wyprostowała i odwróciła do jadalni, jej twarz uległa natychmiastowej metamorfozie. Oczy rozbłysły, a rysy się ożywiły. Mara się domyślała, że aktorka chyba duszy widzi już, jak cała ekipa na czele z reżyserem oczekuje jej wejścia. Świadomość, że znowu znajdzie się w centrum uwagi, jakby tchnęła w nią nową energię.

Mara nie znalazła Petera w ogrodzie. Świadoma, że ma obowiązek wiedzieć, gdzie jej gość się znajduje, podeszła do zajmowanego przez aktora rondawela i zapukała do drzwi. Przedłużająca się cisza świadczyła o tym, że pokój jest pusty. Już miała się oddalić, gdy przyszło jej do głowy, że przy okazji może zajrzeć do środka i sprawdzić, czy posługacze postłali łóżko i zmienili trawę w zbiorniku *chow*.

Wnętrze rondawela wyglądało prawie tak samo jak tamtego dnia, gdy natknęła się na Petera stojącego przy łóżku. Tylko na biurku przy oknie pojawiło się kilka osobistych drobiazgów. Szanując prywatność lokatora, starała się nie rozglądać po pokoju. Kiedy mijała łóżko, coś jednak przyciągnęło jej uwagę. Pomiedzy poduszką a nocnym stolikiem leżała odwrócona fotografia w oprawce z czerwonej skóry. Domyśliła się, że podobnie jak Lillian, Peter podróżuje z wizerunkiem kogoś bliskiego sercu. Z tą różnicą, że on trzymał zdjęcie w miejscu, gdzie mógł na nie patrzeć, szykując się do snu.

Zerkając za siebie, aby się upewnić, że nadal jest sama, podniosła skórzaną ramkę. Odwróciła ją, spodziewając się ujrzeć olśniewającą kobietę o rysach równie idealnych jak Petera.

Tymczasem miała przed sobą rodzinne zdjęcie: dwoje dorosłych z czwórka dzieci. Cała szóstka uśmiechała się do

obiektywu. Stali przed pociemniałym marmurowym pomnikiem na tle strzelistych budynków. Mara przysunęła zdjęcie do światła. Peter obejmował ramieniem kobietę, jak się domyślała, żonę. Nawet na tym amatorskim zdjęciu wyglądała na piękność; długie, kręcone rude włosy kontrastowały z mleczną cerą, a oczy miały intensywnie niebieski kolor. Na biodrze trzymała mniej więcej dwuletnie dziecko. Niższa od Petera, przechylała się ku niemu, jakby przyciągana siłą jego obecności. Troje pozostałych dzieci - dwóch jasnowłosych chłopców, wyglądających na trzy i pięć lat, oraz nieco starsza dziewczynka z rudymi lokami - stało przed dorosłymi. Ręka matki spoczywała na ramieniu dziewczynki, a ojciec przygarniał ramieniem młodszego chłopca, trzymając dłoń na wysokości jego serca.

Chociaż to zdjęcie pozornie nie różniło się od milionów innych, robionych na całym świecie, miało w sobie coś szczególnego. Budziło wrażenie wręcz namacalnej więzi łączącej tę małą grupkę. Mara uśmiechnęła się tęsknie do fotografii. Budziła w niej wspomnienie koleżanki ze szkoły, Sally McPhee. Ona, jej rodzice i brat mieli wspólną pasję: konie, i w każdą sobotę jeździli razem na konne wycieczki. Mara gorąco im zazdrościła. Jej własna rodzina rzadko miała czas na cokolwiek poza pracą na farmie. A jeśli już wybrali się gdzieś razem - czy to na ryby, czy na plażę - napięcie, jakie wyczuwało się pomiędzy rodzicami, nie pozwalało wypocząć i cieszyć się z wycieczki. Dorastając, Mara wymarzyła sobie, że kiedyś będzie mieć taką rodzinę jak Sally. Przeszedł ją bolesny skurcz, kiedy przypomniała sobie ich wspólne plany z Johnem. Chcieli mieć przynajmniej dwójkę albo trójkę dzieci. Ale to było w czasach, gdy rysowała się przed nimi jasna, radosna i pewna przyszłość.

Starannie odłożyła zdjęcie tam, skąd je wzięła. Palce na chwilę zatrzymały się na gładkiej skórze oprawki. Potem szybko sprawdziła zbiornik *chow* i pospiesznie opuściła chatę.

Skierowała się w stronę parkingu, na wypadek gdyby Pe-

ter wybrał się po coś do samochodu. Przeszła pod łukiem z kłków i rozejrzała się po okolicy, szczególnie uważnie przypatrując się szoferkom dwóch land-roverów w paski imitujące skórę zebry, wypożyczonych z hotelu Manyala, kabynie ciężarówki i własnemu starymu autu. Już miała zawrócić, gdy dostrzegła na starannie zagrabionym żwirze ślady butów. Wielkość i kształt obcasa były jej dobrze znajome - to odciski butów Johna, tych, które dała Carltonowi dla Petera.

Przyspieszając kroku, ruszyła po śladach drogą dojazdową. Wzbierał w niej niepokój, który szybko przerodził się w gniew. Wyraźnie powiedziała gościom, że nie wolno im samotnie wychodzić poza teren. Peter wydawał się taki normalny i bezpośredni; zdjęcie, które przed chwilą widziała, potwierdzało to wrażenie. Powinna jednak pamiętać, że jest aktorem. Niewątpliwie rozkapryszonym, przyzwyczajonym, że robi to, co mu się żywnie podoba.

Była gotowa zawrócić po land-rover i strzelbę, gdy w odali dostrzegła Heatha. Stał na dużej skale, nieco z boku traktu. To był jej ulubiony punkt widokowy. Z płasko ściętego głazu ponad czubkami drzew rozciągał się widok na sawannę. W pobliżu rósł wiekowy figowiec i jeden z jego poskręcanych konarów sięgał półki skalnej, tworząc naturalną barierkę na wysokości pasa. Mara często się tam zatrzymywała w drodze na polowanie na perliczki czy przepiórki. Lubiła, oparta łokciami o konar, popatrzeć przez chwilę z góry na step. Czuła się wtedy niemal tak, jakby była bogiem spoglądającym z nieba na ziemski bezkres.

Kręcąc głową z dezaprobatą, ruszyła ku skale. Peter nie miał przy sobie strzelby i najpewniej nie wiedział, jak należy sprawdzić teren, zanim się na niego wejdzie. Stał z rękami w kieszeniach i, wyraźnie rozluźniony, podziwiał widoki. Tymczasem gdzieś w pobliżu, zaledwie jard od jego głowy, mógł się czaić ukryty w gałęziach lampart czy lew.

Mara wzięła głęboki oddech, szykując się do wygłoszenia reprimendy. Wiedziała, że musi zachować uprzejmy ton,

a jednocześnie pozostać stanowcza. Coś w rodzaju: Zdaje się, zapomniałeś o mojej radzie. Musisz zrozumieć, że chodzi mi wyłącznie o wasze bezpieczeństwo. Niestety, zdecydowanie zabra...

Dochodziła do podnóża skały, gdy jakaś postać zastąpiła jej drogę, przerywając tok myśli. To był Afrykanin uzbrojony w śrutówkę potężnego kalibru. Przestraszył ją w pierwszej chwili, lecz zaraz rozpoznała w nim strażnika z Arushy. Jak dotąd widziała go tylko przelotnie - przy zdjęciach we wnętrzach nie był potrzebny - więc zapomniała o jego obecności.

- Jestem tu - zameldował. - Pilnuję Amerykanina.

- Bardzo dobrze - pochwaliła, odzyskując panowanie nad sobą. - Widzę, że wszystko w porządku.

Ściągnęli na siebie uwagę Petera.

- Hej! Wejdz tutaj. Co za widok! - zawołał, odwracając się do Mary.

Zawahała się, nagle czując niepokój. A jeśli nie znajdzie tematu do rozmowy? Spojrzała na zegarek, dając do zrozumienia, że nie ma zbyt wiele czasu, po czym przedarła się pomiędzy niskimi zaroślami i wdrapała na głąz.

Peter wyciągnął rękę, chcąc jej pomóc.

- Dzięki, poradzę sobie - powiedziała.

Po chwili stali obok siebie na skalnej półce. Przez aromat liści i traw przebijał zapach jego wody po goleniu - korzenny z nutą cynamonu.

Milczeli jakiś czas, napawając się widokiem. Na sawannie pasły się spokojnie przemieszane stada zebra i antylopu. Białe ptaki wlatywały w górę i szybowały po błękitnie nieba.

Peter wskazał wypiętrzenie zaokrąglonych rdzawych skał widocznych za wodopojem. Ściany znaczyły ciemnofioletowe parowy, a podnóże otulały zarośla.

- Czy tamto miejsce ma jakąś nazwę? - spytał.

- Nazywamy je Lwią Skałą - wyjaśniła, kreśląc w po-

wietrze zarys siedzącego lwa. - A Afrykanie mówią o nim w suahili: skaty przyniesione tu przez olbrzymów.

- Pewnie kryje się za tym jakaś historia - spekulował.

- Tak właśnie jest. - Zerknęła na niego, usiłując odgadnąć, czy rzeczywiście chce ją usłyszeć. Goście często tylko udawali zainteresowanie. Peter, mrużąc oczy, w skupieniu przyglądał się skalnej formie. - Podobno - zaczęła - jakieś olbrzymy szykowały się do bitwy. Naznosiły głazów, żeby rzucać nimi we wrogów. Ale spadł wielki deszcz, zmył olbrzymów i pozostały tylko te spiętrzone skały.

Peter przechylił głowę, nie odrywając oczu od głazów.

- Teraz, gdy to powiedziałaś, nie widzę już lwa.

Mara otworzyła usta ze zdziwienia. Z nią było tak samo, kiedy przysłała tu po raz pierwszy po tym, jak usłyszała tę historię od Kefy.

- Wiem - powiedziała po prostu.

Stali zapatrzeni na równinę. Peter wychylił się do przodu, opierając ręce na konarze figowca. Dłonie miał, jak zauważyła, zaskakująco mocne, miejscami nawet stwardniałe. A mankiety koszuli przetarte. Można byłoby go wziąć za zwykłego człowieka.

Otoczała ich cisza, której zdawało się nie zakłócać ani odległe buczenie generatora, ani świergot wikłaków. Mara delektowała się nią przez chwilę, lecz w końcu uznała, że wypada nawiązać rozmowę.

- Lubisz podróżować? - zapytała. - Chyba dużo jeździsz?

- Uwielbiam - odparł, odwracając się do niej. - Tyle że tęsknię za dziećmi, no i oczywiście za Paulą, moją żoną. Często się zastanawiam, co oni robią tam, w domu.

- Pewnie żałujesz, że nie przyjechali z tobą. - Zadumała się, mając w pamięci szczęśliwą gromadkę na zdjęciu.

- Hmm - westchnął cicho. - Taak, problem w tym, że Pauli by się tu absolutnie nie spodobało. Bałaby się, że dzieci się pochorują albo któreś zostanie ugryzione przez węża.

Jest typowym mieszczuchem. Woli chodniki od ścieżek w zaroślach. Szkoda, bo ja uwielbiam uciekać z miasta, daleko od tłumów. - Smętny ton zabrzmiał w jego głosie, lecz szybko pokrył go uśmiechem, a jego twarz przybrała wygląd kochającego rodzica, który usprawiedliwia dziwactwa swego dziecka. - Zawsze taka była. I już się nie zmieni.

- Musi być bardzo zajęta, przy czwórce dzieci jest co robić - zauważyła Mara, nie bardzo koncentrując się na własnych słowach. Nurtowała ją jedna zawistna myśl: Peter akceptował żonę taką, jaka była. Nie żądał, aby stała się kimś, kim być nie chciała. Nie prosił, aby jeździła z nim do miejsc, do których nie miała ochoty jechać. Na przykład tam, gdzie na ziemi leżą zakrwawione ciosy słoni, a obcięte stopy - szare i ogromne - zwisają na linach przywiązanych do gałęzi drzew.

Peter poruszył się i odwinął mankiet.

- Czas się zbierać - oznajmił. - Niedługo muszę wracać na plan.

Resztki dziennego światła wpadały do rondawela przez szczelinę pomiędzy zasłonami z niebieskiego *kitenge*. Zasłony były starannie zaciągnięte, a drzwi zamknięte. Wnętrze rozjaśniała żółta poświata z jedynej żarówki, rzucając delikatne cienie na twarz i ciało Lillian. W samej tylko jedwabnej haleczce wyglądała jak grecka bogini, wyrzeźbiona z marmuru przez biegłego artystę. Pochylała się nad głęboką emaliowaną umywalką, a kaskada długich gęstych włosów zakrywała jej twarz. Mara stała za nią, trzymając w pogotowiu dzbanek z gorącą wodą. Włosy Lillian pływały w pianistej wodzie jak wodorosty w oceanie. Ten widok budził dziwnie złowieszcze skojarzenia, jakby kobieta tonęła.

Parująca woda dodatkowo nagrzewała powietrze w ciepłym pokoju. W nozdrza bił zapach drogiego szamponu wymieszany z ostrą wonią dżinu z tonikiem, który aktorka każała Kefie przynieść do jej pokoju.

- Dobrze mi zrobi szklaneczka przed snem - oznajmiła swej pomocnicy. - Tobie zresztą też.

Kiedy włosy Lillian zostały należycie spłukane, Mara osuszyła je wrzosowym ręcznikiem, zwijając go w turban. Bardzo starała się być pomocna, wiedząc, że aktorka przywykła do inaczej wyposażonych łazienek. Zastanawiała się nawet, czy nie użyć jej własnej. Oprócz kuchni było to jedyne miejsce w całym domu z bieżącą zimną i ciepłą wodą. W Raynor Lodge obowiązywał jednak sztywny podział przestrzeni na prywatną i publiczną. John wytłumaczył Marze, że przestrzeganie tego podziału stanowi podstawę utrzymania profesjonalnego dystansu wobec klientów. Gdy zacierają się fizyczne granice, również relacje przestają być jednoznaczne. W niektórych myśliwskich domach - zarówno tu, w Tanzanii, jak i w innych częściach Safarilandu - taką sytuację uważano za normalną, a goście wyobrażali sobie, że w owych miejscach panuje atmosfera, jaką znali z powieści Hemingwaya czy z filmów na kanwie jego książek. Tam z góry się zakładało, że biały myśliwy jest ekspertem od polowania na kobiety, a i sam stanowi grubą zwierzynę. Klientki uważały, że wyznacznikiem udanego safari było przeżycie miłosnej przygody, i oczywiście na pierwszy ogień szedł zawsze zawodowy myśliwy. Raynor gardził takim zachowaniem. Według Johna stary myśliwy nigdy nie sprzeniewierzył się swym zasadom i tego samego oczekiwał od ucznia.

Mara zacisnęła usta, zastanawiając się, co Raynor powiedziałby o Johnie i Matildzie.

- O czym myślisz? - Lillian wytrąciła ją z zadumy. Przechylając głowę, sączyła drinka. - Jesteś jakaś smutna.

- Och, nie. Myślałam o filmie. Zastanawiałam się nad fabułą, nad tym, co się tam dzieje - odrzekła Mara, zmuszając się do uśmiechu.

Cień rozczarowania przebiegł przez twarz Lane, lecz zaraz przybrała minę demonstrującą starannie wyważony entuzjazm.

- To thriller. Z rodzaju tych, których akcja zazwyczaj

jest osadzona w dużym mieście, w Paryżu czy w Nowym Jorku. Leonard chce wykorzystać element zaskoczenia, kręcąc film w Afryce. A scenariusz jest fantastyczny.

- Podoba mi się postać Maggie. Sposób, w jaki mówi. Wydaje się taka silna i dzielna.

- To idiotka - Lillian prychnęła w szklanke.

Mara, zmieszana, nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Przebiegła w myślach scenę kłótni pomiędzy Maggie i Lukiem; była w niej pasja, niezłomność, wiara w postępowanie zgodne z zasadami.

- Chcesz powiedzieć, że nie zgadzasz się z tym, co mówiła Maggie?

- Ani trochę. To jej uporczywe trzymanie się zasad! Lepiej by zrobiła, pilnując własnych spraw - podsumowała Lillian. - Wszyscy tak robią, bo tak właśnie kręci się świat.

- Ale wydawałaś się taka... wiarygodna.

Lane parsknęła śmiechem.

- Maro, to się nazywa gra. Jestem aktorką. Taki mam zawód...

- Jak dajesz radę? Jak możesz płakać prawdziwymi łzami, skoro niczego nie czujesz?

- Ba, nie wiem, jak inni to robią, ale ja w takiej sytuacji szukam w swoim życiu momentów połączonych z emocjami, które chcę wywołać. Sięgam do wspomnień. I łączę je z grą. Zawsze wychodzi.

Lillian wzięła pilniczek i z nonszalancją zaczęła czyścić paznokcie. Jej zachowanie wydawało się dziwnie wymuszone. Marę zastanawiało, jaki żal czy gniew musiała przywołać, żeby rozpłakać się przy Luke'u jako Maggie. Czuła, że mogłaby ją o to zapytać. Sprzyjała temu otaczająca je cisza, ciepłe powietrze i atmosfera intymności wywołana myciem włosów i rozmową o łzach. W porę przypomniała sobie jednak, z kim ma do czynienia.

Aktorka rzuciła pilniczek i sięgnawszy po szylkretową szczotkę do włosów, podała ją Marze.

- Uczeszesz mnie? - W tym pytaniu, zamiast rozkazującej nuty osoby nawykłej do bycia obsługiwana, pobrzmiwała prośba.

Mara wydzieliła długie pasmo i cesała je powolnymi, miarowymi ruchami.

- Moja mama tak robiła - wymruczała Lillian. Przytknęła oczy i luźno opuściła ręce, ale nie wydawała się odprężona. Przeczyło temu napięcie mięśni w okolicy oczu i pionowa zmarszczka na czole. - Nie przestawaj - poprosiła. - Szczotkuj dalej.

Pod wpływem delikatnych pociągnięć szczotką po włosach jej twarz stopniowo się rozluźniła, zmarszczki rozprostowały.

- Opowiedz mi o sobie - poprosiła sennym głosem małej dziewczynki domagającej się bajki na dobranoc. - Jak długo jesteś mężatką?

- Trzy lata.

- Jesteś szczęśliwa?

Ręka ze szczotką zawisła w połowie pociągnięcia. Co prawda pytanie zaskoczyło Marę, lecz nie widziała w nim nic niestosownego. Znowu ogarnęło ją tamto wcześniejsze wrażenie intymności. Gliniany rondawel ze swymi chropawymi ścianami wydawał się ich prywatnym, małym światem, a one były dwiema zwykłymi kobietami zamkniętymi w objęciach tych ścian. Koleżankami. Wyobraziła sobie, jak opowiada Lillian o wszystkim - nie tylko o kłopotach finansowych, o tym, że nie potrafi być taką żoną jak Alice i że nie widzi dla siebie przyszłości. Mówi jej nawet o Matildzie. Tymczasem zmusiła się do kolejnego uśmiechu.

- Oczywiście, że jestem szczęśliwa - przytknęła pogodnie. Starła się nadać głosowi beztroskie, a zarazem przekonujące brzmienie. Zerknęła na twarz swej rozmówczyni, żeby sprawdzić, czy była wiarygodna.

- Nigdy nie wyjdę za mąż - oznajmiła Lillian. - Nie rozumiem, po co wiązać się z jednym mężczyzną, skoro jest

ich tyłu na świecie. Poza tym... - Ożywiła się. - Nie da się pogodzić kariery z małżeństwem. Nie w tym biznesie.

Mara uniosła następne pasmo błyszczących, ciemnych włosów i przeciągnęła po nim szczotkę.

- Czy w wypadku aktorów jest inaczej? - spytała.

- Oczywiście - Lillian przytaknęła zdecydowanym skinieniem głowy. - Mężczyźni to zupełnie inna sprawa!

- Chyba rzeczywiście tak jest - zgodziła się z nią Mara. Na pewno tak było w Afryce, zarówno w środowisku białych, jak i Afrykanów. Bina należała do niewielu kobiet, które wydawały się mieć inny status. - No bo przecież Peter jest żonaty.

- Niewątpliwie - przytaknęła aktorka. - Słynie z tego.

- Co to znaczy? - zainteresowała się Mara.

- Miał okazję pracować z kilkoma z najpiękniejszych kobiet w Hollywood i przez te wszystkie lata nie pojawiły się żadne plotki, nawet cień skandalu. - Lillian szeroko otworzyła oczy, jakby ten fakt nieustannie ją dziwił. - Po prostu nie przekracza pewnych granic. Gdyby tak się stało, możesz mi wierzyć, wszyscy by o tym wiedzieli. W Hollywood nie ma sekretów.

Mara zapatrzyła się na szczotkę, na wzór z bursztynowych plamek na ciemniejszym tle. Czuła, że Lillian liczy na jakąś odpowiedź. Bała się jednak, że cokolwiek powie, zdradzi ją głos i że wyjdzie na jaw jej historia. Tego na pewno nie chciała. Nigdy nie chciała, aby ktokolwiek wiedział, co John jej zrobił. Nie chciała obnosić się z otwartą raną. Wstydlivym stygmatem kobiety nie dość kochanej przez męża.

8

Leonard upatrzył sobie małe wzniesienie z pomarańczowych, pokruszonych skał wyrastające ze spieczonej ziemi, tu i ówdzie poznaczonej kępkami suchej trawy.

- Stań dokładnie tam - poinstruował Marę. - To będzie twoje pierwsze ujęcie. Gdy zawołam „akcja”, masz przez jakieś sześć sekund stać nieruchomo i patrzeć w tamtą stronę. - Machnął ręką w kierunku doliny. - Potem przejdiesz powoli wzdłuż zbocza wzgórza do tamtego starego drzewa. Nie spiesz się; jesteś pogrążona w myślach. Kiedy znajdziesz się w cieniu, zdejmij kapelusz i potrząśnij włosami. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Nic się nie przejmuj. To niema scena, będę ci podpowiadał. - Uniósł w górę powyginany megafon. - Dobra. Zabieramy się do roboty.

Mara odprowadziła go wzrokiem - wysoką sylwetkę w nieśmiertelnym czerwonym kombinezonie. Zbiegł ze wzgórza nad koryto wyschniętego strumienia, pokonał je jednym susem, wspiął się na drugi brzeg parowu i dołączył do ludzi zgromadzonych wokół kamery na trójnogu. Przypominali dziwne stadko zwierząt różniących się wielkością i barwą, a jednak egzystujących w zgodzie.

W połowie drogi pomiędzy nimi a miejscem, gdzie stała Mara, czuwał, przykucnięty pod krzakiem, strażnik w mundurze khaki. Przy ekipie ustawił tragarza broni Johna, a sam skupił całą uwagę na niej. Tkwił w niewygodnej pozycji i pochylając głowę, cały czas rozglądał się na boki. Wiedziała, że wypatruje oznak zagrożenia, a jednak, ze śrutówką gotową do strzału, wyglądał jak myśliwy tropiący zwierzyne. Wcześniej tego dnia na grani za Marą pokazał się lew. Strażnik cichym gwizdem ściągnął jej uwagę i dał znak, żeby się nie ruszała. Co prawda uniósł dwulufową strzelbę, lecz coś w jego postawie sugerowało, że nie widzi wielkiego zagrożenia. Kiedy lew pojawił się w polu widzenia Mary, zrozumiała dlaczego - na pysku i szyi miał różowe ślady po niedawnej uczcie i szedł leniwym, miękkim krokiem. Obserwowała go, stojąc nieruchomo, dopóki nie zniknął jej z oczu. Dopiero wtedy, odwracając się do strażnika, zobaczyła, jak daje on Leonardowi znak, że niebezpieczeństwo minęło. Re-

zyser wcale na niego nie patrzył - stał za kamerą na miejscu Nicka z okiem przyciśniętym do wizjera. Gdy wreszcie uniósł głowę, spojrział w kierunku Mary i uniósł kciuk. Uśmiechnęła się i pomachała mu w odpowiedzi. Oblało ją ciepłe uczucie satysfakcji. Leonard miał jedno z tych ujęć, na których najbardziej mu zależało, Maggie w kadrze z lwem.

Lillian Lane naprawdę była w afrykańskim buszu.

Teraz jedynymi zwierzętami w okolicy było kilka zebr. Pasły się na spłachetku trawy, niedaleko miejsca, gdzie zaparkowali pomalowane w pasy land-rovery. Od czasu do czasu podnosiły głowy i spoglądały na pojazdy, jakby zaintrygowane obecnością czegoś, co naśladowało ich wygląd, a jednocześnie było dziwnie duże, kanciaste i błyszczące.

Mara cofała się, dopóki nie zawadziła obcasem o kamień, którym Leonard zaznaczył właściwe miejsce, i wtedy, tak jak polecił, zapatrzyła się na krajobraz. Bardzo dobrze знаła tę okolicę. Step schodził łagodnie ku kępie akacji o smukłych pniach i rozłożystych gałęziach pokrytych żółto-zieloną korą. Tu i ówdzie rosły pojedyncze euforbie. Wyglądały dziwnie nie na miejscu, prężąc się niczym przerośnięte kaktusy. Zza drzew prześwitywała migotliwa tafla jeziora.

Mary nie opuszczała świadomości, że ma na sobie koszulę, spodnie i kapelusz Maggie. Dotyk ubrania na skórze był znajomy, lecz materiał pachniał lekko francuskimi perfumami Lillian, środkiem przeciw owadom i potem. Czekając na znak Leonarda, nerwowo skubała nitkę zwisającą z rękawa. Na szczęście aktorów nie było na planie. Lane od upału rozboleła głowa i właśnie wyruszyła z kierowcą w godzinną powrotną podróż do Lodge. Heath miał się stawić później.

Myśl o domu przypomniła jej, że powinna tam być. Nie należało zostawiać służby bez dozoru przy tak dużej liczbie gości. Jednak po ukończeniu zdjęć w jadalni Leonard przerzucił ekipę do buszu i już drugi dzień z rzędu życzył sobie, żeby im towarzyszyła. W tej sytuacji nie miała wyboru - musiała zdać się na Kefę i Menelika.

Pochyliła się, żeby zawiązać sznurowadło. Kiedy włosy opadły jej na twarz, zaskoczył ją ich kolor. Rudi, przygotowując ją do tej sceny, podfarbował je na ciemniejsze o ton.

- Właściwie mogłoby tak zostać - ocenił, nakładając na nie gęsty krem - ale lepiej dmuchać na zimne.

Z początku Mara czuła się skrępowana, siedząc we własnej łazience z mężczyzną, którego ledwie znała. Rudi pracował w milczeniu. Delikatnym naciskiem rąk przechylał jej głowę w różne strony. Rozczesywał pasma włosów i różkiem ręcznika ścierał kropelki wody z powiek. W innych okolicznościach jego gesty mogłyby wydawać się intymne, wręcz czułe. Towarzyszyło im jednak tak dobrze znane Marze skupienie; takie samo jak w bawialni podczas przygotowań do zdjęć. Kiedy skończył, odstepił parę kroków i mrużąc oczy, sprawdzał efekt swej pracy. Wtedy zrozumiała, że dla Rudiego farbowanie jej włosów było działaniem pozbawionym wszelkich osobistych podtekstów. Była dla niego kolejnym eksponatem. O dziwo, odczuła ulgę. Świadomość, że właściwie traktuje ją jak przedmiot, w jakimś sensie zmniejszyła jej wątpliwości.

Ośłoniła oczy dłonią i spojrzała na drugą stronę parowu. Dwaj Nickowie ciągle jeszcze korygowali pozycję kamery, a Leonard cierpliwie czekał. Jamie siedział pochylony nad gazetą pod dużym czarnym parasolem. Tomba, niczym smukły, ciemny posąg, wzorem pasterzy stał przy nim na jednej nodze z wysięgnikiem na ramieniu.

Oni mieli trochę cienia, natomiast na wzgórzu, tam gdzie stała Mara, panowała spiekota. Promienie słońca piekły w ramiona, parząc jak rozgrzane żelazo. Pot spływał miarowym strumieniem po plecach i rowkiem między piersiami. Mucha usiadła jej na policzku. Czuła łaskotanie łapek na skórze i dotyk trąbki ssącej pot. Nie próbowała odpędzić owada. Postanowiła udawać, że to nie jej skóra i pot. Czemu miałyby się przejmować gorącym, spoconym, umęczonym ciałem? Zostawiła je wraz ze wszystkimi niedogodnościami,

a sama uciekła w odległe, chłodne miejsce, pozbawione wszelkich odczuć.

Doprowadziła tę umiejętność opuszczania własnego ciała do perfekcji podczas polowań z Johnem, gdy bez końca musiała trwać nieruchomo, czekając na sygnał tropiciela. Sprawdziła, że takie mentalne oddzielenie się od ciała pozwala uciec od bólu napiętych mięśni, pragnienia, upału i swędzących bąbli po ukąszeniach owadów.

Później odkryła, że potrafi przedłużać ten stan. Podczas tropienia, a nawet wtedy, gdy już padły śmiertelne strzały, widziała siebie jakby z boku. To nie Mara tam stała, patrząc, jak zwierzęta chwieją się i padają na ziemię, lecz jakaś obca osoba obserwowała to wszystko.

Cielsko zabitego słonia wznosiło się nad ziemią jak mała góra. Ostrza długich noży trzymanyh przez ciemnoskóre ramiona zanurzały się w brzuchu zwierzęcia, rozrywając skórę. Wylewała się z niego niewiarygodna wręcz masa wnętrzości - długie zwoje kiszek o średnicy przynajmniej jednej stopy wiły się jak coś, co nadal żyje. Błede błony opalizowały w słońcu.

Po jednej stronie szarej góry leżała w kurzu długa różowawa trąba. Bezwładna. Pozbawiona życia.

Powietrze wypełniały rozradowane głosy Afrykanów. Będzie mięso. Czerwone mięso, ile tylko da się zjeść.

Podczas gdy obca osoba oglądała to wszystko, żona myśliwego patrzyła na siebie z boku - znieczulona, bezpieczna. Niewinna.

Teraz, wracając myślami do przeszłości, odniosła wrażenie, że musiała wówczas przeczuwać, iż ta umiejętność pomoże jej kiedyś przetrwać, podobnie jak wprawne unikanie ukąszeń węży czy omijanie grasującego lwa bez patrzenia mu w oczy. Jak inaczej poradziłaby sobie z bólem po odkryciu listu Matildy? Dni zmieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące, a dla niej ta ucieczka od siebie stanowiła obronę przed rozpaczą i pozwalała udawać przed Johnem, że nic

się nie stało. Lekarstwo, jakie odkryła, miało jednak swoją cenę. Ciało, które nauczyła się opuszczać, wydawało się utracone na zawsze. Kiedy John jej dotykał - tymi dłońmi, którymi pieścił inną kobietę - czuła się jak drewniana kukielka. Wysuszona i martwa.

Zeszytywniała na wspomnienie tamtej nocy przed wyjazdem Johna do Dar. Jak zwykle położyła się wcześniej, lecz on nie uszanował jej udawanego snu. Położył rękę na skulonym barku i obrócił ją na plecy. Potem przygniótł, rozsuwając nogi kolanem. Nie było żadnych słów ani pocałunków. Wszedł w nią z twarzą wciśniętą w poduszkę. Dla Mary była to demonstracja posiadania. Krótkotrwała. Po wszystkim nie odezwali się do siebie ani się nie dotknęli.

Odsunęła tamto wspomnienie, skupiając wzrok na czerwonej sylwetce Leonarda. Nareszcie jego głos przeciął powietrze. Wzmocniony przez megafon brzmiał beznamiętnie i mechanicznie. Skoncentrowała się na poleceniach. Przechadzała się, przystawała, poruszała, czekała i od nowa powtarzała po kolei wszystkie czynności. W końcu, wyzwolona od wszelkich myśli i emocji, była w stanie obserwować tę scenę jak zaciekawiony widz.

Po raz kolejny zdumiał ją monotony charakter pracy przy fdmie. Kiedy byli tu wczoraj, Maggie robiła dokładnie to samo, tylko kamera stała za miejscem oznaczonym rdzawym kamieniem. Mara zastępowała Lillian podczas próby, żeby ekipa mogła dokładnie obejrzeć, co aktorka będzie robić, gdy rozpoczną prawdziwe zdjęcia. Wszyscy otoczyli ją ciasnym kręgiem. Nick Numer Dwa taśmą mierniczą wyznaczał coś, co nazwał kątem widzenia kamery. Tomba ćwiczył podążanie za jej ruchami z mikrofonem, a Jamie wydawał to nagradzające go, to karcące pomruki.

Lillian w tym czasie odpoczywała pod plażowym parasolem z narzuconą na wierzch pałatką w kolorze khaki. Mara wymogła na Rudim, żeby przykrył czerwono-niebieskie pasy, tłumacząc, że jaskrawe ubiory połowy ekipy stanowią

już wystarczające zagrożenie. Aktorka miała pod ręką na małym stoliku szkicownik z ołówkiem, środek owadobójczy oraz termos. Podczas porannej przerwy na herbatę Mara podsłuchiwała, jak Lillian mówiła do Carltona, że ma w termosie mrożoną wodę, lecz była gotowa się założyć, że miała tam coś innego. Od przyjazdu do Raynor Lodge Lane zadawała sobie wiele trudu, co rusz tłumacząc Kefie, jak bardzo potrzebuje swego *dawa* - nie mówiła już o dzinie z tomkiem. Mara była ciekawa, czy Carlton wie, ile ona pije i... czy przypadkiem, jako gospodyni safari, nie powinna z nim o tym porozmawiać. To byłoby jednak równoznaczne ze zdradą Lillian. Poza tym wydawało się, że popijanie nie przeszkadza jej w grze. Kiedy wreszcie nadszedł jej czas, odegrała swą rolę koncertowo.

Mara zajęła wówczas miejsce odtwórczyni głównej roli pod parasolem. Z początku dziwnie się czuła, patrząc, jak ktoś w jej ubraniu porusza się po znajomym terenie, powtarzając te same czynności. Wkrótce dostrzegła jeszcze jeden element, pogłębiający wrażenie swojskości. Zaczęła rozpoznawać w zachowaniu Lillian własne nawyki; aktorka, tak jak ona, od czasu do czasu chłodziła twarz, unosząc rondo kapelusza, i tak samo ocierała pot wewnętrzną stroną rękawa koszuli, żeby kurz nie lepił się do skóry. (Naturalnie w wypadku Lillian nie było mowy o prawdziwym pocie. Rudi, zanim stanęła przed kamerą, rozpylił jej na twarzy specjalny płyn). Świadomość, że tamta wzoruje się na niej, wprawiła Marę w zakłopotanie, a jednocześnie mile połechtła.

Wkrótce takie zastępstwa stały się rutyną. Czasami Lillian jakby z góry zakładała, że jej dublerka ma wręcz obowiązek zapewnić jej chwilę wytchnienia od słońca, lecz przeważnie wydawała się szczerze wdzięczna. W takich chwilach Mara czuła się szlachetna i silna, jak ktoś spieszący na ratunek. To uczucie trwało jeszcze, kiedy aktorka wracała, na plan. Mara śmiało zajmowała krzesło z napisem na oparciu „Pani Lane”. Zdarzało jej się nawet dotykać jej rzeczy -

szkicownika, termosu, chusteczki, szczotki do włosów - zupełnie jakby należały do niej.

Zeszła ze zbocza wzgórza i z zadowoleniem skryła się w cieniu wiekowego, ciemnego drzewa. Spojrzała w górę, udając, że sprawdza, czy pośród powykręcanych ze starości konarów nie czają się jakieś zwierzęta. Następnie zdjęła kapelusz, wystawiając twarz na powiew chłodnego powietrza. W tej samej chwili padła komenda Leonarda:

- Cięcie!

Jakby pod wpływem podmuchu wiatru ludzie z ekipy natychmiast się ożywili. Po paru sekundach reżyser ponownie podniósł megafon do ust.

- Dziękuję, Maggie. Skończone. Zmieniamy plener.

Wiedziona impulsem, Mara zamierzała czym prędzej dołączyć do ekipy i pomóc w pakowaniu sprzętu, lecz Leonard zawołał:

- Rudi już idzie po ciebie!

Tkwiła pod drzewem, skrępowana. Chociaż skończyli zdjęcia, najwyraźniej dalej miała odgrywać rolę aktorki, bezradnej i oczekującej pomocy. Patrzyła, jak Rudi ostrożnie, drobnymi krokami zmierza w jej stronę, jakby nie ufał ziemi pod stopami.

Dobrnął do niej zasapany. Jego wilgotne od potu loki poskręcały się w pierścionki.

- Jedziemy nad jezioro. - Skinieniem głowy wskazał południowy kraniec równiny.

Maggie i Luke stali razem nad brzegiem jeziora, filmowani w dalekim kadrze.

Tym razem Mara zamiast kapelusza miała zawój z jasnozielonego szala. Jak wyjaśnił Rudi, to był inny dzień od tamtego, gdy szła samotnie po wzgórzu. Peter, w rzeczach, które wybrała dla niego z szuflady Johna, wyglądał dokładnie tak samo jak w scenie w jadalni. Teraz też miał strzelbę przewieszoną przez plecy i manierkę przy biodrze.

Stała przy nim sztywno wyprostowana. Dzieląca ich przestrzeń wydawała się gęsta, jakby przyjęła materialny kształt. Słyszała swój przyspieszony oddech. Nerwowo obliżała wargi.

- Nie przejmuj się - odezwał się półgłosem. - Myśl o tym jak o tańcu, po prostu naśladuj kroki. I pamiętaj, to ogólny plan. Nie widać szczegółów.

- Dobrze - skinęła głową.

Dochodził ich przytłumiony głos Leonarda, gdy dawał instrukcje Nickowi i Jamiemu.

- Scena trzysta dziewięćdziesiąta ósma. Ujęcie pierwsze! - rozległo się wołanie Nicka Numer Dwa, a po nim trzask klapsa.

- I... akcja! - krzyknął reżyser przez megafon.

Maggie i Luke zeszli z trawiastej skarpy na gliniaste obrzeże jeziora. Spękana, wysuszona glina przypominała szary bruk. Krawędzie płytek chrzęściły pod stopami, kiedy szli w kierunku wody. Mara patrzyła prosto przed siebie, nie odrywając oczu od stada różwonogich flamingów na płyciźnie.

- Trzymajcie się bliżej siebie - polecił Leonard.

Peter niepostrzeżenie przysunął się do niej.

- Maggie, przytrzymaj się Luke'a dla równowagi. A potem się pochyl i zawiąż sznurowadło albo wyjmij kolec ze skarpetki. Coś w tym rodzaju.

Mara oparła dłoń na przedramieniu Petera. Czuła przez miękki materiał koszuli, jak napiął mięśnie. Uniosła stopę i dotknęła tyłu buta.

- Dobrze. A teraz się lekko zachwiej. Luke, podtrzymaj ją.

Objął ją w talii, całkowicie zaskakując tym gestem. Zaciśnęła palce na jego ręce, jakby teraz naprawdę straciła równowagę. Opasując ramieniem, przyciągnął ją do siebie. Czuła cynamonową nutę jego wody toaletowej i przebijający przez nią zapach świeżego potu.

- Zostańcie tak! - zawołał Leonard. - Zaczynjcie rozmawiać. Zachowujcie się swobodnie. Maggie, opowiedz mi coś o tym miejscu, które tak kochasz.

Stojąc w napięciu, wpatrywała się w jezioro. Nic nie przychodziło jej do głowy.

Peter wolną ręką wskazał skalne wypiętrzenie na wąskim odcinku kamienistej plaży.

- Chodźmy tam przysiąść. Będzie ci łatwiej.

Popatrzyła na niego niepewnie.

- Ale Leonard powiedział, że mamy tu zostać...

- Nie musimy robić wszystkiego, co mówi. - Uśmiechnął się. - Wiem, na czym mu zależy. Chce widzieć, że dobrze czujemy się razem w tym miejscu. Zróbmy to po swojemu.

Otoczył ją ramieniem, kierując ku skałom. Usiedli na nich obok siebie.

- Opowiedz mi coś o tych ptakach - poprosił, patrząc na flamingi.

- Uhhh, ta różowa barwa pochodzi od alg, którymi się żywią - zaczęła. - Znikłaby u flaminga trzymanego w niewoli. A piskłeta są śnieżnobiałe, dopóki same nie zaczną jeść. - Wskazała najbliższego ptaka, który akurat zanurzył głowę. - Widzisz, jak one zdobywają pokarm? Odwracają łeppek i trzymają górną część dzioba na powierzchni wody, odcedzając w ten sposób algi.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Był wyraźnie pod wrażeniem.

- Od męża - odparła. - John wie wszystko o tym miejscu, o roślinach, owadach, zwierzętach... - Zawiesiła głos, nagle skępowana. Ciekawe, co myślałby John, gdyby tu był. Czy zrozumiałby, dlaczego Mara zgodziła się na przyjazd filmowców do Raynor Lodge i na wszelkie sposoby stara się im pomóc szczęśliwie dokończyć ten film? To na pewno by zrozumiał. Ale trudno zakładać, że byłby zachwycony, widząc, jak obcy mężczyzna dotyka jej w taki sposób, i że ona mu na to pozwala.

Z drugiej strony, jakim prawem mógłby mieć cokolwiek przeciwko temu? Przecież sam posunął się do czegoś znacznie gorszego.

- Taak, naprawdę szkoda, że go tu nie ma - odezwał się Peter. - Chciałbym go poznać. Widziałem go na kilku zdjęciach w jadalni.

Mara ukradkiem zerknęła na jego twarz. Nie dostrzegła na niej śladu napięcia. A o jej mężu wspomniał w taki naturalny, pozbawiony emocji sposób. Widocznie uważał, że nie ma nic do ukrycia. Zaczęła znów rozważać ewentualną reakcję Johna. Domysły zmieniały się jak w kalejdoskopie, przyjmując w końcu nowy kształt; doszła do wniosku, że mąż byłby zadowolony z tego, co się tu dzieje, tak jak Carlton, Daudi, Leonard, Kabeya, a nawet sam prezydent.

Peter zgarnął z ziemi garść kamyków i podał je Marze. A potem wziął kupkę dla siebie.

- Widzisz tamto zwalone drzewo? - wskazał pobiełały od słońca pień, sterczący z wody w sporej odległości od żerujących ptaków. - Kto pierwszy w niego trafi, dostanie nagrodę.

Uśmiechając się pod nosem, patrzyła, jak jej towarzysz ciska drugi kamyk. Nie wiedział, że ona ma sześciu braci. Na farmie całymi godzinami rzucała kamieniami do celu i trafiała nie gorzej od nich. Dlatego tak szybko nauczyła się celnie strzelać. Wstała, żeby łatwiej było jej mierzyć.

Kolejne kamyki padały coraz bliżej celu.

- Hej, musiałaś już kiedyś to robić - stwierdził Peter. Wychwyciła nutkę zaskoczenia w jego głosie.

- Tak - przyznała, rzucając następny kamień łukiem ponad wodą. - Wiele razy. - Kącikiem oka widziała, że aktor ją obserwuje.

- Hmm, podobnie jak ja. - Przykucnął i ze skupioną miną cisnął kamieniem nisko nad taflą.

Mara się roześmiała.

- I tak wygram - droczyła się z nim. Dokładnie w tej sa-

mej chwili jej kamień z cichym puknięciem odbił się od środka pnia.

Wyrzucił ręce w górę w geście udawanej rozpacz i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Masz oko!

Posłała mu triumfujący uśmiech.

- Co dostanę w nagrodę? - spytała.

Napotkała jego roześmiany wzrok. Podziw Petera obudził w niej dziwną beztroskę i dziecięcą radość.

- Jeszcze nie wiem - odparł. - Muszę się zastanowić.

- Cięcie! - Głos Leonarda gwałtownie ściągnął ich na ziemię. - Fantastycznie, kochani. To było kapitalne, świetny materiał.

Mara prowadziła stary land-rover po bezdrożach, patrząc przed siebie uważnie i omijając nory rateli oraz kopce termi-tów. Oba land-rovery z Manyali wyruszyły nieco wcześniej i znikły jej z oczu w kolejnej dolinie, pozostawiając ślady w postaci połamanych tu i ówdzie gałązek i rogniecionych zwierzęcych odchodów.

Peter był jej jedynym pasażerem. Zatrzymał się dłużej nad jeziorem, żeby porobić trochę zdjęć, a ponieważ wszystkim spieszyło się do domu, bo jak zawsze po pracy czekała ich jeszcze konserwacja sprzętu i papierkowa robota, Mara zaproponowała, że na niego zaczeka. Teraz, wychylając się przez boczne okno, sprawdzał drogę. Od czasu do czasu wyciągał rękę i rzucał krótkie: „Tędy” albo „Tam”. Wydawał się instynktownie rozumieć, że jazda po takich bezdrożach wymaga współdziałania. Mara przypuszczała, że gdyby zaszła taka potrzeba, chętnie usiadłby na zapasowym kole na masce, a nawet jechał, stojąc na przednim zderzaku, i wskazywał drogę.

W popołudniowym świetle kolory nabrały intensywności: niebo było liliowe, a ziemię, teraz ciemnoczerwoną, pokrywał złoty meszek traw. Zarysy krzewów i drzew stały się

ostrzejsze. Ptaki przycupnięte pośród gałęzi odcinały się od nich plamami połyskliwej bieli, jakby oświetlone od środka. Mara zerknęła na Petera. Widząc, że jest oczarowany pięknem krajobrazu, poczuła przypływ dumy, jakby to ona była sprawczynią tych cudów.

- To mi przypomina dom - zauważył. - To znaczy... Australię.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, wyczuwając w jego słowach tęsknotę. Krajobrazy Tanzanii, a szczególnie okolice Coal River, często budziły u niej skojarzenia z Tasmanią. Nawet nazwy obu miejsc brzmiały bardzo podobnie i wielu ludzi na świecie je myliło.

Na początku pobytu w Afryce cieszyło ją to podobieństwo, gdyż pomagało ugruntować poczucie przynależności. Teraz wspomnienie domu budziło ból; wyjechała stamtąd z takimi nadziejami na przyszłość. Coraz rzadziej pisywane listy do matki stawały się krótsze. Nie chciała dzielić się prawdą o swym życiu w Raynor Lodge.

- Jak długo tu mieszkasz? - spytał Peter.

- Nieco ponad trzy lata.

- Byłaś w tym czasie w domu?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Musisz tęsknić za rodziną. Masz rodzeństwo?

- Tylko braci - odparła. - Ale za to ilu! - Zamilkła, czując bolesny ucisk w gardle. Chciała mu wyznać, że chociaż w przeszłości często pragnęła od nich uciec, teraz okropnie za nimi tęskni.

- Ja jestem jedynakiem - odezwał się. - Dlatego od początku chciałem mieć dużą rodzinę. Ale moje dzieciństwo było szczęśliwe. Mieszkaliśmy w Bondi w domu na plaży. Praktycznie nie schodziłem z deski surfingowej; surfowałem przed szkołą, po szkole i w trakcie lekcji. Dlatego zostałem aktorem. Nie mogłem znaleźć prawdziwej pracy. - Uśmiechnął się, lecz zaraz spoważniał. - Bardzo chciałbym wrócić do Australii. Wolałbym, żeby dzieci tam dorastały. Ale

Paula nie chce wyjechać ze Stanów. Ja i tak pojawiaam się i znikam.

Mara nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć; rozmowa niespodziewanie zbaczała na osobiste tematy. Wspólna jazda w land-roverze po całym dniu spędzonym na zdjęciach sprawiła, że czuli się jak starzy znajomi. Ale nimi nie są, upomniała siebie. On jest Peterem Heathem, a ona tylko gospodynią safari, która odwozi go z planu do domu.

Zwalniając, odbiła od wyschniętego koryta rzeki. Wąska wstążka ciemniejszej ziemi była jedynym śladem jej istnienia, lecz Mara wiedziała, że pod powłoką wysuszonej ziemi kryje się gruba warstwa mułu. Land-rover przebiłby cienką skorupę i ugrzązłby w nim po osie. Oстрыm skrętem kierownicy skierowała samochód na wzniesienie.

- Czekaj! Zatrzymaj się! - zawołał Peter.

W reakcji na jego nagły ton gwałtownie zahamowała.

- Co tam jest? - Wskazał koryto rzeki w miejscu, gdzie rozlewało się w plamę ciemnego błota (pozostałość po jeziorze z pory deszczowej), i przyłożył lornetkę do oczu. - To jakieś zwierzę. Ugrzązło w błocie. Wygląda na małego bawołu. Zamilkł i wychylił się mocniej przez okno, nie opuszczając lornetki. - Ruszył głową! - zawołał, odwracając się do Mary. - Żyje! Musimy coś zrobić. Jeśli pojedziesz tam - wskazał kierunek zgitym ramieniem - uda nam się do niego dostać. Teren wygląda solidnie.

Mara trzymała samochód na jałowym biegu. Znała zasadę; w sytuacji takiej jak ta należy zostawić zwierzę własnemu losowi.

Peter opuścił lornetkę i odwrócił się do niej.

- Musi być jakiś sposób, żeby go stamtąd wydostać.

Z dłonią uniesioną nad dźwignią biegów ogarnęła spojrzeniem okolicę. Jedynymi zwierzętami w zasięgu wzroku było stadko gazeli Thomsona. Leniwie szczypały trawę, machając ogonkami. Nigdzie śladu bawołów. Odczuła ulgę. Bawoły należały do najbardziej niebezpiecznych zwierząt

w buszu. Stado potrafiło pojawić się bezszelestnie i otoczyć grupę myśliwych lub turystów. Zazwyczaj stały w napawającym przerażeniem bezruchu, lecz jeśli coś wzbudziło ich gniew, stawały się śmiertelnie groźne. Nawet twarda karoseria land-rovera tylko przez chwilę mogła stanowić ochronę przed ich atakiem.

- Stado poszło dalej - powiedział Peter, jakby czytając w jej myślach. - Zostawiły go.

Pokiwała głową.

- Niewiele mogłyby tu zdziałać. Nie mają trąb jak słonie, żeby wyciągnąć malucha.

- W takim razie ruszajmy - niecierpliwił się. - Jedźmy.

Mara odwróciła wzrok. W uszach zadźwięczał jej głos męża - opanowany, przekonujący i rozsądny: „Zostaw go. Stado odeszło. Tak czy owak cielak nie przeżyje”.

Zerknęła na Petera. Wiedziała, że odgaduje przyczynę jej wahania. Czytała zaskoczenie i gniew w jego oczach. Ale wiedziała, co na to powiedziałyby John. „Musisz być zdolna do podejmowania trudnych decyzji. Afryka nie jest dla mięczaków”.

Spojrzała Peterowi w twarz. Dostrzegła na niej wyraz bólu. Znała to uczucie i ten grymas, gdy wszystkie mięśnie się napinają, a skóra układa się w zmarszczki. Znała je tak dobrze, jakby patrzyła na własne odbicie.

W jednej chwili podjęła decyzję. Bez słowa wrzuciła bieg i zwolniła sprzęgło. Samochód potoczył się w stronę wyschniętego jeziora.

Zatrzymała land-rover w bezpiecznej odległości od brzegu. Wysiedli oboje. Mara zdjęła śrutówkę ze stojaka, naładowała ją i odbezpieczyła. Ze strzelbą na ramieniu podeszła z Peterem do krawędzi błotnej plamy.

Sądząc po gabarytach, mieli do czynienia z bawolim niemowlęciem. Było całe oblepione błotem i gdyby nie zaczątki rogów, nadające głowie charakterystyczny kształt, trudno byłoby rozpoznać w nim bawołu. Obserwowało ich,

przechylając łeb, a wyglądało przy tym słodko i niemal komicznie, jak jakiś cudak z książeczki dla dzieci.

Mara oszacowała odległość, jaką musieli pokonać, brnąć przez błoto, żeby się do niego dostać. Muszą uważać, bo też mogą ugrzęznąć. Patrzyła niechętnie na ciemną maź, rozważając inne niebezpieczeństwa. Na szczęście nie rosły tu trzciny, siedlisko ślimaków roznoszących bilharcozę.

Peter wskazał ślady kopyt odcisnięte na miękkiej powierzchni.

- Łatwo odgadnąć, co tu się stało - powiedział. - Zwierzęta przygalopowały w poszukiwaniu wody i zanim się obejrzały, utknęły w błocie. Starsze miały dość siły, żeby się z niego wygrzebać, a ten maluch znalazł się w potrzasku.

Obserwowała Petera z zaciekawieniem. Był taki konkretny, myślał praktycznie, jakby wychował się, podobnie jak ona, na farmie, a nie na plaży. Być może ocean uczy życia tak samo jak ziemia...

Nie odrywał wzroku od bawolątka.

- Jeżeli zajdziemy cielaka z obu stron - spekulował - może uda nam się go unieść. Ale najpierw musimy tam dotrzeć. - Spojrzał na swoje ubranie i wysokie buty. - Dobrze, że Rudi kazał nam zdjąć filmowe kostiumy - podsumował. - Ładnie byśmy wyglądali, wracając uwalani błotem!

Popatrzyła na niego przerażona na samą myśl, że coś takiego mogłoby się zdarzyć. Rekwizytor kilkakrotnie powtórzył, że kostiumy są bardzo cenne - praktycznie nie do zastąpienia, skoro zostały już raz sfilmowane. I chociaż były teraz bezpieczne w jego rękach, ta myśl tylko pogłębiła niepokój wywołany całym przedsięwzięciem.

Peter zaczął posuwać się w kierunku cielaka. Mara postąpiła kilka kroków za nim, po czym się zawahała. Lufa uwierała ją w plecy. Wiedziała, że powinna mieć strzelbę w pogotowiu, lecz myśl, że ją zabłoci, była równie niepokojąca jak tamta o zniszczeniu kostiumów. Obojętnie jak starrannie wyczyściłaby ją po powrocie do domu, i tak zosta-

łyby jakieś zabrudzenia, które John na pewno by odkrył. Jeszcze raz zlustrowała okolicę. Nadal nie dostrzegąca niczego podejrzanego, przełożyła więc pasek przez głowę i położyła śrutówkę na ziemi.

Z początku szło im się łatwo, lecz w pewnym momencie but Petera przebił cienką skorupę i zapadł się w błoto. Chwilę później to samo przydarzyło się Marze. Stłumiła okrzyk, gdy noga zanurzyła się niemal po kolano w gęstej, chlu-począcej mazi. Wydobył się spod niej smród zgnilizny. Balansując dla równowagi, zrobiła kolejny krok. Kiedy wyciągnęła nogę, zobaczyła, że oblepia ją czarne jak smoła błoto.

- Jak ci idzie?! - zawołał Peter.

- W porządku! - odkrzyknęła.

Cielak na dźwięk ich głosów przewrócił oczami, wydał z siebie ciche, rozpaczliwe kwiknięcie i spróbował się poru-szyć. Wiedziała, że biedak się boi i przerażony będzie z nimi walczyć, gdy zaczną go wyciągać.

Zaszła bawołątko z jednego boku, a Peter stanął przy drugim. Wybierając błoto garściami, próbowali je rozgrze-bać wokół patykawatych nóg. Wkrótce oboje umazali się po ramiona, a ubrania kleiły się im do ciała.

Zmagali się w milczeniu. Mara czuła, jak zlewa się po-tem pod skorupą z lepkiego błota.

- Nic z tego - odezwał się w końcu Peter. - W ogóle się nie posuwamy.

Zwierzę wyraźnie słabło. Było wyczerpane i zapewne spragnione, sądząc po szarym, wiotkim jęzorze zwisającym z pyska. Mara obejrzała się na strzelbę na brzegu. Nie wy-obrażała sobie, jak stojąc przy cielaku, mogłaby przyłożyć mu lufę do łba. Z drugiej strony, jeszcze gorzej, jeśli zоста-wią go pod prażącym słońcem. Będzie się męczył dzień, a może i dwa, aż w końcu zwiesi mały łepok i zdechnie tutaj zupełnie sam.

- To niemożliwe... - Wpadła na pewien pomysł. - Nie

może dużo ważyć. Spróbujmy je podnieść. Możemy podsunąć pod nie ręce.

Peter kiwnął głową i nie marnując czasu, zaczął wpychać dłonie w błoto pod brzuchem cielaka.

Mara poszła za jego przykładem. Opierając się czołem o bark zwierzęcia, czuła przez włosy ciepło bijące od jego ciała.

Wkrótce jej dłonie, szukając po omacku, natrafiły na ręce Petera. Mocno splekli umazane palce.

- Dobra, na trzy - zarządził. - Raz, dwa, trzy!

Odchyleni do tyłu, aby utworzyć przeciwwagę, próbowali unieść cielaka. On tymczasem, fukając i wijąc się ze strachu, starał się wykręcić głowę i dosięgnąć ich rogami. Nie przestawali podciągać go w górę. Patrzyli na siebie ponad grzbietem zwierzęcia, zagrzewając się wzajemnie do dalszego wysiłku. Cielak, niestety, ani drgnął.

Po chwili przerwali zmagania i nie rozplatając dłoni, pozwolili odpocząć mięśniom.

- Może obwiązać go liną? - zasugerowała Mara. - Moglibyśmy wyciągnąć go land-roverem.

- Spróbujmy jeszcze raz - zaproponował Peter. - Dobra, jedziemy - sapnął. - Raz, dwa, trzy!

Tym razem szarpnięciu towarzyszyło ciche mlaśnięcie błota i cielątko wynurzyło się odrobinę. Ponowili próbę. Wkrótce wyłoniło się jeszcze bardziej. A potem, przy syku błotnej mazi, całe wysliznęło się na powierzchnię. Runęło na bok, słabo wierzgając rozrzuconymi nogami.

Wymienili pełne ulgi spojrzenia. Peter oglądał oblepioną błotem skórę zwierzęcia.

- Ty mała ślicznoto! - zachwycił się cicho.

Mara zerknęła na niego. Po raz pierwszy odezwał się jak Australijczyk, zarówno akcent, jak i powiedzenie były jej dobrze znane. Patrzyła z uśmiechem, jak pochyla się nad cielakiem i gładzi go po falującym boku.

Bawolątko zaczęło zapamiętane kwiczeć, jakby czuło, że

ratunek jest bliski. Rozpaczliwe zawodzenie wydawało się dziwnie donośne jak na tak osłabione ciało. Niosło się echem w nieruchomym, rozpalonym powietrzu. Ptaki z trzepotem skrzydeł zerwały się z gałęzi martwego drzewa za land-roverem. Mara podażyła za nimi spojrzeniem. To sępy - stwierdziła ze zgrozą. Prawdopodobnie siedziały tam od wielu godzin, pilnując i obserwując...

- Chodź - ponagliła Petra. - Zabierajmy się stąd.

Zajęli miejsca po bokach bawolątka, ponownie zbierając siły, aby wyciągnąć je na pewny grunt.

Wędrówka była wyczerpująca; podtrzymując cielaka i ciągnąc go po ziemi, z trudem brnęli przez trzęsawisko ku brzegowi.

W końcu dowlekli się na twardy grunt i dysząc ciężko, rozcierali omdlałe ramiona. Cielak leżał pomiędzy nimi na podgiętych kończynach.

- Postawmy go - powiedział Peter.

Złapała zwierzę za przednie nogi. I wtedy zamarła, bo jakiś ruch przyciągnął jej uwagę; kątem oka dostrzegła szare kształty w tumanie kurzu.

- Bawoły! - krzyknęła przerażona. - Szybko!

Puścili się pędem do land-rovera. Nie zwalniając kroku, Mara podniosła strzelbę i trzymała ją, wycelowaną w niebo.

Peter pierwszy wskoczył do samochodu i otworzył jej drzwi po stronie kierowcy.

Zatknęła strzelbę za oparcie, opadła na fotel i zapuściła silnik. We wstecznym lusterku widziała zbliżające się stado. Bawoły z pochylonymi łbami kłusowały ku nim przez równinę, a ich potężne mięśnie falowały pod skórą. Słyszała dudnienie kopyt o wysuszoną ziemię. Były zaledwie kilkaset jardów od nich.

Zawzięcie kręciła kierownicą, na wpół stojąc, żeby lepiej widzieć teren przed maską. Peter, zapierając się w fotelu, wykrzykiwał, co widzi na drodze, lecz jego głos ledwo przebijał się przez rżenie land-rovera mknącego po wertepach.

Strach zaciskał Marze żołądek. Bawoły, pomimo swej masy, potrafią poruszać się bardzo szybko. Widziała, że stado zbliża się do cielaka. Za chwilę go minie i puści się w po-goń za samochodem. W uszach dzwoniły jej zasłyszane hi-storie o atakach bawołów: o pojazdach pozamienianych w kupę złomu, o pasażerach, którym cudem udało się wyli-zać z ran, i o pieszych myśliwych stratowanych na krwawą miazgę.

- Zwalniają! - krzyknął Peter.

Zerknęła we wsteczne lustro. Miał rację. Bawoły kot-łowały się przy brzegu jeziora. Żaden z nich nawet nie uniosł łba, żeby spojrzeć w ich stronę. Mara nie mogła wyjść ze zdumienia. Wyraźnie interesował je wyłącznie los cielaka.

Usiadła głębiej w fotelu, prowadząc teraz bardziej płynnie. W sporej odległości od jeziora zwolniła do bezpiec-zniejszej prędkości. Gdy przestało zarzucać samochodem, odwróciła się do Petera.

- Żyjesz? - spytała, siłąc się na uśmiech, który, jak mia-ła nadzieję, wyglądał krzepiąco.

- Tak... a ty?

Kiwnęła głową. Strach ustępował miejsca uldze, lecz szybko wyparła ją panika. Naraziła klienta na niebezpie-czeństwo. Gdzie ona miała rozum?

Zwiesiła ramiona na kierownicy, zabłocone włosy opadły jej na twarz. Land-rover miarowo pokonywał wyboje. Co rusz uderzała kolanem o drzwi, lecz nawet nie drgnęła, żeby cofnąć nogę.

Peter odetchnął głęboko.

- Dobra robota - stwierdził.

Spojrzała na niego, zachęcona ciepłym tonem. Uśmiechał się z podziwem. Intensywnie zielononiebieskie oczy błysz-czały z podniecenia. Pod wpływem ich siły poczuła się jak zwierzę schwytane w światła reflektorów. Zmusiła się, by odwrócić wzrok.

Kątem oka widziała, że wodzi po niej oczyma.

- Wyglądasz... - zaczął i, nie kończąc, tylko z uśmiechem pokręcił głową.

Potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda, siedząc za kierownicą w ubraniu oblepionym błotem, cała umazana na czarno. W rewanżu powoli omiotła go wzrokiem.

- Tak samo jak ty. - Uśmiechnęła się.

W jednej chwili stali się dwójką dzieciaków, które po całym dniu zabawy nagle odkrywają, jak bardzo się ubrudziły. Oboje parsknęli śmiechem. Ten zaraźliwy śmiech to przygasał, to wybuchał na nowo.

W końcu się opanowali. Jechali, kołysani ruchem toczącego się land-rovera, w ciszy zakłócaney jedynie warkotem silnika. Mara prowadziła swobodnie, oparta łokciem o ramę otwartego okna. Wkrótce zostawili za sobą równinę i zaczęli wspinać się na wzniesienie. Spokój, jaki ich ogarnął, znajdował odbicie w wyciszonym pięknie mijanych krajobrazów. Słońce stało nisko, rzucając złote refleksy na trawę. Światło powoli nabierało różowego odcienia, a niebo ciemniało, aż do głębokiego fioletu. Perliczki sadowiły się do snu na dolnych konarach ciernistych drzew, szukając nad ziemią schronienia przed nocnymi drapieżnikami. Mara włączyła światła i teraz uważniej śledziła drogę, lecz każdy nerw w jej ciele był wyczulony na siedzącego obok mężczyznę. On też był skupiony na niej; widziała, jak odrywając oczy od krajobrazu, co rusz na nią spogląda.

- To było niesamowite - odezwał się po jakimś czasie. - Nigdy tego nie zapomnę.

- Ani ja - odrzekła z uśmiechem.

Powróciło tamto wrażenie bliskości. Nie ma w tym nic dziwnego - tłumaczyła sobie. Oboje byli Australijczykami, których okoliczności rzuciły daleko od domu. Razem pracowali przy filmie. A teraz uratowali życie bawolemu niemowlęciu. Na myśl o tym, czego dokonali, przepłynęła przez nią fala ciepła. Wspólnie rzucili wyzwanie prawom bezwzględnych ludzi i... odnieśli zwycięstwo.

Zmierzchało, gdy dotarli do domu. O zmroku łuk z ciosów nad wjazdem przecinał białą szarą tło z gałęzi i liści. W powietrzu snuły się smużki dymu z przydomowych ognisk we wsi.

Mara wyłączyła stacyjkę, silnik zamarł z dygotem, lecz nie wysiadła z samochodu, jakby chciała przedłużyć tę podróż. Odwróciła się do Petera. On też siedział nieruchomo, zdając się napawać tą chwilą. Twarz miał ukrytą w cieniu, ale widziała blask jego oczu. Milczeli oboje, ciągle jeszcze ogarnięci atmosferą podróży, ciepłą i przytulną.

Wreszcie Mara się otrząsnęła i otworzyła drzwi. Wyskoczyła z samochodu, wyjęła strzelbę i poczekała na Petera. Ramię w ramię przeszli pod kłami i ruszyli kamienną ścieżką. Krzewy po obu stronach zdawały się ich otulać, jakby chciały ukrywać ich możliwie najdłużej. Wkrótce jednak zza zieleni wyłonił się budynek.

Na widok Carltona Mara zmyliła krok. Kręcił się po werandzie, przemierzając ją szybkim, nerwowym krokiem. Podwinięty lewy rękaw odsłaniał zegarek.

Rzuciła spłoszone spojrzenie na Petera, niepewna, czy wypada go poprosić, żeby odezwał się pierwszy. W tej samej chwili nastąpiła na suchą gałązkę. Cichy trzask zwrócił uwagę Carltona.

- Co się stało? - Na przemian mierzył ich wzrokiem. - Mieliście wypadek?

Peter uniósł ręce w uspokajającym geście.

- Jesteśmy cali i zdrowi. Nie denerwuj się.

Miller przez chwilę nie mógł wydobyć słowa.

- Nie denerwuj się? - wybełkotał. - Jak mam się nie denerwować, skoro robi się ciemno, a was nie ma? Już miałem wysłać grupę poszukiwawczą! Byliby teraz w drodze, gdyby Brendan nie posiadał gdzieś obu kompletów kluczy... - Zaniemówił, wodząc oczyma po oblepionym błotem aktorze. -

Co wyście robili? - spytał cicho, gdy wreszcie odzyskał głos.

- Ratowaliśmy malutkiego bawołu - wyjaśnił Peter. - Żeby się do niego dostać, musieliśmy brnąć przez błoto.

Carlton potrząsnął głową jak ktoś, kto stara się odpedzić koszmarny sen.

- To ja go zauważyłem. Poprosiłem Marę, żeby zatrzymała samochód - przekonywał Peter, posyłając swej towarzysze porozumiewawcze spojrzenie.

- Nie powinnaś była się zgodzić - oznajmił Miller bez ogródek, wlepiając w nią oczy. - A gdyby doszło do jakiejś tragedii? - I nie czekając na odpowiedź, zaatakował aktora: - Wiesz równie dobrze jak ja, że nawet najbliższy wypadek oznacza dla nas katastrofę. Nie stać nas na choćby najmniejszą zwłokę. - Nuta paniki zabrzmiała w jego głosie, jakby nieszczęście nie zostało zażegnane. - Byłoby po filmie. I przy okazji po nas!

- Ale nie doszło do wypadku - uspokajał go Heath.

- Nie w tym rzecz - odrzekł tamten, patrząc z marsową miną na Marę.

- Ale to nie jej wina - bronił jej Peter.

Pokręciła głową.

- Nie, to ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało. Przepraszam cię, Carltonie. - Odruchowo postąpiła krok ku niemu. - Nigdy więcej coś takiego się nie powtórzy.

Usunął się przed nią. Pewnie tak go rozzłościła - przeszło jej przez myśl - że nie może znieść jej obecności.

- Rany, ale wy cuchniecie! - prychnął, marszcząc nos. - Lepiej się zaraz wykąpcie!

Kiedy się cofnęła, Peter pochwycił jej spojrzenie. Nagle dostrzegła zabawną stronę tej sytuacji. Czuła, jak wzbiera w niej śmiech. Niemal zapomniała, że Carlton nadal stoi skwaszony.

- Peter musi dostać gorącą wodę do rondawela - przypomniał chłodnym tonem.

- Naturalnie - odrzekła, opanowując rozbawienie. - Każę chłopcom natychmiast ją przynieść. - Zauważyła, że wyschnięte błoto na skórze aktora zmieniło się w cienką, bladą skorupkę, popękaną na przegubach dłoni i na łokciach. - Najlepiej najpierw weź prysznic - zwróciła się do niego. - Co prawda woda będzie zimna, ale tak najłatwiej zmyć błoto.

- Dzięki. Tak zrobię - odparł i spojrzał wymownie na jej włosy i twarz. - Tobie też nie zaszkodzi tusz z węża.

Uśmiechnęła się. Ten jego niby poważny ton, dobór słów i akcent były tak australijskie, że zerknęła na Carltona, aby sprawdzić, czy on też wychwycił niuanse. Ten przyglądał się im z zadumaną miną, lecz co w tej chwili myślał, nie potrafiła odgadnąć.

Peter odwrócił się i skierował do rzędu rondaweli.

Mara liczyła, że Miller pójdzie z nim, tymczasem on kręcił się przy niej, przestępując z nogi na nogę. Spodziewała się kolejnej reprimendy i czekała z niepokojem na to, co usłyszy. Kiedy wreszcie otworzył usta, zupełnie ją zaskoczył.

- No, mamy to już za sobą - zaczął. - Słyszałem, że doskonale wam dzisiaj poszło. Leonard jest bardzo zadowolony, no i cała reszta też. Dzięki za pomoc.

- Nie ma za co - odparła. - Cała przyjemność po mojej stronie. - Uśmiechnęła się ciepło.

W odpowiedzi skinął głową.

- Do zobaczenia na kolacji.

Wzmianka o wieczornym posiłku z miejsca ściągnęła ją na ziemię. Przede wszystkim powinna jak najprędzej znaleźć się w kuchni i sprawdzić, co się tam dzieje.

- To ma być specjalna tanzańska uczta - oświadczył Carlton.

Mara usiłowała ukryć zaskoczenie. O ile wiedziała, tanzańskie uczty sprowadzały się do zabicia kozy i upieczenia mięsa nad ogniskiem.

- Wymienili jakieś konkretne potrawy? - spytała ostrożnie.

- Kurczaka Kilimandżaro, więcej nie pamiętam - odparł.

- Och tak, jest pyszny - zachwyciła się. Starła się, żeby zabrzmiało to przekonująco, jakby padła nazwa jednej ze specjalności Raynor Lodge, chociaż, prawdę mówiąc, za jej czasów Menelik ani razu nic takiego nie przyrządził. Podejrzewała, że pomysł etnicznych potraw pochodził od Daudiego jako część misji promowania nowej Tanzanii.

Odczekała uprzejmie, aż Carlton się odwróci i odejdzie. Wtedy prawie biegiem ruszyła w stronę zabudowań gospodarczych, kierując się prosto do kuchni. Co prawda obawiała się spotkania z Menelikiem, lecz najwyższy czas dać mu znać, że wróciła. Będzie musiała go przywołać, stając w drzwiach brudna i cuchnąca jak jakiś wiejski włóczęga. Zrezygnowana pokręciła głową. Wołała nie myśleć, jak stary kucharz zareaguje na jej widok. Była boleśnie świadoma, że gdyby chciała celowo udowodnić, jaka beznadziejna z niej *memsahib*, nie wymyśliłaby lepszego sposobu.

Leżała w wannie, mokre włosy wiły się wokół jej ramion. Zmyła przedtem błoto pod kranem na zewnątrz, ale woda i tak była szarawa. Na szczęście zaduch grzęzawiska zastąpił teraz zapach perfum L'Air du Temps. Lillian uparła się, żeby Mara skorzystała z jej pachnącego mydełka. Aktorkę zafascynowała ich przygoda. Przeżywała ją, jakby wraz z nimi uczestniczyła w ratowaniu małego bawołu. Prawdopodobnie uprzejmy gest z mydłem miał wzmocnić tę iluzję.

Powoli mydliła piersi i brzuch. Całe ciało mrowiło po szorowaniu zapiaszczoną wodą. Czuła się dziwnie ożywiona, nawet teraz, gdy masaż powolnymi, kolistymi ruchami mile ją rozleniwił.

Przymknęła powieki i wciągnęła w nozdrza perfumowaną woń. Pozwoliła sobie - tylko na chwilę - ponieść się fantazji. Nie była Marą Sutherland, żoną myśliwego, tylko rozpieszczonym stworzeniem, żyjącym w świecie luksusu

i romansów. Kimś takim jak Lillian. Mogła jechać, dokąd chciała, i robić, co jej się żywnie podobało. Nawet zakochać się w przystojnym nieznajomym.

Nie w żonatym mężczyźnie jak Peter Heath. Co to, to nie.

Nie w Peterze. Ale w kimś takim jak on.

Potażała twarz, jakby chciała zmyć tę wizję. Przypomniała sobie, kim naprawdę jest. *Memsahib* Raynor Lodge. Ta konstatacja wywołała cierpki uśmiech, bo wraz z nią powróciło wspomnienie niedawnego spotkania z Menelikiem. Co prawda nie wypadło tak źle, jak się spodziewała. Podejrzała, że kucharz zmierzy ją niechętnym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem, tymczasem on przez moment patrzył na nią z niedowierzaniem, po czym wybuchnął śmiechem. Wkrótce dołączyli do niego kuchcik i pomocnik, którzy pod wpływem szoku stali dotąd jak wmurowani. Mara wiedziała, że Afrykanie czasami pokrywają śmiechem zakłopotanie, a nawet współczucie, więc nie była pewna, jak odczytać ich reakcję. W końcu też się roześmiała. Ten atak wspólnej wesołości rozładował napięcie. Odprężyła się jeszcze bardziej, gdy spojrzała w głąb kuchni, bo przygotowania do kolacji były na ukończeniu. Nawet miseczki Lillian stały w pogotowiu. Najwyraźniej wszystko szło sprawnie i gładko.

Poruszała dłońmi pod wodą, wzbudzając fale łaskoczące skórę. Oddychała powoli, pozwalając ciału się odprężyć. Na razie, nie musiała się niczym przejmować. Mogła delektować się tą chwilą spokoju.

Mara szła do rondawela z pachnącym mydełkiem w dłoni. Nie miała pewności, czy to pożyczka, czy prezent, ale i tak planowała oddać je Lillian. Możliwe, że aktorka przewiozła ze sobą tylko jedną kostkę. Teraz, kiedy sama poznała przyjemność mycia się delikatnym, kremowym mydełkiem, wiedziała, że ani palmolive, ani tym bardziej lifebuoy nie mogły go zastąpić.

Naftowe lampy rozwieszane wzdłuż ścieżki wzmacniały

elektryczne oświetlenie sączące się z okien głównego domu. Idąc, Mara zerkała na swój nowy strój, komplet zamówiony u Biny. Dziś wieczorem, kiedy wyszła z wanny odświeżona i wypoczęta, ze skórą pachnącą egzotycznymi perfumami, postanowiła przebrać się do kolacji w nową kreację. Okazja jednak była szczególna. Po raz pierwszy w Raynor Lodge miała się odbyć tanzańska uczta.

Brakowało jej toaletki. Oglądała się w ręcznym lusterku, wodząc nim po sobie jak kamerą. Sądząc z zebranych razem fragmentów, strój się udał. Do twarzy jej było w tym fasonie, a materiał w rozmyty żółty, zielony i złotobrazowy deseń był jeszcze ładniejszy, niż go zapamiętała. Wyobraziła sobie, że w tej bluzce i spódnicy wygląda jak postać z bajki dla dzieci: *Duszek sawanny*. Kolory nie kojarzyły się z suchą porą, lecz z krajobrazem po pierwszych, przelotnych deszczach, gdy zieleń nieśmiało wkrada się na sawannę, obiecując wszystkim nowe życie.

Założyła buty na wysokich obcasach, te przywiezione do Afryki na ślub. Dała je handlarzowi skór do przemalowania i teraz, jasnokremowe, idealnie pasowały do nowego stroju.

Szła powoli ścieżką. Fałdy spódnicy głąaskały nogi, rozpuszczone włosy muskały łopatki. Podniosła głowę i zapatrzyła się na nocne niebo. Aksamitną zasłonę znaczyły punkciki gwiazd. Przystanęła, żeby odnaleźć konstelację o znanej jej afrykańskiej nazwie *Mapacha* - Bliźnięta.

Nie potrafiła określić, w którym momencie poczuła na sobie czyjs wzrok - ta świadomość spłynęła na nią na podobieństwo świtu, gdy niebo jaśnieje niepostrzeżenie. Przystanęła i jakby za pociągnięciem niewidzialnego sznurka odwróciła się powoli w stronę drugiego rondawela. W otwartych drzwiach stał Peter.

W plamie światła z naftowej latarni regularne rysy rzeźbionej twarzy ginęły w mroku. Patrzył prosto na Marę. Nie skinął głową ani się nie uśmiechnął. Stał nieruchomo jak urzeczony. Odwzajemniła spojrzenie. Usiłowała odczytać

wyraz jego oczu. Zaskoczyła go swym odmienionym wyglądem, co do tego nie miała wątpliwości. Zrobiła na nim wrażenie.

W jego oczach odbijały się jednak jeszcze inne, nie tak już jednoznaczne emocje. Wstrzymała oddech. Czy to lęk, czy tęsknota? A może oba te uczucia?

Uśmiechnął się i czar przysł.

Wskazał sukienkę.

- Ślicznie wyglądasz - popłynął ku niej głęboki, cichy głos.

- Dziękuję - odparła. - Nowa.

Podeszła bliżej. Ich oczy ponownie się spotkały. Wiedziała, że to przedłużające się spojrzenie ma potężną i niebezpieczną moc, lecz pozwoliła mu trwać. Potem powoli się odwróciła. Kątem oka widziała, jak spuścił głowę i twarz okrył mu cień.

Idąc ścieżką, wyczuwała za sobą jego obecność. Serce trzepotało jej w piersi, żołądek się kurczył. Zmysły się pogubiły - jego obecność jednocześnie przyciągała ją i odpychała. Był tak blisko jak tamte ćmy wirujące wokół latarni przy ścieżce i zarazem daleko jak gwiazdy.

Zanim podeszła do rondawela Lillian, przystanęła pod krzewem uroczynu, żeby ochłonać. Kiedy była gotowa, zbliżyła się do chaty z mydłem w wyciągniętej ręce.

Ze środka dobiegł ją męski głos. Cofnęła się w cień z nadzieją, że nie została dostrzeżona; wiedziała, jak istotne jest prawo do prywatności klientów w ich pokojach. Mężczyzna ponownie przemówił, tym razem donośniej. Po głosie rozpoznała Carltona.

- Lillian, nie o to chodzi - mówił. - Zgoda, świetnie sobie radzisz na planie. Ale oboje wiemy, że za dużo pijesz.

- Carlton, daj spokój - zachnęła się. - Te parę kropli ginu od czasu do czasu. Nie ma o czym mówić.

- Więcej niż parę - tłumaczył cierpliwie. - Wydaje ci się, że nikt tego nie widzi, ale mnie nie oszukasz.

Na chwilę zapadła cisza. Kiedy Lillian ponownie się odezwała, Mara rozpoznała w jej głosie przymilny ton, który już wcześniej miała okazję słyszeć.

- Zrozum, staram się jakoś wytrzymać. Gorzej znoszę pobyt w Afryce, niż się spodziewałam; te wszystkie bakterie, choroby, robactwo i dzikie zwierzęta. W Zanzibarze przeżyłam koszmar... - Zamilkła na moment, a Mara oczyma duszy widziała, jak aktorka uśmiecha się słodko i ujmująco. - Carlton, proszę cię, nie bądź dla mnie taki surowy. - Teraz z kolei w jej głosie pojawiła się nutka wyrachowania. - Niech zostanie tak, jak jest, do ukończenia zdjęć. Zostało nam jeszcze kilka istotnych scen. A po powrocie do domu się ograniczę.

Miller wydał z siebie przeciągłe westchnienie świadczące o irytacji.

- Lillian, nie mówimy tu o zakończeniu filmu. Chodzi mi o ciebie. Znowu trafisz na odwyk i nikt nie będzie chciał więcej z tobą pracować. Jedno załamane nerwowe da się jakoś wytłumaczyć, ale dwa to już schemat.

Mara wstrzymała oddech, miotając się pomiędzy niedowierzaniem i współczuciem, w miarę jak docierał do niej sens słów Carltona. „Odwyk. Załamane nerwowe. Nikt nie będzie chciał więcej z tobą pracować”.

Posłuchaj, Lillian - ciągnął. - Ostro walczyłem o ubezpieczenie dla ciebie na ten film, a i tak postawiono mi kilka warunków. Nie możesz ryzykować.

- Dramatyzujesz - stwierdziła. - Ja się kontroluję.

Rozległy się szybkie, zdecydowane kroki. Aktorka wydała okrzyk protestu. Drzwi się otworzyły gwałtownie. Mara przywarła do krzewu, kryjąc się pośród gałęzi. Z rondawela wyłonił się producent, przyciskając do piersi dwie butelki dżinu.

- Oddawaj! - zażądała Lillian piskliwie. - Co ty wyrabiasz?!

Mara patrzyła, jak Carlton zdejmuje nakrętki.

- Nie! - krzyknęła Lillian. - Nie rób tego. Proszę!

Odwrócił obie butelki szybką do dołu i stojąc nieruchomo z wyciągniętymi rękami, patrzył, jak ich zawartość wypływa z gulgotem srebrzystym strumieniem. Twarz zwiotczała mu ze zdumienia, jakby nie do końca wierzył, że zdobył się na coś takiego. W powietrzu unosił się ostry zapach jałowca i alkoholu. Zanim postawił na ziemi puste butelki, postął Lillian przeciągłe, wymowne spojrzenie, po czym odszedł, ani razu nie spojrzawszy za siebie.

Drzwi chaty zamknęły się z hukiem.

Mara została pod krzewem, dopóki Carlton nie zniknął. Zesztywniała z wrażenia. Owszem, wiedziała, że aktorka popija, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, iż mogła być alkoholiczką. To słowo kojarzyło jej się z ludźmi wypalonymi, uwięzionymi w pułapce nieudanego życia. Nie pasowało do kogoś utalentowanego i odnoszącego sukcesy. Zerkając na rondawel, wiedziona impulsem, zapragnęła pobiec do Lillian i sprawdzić, co się z nią dzieje. Wtedy jednak wyszłoby na jaw, że była świadkiem tej poniżającej sceny. Lepiej zostawić wszystko w rękach Carltona. Ostatecznie był producentem filmowym, więc musiał wiedzieć, jak postępować w najróżniejszych okolicznościach.

Przyczajona w cieniu, zacisnęła mydło w dłoni. Było tak krzepiąco prawdziwe; konkretna rzecz w świecie, który nagle wydał się ułudą. Skoro kariera takiej kobiety jak Lillian Lane jest zagrożona, co jeszcze może się zdarzyć?

Zdetonowana, poczuła jak targnął nią dreszcz. Do emocji, które go wywołały, przeniknęło coś jeszcze - niepokojące wrażenie, że tam, gdzie pojawiają się sekrety i sprzeczności, mogą nie obowiązywać zasady rządzące zwykłym życiem.

Wszystko może się zdarzyć.

Przed oczyma stanęła jej twarz Petera. Dreszcz podniecenia rozteźnił krew w żyłach.

Lillian leżała wyciągnięta na trzciniowym szezlongu w cieniu drzewa jakarandy. Zawój z szala na jej głowie idealnie pasował odcieniem do koloru kwiatów rosnącej w pobliżu bugenwilli oraz kwiecistego deseni sukienki. Mara, idąc ku niej przez brunatny trawnik, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ten dobór kolorów nie był przypadkowy. Być może aktorka, spędzając tyle czasu starannie upozowana na planie, tak samo zachowywała się w prawdziwym życiu.

Podeszła do niej na palcach, aby zabrać tacę leżącą na ziemi obok szezlongu. Lillian, pogrążona w głębokim śnie, oddychała miarowo przez rozchylone wargi. Oczy miała lekko podkrążone, a mimo to wyglądała ładnie. Właściwie pięknie. Aż trudno było uwierzyć, że była tą samą osobą, którą Carlton potraktował tak bezwzględnie.

Mara ostrożnie podniosła tacę, uważając, żeby nie zadzwonić stojącą na niej zastawą. Zanim odeszła, zauważyła szkicownik porzucony na trawie. Jakiś żuk wdrapał się na papier i rozpoczął mozolną, bezładną wędrówkę po niewprawnym szkicu przedstawiającym mężczyznę w fotelu. Sądząc po manierce przy biodrze i strzelbie, domyśliła się, że miał to być Peter. Była ciekawa, czy Lillian po ukończeniu portretu podaruje go aktorowi i czy on też wpadnie w udawany zachwyt, jak czynili to inni. Poczuła przypływ gniewu w jej imieniu. To nie w porządku, że Lillian, wkładając w te rysunki tyle pracy, nie może się dowiedzieć, czy ma talent, bo nikt nie wypowiada szczerze swojej opinii.

Patrząc na nią, Mara zadumała się nad innymi ciemnymi stronami sławy, poważniejszymi, takimi, które zapewne doprowadziły Lane do tego, kim się stała. Potem powędrowała myślami do Petera. Był równie sławny, a jednak wydawał się mocno stapać po ziemi. Niemożliwe, aby pozował. Nie potrafiła orzec, czy był to wpływ charakteru, pochodzenia, czy życiowych wyborów, ale sukcesy nie zawróciły mu w głowie.

Mara się rozejrzała. Dochodziło południe, lecz zamiast typowego dla tej pory ożywienia wszędzie panował błogi spokój. Carlton ogłosił, że dziś rano nie będą kręcić, dając wszystkim możliwość „naładowania akumulatorów” przed drugą serią zdjęć. Część ekipy, podobnie jak Lillian, odpoczywała na dworze. Brendan porzucił swoje reflektory oraz zwoje kabli i w cieniu werandy czytał starą gazetę. Rudi na kocu pod mangowcem rozmawiał z chłopcami z obsługi chat, którzy co rusz chichotali. Ich wysokie dziecinne głosy wydawały się rozjaśniać aurę. I chociaż Mara podejrzewała, że znalazłoby się dla nich zajęcie w jakimś innym miejscu, nie zburzyła tej sympatycznej sceny.

Szkoda, że John nie widzi domu pełnego zadowolonych gości - pomyślała. Bardzo tęsknił za takim widokiem. Ale zaraz naszła ją inna myśl. Gdyby tu był, wszystko wyglądałoby inaczej. On by tu rządził. Atmosfera zrobiłaby się napięta, bo personel za wszelką cenę starałby się sprostać jego wymaganiom, obojętnie, czy zgadzałyby się z decyzjami *bwana*, czy nie. A Mara na pewno nie zagrałaby w filmie. Wiedziała, że przy Johnie nie starczyłoby jej na to odwagi.

Odsuwając te myśli, przeszła przez trawnik do Jamiego, który siedząc na leżaku, leniwie odrywał drobne listki z ułamanej witki jakarandy. Tomba trzymał się w pobliżu z ogromnymi słuchawkami na uszach i z mikrofonem na uchwycie, który wyglądał jak pistolet. Chłopak był „podłączony” dwoma długimi, czarnymi przewodami do magnetofonu ustawionego na stoliku do kart. Kierował mikrofon w stronę rozbawionych chłopców z obsługi chat i cofał go z bardzo skupioną miną.

Jamie ruchem głowy wskazał go Marze.

- Wyraźnie chce mi odebrać robotę - zażartował z nutą podziwu w głosie. - Wiesz, on jest bystry. Szybko się uczy.

Tomba wycelował mikrofon w Jamiego.

- Co mówiłeś? - zapytał.

- Nieważne - uciął tamten. - Niestety, nie nagrało się,

bo nie skierowałaś mikrofonu dokładnie na mnie. Tak to już jest z czterystaszesnastką. To kierunkowy mikrofonik.

Tomba zmrużył oczy z wysiłku. Mara widziała, jak porusza ustami, odnotowując w pamięci słowa Jamiego.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Carlton? - zapytał dźwiękowiec.

- Siedzi w jadalni - odparła. Widziała go obłożonego dokumentami, z kalkulatorem w ręce. Co prawda mieli pół dnia przerwy w zdjęciach, ale producent najwyraźniej nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek. Ze sposobu, w jaki dodawał rzędy cyfr, odgadła, że martwi się o finanse; odczuła egoistyczne zadowolenie, że dostała już drugą pokazną ratę gotówki. - Chyba jest bardzo zajęty.

Jamie prychnął ironicznie.

- Idę o zakład, że Leonard też jest bardzo zajęty zmianianiem scenopisu, żeby nas wszystkich doprowadzić do szału. - Przeciągnął się leniwie. - Wiesz, jak to mówią, niełatwo jest być na szczycie. Hej, Tomba, dam ci dobrą radę. Cokolwiek będziesz w życiu robił, nie zostawaj szefem.

Afrykanin patrzył na niego przez moment, po czym przeniósł niepewne spojrzenie na Marę, szukając u niej potwierdzenia.

- Nie być *bwana* Mkuu?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak powiedziała. - Nie zostawaj ważnym człowiekiem.

Odchodząc, widziała jeszcze, jak zdeorientowany Tomba przypatruje się Jamiemu z niedowierzaniem.

Zamiast skierować się prosto do kuchni postawiła tacę przy drzwiach. Umyśliła sobie, że najpierw sprawdzi, czy chłopcy z obsługi zrobili porządek w rondawelach. Jeśli Peter jest u siebie, będzie miała okazję go spytać, czy dostał poranną herbatę.

Będzie mogła z nim porozmawiać. Popatrzeć, jak promienie słońca padają przez okno na jego twarz...

Skrećając za węgiel domu, zerknęła w okno jadalni. Carl-

ton nadal siedział przy stole obstawiony przynajmniej trzema filiżankami do kawy. Omiotła wzrokiem wnętrze, nikogo poza nim nie dostrzegając, natomiast coś mignęło jej na drugim końcu werandy. Przez otwarte drzwi wiodące do bawialni zauważyła charakterystyczny błękit płóciennej koszuli Petera. Pochylony, wpatrywał się w podłogę.

Pospieszyła ku niemu z cichą nadzieją, że to nie rozdeptana jaszczurka, zdechły szczur lub przemarsz mrówek safari tak bardzo go zafrapowały. Podchodząc bliżej, zobaczyła, że ogląda jakieś przedmioty ułożone na płachcie *kitenge* rozciągniętej na macie z trawy. Obok niego kręcił się Kefa.

Obaj odwrócili się do niej, gdy weszła do pokoju.

Peter przywitał ją uśmiechem.

- Dzień dobry - pozdrowiła go.

Kefa rzucił jej szybkie, nerwowe spojrzenie i machnięciem ręki wskazał kolekcję drewnianych zwierząt, ludzi, rzeźbionych miseczek oraz innych użytkowych przedmiotów.

- Snycerz ze wsi przyniósł te rzeczy - zaczął niepewnie. - To sklep z upominkami - wyjaśnił już odważniej, zadzierając podbródek. - Daudi uważa, że powinniśmy mieć u nas w Lodge sklep z pamiątkami.

Mara uniosła brwi; nie chodziło o to, że bez porozumienia sprowadził snycerza, lecz zaskoczył ją tym sformułowaniem: „u nas w Lodge”. Potrafiła wyobrazić sobie gniew Biny, gdyby usłyszała podobne zdanie od swojego chłopca do pomocy. John też byłby zszokowany. Tymczasem ona w pewnym sensie odczuła ulgę. Z czystym sumieniem mogła powierzyć podejmowanie decyzji związanych z prowadzeniem domu Kefie i Menelikowi, a sama skupić się na pomaganiu ekipie. Wszyscy jednakowo się udzielali. Wszyscy rządzą. A może raczej nikt tu nie rządził.

Afrykanin, patrząc na nią w milczeniu, czekał na reakcję.

- Uważam, że to dobry pomysł - powiedziała, rzeczywiście tak myśląc. Czemu ludzie ze wsi nie mieliby przy okazji zarobić trochę pieniędzy?

Uśmiech wypłynął na twarz Kefy, a sylwetka się rozluźniła.

Peter pochylił się i podniósł zebkę. Była wyrzeźbiona ze złocistego drewna, miała wypalone czarne pasy na skórze, czarny pysk oraz grzywę. Podał ją Marze.

- Piękna, prawda?

Obejrzała figurkę ze wszystkich stron. Widziała już wcześniej prace snycerza. Jego drewniane zwierzątka wyglądały tak, jakby galopowały przez sawannę, wyrzucając wysoko tylne nogi.

- Snycerz za młodu był pasterzem - skomentował Kefa. - Przez wiele lat obserwował zwierzęta. Dużo o nich wie.

Peter wybrał kolejną figurkę, tym razem z czarnego drewna.

- Wygląda mi na heban - zauważył, gładząc palcami atłasowo gładką powierzchnię. Po chwili spojrział na Marę niemal nieśmiało spod czupryny opadającej na brwi. - Też trochę zajmuję się drewnem.

Odwzajemniła spojrzenie.

- To stąd masz takie silne dłonie. - Przygryzła wargę, natychmiast żałując tych słów. Zabrzmiały zbyt poufale, jakby dokładnie mu się przyjrzała.

- Raczej stolarka, nie rzeźbieniem - wyjaśnił. - Kiedyś zrobiłem szafkę. Jednak gdy widzę takie cuda, myślę sobie, że chętnie bym spróbował, oczywiście gdybym miał na to czas. - Uśmiechnął się smętnie do Mary, zanim z powrotem skupił się na figurkach. - Szukam prezentów dla dzieciaków. Nie umiem się zdecydować. Jak myślisz, co wybrać?

Spuściła głowę, by ukryć twarz. Powiodła wzrokiem po żyrafie z ciemnymi łatkami i parze lwów z groźnie rozwartymi paszczami, lecz tak naprawdę niewiele widziała. Myślała o dzieciach Petera. Miała przed oczyma ich buzie zapamiętane ze zdjęć. Bezskutecznie usiłowała dopasować do nich którąś z figurek. Rozpraszało ją uczucie dziwnego ucisku w żołądku, niepokojące wrażenie, że przemieszcza się

w niej środek ciężkości, a ona spada, nie mając pojęcia, gdzie leci.

Co się z nią dzieje, pytała się w myślach, siłą woli skupiając wzrok na figurkach.

Zacznijmy od chłopców. Co lubią mali chłopcy?

Patrzyła drętwą na rozłożone przedmioty i nagle zmartwiała. Z szokującą jasnością dotarło do niej, że na myśl o dzieciach Petera paraliżuje ją wina.

Czuła się winna, bo kiedy one wraz ze swą matką czekają w domu na jego powrót, ona pragnie zatrzymać go tutaj.

Chcę go dla siebie - przemknęło jej przez głowę.

Chwytając oddech, stłumiła tę myśl, lecz nie umiała jej się wyprzeć. Wbiła niewidzący wzrok w lekko zdarte czubki własnych butów.

- Spójrz tylko na to - doszedł ją głos Petera, a przed oczami wyrosła plakietka mniej więcej wielkości dużej koperty. Krawędzie ozdobił fryz z motywami gałęzi baobabu i postaciami zwierząt. Na środku widniało jedno słowo wyrzeźbione krągłymi literami: *Karibu*. - Co to znaczy?

Z trudem zebrała myśli.

- To coś w rodzaju pozdrowienia - wyjaśniła. - Kiedy ludzie przychodzą do czyjejś chaty, wołają: *Hodil*, czyli „Jesteśmy!”. W odpowiedzi słyszą: *Karibu!* W swobodnym tłumaczeniu to mniej więcej tyle co: „Zachodźcie! Miło was widzieć!”. - Miała wrażenie, że jej głos brzmi piskliwie i słychać w nim napięcie, lecz on zdawał się tego nie dostrzegać. - Europejczycy kupują takie tabliczki, żeby powiesić je nad frontowymi drzwiami.

Kefa podniósł plakietkę z napisem: *Nyumbani*.

- To znaczy „Nasz dom” - powiedział. - Ale można zamówić inny napis. Snycerz wyrzeźbi, co pan tylko zechce.

- Wezmę jedną nad drzwi do pokoju zabaw dla dzieci - zdecydował Peter. - Z ptakami i z dzikimi zwierzętami na obramowaniu. - Odwrócił się do Mary. - Dobry pomysł?

Pokiwała głową, unikając jego spojrzenia. Te słowa prze-

szyły ją chłodem. Zdała sobie sprawę, że błędnie odczytywała jego gesty. Myślała, że go pociąga. Tymczasem uczucie, jakim ją darzył, było tak nieskomplikowane... tak niewinne, że pozwalało mu wciągać ją w swoje rodzinne sprawy.

- Mógłbyś kupić po jednej do każdej z sypialni dzieci i kazać wyrzeźbić ich imiona - odpowiedziała, starając się nadać głosowi ton dający do zrozumienia, że ona żywi takie samo uczucie w stosunku do niego.

Chciała uśmiechnąć się beztrudnie, lecz jej usta zalewie zdrzały. Pamiętała przecież, jak patrzył na nią wczoraj wieczorem przed rondawelem i później, podczas tanzańskiej uczty. Zamienili niewiele słów, bo Lillian zdominowała rozmowę przy stole, lecz ich oczy co chwila się spotykały i długo nie mogły się rozstać.

Nagle uderzyła ją inna myśl, przekonująca i prawdziwa. Ta rozmowa to nie przypadek. Peter celowo przypomniał jej o swoim prawdziwym życiu. Chciał pokazać, jak bardzo zależy mu na rodzinie. Starał się wytworzyć między nimi dystans.

Pragnął jej bowiem tak samo jak ona jego.

Spojrzała mu uważnie w twarz, chcąc sprawdzić, czy ma rację. Ogarnęło ją współczucie. Czyżby nie wiedział, że taki plan nie ma szans powodzenia? Przywoływanie żony i dzieci tu, w Raynor Lodge, mijało się z celem, czyniło ich jeszcze bardziej oddalonymi od realnego świata. Podobnie jak John - gdzieś, daleko w Selous - istnieli w zupełnie innej rzeczywistości.

Mara podniosła ze skraju *kitenge* cztery słoniki różnej wielkości. Wszystkie miały malutkie, wystrugane z kości kły, osadzone w ciemnym drewnie.

- Weź te - odpowiedziała, trzymając je razem. - Twozą rodzinę.

Uśmiechnął się, odbierając od niej figurki. Teraz śmielej powiodła spojrzeniem po jego twarzy. Czoło i nos miał lekko przypieczone słońcem, na policzku zadrapanie cierniem

i żółtawy ślad po jodynie, którą sama obmyła mu ranę. Tuż przy skroni dostrzegła zaczerwienioną wypukłość, pamiątkę po ugryzieniu komara. Kiedy Peter, sięgając do kieszeni po pieniądze, pochylił głowę, przegięła się ku niemu, wciągając w nozdrza cytrynową nutę wody po goleniu i zapach mydła Lifebuoy.

Chłonęła te wszystkie szczegóły, znaki rzeczywistości, w której tkwili teraz oboje, odcięci od przeszłości i przyszłości.

Bez troski wolni.

11

Była dopiero piąta rano, lecz *bwana* Para zdążył już uruchomić generator. W oknach kuchni jarzyły się lampy, z szopy sączyło się stłumione buczenie silnika, zakłócając senną ciszę wczesnej godziny.

Mara szła różnym krokiem, swobodnie machając rękami. Rozpierała ją energia, kiedy w myślach przebiegała listę zadań, które czekały ją przed śniadaniem, patrząc na nie jak na przeszkody do pokonania. Gdy wszystko pozaałatwia, dołączy do gości w jadalni.

Peter będzie siedział na swym stałym miejscu przy jej stole. Tuż obok. Kiedy Mara podejdzie, on podniesie głowę i na jej widok rozjaśni mu się twarz.

Przymykając oczy, z uśmiechem wciągnęła w płuca świeże poranne powietrze. Rozejrzała się za Dudu. Czy wyczyścił wszystkie buty, które mu dała poprzedniego dnia, i odniósł z powrotem do rondaweli? Druga sprawa: musi poprosić Melenika, żeby ugotował ryż - nie do jedzenia, lecz ze względu na wodę po ryżu. Wczoraj, po zdjęciach, Rudi podszedł do niej, narzekając, że rondo kapelusza Maggie opada.

- Zawsze tak się dzieje - wyjaśniła. - Po praniu jest sztywne, ale mięknie w miarę noszenia. - Obracała kapelusze

w dłoniach. Kręcili już dziesięć dni, w tym czasie prawie ciągle był noszony, albo przez nią, albo przez Lillian. Przez resztę czasu leżał w worku wraz z pozostałymi, zakurzonymi i przepoconymi kostiumami. Nic dziwnego, że rondo opada.

- Hmm, niedobrze - zmartwił się Rudi. - Pomyśl tylko, jak to będzie wyglądać, gdy w postmontażu połączymy ze sobą sceny nakręcone w różnych dniach. Rondo będzie falować jak skrzydła samolotu.

Chociaż rozbawił ją tym żartem, nie od razu pojęła sens jego słów. Tajniki pracy nad filmem bez przerwy ją zaskakiwały. Czasami kamera potrafiła nieźle zwodzić, na przykład kiedy Mara dublowała Lillian, a innym razem minimalne niekonsekwencje okazywały się niedopuszczalne. Leonard jej wytłumaczył, że wszystko zależy od kąta widzenia kamery, sposobu kadrowania, rodzaju obiektywu oraz oświetlenia. Ale nadal pozostawało to dla niej tajemnicą, było magicznym światem, w którym nie rządziły normalne zasady.

Rudi zostawił ją z kapeluszem i z pytaniem, czy mogłaby namoczyć rondo w wodzie po ryżu, a po wyschnięciu przyprasować. Zgodziła się, wiedząc, że rekwizytor wykonuje pracę kilku ludzi i należy mu w miarę możliwości pomagać. Teraz jednak, gdy klucząc pomiędzy kurami szukającymi resztek jedzenia, zbliżała się do kuchni, trochę żałowała, że tak ochoczo przystała na jego prośbę. Nie bardzo wiedziała, jak ma wytłumaczyć takie polecenie Menelikowi. Byłoby o wiele prościej, gdyby miała charakter Biny; nie tłumaczyłaby niczego, tylko żądała.

W chwili gdy podchodziła do kuchni, drzwi otworzyły się z rozmachem, odbijając od ściany. Ze środka wybiegł Dudu z usmoloną ścierką i zaczął trzepać ją o mur. Strzępy sadyz wzbity się w powietrze.

Na widok Mary wyciągnął rękę ze ścierką.

- *Haribika kabisa!* Wszystko brudne. - Wskazał kuchnię. - *Bwana* Kucharz bardzo zły.

Przyspieszyła kroku, lecz w progu kuchni stanęła jak wryta. Wszystkie sprzęty pokrywała warstwa sadzy, a powietrze przesycone było spalinami nafty. Menelik wycierał gąbką półki w spizami.

Na widok Mary zacisnął usta, jakby nie ufał własnemu głosowi.

- Co się stało? - Zatrzymała wzrok na lodówce, prawdopodobnie źródle sadzy, bo wyżej, na ścianie, widniała spora czarna plama.

- Ktoś wszedł do kuchni i podkręcił lodówkę - oznajmił Menelik. - Zrobiła to późno w nocy, kiedy już spałem. Płomień był za wysoki i dymił przez wiele godzin.

- Zrobiła? - podchwyciła Mara. - Wiesz kto?

Kucharz zawzięcie szorował półkę.

- *Memsahib* przysłała tu wczoraj po kolacji. Narzekała, że tonik nie był dostatecznie schłodzony. Wyjaśniłem, że nie możemy robić bardzo zimnych drinków, bo lodówka jest za mała. Zaproponowałem lód z przegotowanej wody. Ale to jej nie zadowoliło. Dlatego myślę, że to ona.

Mara już chciała go upomnieć, że nie ma na to dowodów, gdy kątem oka dostrzegła na stole pustą szklankę. Właśnie w takich szklankach Kefa podawał dżin z tonikiem. Na dnie leżał jeszcze plasterek cytryny, a na brzegu był wyraźny odciśnięcie szminki.

- Chyba masz rację - przyznała, kiwając głową, kiedy Menelik spojrzął jej w oczy.

Prychnął gniewnie i z powrotem zabrał się do pracy. Rozumiała jego frustrację; doprowadzenie kuchni do porządku zajmie z pewnością wiele godzin. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej?

Kucharz jakby nie dosłyszał tego pytania. Przeszedł do innej półki i zabrał się do wycierania wieczka blaszanej puszki na mąkę.

- Tylko raz - mruknął po chwili.

Coś w jego postawie sprawiło, że chciała dowiedzieć się więcej.

- Komu to się przydarzyło?

Menelik milczał przez chwilę.

- Pierwszej *memsahib*.

Znaczenie tych słów nie od razu dotarło do Mary.

- Masz na myśli Alice? - Otworzyła oczy ze zdumienia.

- Tak - potwierdził. - Przyznała się. Ale nie przeprosiła.

Mara usiłowała ukryć zadowolenie, że kucharz skrytykował jej poprzedniczkę.

- Masz za dużo pracy, żeby jeszcze zajmować się sprzątaniem - orzekła wspaniałomyślnie. - Przyślę ci do pomocy chłopców z obsługi chat.

Przyjął jej propozycję skinieniem głowy i cisnął ścierkę na stół.

- Niech tu przyjdą jak najszybciej. Muszę przygotować śniadanie, a nie sposób gotować w takiej kuchni. Nawet powietrze jest brudne.

Marszcząc nos z obrzydzeniem, podszedł do piecyka i otworzył drzwiczki. Wyjął szczypcami rozżarzony kawałek węgla drzewnego i umieścił go na małym palniku z mosiężną miseczką, który trzymał przy tylnych drzwiach. Z gwoźdźnia na ścianie zdjął skórzany worek i wygrzebał stamtąd grudkę żywicy olibanowej. Zaciekawiona gospodyni podeszła bliżej. Menelik umieścił kadzidło na węgielku, a ono zaczęło topić się z sykiem, zmieniając w złocistą piankę. Z miseczki uniosła się smużka wonnego dymu. Mara wdychała go z przymkniętymi oczami. Nieraz czuła ten zapach w kuchni Menelika (do etiopskiej tradycji należało palenie kadzidła w trakcie podawania kawy) i zawsze tak samo pobudzała jej wyobraźnię, przywołując obraz dawnych karawan wielbłądów, oaz z palmami i tajemniczych postaci w długich szatach wydymanych wiatrem.

Menelik powoli obchodził kuchnię z palnikiem w dłoni, aby aromat kadzidła pokrył zapach spalin. Okadzał pomiesz-

czenie z poważnym wyrazem twarzy, jakby obecność sadzy i zaduchu stanowiła symboliczne naruszenie czegoś ważniejszego niż fizyczna przestrzeń. Kiedy skończył, odstawił palnik na stół, po czym wziął szklankę Lillian, wstawił do zlewu i wtedy dopiero umył ręce.

Mara się przyglądała, jak oczyściwszy wcześniej kawałek stołu, kroi w plastry szynkę z puszki. Odgadła, że planuje zrobić angielski omlet. Goście często narzekali, że szynka nie jest w stanie zastąpić bekonu, lecz tutaj sprowadzano go z Kenii, gdzie część świń była zarażona paskudną odmianą tasiemca. Spożycie takiej wieprzowiny groziło ludziom utworzeniem się cyst w mózgu.

Kręciła się po kuchni. Teraz, gdy wypłynął ów temat, nie potrafiła oprzeć się pokusie, aby dowiedzieć się czegoś więcej o swojej poprzedniczce.

- A Alice? Jaka ona była?

Menelik zwlekał z odpowiedzią. Zdawał się szukać odpowiednich słów; patrzył przy tym przed siebie kamiennym wzrokiem, wykrzywając kąciki ust w lekki grymas.

- Ona była... *kali memsahib*.

Mara zawisła spojrzeniem na jego twarzy. Słowo *kali* miało wiele znaczeń. Nie wszystkie były negatywne - w odniesieniu do lekarstwa oznaczało, że jest silne i skuteczne, *kali* nauczyciel znaczyło: surowy i budzący respekt, *kali* jedzenie to potrawa szczerze doprawiona chilli. W stosunku do ludzi określenie *kali* oznaczało osobę twardą, bezwzględną i pozbawioną ludzkich odruchów. Niewątpliwie nikt nie miałby ochoty pracować dla *kali memsahib*.

Mara utkwiała wzrok w swoich brudnych od sadzy dłoniach. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Pani jest inna - mówił dalej Menelik. W jego głosie pobrzmiwało zaskoczenie, jakby właśnie doznał olśnienia. - Jesteś uprzejmą *memsahib*. Dobrą.

Podniosła głowę. Nawet nie próbowała ukryć, jak bardzo zdumiały ją te słowa. Wiedziała, że powinna przyjąć kom-

plement z godnością. Zamiast tego, patrząc na niego, szeroko się uśmiechnęła.

Starzec w odpowiedzi uniósł w uśmiechu kąciki ust.

Mara rozłożyła mapę na stole w jadalni.

Leonard zaglądał jej przez ramię.

- Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- O jaskinię albo o skalny nawis - powtórzyła po nim posłusznie. - Z pięknym widokiem na sawannę poniżej.

Jej wzrok powędrował po mapie ku obszarowi na krawędzi skarpy. Znała okolicę, gdzie reżyser znalazłby wszystko, na czym mu zależało, lecz nie zamierzała jej wskazać. Ta jaskinia była szczególnym miejscem dla Johna. A ona wiązała z nią zbyt wiele wspomnień.

Przesuwała palcem po mapie, zatrzymując go w różnych miejscach, które wydawały się poniekąd spełniać warunki. W końcu pokręciła głową.

- Nie przychodzi mi na myśl nic, co miałyby tak właśnie wyglądać.

- Musimy wybrać kompromisowe wyjście - podsunął Carlton, wyrastając za nimi. - A gdyby tak zostać przy jaskini, a zrezygnować z widoku? Nie możemy pozwolić sobie na opóźnienia.

- Nie ma mowy - uciał z oburzeniem Leonard. - Musimy mieć i jaskinię, i widok. Tam właśnie Maggie i Luke tak naprawdę się do siebie zbliżają. To kluczowa scena. A ty, Carlton, dobrze o tym wiesz.

Mara czuła, jak producent tężeje za jej plecami. Dotąd nie widziała, aby w jakiegokolwiek sprawie sprzeciwił się bratu, lecz podejrzewała, że właśnie nadszedł ten moment. Spuściła głowę, udając, że uważnie studiuje mapę.

- Leonard, zaraz ci powiem, co wiem. - Głos miał opamięniony, ale czuła napięcie bijące z jego ciała. - Wiem, że gonią nas terminy i że kończą się pieniądze. I wiem także, że znaleźliśmy się w tej sytuacji, bo ty nigdy nie zgadzasz

się pójść na kompromis. - Zamilkł i powoli zaczerpnął powietrza. Mara rozpoznała to westchnienie, sama się do niego uciekała, gdy musiała opanować nerwy w kontaktach z kłopotliwymi gośćmi. - Wiem też, że mamy poważne kłopoty - ciągnął Carlton. - W Zanzibarze niewiele brakowało, a żyranci położyliby łapę na fdmie.

- Nie posunęliby się do tego. - Leonard lekceważąco machnął dłonią.

- Ależ tak, zrobiliby to! Nie chciałem cię wtedy niepokoić, ale przystali taksatora na plan. Udało mi się go przekonać, żeby pozwolił dokończyć zdjęcia. I teraz też patrzyłby nam na ręce. Na szczęście nie wie, gdzie nas szukać.

Leonard klepnął brata w ramię.

- Wykołowałeś go! Bardzo dobrze! - Zachichotał.

- To wcale nie jest zabawne - obruszył się Carlton. - Robię karkołomne kombinacje z wyliczeniami, a sporządzanie sprawozdań z produkcji to dla mnie prawdziwy koszmar. Gdybym sam był żyrantem, na pewno kazałbym przerwać produkcję.

- Och, daj spokój - mitygował go Leonard. - Zawsze dramatyzujesz. - Pochylił się nad mapą, wpatrując się w nią z uwagą. - A ten człowiek ze straży łowieckiej? - zwrócił się do Mary. - Może on by coś podpowiedział?

Carlton huknął w stół otwartą dłonią.

- Trudno. Poddaję się.

Reżyser posłał Marze triumfujące spojrzenie.

- I dobrze.

- Przechodzimy do planu B - oznajmił jego brat. - Zdjęcia zostaną dokończone w domu. W zoo w Los Angeles.

Leonard przyjął to stwierdzenie ze śmiechem, ale Carlton, wcale nierozbawiony, patrzył na niego nieruchomo.

- Powtórz to jeszcze raz. - Reżyser wydawał się zбитy z tropu.

- Zdjęcia zostaną dokończone w domu. W zoo w Los Angeles.

- Nie będziesz kręcić filmu w zoo!

- No, nie - spokojnie zgodził się z nim Carlton. - Bo to już nie będzie mój problem. Wiesz, jaka jest procedura. Znajdą nowego producenta. I nowego reżysera.

Leonard bezgłośnie poruszał ustami, jakby starał się pojąć sens słów brata.

Ten, ignorując go, zwrócił się do Mary:

- Nie przejmuj się. Pokryję całą rezerwację.

- Już wyjeżdżacie? - spytała, zaskoczona.

Reżyser położył jej dłoń na ramieniu.

- Nigdzie nie wyjeżdżamy. Carlton, bądź rozsądny.

- Nie pouczaj mnie! Przez całe życie byłem rozsądny. - Przechadzał się nerwowo tam i z powrotem, jakby bezruch nie pozwalał mu utrzymać emocji na wodzy. - Po śmierci rodziców wiecznie słyszałem: „Opiekuj się młodszym braciśkiem”, „Czuwaj nad Leonardem”. W szkole filmowej mówiło się: „Bracia Millerowie, wybitny twórczy tandem”. I nadal tak się mówi. Ale nie do końca tak jest, prawda? - Zamilkł dla zaczerpnięcia oddechu. Otworzył szeroko oczy, jakby zaskoczony własnymi słowami. - Tobie przypada prawdziwa robota, to, co się liczy. Mnie pozostaje rozwiązywanie problemów, a ty nawet nie chcesz wiedzieć, z czym się borykam. Cóż, mam tego dość. Rezygnuję.

W napiętej ciszy, która nastąpiła po tych słowach, od strony chat dobiegły do nich głosy chłopców z obsługi podśpiewujących przy pracy.

Mara jeszcze głębiej wcisnęła się w krzesło. Tym ruchem przyciągnęła uwagę Carltona. Spojrzał na nią tak, jakby zapomniiał, że cały czas tam siedzi.

- Nie możesz zrezygnować - zaprotestował Leonard głosem zagubionego dziecka.

- Nie? No to uważaj - burknął starszy z braci. - Idę się spakować.

Mara kątem oka obserwowała Leonarda. Wydał jej się niższy, jakby się skulił, i zupełnie nie przypominał tamte-

go mężczyzny, który całymi dniami dyrygował obsadą i filmowcami.

- Carlton, proszę cię, nie rób mi tego - powiedziała cicho. - Zmienimy styl pracy. Zrobię, co zechcesz.

Producent z uwagą popatrzył mu w twarz.

- Na pewno? - zapytał stanowczo.

Leonard, potrząsając lokami, skwapliwie pokiwał głową.

- Tak. Przysięgam.

- W takim razie zacznij się zachowywać jak dorosły. Weź na siebie choć trochę odpowiedzialności za sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. - Wrócił do stołu i wskazał palcem mapę. - Masz dziesięć minut na znalezienie odpowiedniego pleneru. W przeciwnym razie pakujemy się i wyjeżdżamy. I koniec dyskusji.

Panował nad głosem, lecz Mara widziała, że trzęsą mu się ręce.

Leonard stał przez jakiś czas jak ogłuszony. A potem opadł sztywno na krzesło.

- Wiesz o jakiejś jaskini czy choćby kryjówce wśród skał? - zwrócił się do Mary z nadzieją w głosie.

Wpatrywała się w miejsce na mapie, gdzie, jak wiedziała, reżyser znalazłby idealny plener. Jednak nadal milczała. Cisza zdawała się wydłużać w nieskończoność. Carlton, zaciskając usta w cienką kreskę, stał nad nimi, patrząc na zegarek. Widziała, że jeszcze chwila, a każe ludziom pakować rzeczy. W południe może już ich tu nie być. Wszystkich, co do jednego.

Zanim podjęła decyzję, instynktownie przesunęła palcem po mapie.

- Przypomniałam sobie - odezwała się. - To miejsce chyba byłoby odpowiednie.

Obaj mężczyźni zawiesili na niej spojrzenie. Chociaż tak bardzo różnili się wyglądem, mieli takie same, piwne oczy. Napięcie zelżało. Widziała, że odetchnęli z ulgą; impas został przełamany.

- Jedziemy! - zawołali niemal chórem.

Jaskinię tworzyły warstwy piaskowca w tonacjach różu, żółci i brązu. Szeroki otwór prowadził do wnętrza, które zwężając się w głębi, miało zarys półksiężyca i stanowiło idealne schronienie. Mara, wchodząc do środka, oparła dłoń na miękkiej, chropawej ścianie. Za chwilę dołączy do niej ekipa, ma niewiele czasu, żeby przekonać siebie, że to tylko zwykła grotta, forma krajobrazu. I że nie ma różnicy pomiędzy obecnością ekipy, obecnością Petera w tym miejscu a ich pobytem w domu, w ogrodzie, na sawannie czy na wzgórzach.

Przesunęła wzrokiem po konturach ścian i zatrzymała go na suficie, pociemniałym na środku od dymu z ognisk rozpalanych tu przez niezliczone pokolenia. Omiotła spojrzeniem ziemię poznaczoną odłamkami skał i gdzieś tam zbiegającymi kośćmi. Zatrzymała je na kupce zwęglonego drewna, gałązek i popiołu w kręgu z kamieni: ognisko. Podeszła, podniosła poczerniałe drewnienko i obracała je w dłoni. Czy to pozostałość po ich ogniskach? Musiały minąć prawie dwa lata, odkąd ostatni raz biwakowali tu z Johnem, lecz miejsce było odosobnione i całkiem możliwe, że od tamtej pory żaden pasterz nie zbłądził w te strony.

Rzuciła drewnienko i odwróciła się w stronę wejścia. Bezskutecznie próbowała skupić myśli na nadchodzących dniach. Wspomnienia wirowały niczym nietoperze, wyrwane ze snu jej powrotem.

Kilkakrotnie biwakowała tu z Johnem, lecz przed tym miała tamten pierwszy raz - zaledwie trzy doby po ślubie. Pamięć podsuwała strzępy wspomnień: stęchły zapach brezentu jej wojskowego plecaka, smak potu na wargach, dotyk rześkiego wiatru na plecach, gdy zdjęła plecak i ciężki bagaż z głuchym łomotem wylądował u jej stóp. I John, stojący obok niej, zadyszany po wspinaczce.

Do jaskini dotarli o zmierzchu, pieszo, dźwigając na plecach wszystko, co może się przydać podczas tygodniowego

pobytu. Nie zabrali namiotu, mieli jedynie matę, dwa śpiwo-
ry, które można spiąć razem, oraz moskitierę. John spakował
zapas tylko podstawowych produktów, bo planowali się ży-
wić dziczyzną i złowionymi rybami. Znalazła się też butelka
szampana Dom Perignon na pierwszy wieczór ich poślubne-
go safari. Mara rozejrzała się wokół siebie. Być może gdzieś
tu leży jeszcze kawałek folii, którą zdarła z szyjki butelki,
albo drucziany koszycek korka...

Wiedziała, że powinna się odwrócić na pięcie, wyjść na
słońce i tam poczekać na ekipę. Ale coś ciągnęło ją w głąb
jaskini, w jej ciemną czeluść.

Przykucnęła, wytężając wzrok. Było za ciemno, żeby co-
kolwiek zobaczyć.

Wiedziała jednak, że to tam jest.

Gdy oboje zdjęli ciężkie plecaki i rozprostowali ramiona,
John oprowadził ją po jaskini, pokazując wysokie sklepie-
nie, gładką podłogę, na której swobodnie mogłaby koczo-
wać cała rodzina, szerokie naturalne półki oraz nisze podob-
ne do szafek wzdłuż ścian.

- To miejsce kojarzy mi się z książką, którą czytałam
w dzieciństwie - powiedziała Mara. - Miała tytuł: *Oni zna-
leźli jaskinię*. Co prawda jej akcja toczyła się w Tasmanii,
ale jaskinia właśnie tak wyglądała.

- Czy była tam sekretna komnata? - John podszedł do
tylnej ściany i przyklęknął. - Popatrz tam. - Podał Marze
małą latarkę, którą nosił w kieszeni kurtki.

Podpełzła na czworakach i wychylając się, omiatała wną-
kę snopem światła. Była niewielka, mogłaby tam wejść tyl-
ko jedna osoba. Coś przyciągnęło jej uwagę, gdy krąg światła
sunął po ścianach. Zatrzymała latarkę i westchnęła z wraże-
nia. To był rysunek wykonany ochrą. Przedstawiał słońia
z potężnymi, zakrzywionymi kłami jak u mamuta.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie? - spytała.

- Tylko ja. I teraz ty.

Mara zbliżyła latarkę do malowidła.

- Może powinieneś komuś o tym powiedzieć? Wygląda na bardzo stary.

- Bo jest stary. Namalowałem go, gdy miałem trochę ponad szesnaście lat.

Odwróciła się i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nabierasz mnie, prawda?

John pokręcił głową.

- Jeśli spojrzysz na półkę tam, wyżej, znajdziesz mój pędzel.

Rzeczywiście. Dostrzegła zielony uchwyt malarskiego pędzla.

- Ale to mi wygląda na pierwotne skalne malowidło - zaprotestowała. - Pracowałam w muzeum, pamiętasz? Wiem, jak takie rzeczy wyglądają.

Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Ja też wiedziałem. Obejrzałem zdjęcia w National Geographic.

- To miał być taki dowcip? - Zaśmiała się.

Grymas onieśmienia przebiegł mu po twarzy, jakby nagle poczuł się obnażony.

- Niezupełnie. Po prostu miałem takie wrażenie, że ten rysunek powinien się tu znaleźć. Dzięki niemu to miejsce stało się... zamieszkane. - Odwrócił się półprofilem. Światło zmierzchu muskało mu twarz, rzucając delikatny cień na kości policzkowe.

- Często tu przychodziłeś? - spytała.

Skinął głową.

- Ilekroć znalazłem trochę wolnego czasu, a Raynor pozwolił mi wziąć land-rover.

- Zawsze sam?

- Nikt nie miał czasu na snucie się po okolicy dla zabawy - odparł. - Zapewne dla mnie też znalazłoby się jakieś zajęcie.

Mara ponownie przyjrzała się z uwagą rysunkowi. Wyobraziła sobie nastoletniego Johna, jak siedzi tu zupełnie

sam i rysuje. Nagle ogarnęło ją wzruszenie, a zarazem smutek i czułość. Podeszła do męża i otoczyła go ramionami. Byli prawie równego wzrostu, więc ich twarze dotknęły się policzkami.

Ten gest był dla obojga nowy i dziwny. Kiedy przyleciała do Tanzanii, ich przywitaniu towarzyszyło ogromne podniecenie. Wkrótce jednak zastąpiło je onieśmienie, wywołane świadomością, że zarówno w Kikuyu, jak i w domu są bez przerwy obserwowani. Nawet w zaciszu sypialni męża Mara nie czuła się z nim sam na sam. Duch Raynora wydawał się krążyć nad nimi.

Ciąśniej otoczyła ramionami szyję Johna, przyciągając go mocniej do siebie, jakby chciała przywołać tamto ciepło emanujące z ich listów i tamtą przyjaźń, która rozkwitła w miłość podczas miesięcy pisania. Być może tu - pomyślała - odzyskają swobodę. I zbliżą się bardziej do siebie.

- Nie dokuczała ci samotność? - zagadnęła go. - Tyle czasu spędzałeś bez towarzystwa.

John stęzał w jej ramionach. Odchylając się, aby spojrzeć mu w twarz, zobaczyła, jak poruszyło się jego jabłko Adama, gdy z trudem przełknął ślinę.

- Przywykłem do samotności w szkole z internatem.

- Dlaczego rodzice wysłali cię tak daleko? - spytała. W jednym z listów napisał jej, że kiedy miał dziesięć lat, pojechał do szkoły z internatem w Londynie. - Nie było szkół dla Europejczyków we wschodniej Afryce?

- Było kilka.

Wysunął się z jej objęć i odwrócił twarzą do wylotu jaskini. Mara, podążając za jego spojrzeniem, zapatrzyła się na fioletową mgiełkę w dolinie za krawędzią skalnego występu. Krajobraz tonął w oparach tak samo jak w czasie wędrówki do jaskini. Lecz rankiem, według słów Johna, widok miał być niezapomniany.

Przedłużająca się cisza sprawiała, że odgłosy na zewnątrz brzmiały jeszcze donośniej. Ptaki nawoływały się przy-

cupnięte na czubkach drzew, a nowo przybyłe trzepotały skrzydłami, szukając schronienia przed nocą. Gdzieś w pobliżu rozległ się stłumiony chichot hieny.

- Proszę cię, John, rozmawiaj ze mną - odezwała się Mara. - Chcę więcej o tobie wiedzieć.

Obejrzał się przez ramię, niepewnie mrużąc oczy.

- Chcę wszystko o tobie wiedzieć - zachęciła go uśmiechem. Po wyrazie twarzy poznała, że powoli się przełamuje.

- Kiedy miałem dziesięć lat, moja matka wdała się w romans z brytyjskim oficerem. Wybuchł skandal. Przeniesiono go do Indii, a ona pojechała z nim. Któregoś ranka spakowała walizkę i pocałowała mnie w czoło na pożegnanie. Potem wsiadła do samochodu. Biegłem za nim, lecz się nie zatrzymał. - Mówił krótkimi zdaniami, jakby natężenie bólu zależało od liczby użytych słów. - Ojciec nie potrafił się uporać ze wstydem. Poprosił o przeniesienie. Objął posiadkę na rubieżach, a tam nie było miejsca dla dziecka. Jak więc widzisz, nieważne, gdzie posłano mnie do szkoły. I tak nie miałem domu, do którego mógłbym wracać. Wszystkie święta i wakacje spędzałem w Anglii; po prostu zostawałem w Harnbrook Hall, nawet na Boże Narodzenie. Żona dyrektora szkoły zwykle zapraszała mnie na popołudniową herbatę. - Krótki, gorzki śmiech wydarł mu się z gardła. - Zawsze się bała, że coś stłukę.

Mara patrzyła na Johna z trwogą. Stanęły jej przed oczyma bożonarodzeniowe święta w gronie rodziny; pełne chaosu spotkania z krewnymi w dusznym domu; pieczony indyk podawany na stołach różnej wysokości zestawionych razem; tradycyjne rozgrywki w krykieta po popołudniowej drzemce. W tym czasie nawet ojcu udzielał się świąteczny nastrój, a matka, otoczona gośćmi, wydawała się szczęśliwa i ożywiona. Mara prawie czuła chłód zimowych angielskich świąt i słyszała echo dzwoniące w korytarzach opustoszałej szkoły. Na myśl o małym, samotnie błakającym się tam Johnie wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Kiedy miałem szesnaście lat - ciągnął - matka przysłała mi pieniądze na podróż do Indii, żebym się mógł z nią tam zobaczyć. Poszedłem do biura podróży po bilet do Bombaju. I wtedy się rozmyśliłem. Zamiast do Indii pojechałem do Kenii. - Kucnął przy ognisku i zaczął łamać chrust, którego nabierał po drodze do jaskini. - Dostałem pracę w Muthaiga Club w Nairobi. Witałem gości i pomagałem przy różnych zajęciach. - Posłał Marze drwiący uśmiech. - Jednej rzeczy mnie nauczono w Harnbrook Hall: jak mówić i zachowywać się jak dżentelmen. A w klubie to się podobało.

John ułożył chrust w piramidkę na środku miejsca pod ognisko. Wyjął zapałki i podpalił suchą trawę, którą wcześniej podłożył pod gałązki. Pochylając się, dmuchał na nią, dopóki się nie zajęła niebieskawym płomieniem.

- A jak trafiłeś do Raynora? - spytała Mara, przysiadając przy nim.

- Poznałem go w klubie. Siedział na werandzie i czekał na klienta. W tamtych czasach zawodowym myśliwym nie wolno było wchodzić do środka. Odgadłem, czym się zajmuje, jak tylko go zobaczyłem, mimo że był pod krawatem i w garniturze. Było coś charakterystycznego w jego postawie. Wydawał się opanowany, a zarazem czujny. Podeszedłem do niego i wprost zapytałem: „Pan jest myśliwym?”. „Tak” - odpowiedział. I wtedy spytałem, czy mógłbym zostać jego uczniem. - Spojrzał na Marę. Teraz jego oczy miały ciepły, szczerzy wyraz. - Powiedział, że weźmie mnie na próbę. Dokładnie pamiętam jego słowa: „Jeśli masz dobry wzrok, nauczę cię strzelać. Ale liczy się odwaga, zdrowy instynkt i miłość do buszu, a te cechy człowiek musi mieć w swojej naturze. Dopiero czas pokaże, czy się nadajesz”. Zabrał mnie ze sobą do Tanzanii i tak już zostało.

Marze stanęły przed oczyma dwie fotografie Johna z uroczystości wręczania Trofeum Shawa i Huntera, które wisiały na ścianie w domu.

- Musiał być z ciebie bardzo dumny.
- Tak - odrzekł, zapatrzwszy się na dłonie. - Był dla mnie jak ojciec.

Milczała przez chwilę. Nie chciała wymuszać na nim zwierzeń, a z drugiej strony pragnęła wykorzystać sprzyjające im czas i miejsce.

- A twój rodzony ojciec? - spytała łagodnie. W blasku ognia dostrzegła, jak zadrżał mu mięsień na policzku.

- Nigdy więcej go nie widziałem - odparł. - Zmarł na cholere niedługo po moich przenosinach do Raynora, chociaż dowiedziałem się o tym o wiele później. Straciłem też kontakt z matką. Przestała odpowiadać na moje listy, gdy nie przyjechałem do Bombaju. Raynor był całą moją rodziną.

W ciszy, która nastąpiła po tym wyznaniu, słysząc było trzask rozpalających się gałęzi.

- A teraz masz mnie - powiedziała.

- A teraz mam ciebie - powtórzył z wyrazem zdumienia na twarzy, jakby teraz dopiero dotarło do niego, że się pobrali.

- Stworzymy nową rodzinę - mówiła Mara. - Będziemy mieć dzieci.

- Tak. - Pokiwał głową, patrząc na nią z radością pomieszana z niedowierzaniem. - Bardzo bym chciał.

- Przynajmniej troje - dodała.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem wziął głęboki, spazmatyczny oddech. Wypuścił powietrze z płuc i rozluźnił mięśnie, jakby wreszcie wyzbył się obaw czy poczucia zagrożenia.

- Maro, jakie to szczęście, że cię znalazłem - wyznał. - Wiele dla mnie znaczysz.

Pochylił się ku niej i pocałował w policzek. Powędrował wargami do jej ust i z początku smakując je delikatnie, coraz mocniej na nie napierał. Chwilę później uniosł ręce, zanurzył dłonie w jej włosach i przyciągnął ku sobie jej twarz.

Nie przestając całować, rozpiął jej koszulę i zsunął z ra-

mion. Dłoń zbłądziła na pierś, zaczepił szorstką skórą o koronkę biustonosza. Wtedy się zawahał, jakby czekając na przyzwolenie. Mara sięgnęła za siebie i odpięła biustonosz, pozwalając mu opaść na ziemię.

Odsunął się i patrzył z zachwytem na jej piersi, zaróżowione od poświaty z ogniska.

- Jesteś taka piękna - powiedział. W jego głosie nabożny zachwyt mieszał się z zaskoczeniem, jakby ciągle jeszcze nie dowierzał, że ona naprawdę do niego należy.

Czuła, jak całym ciałem rwie się do niego. Kochanie się tu, w jaskini, wydawało się takie naturalne. Jakże różne od ich pierwszej nocy w hotelu w Kikuyu, gdzie łóżko skrzypiało przy każdym ruchu, a z baru na dole sączył się szmer rozmów. Tak słabo się wtedy znali i oboje paraliżował lęk, żeby nie zranić i nie zostać zranionym. Ta noc w jaskini będzie inna od dwóch nocy spędzonych w Raynor Lodge. Co prawda tam czuli się już swobodniej, ale kochali się pod kołdrą, bo mieli wrażenie, że są obserwowani.

Tu w jaskini, gdzie skórę rozgrzewa ciepło bijące z ogniska i jednocześnie pięści chłodne nocne powietrze, naprawdę przypieczętują swoje małżeństwo.

Wspomnienia wywołały bolesny skurcz w gardle. Mara zacisnęła dłoń na osmalonym drewnienku. Patrząc na ziemię, potrafiła dokładnie określić miejsce, gdzie leżeli razem tamtej nocy - tacy szczęśliwi i pełni nadziei. I tak nieświadomi tego, co ich czeka.

Wrzuciła drewnienko w popiół i dla pociechy objęła się ramionami. Po raz ostatni omiotła jaskinię spojrzeniem, po czym odwróciła się twarzą do wyjścia. Szła ze spuszczonej oczyma, dopóki nie znalazła się na zewnątrz. Wtedy powoli podniosła wzrok, na nowo chłonąc roztaczający się widok.

Pamiętała, jak John wyprowadził ją tu o świcie po pierwszej nocy w jaskini, żeby pokazać jej widok, który na zawsze miał jej zostać w pamięci. Podziwiała go w nabożnym milczeniu, stojąc obok męża.

- Popatrz tam. - Szerokim gestem ogarnął ciągnącą się po horyzont sawannę poznaczoną malutkimi postaciami zwierząt, płaskowyże w objęciach wzniesień i gór, wijące się rzeki oraz migotliwe jeziora. Krajobraz wyłożony światem był jak wizja raj. - Tak wygląda spokój Afryki. - W głosie Johna brzmiała duma, jakby scena przed nimi stanowiła jego własność, jakby z całym jej oszałamiającym pięknem i wyrafinowanymi detalami składał ją w darze swej świeżo poślubionej żonie.

Stali obok siebie i w milczeniu chłonęli widok. A potem John odwrócił się do Mary. I znowu dostrzegła niepewność w jego oczach.

- To, że jestem tu z tobą, jest tak piękne, że aż wydaje się nieprawdziwe.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie obawiaj się. Kocham cię.

Spojrzał jej w twarz oczyma lśnącymi od łez.

- Maro, obiecaj, że nigdy mnie nie opuścisz. Przyrzeknij mi to. - Wyciągnął do niej rękę.

Patrząc mu głęboko w oczy, mocno splótła palce z jego palcami.

- Nigdy cię nie opuszczę. Zaufaj mi. Przyrzekam.

Te słowa zabrzmiały bardziej uroczyście i wiążąco od formułki wypowiedzianej przed urzędnikiem stanu cywilnego. Złożyli nową przysięgę, mając za świadka tę ziemię.

Spokój Afryki.

Od tamtego dnia minęły zaledwie trzy lata, a ona miała wrażenie, że żyje w innej epoce. Tamto uczucie szczęścia i wiary w przyszłość zatarło się w pamięci. Zagłuszyły je ból, gniew i świadomość klęski. Przymknęła powieki i skupiając uwagę na chłodnej ciszy jaskini za sobą, zapagnęła stracić zdolność wszelkiego odczuwania. Stała bez ruchu, nieświadoma upływu czasu, dopóki z odrętwienia nie wyrwał jej szum silnika land-rovera.

Warkot miarowo przybierał na sile. Na myśl o scenie,

która niedługo się tu rozegra, spłynęła na nią ulga. Wkrótce na płaskowyżu zaroi się od ludzi. Ich głosy zmacą ciszę, a lśniące skrzynie i pakunki ze sprzętem oraz z kostiumami wypełnią przestrzeń. Zaprzątnie ją spełnianie poleceń Leonarda. Nie będzie czasu na rozmyślenia.

Przez wyrwę w skałach wyszła na zbocze i schodziła w dół, klucząc pomiędzy gałzami i ciernistymi krzewami. Z tej odległości wyraźnie widziała, jak na dole dwa land-rovery z rysunkiem zebry parkują obok jej wozu. Pierwszy wysiadł Leonard, a za nim Carlton i Rudi. Na końcu wyłoniła się Lillian w stroju Maggie, uzupełnionym o różowe sombrero i słoneczne okulary. Donośnym głosem skarżyła się producentowi na kurz osiadający na włosach.

Wzrok Mary pobiegł ku drugiemu pojazdowi. Tomba, Jamie i Brendan krzatali się przy bagażniku. Za kierownicą rozpoznała strażnika. Wyteżając oczy, szukała za nim sylwetki w znajomym ubraniu khaki.

Wtedy otwarły się tylne drzwi i Mara zwolniła kroku na widok Petera, który zręcznie zeskoczył ze stopnia, rozglądając się po okolicy. Zdjął z paki strzelbę Luke'a i oparł ją starannie o bok samochodu. Potem, odchylając głowę i mrużąc oczy przed słońcem, pociągnął łyk wody z butelki i otarł usta wierzchem dłoni. Brendan powiedział do niego coś, czego ona nie dosłyszała, a on pokręcił głową i zaśmiał się, odsłaniając zęby, których biel kontrastowała z opaloną twarzą. Mara stała nieruchomo, ze stopą wspartą na korzeniu drzewa. Nie mogła oderwać oczu od tego uśmiechu. W całej sylwetce Petera było coś magnetycznego - zdawał się górować energią nad swymi towarzyszami.

Podniósł strzelbę i zarzucił ją na ramię, a potem, osłaniając oczy dłonią, omiótł wzrokiem stok. Wstrzymała oddech, czekając, kiedy ją dostrzeże.

Już po chwili pomachał do niej. Podniósł z ziemi aparat fotograficzny oraz torbę na ramię i zaczął się ku niej wspinać.

Nie ruszyła się z miejsca, nadal zapierając się stopami o korzeń drzewa. Peter wspinał się szybko w stronę wyłomu. Kiedy ich oczy się spotkały, przebiegł ją dreszcz. Zdobyła się na skinienie głową i wymamrotała uprzejme powitanie, lecz w głowie miała zamęt. I chociaż jaskinię zasłaniały skały, była świadoma jej istnienia, czekała, obserwując, jak on się zachowa.

Gdy stanął przed nią, jedna myśl wyłoniła się z zamętu: nie może wrócić do jaskini, nie może z nim tam przebywać.

- Kieruj się ku tym dwóm głazom. - Wskazała szczyt wzgórze za sobą, zanim zdążył otworzyć usta. Wysiła się na nikły uśmiech. Nie chciała wydać się szorstka czy nieuprzejma; w końcu byli przyjaciółmi. - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie gładko. Do zobaczenia na kolacji.

Zrobił zaskoczoną minę.

- Myślałem, że dublujesz Lillian.

- Faktycznie, tak miało być... - Wzruszyła ramionami z nadzieją, że wypadło to naturalnie, lecz z wyjaśnieniem zawahała się o moment za długo. - Doszło do zmiany planów. - Jej głos zdradzał zdenerwowanie. - Muszę wracać do Raynor Lodge. Właśnie szłam na dół uprzedzić Carltona. - Po raz drugi zmusiła się do uśmiechu. - Dzisiaj Lillian poradzi sobie beze mnie. W jaskini jest bezpiecznie i nie ma słońca.

Odwracając się, pomachała mu na do widzenia, lecz nie umknął jej wyraz jego twarzy. Widziała, że jest zaskoczony i rozzarowany. I było tam coś jeszcze. On odgadł, że coś się stało, że coś się zmieniło. Schodząc ze zbocza, nadal czuła na sobie jego wzrok.

12

Na skraju trawnika, przodem do widocznego stąd wodo-
poju, ustawiono dwa stare trzciniowe fotele, aby goście mieli

widok na podchodzące do wody zwierzęta. Mara, z dłonią na wyplatany oparciu, obserwowała scenę poniżej. Nad wodą stał Carlton, obaj Nickowie trzymali się blisko trójno- ga, a nieco dalej krzatali się Jamie, Tomba i Brendan. W pewnej odległości od nich, w cieniu korony ciernistego drzewa, siedzieli na swoich krzesłach Leonard, Lillian i Pe- ter. Mara usiłowała sobie wyobrazić, że ci ludzie nic dla niej nie znaczą, że to przybysze kręcący się po okolicy, być może turyści. A jednak co rusz powracała spojrzeniem do Petera, obserwując, jak nachyla się do reżysera, opierając dłonie na kolanach, jak słuchając Lillian, odwraca się ku niej. Od- ległość była niewielka. Gdyby go zawołała, usłyszałyby ją; chociaż nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy, widziała dokładnie, co robi. Niemniej tu, na górze, czuła się odcięta, jakby zapomniana czy skazana na wygnanie. Musiała sobie powtarzać, że wczoraj przed jaskinią nie kto inny, lecz ona sama oznajmiła Carltonowi, że jest zbyt zajęta, aby zostać i pomagać przy filmie. A dziś producent po prostu z góry założył, że ich gospodyni woli zostać w domu.

- Rozmawiałem ze strażnikiem - zwrócił się do niej przy śniadaniu. - Uważa, że za dnia teren przy wodopoju jest całkiem bezpieczny. A jeśli Lillian się zmęczy, możemy przywieźć ją na przerwę do domu. - Uśmiechnął się ser- decznie. - Tak więc masz nas z głowy. Właściwie chyba nie będziemy musieli cię więcej kłopotać. Omówiliśmy wszyst- ko z Leonardem i wygląda na to, że od tej pory damy sobie radę bez twojej pomocy.

Mara zamarła, kiedy w pełni dotarł do niej sens jego słów. Nigdy więcej nie wejdzie w rolę Maggie.

Nie będzie dłużej pracować z Peterem.

- Maro, bardzo nam pomogłaś - mówił z powagą Carl- ton, patrząc na nią szczerze. - Naprawdę.

Uniosła dłoń, gotowa zaprotestować. Nagle uświadomiła sobie, że rozwiąło się jej postanowienie, aby trzymać się z daleka od Petera. Rozpaczliwie pragnęła przekonać Mil-

lera, że doszło do nieporozumienia. Owszem, nie chciała uczestniczyć w zdjęciach w jaskini, bo ta grotta ma dla niej szczególne znaczenie, natomiast w każdym innym miejscu z radością wcieli się w rolę Maggie. Jednak zanim zdążyła się odezwać, Rudi odwołał producenta na stronę.

Kiedy ekipa szykowała się do wyjazdu nad wodopój, Mara kręciła się w pobliżu, udając zaaferowanie pracą. Nigdzie śladu Petera. Przypuszczała, że do ostatniej chwili zwleka z wyjściem z rondawela. Gdy się wreszcie pojawił, zachowywał w stosunku do niej taktowny dystans. Tak samo było poprzedniego wieczoru, podczas kolacji; był przyjazny i szarmancki, ale czuła dzielący ich mur. Przesuwając widelcem kawałki perliczki na talerzu - zaciśnięty żołądek nie przyjmował jedzenia - odgrywała w myślach scenę na wzgórzu pod jaskinią. Była pewna, że według Petera, odchodząc, dała mu do zrozumienia, iż chce się od niego zdystansować, a on postanowił uszanować jej decyzję. Zastanawiało ją, czy się domyślił, że jej zachowanie ma coś wspólnego z jaskinią. A może zwyczajnie sądził, iż jej zdaniem zanadto zbliżyli się do siebie? Że to zbyt ryzykowne?

Zacisnęła sztucce w dłoniach. W tamtej chwili nie bardzo wiedziała, co robi. I czego właściwie chce.

Pod pretekstem pomocy przy przenoszeniu sprzętu podążyła za ekipą na parking. Krzątając się między ludźmi, czuła, jak obecność Petera przyciąga ją niczym magnes. W ostatniej chwili, kiedy stawiał stopę na stopniu land-rovera, odwrócił się do niej. Ich spojrzenia przyłgnęły do siebie, jakby żadnemu z nich nie starczało siły, aby odwrócić wzrok. Marę ponownie kusiło, aby podbiec do Carltona i poprosić, żeby zabrali ją ze sobą, powiedzieć mu, że nic na świecie nie liczy się bardziej od szansy zagrania Maggie.

Producent wyraził się jednak jasno. Już jej nie potrzebował.

Kiedy pierwszy z land-roverów wyjechał z parkingu, Peter pomachał do Mary. Odwzajemniła ten gest, choć dłoń i ramię miała sztywne jak u drewnianej kukiełki.

Teraz, ze swego miejsca pomiędzy dwoma fotelami, spoglądała w dół, w stronę ciernistego drzewa. Czuła pustkę i ból. Najchętniej pokonałaby dzielącą ich przestrzeń, żeby znowu mieć Petera blisko przy sobie.

- Halo! Jest tam kto?! - doszedł ją z bawialni znajomy, śpiewnie modulowany głos. Towarzyszyły mu powolne, ciężkie kroki, zbliżające się do werandy.

Odwracając się, Mara ujrzała w otwartych drzwiach Binę w połyskliwym kokonie z jaskraworóżowego jedwabiu ze złotym haftem. Pomadka na jej ustach współgrała z odcieniem sari, a włosy błyszczały od świeżo wartej oliwy. W jednej ręce trzymała koszyk.

- Ach, tu się schowałaś! - Dziesiątki bransolet pobrzękiwało na jej ramionach w rytm kroków. Bina nigdy nie była w Raynor Lodge i teraz, strzelając oczyma na wszystkie strony, chłonęła najmniejsze szczegóły.

Gospodyni usiłowała wykrzesać z siebie słowa powitania; natłok emocji i myśli wywołał mętlik w jej głowie. Na szczęście Bina wydawała się tego nie dostrzegać.

- No, to gdzie ona jest? - zapytała, splatając dłonie z podniecenia. - Gdzie ta sławna aktorka?

- Nie ma jej tu, nikogo z nich nie ma. Pojechali na zdjęcia.

- Daleko? - Hinduska otworzyła szeroko oczy. - A więc jej nie zobaczę?

Mara zastanawiała się nad odpowiedzią. Niewątpliwie Leonard nie byłby zachwycony, gdyby Bina wtargnęła na plan. Z drugiej strony nie chciała rozczarować swego gościa. W końcu machnęła dłonią w kierunku wodopoju.

- Są tam, na sawannie. Podejdź, to ich zobaczysz.

Wskazała jej Lillian i Petera oraz wyjaśniła, kim są pozostali ludzie. Tłumacząc, jak wygląda praca nad filmem, była zaskoczona, ile zdążyła się nauczyć w trakcie tych dwóch tygodni.

Bina przez dłuższy czas chłonęła oczyma scenę na dole,

prawie nie odzywając się słowem. Dopiero po chwili skupiła uwagę na Marze.

- Wiesz, ja nie przyszedłam tylko po to, żeby oglądać gwiazdę filmową - oznajmiła. - Przede wszystkim postanowiłam osobiście dostarczyć przyprawy twojemu szefowi kuchni. - Wskazała koszyk. - Mam tu wszystko, czego potrzebuje. - Porozumiewawczo pokiwała głową. - Widzę, że posłuchałaś mojej rady.

Mara nie miała pojęcia, o czym ona mówi.

- Skoro nie dane mi poznać aktorki, chętnie zamienię parę słów z twoim szefem kuchni - dodała Bina. - Czy to ten, którego ci poleciłam?

Gospodyni zmarszczyła czoło, nadal nie bardzo wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie do końca rozumiem, o czym...

- Gujarati z Arushy? - podpowiedziała Hinduska. Pokiwała głową z uznaniem. - Zapewne przygotowuje prawdziwą hinduską ucztę. Wymiótł mi ze sklepu wszystkie przyprawy!

Teraz dopiero Mara przypomniała sobie sugestię Biny, że powinna zatrudnić hinduskiego kucharza do obsługi ekipy filmowej. Zapewne bardzo zaskoczy ją wiadomość, iż Amerykanie są pod wrażeniem kuchni Menelika.

Ruchem ręki wskazała bawialnię.

- Zapraszam do środka na herbatę. Poproszę kucharza, niech sam się przedstawi.

Bina wyglądała na zadowoloną.

- Dziękuję. Z przyjemnością coś przekaszę.

Już po chwili, wygodnie usadowiona na środku kanapy, pałaszowała spory kawałek słodkiej bułki z rodzynkami, posmarowanej masłem. Koszyk postawiła obok siebie na kanapie.

Mara zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko i sącząc herbatę, słuchała nowinek z Kikuyu. Na bazarze złapano złodzieja. Ludzie sami wymierzili mu surową karę i teraz leży

w szpitalu w misji. Tydzień temu lew spacerował po głównej ulicy, ale zdążył zniknąć, zanim pojawił się człowiek ze straży łowieckiej ze strzelbą. Są kłopoty z transportem i wiele sklepów ma braki w zaopatrzeniu. Oczywiście to nie dotyczy Domu Handlowego Nowa Tanzania.

Kiedy Menelik wszedł do pokoju, Bina obrzuciła go zniecierpliwionym spojrzeniem, nie przerywając opowieści.

Mara, widząc nieufny wyraz oczu kucharza, dodała mu odwagi uśmiechem.

- Pani Chakraburti przyniosła paczkę dla ciebie - zwróciła się do niego po angielsku i odczekała, aż jej słowa dotrą do Biny. - Ma wszystkie przyprawy, które Kefa zamówił na twoją prośbę.

- Nie ma tu hinduskiego kucharza? Któż inny potrzebowałby tylu przypraw? - zapytała Hinduska, zbita z tropu.

Obserwując wyraz jej twarzy, Mara poczuła się winna wobec Menelika, bo przecież zależało jej, żeby starzec zyskał szacunek w oczach Biny.

- No, wiesz, menu naszego szefa kuchni nie ogranicza się do angielskich potraw - powiedziała.

Kobieta wycelowała palec w Menelika, ponownie wprawiając w ruch bransolety.

- Przygotowywanie hinduskich potraw nie jest takie proste. Trzeba się na tym dobrze znać. Właściwie należy urodzić się Hindusem.

- Nie planuję podawać hinduskich dań - odezwał się Menelik cicho, a jednocześnie dobitnie. - Zamierzam przygotować potrawy z mojej ojczyzny, z Etiopii. Najpierw muszę sporządzić *beri beri* i potrzebuję do tego dwunastu różnych przypraw. Następnie zrobię dwa rodzaje duszonego mięsa - *sik sik wat* i *doro wat*. Oprócz *beri beri* muszę dodać do niego różne przyprawy. To bardzo skomplikowane.

- Nigdy nie słyszałam o istnieniu etiopskiej kuchni! - zawołała Bina, jakby ludzie celowo ukrywali przed nią fakt, który teraz wydał jej się ogromnie istotny.

Menelik jedynie nieznacznie uśmiechnął się z wyższością.

- Nasze przepisy są bardzo stare. A jedzenie bardzo smaczne. - Wyprostował ramiona i unióś podbródek. - A ja terminowałem w królewskich kuchniach Jego Wysokości cesarza Haile Selassie, Zwycięskiego Lwa Judy. - Wyciągnął rękę po koszyk. - Poproszę. Jestem bardzo zajęty.

Bina wręczyła mu sporo małych paczuszek owiniętych brązowym papierem. Na koniec obdarowała go lekkim uśmiechem.

- Wiesz, ja znam się na tych sprawach. Moi krewni z Udajpuru pracowali w pałacu Maharany.

Kucharz z powagą pokiwał głową.

- Praca w pałacu to trudna sprawa. Wymagania są bardzo wysokie.

- Tak - zgodziła się z nim. - Tak właśnie mówili mi krewni.

- I naturalnie - wtrąciła się Mara - Menelik pilnuje, aby taki sam poziom obowiązywał w Raynor Lodge.

Bina była pod jeszcze większym wrażeniem. Z aprobatą uniosła brwi.

Na odchodnym Menelik rzucił gospodyni triumfujące spojrzenie. Była też w nim odrobina rozbawienia. Mara pochyliła głowę, żeby ukryć twarz, dopóki nie zapanuje nad śmiechem. Wpatrzyła się w stopy Hinduski wciśnięte w złote sandały ozdobione strasami. Szarobrązowa szorstka skóra na odsłoniętych piętach była miejscami popękana.

- A jak tam bluzka i spódnica, które ci uszyłam? - doszło ją pytanie gościa, jakby dopiero co rozmawiały o strojach. - Dobrze leżą?

- Och tak! - zapewniła. - Przepraszam, powinnam była wcześniej o tym wspomnieć. Jestem zachwycona. Wszystko idealnie pasuje.

Przypomniała sobie, jak mierząc nowy strój, oglądała się po kawałku w lusterku, żeby sprawdzić, czy dobrze wy-

gląda. Zobaczyła siebie idącą przez ogród, z włosami wilgotnymi po kąpieli, skórą pachnącą perfumami L'Air du Temps i spódnicą szeleszczącą wokół kolan.

Pamiętała spojrzenie Petera. W uszach miała jego słowa, płynące do niej przez ciepłe nocne powietrze: „Pięknie wyglądasz”.

Uśmiechnęła się do Biny.

- Dziękuję.

Ta zbyła podziękowanie machnięciem dłoni.

- Kolory są nieciekawe, ale skoro jesteś zadowolona, to i ja się cieszę. - Nachyliła się, przyglądając się Marze badawczo. - Nie pokazałaś się jeszcze w nowym stroju mężowi? Nadal jest na safari, tak?

Mara wcisnęła się w fotel. Miała wrażenie, że Bina wie o wszystkim, co się dzieje w Raynor Lodge, i ogarną ją niepokój, chociaż nie zrobiła nic złego. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, iż to był wstęp do podjęcia ich ostatniej rozmowy - o jej małżeństwie i o tym, dlaczego jeszcze nie zaszła w ciążę. Prowadziły ją całkiem niedawno, lecz temat wydał jej się teraz bardzo odległy. Pamiętała, jak nad tym wszystkim ubolewała, ale w tej chwili tamte emocje jakby dotyczyły kogoś innego. Wpatrywała się w fdiżankę, chcąc i jednocześnie nie chcąc dopuścić do głowy następnej myśli.

Matilda. Blond loki, błękitne oczy. Srebrzysty śmiech.

Czekała na znajome ukłucie bólu. Kiedy się pojawiło, okazało się zdumiewająco słabą wersją tego, co niegdyś czuła. Tyle się ostatnio w jej życiu działo. Tak wiele się zmieniło.

Zorientowała się, że Bina przygląda się jej z zagadkowym wyrazem twarzy i czeka na odpowiedź. Podniosła filiżankę, dzwoniąc nią o podstawkę.

- Zostanie w Selous jeszcze przez dwa tygodnie.

- Bardzo długie safari - podsumowała tamta. - Będiesz szczęśliwa, kiedy wróci do domu.

- Naturalnie - przytaknęła Mara. Usiłowała wyobrazić

sobie, jak John wkracza do domu i zajmuje na powrót miejsce *bwany*. Do tego czasu ekipa zdaży się spakować i wyjechać. Wszystko się skończy.

Nagle poczuła, że nie ma chęci przedłużać tej rozmowy. Rozejrzała się wokół siebie nieco rozkojarzonym wzrokiem, dając w ten sposób do zrozumienia, że ma sporo pracy.

- Bino, przyszedł akurat w porze, gdy czeka mnie dużo zajęć.

- Rozumiem - odparła. - My, kobiety pracujące, wiecznie jesteśmy zabiegane.

Gdy dźwignęła się z kanapy, Mara uśmiechnęła się do niej przepraszająco. Pomimo emocjonalnego niepokoju czuła bijące od tej kobiety prostolinijne ciepło.

- Dziękuję za przyprawę. - Dotknęła jej ramienia. - Odwiedź mnie jeszcze kiedyś.

Binie rozbłysły oczy.

- Następnym razem przyniosę *samosy*. I *chevdę*. To specjalnie przyprawione płatki kukurydziane. Możesz się nimi delektować przy... Jak wy nazywacie ten wieczorny drink?

- Szklaneczka przed snem - podsunęła Mara. Odprowadziła gościa na werandę. Kiedy wyszły na słońce, chłopcy z obsługi chat wyłonili się zza treliazu, jakby tam na nie czekali. Jeden z nich niósł wiaderko i gąbkę.

- Samochód gotowy - zameldował Binie. - Jest bardzo czysty.

Skinęła głową.

- Zaraz sprawdzę. - Zwróciła się do Mary: - Mercedes-benz musi być czarny, to oczywiste, a na karoserii widać każdy pyłek. Nie chciałam, żeby Amerykanie pomyśleli sobie, że auto należy do jakiegoś dzikusa z buszu!

- No tak - zgodziła się z nią Mara. Zostawiła dla siebie uwagę, że samochód znów oblepi kurz, gdy tylko Bina ruszy. Zwróciła się do chłopców: - Proszę odprowadzić panią Chakraburti do samochodu.

- Tak jest, *bwana memsahib* - odpowiedzieli chórem.

Hinduska odwróciła się do niej, szeroko otwierając oczy z wrażenia.

- Tak cię tytułują?

- Dopóki John nie wróci do domu - wyjaśniła.

Dopóki John nie wróci do domu. Te słowa zabrzmiały dziwnie i pusto, jakby wyrwane przypadkiem z jakiejś zupełnie innej rozmowy.

Bina spojrzała na nią surowo.

- To dobry tytuł. Powinnaś przy nim zostać. Taka jest moja rada.

Mara uśmiechnęła się cierpko.

- Zabawne, bo tu w ogóle nie ma *bwany*. Po prostu wszyscy wykonują swoje obowiązki.

Hinduska pokręciła głową. Na jej twarzy malowało się zniecierpliwienie pomieszane z czułością, jakby miała przed sobą niesforne, a zarazem rozkoszne dziecko.

Pożegnali się. Kiedy chłopcy podążyli za Biną, Mara słyszała ich dziecinną paplaninę. Spodziewała się, że każe im zamilknąć, tymczasem ona zaczęła ich wypytywać w swym łamanym suahili. Jak można było podejrzewać, chciała wyciągnąć od nich trochę plotek związanych z filmem, żeby mocje rozpuścić po Kikuyu.

Wracając na swój punkt widokowy, Mara zobaczyła, że teraz wszyscy zgromadzili się nad wodopojem. Lillian stała obok Petera, dokładnie przed kamerą. Nie miała kapelusza i ciemne długie włosy spływały jej na ramiona. Mara poczuła się tak, jakby to siebie oglądała z daleka. Tak łatwo było wyobrazić sobie, że stoi na miejscu aktorki. Dokładnie wiedziała, jak pogłębiają się drobne zmarszczki wokół oczu Petera, gdy się uśmiecha, a we włosach, na pierwszy rzut oka brązowych, widać pasemka w różnych odcieniach, kiedy patrzy się na nie z bliska. Przymykając powieki, niemal poczuła jego zapach: typową dla Afryki mieszaninę potu i kurzu z przebijającą cynamonową nutą...

Kiedy na powrót otworzyła oczy, Peter nachylał się ku

Lillian. Marę przeszył dreszcz, bo wiedziała, co się za chwilę stanie. Zaciśnęła dłoń na oparciu fotela, aż ciasny sznurkowy splot wpił się w jej skórę.

Wstrzymując oddech i każdą cząstką swej osoby chłonąc scenę poniżej, czekała na to, co nastąpi. Luke weźmie Maggie w ramiona i pocałuje.

Potrząsnęła głową, odrywając od nich wzrok. Przeniosła spojrzenie na głęboką, nieruchomą wodę daleko od brzegu. Wodząc oczyma po srebrzystej tafli, starała się skoncentrować na ptakach, trzcinach, cieniach, czymkolwiek, byle nie na ludziach na pierwszym planie, a jednak przez cały czas targały nią trudne do określenia emocje.

Przebiegały jej przez głowę na wespół zwerbalizowane urywki myśli.

To aktorzy. Zawodowcy. Robią to cały czas. Nie ma znaczenia, że...

Widziała ich kątem oka. Złączone usta. Dłoń Lillian na karku Petera. Poczowała się zdradzona, jakby tamta kobieta zajęła jej miejsce. Jakby tylko ona mogła być Maggie. Jakby Luke do niej należał.

Potarła twarz, chcąc odpędzić te myśli. Szalone myśli. To wszystko nie miało przecież z nią nic wspólnego. Nigdy więcej nie będzie Maggie. Już nie należy do ekipy. No i dobrze, zważywszy na to, co w tej chwili czuje. Carlton, świadomie czy nieświadomie, ją uratował. Linia graniczna wyraźnie się zatarła, a on przeciągnął ją z powrotem na właściwą stronę. Teraz jest po prostu żoną myśliwego. Gospodynią safari.

Wszystko wróciło na właściwe tory.

Podążając wzrokiem za gęsią, która ślizgiem opadła na wodę, wzbudzając fale, Mara czekała, aż spłynie na nią ulga. Przecież powinna ją w tej chwili czuć. Niestety. Czuła jedynie pustkę, jakby uleciała z niej cała życiowa energia.

Niespokojnie wodziła oczyma po okolicy, konsekwentnie omijając miejsce, gdzie ciągle jeszcze stali Maggie i Luke.

Wreszcie zatrzymała spojrzenie na chatce, którą somalijscy robotnicy wzniesli na skraju lasu. Współgrała z krajobrazem, chociaż, w przeciwieństwie do tubylców budujących swe domy z glinianych cegieł, Somalijczycy szkieleł z ty-czek oplekli trawą. To tam będą kręcić końcową scenę. Tego dnia - uświadomiła sobie - kiedy Brendan zacznie ustawiać reflektory, żeby oświetlić wnętrze, zdjęcia będą na ukończe-niu. A ten moment nieuchronnie się zbliża.

Do tego czasu Mara musi jedynie pamiętać, kim jest i do kogo należy.

13

Drzwi rondawela były zamknięte, zasłony w oknach szcel-nie pozaciągane. Zapukała delikatnie. Oczyma wyobraźni widziała Lillian w koronkowej nocnej koszulce, z włosami rozrzuconymi na ałłasowej poduszce, bo kosmetyczka zale-ciła jej spać wyłącznie na śliskich poszewkach, aby nie mia-ła po przebudzeniu odgnieceń na twarzy. Mara odczekała chwilę i ponownie zapukała, tym razem bardziej zdecydowanie. Nie miała wyboru, musiała obudzić Lillian, bo wszys-cy zdążyli już zjeść śniadanie i szykowali się do pracy.

Ponieważ nie doczekała się reakcji, ostrożnie uchyliła drzwi. Wewnątrz panował typowy chaos: skarpetki leżały porozrzucane, wieczorowa suknia wisiała na statywie lam-py, buty na podłodze wabiły białe mrówki. Łóżko natomiast było puste, prześcieradła starannie naciągnięte, z brzegami zatkniętymi pod materac, a moskitiera, jak zwykle w ciągu dnia, zawiązana w węzeł. To niemożliwe. Chłopcy z obsługi jeszcze tu dziś nie zaglądali, a Lillian nigdy w życiu sama nie posłałaby łóżka.

Odpędzając złe przeczucia, Mara starała się myśleć spo-kojnie. Rozejrzała się po pokoju; znikła torba aktorki na ra-mię i wysokie buty.

Pospiesznie wyszła z rondawela, zamykając za sobą drzwi, i szybkim krokiem ruszyła ścieżką w poszukiwaniu Kefy. Uczepiła się myśli, że on będzie coś wiedział i że istnieje jakieś proste wytłumaczenie tego, że Lillian nie spędziła nocy w swoim pokoju.

Gdy dochodziła do zabudowań gospodarczych, zza szopy *bwany* Pary wychynęła wysoka sylwetka Kefy. Zaskoczona Mara przystanęła na ułamek sekundy. Afrykanin miał na sobie koszulę z tego samego niebieskiego materiału *kitenge*, z którego uszyto jej suknię gospodyni safari oraz zasłony w rondawelach. Starannie uprasowane krótkie rękawy z nowego, sztywnego materiału odstawały od ramion.

- Kefa! - zawołała zadyszana, podchodząc bliżej.

Odwracając się ku niej, wyprostował ramiona, jakby liczył się z reprymendą. Mara zerknęła na swoją suknię, dając do zrozumienia, że widzi i akceptuje podobieństwo ich strojów.

- Masz nową koszulę - rzuciła. - Ładna.

- Zamówiłem u pani Chakraborti. Uszyta na miarę - wyjaśnił z dumą. Przez twarz przebiegł mu cień niepokoju. - Coś się stało?

- Lillian nie ma w rondawelu. Nie spała u siebie.

Kefa spuścił oczy.

- Może spędziła noc w innym pokoju.

Mara patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. Na moment stanęli jej przed oczyma Maggie i Luke całujący się nad wodopojem. Jednak, o ile znała Petera, była pewna, że łączy go z Lane wyłącznie praca. A ona z kolei nie wydawała się zainteresowana kimkolwiek z ekipy.

- Nie sądę - odparła. - W każdym razie nie widziałam jej torby i butów.

Kefa, marszcząc czoło, z namysłem, pokiwał głową.

- Wczoraj wieczorem wcześniej udała się do rondawela. Była rozniewana.

Mara spojrzała na niego zaskoczona. Nie dostrzegła śladu napięcia podczas kolacji, ale była zajęta rozmową z Peterem. Mimowolnie zaczęli dzielić się wspomnieniami z Australii. On rzucił uwagę o gotowaniu swej matki i nie wiadomo kiedy znikło skrępowanie dzielące ich w ostatnich dniach. Aktor opowiadał jej o miejscach w New South Wales, które odwiedziłyby z ochotą, gdyby tylko Paula umiała zrezygnować z noclegów w pięciogwiazdkowych hotelach. Mara opisała mu wioskę rybacką Bicheno, gdzie biwakowała w dzieciństwie. Miejscowość wzięła swą niezwykłą nazwę od nazwiska francuskiego odkrywcy i Peter poprosił, aby mu ją przeliterowała. Na wyspie w kształcie diamentu - mówiła - żyją w norkach miniaturowe pingwiny. On z kolei opisał jej miejsca w Australii, gdzie kręcili filmy i, jak wyznał, tylko tam czuł się naprawdę sobą. A jednak pod koniec zdjęć wyczekiwał powrotu do rodziny.

Każde zdanie, każdy uśmiech Mara przeżywała jak krok w skomplikowanym tańcu. Widziała, że Peter miał podobne odczucia. Zbliżali się do siebie przyciągani tym, co ich łączyło, czerpiąc czystą przyjemność z przebywania razem. Jednocześnie nie przekraczali pewnej dzielącej ich granicy, gwarantującej bezpieczeństwo. I zawsze pod ciepłym, które opromieniało ich spojrzenia, czaił się cień żalu i niewypowiedziany refren: Tyle tylko może nas łączyć. Na więcej nie możemy sobie pozwolić.

Otrząsnęła się ze wspomnień, skupiając się znów na tym, co Kefa powiedział o Lillian.

- Co się wydarzyło?

- *Bwana* Carlton polecił, abym nie przyjmował jej zamówień z baru. - W głosie Kefy pobrzmiwało oburzenie.

Personelowi w Raynor Lodge wpojono, że w żadnym wypadku nie wolno kwestionować zachowań klientów, szczególnie gdy w grę wchodzi alkohol. John wyjaśnił pracownikom, że gościa nigdy nie należy pytać, czy ma ochotę

na jeszcze jeden drink; Jeszcze jeden" sugeruje, że pytający jest świadomy, iż gość wypił już jeden (albo i dziesięć), a takie sprawy absolutnie nie powinny obsługi interesować.

- Pomyślałem, że być może ma własną butelkę dżinu w rondawelu - kontynuował Kefa. - To jej *dawa*. Powinna mieć swoje lekarstwo.

- Tak - zgodziła się z nim Mara. - Lecz za dużo *dawa* może zaszkodzić. Rzeczywiście miała parę butelek, lecz Carlton je wylał.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu, po czym oboje ruszyli na parking.

Prawie natychmiast zauważyli brak jednego z land-roverów z Manyali.

- Pojechała wieczorem do Kikuyu. - Głos Mary przepełniała trwoga.

Nawet mieszkający tu na stałe Europejczycy, którzy dobrze znali okoliczne drogi, woleli nie podróżować po zmierzchu, zwłaszcza w tych niepewnych czasach po uzyskaniu niepodległości. A jeśli już musieli jechać nocą, nigdy nie robili tego w pojedynkę. Było nie do pomyślenia, aby kobieta mogła się udać w taką podróż samotnie.

- Pewnie zatrzymała się w hotelu - spekulował Kefa. Panował nad głosem, lecz twarz stężała mu z niepokoju. W hotelu samotna kobieta również nie była bezpieczna, szczególnie gdy piła alkohol.

Mara nakryła twarz dłonią, rozpaczliwie próbując pozbierać myśli. Gdyby radio działało, mogłaby skontaktować się z posterunkiem policji w Kikuyu i poprosić o pomoc. Niestety, przystała na prośbę Carltona, żeby na razie nie reperować radia. Teraz gorzko tego żałowała, dobrze wiedząc, że nie powinna była go słuchać. To ona odpowiada za Raynor Lodge i wszystkich ludzi, którzy tu przebywają. Powinna być przygotowana na wszelkie niespodziewane sytuacje... Wreszcie opanowała emocje.

- Poszukam Carltona. Chodźmy!

Kefa wskazał pomalowany w pasy land-rover.

- Przyniosę kluczyki.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Wolała prowadzić własny samochód, zwłaszcza gdy liczył się pośpiech.

- Ale będzie nas więcej niż troje - zaoponował. - Musimy zabrać tropiciela. - Oczy Mary zrobiły się okrągłe z przerażenia. Kefa rozłożył ręce. - Musimy być przygotowani na wszelkie sytuacje.

Pokiwała głową. Wiedziała, że on ma rację. To jedna z głównych zasad safari: bądź przygotowany. Inna myśl przyszła jej do głowy.

- Czy powinniśmy zabrać Daudiego?

- Nie - zaprzeczył stanowczo Kefa. - To nasza sprawa. - Zawiesił głos. - Jeśli zrobi się z tego problem, będzie bardzo zły.

- Masz rację - zgodziła się. - Sami to załatwimy.

Tropiciel, na wpół klęcząc na przednim siedzeniu land-rovera, wpatrywał się w drogę przez szybę. Od czasu do czasu starczym, supłowatym palcem wskazywał kupki piasku na spieczonej *murrum* na skraju drogi.

- Znowu je widzę - powtarzał. Bez trudu rozpoznał ślady land-rovera z Manyali; były wyraźne i głęboko odcisnięte przez nowe opony.

- Bardzo źle jeździ - skomentował, kreśląc dłonią w powietrzu falistą ścieżkę.

- Było ciemno - zauważyła Mara.

Tropiciel pokręcił głową.

- Nie. Jasno. Księżyc był duży. Widziała.

- Nie jest przyzwyczajona do takich dróg - odparła, czując ulgę, że pojawił się pretekst do rozmowy, dzięki czemu trochę zelżało napięcie. - Tam, gdzie ona mieszka, są drogi z betonu. A w nocy palą się lampy na wysokich tyczkach.

Kiedy tropiciel zastanawiał się nad jej słowami, zerknęła we wsteczne lustro na Carltona, który siedział z Kefą na

tylnym siedzeniu. W trakcie półgodzinnej jazdy prawie wcale się nie odzywał, a jego zaciśnięte w wąską kreskę usta świadczyły o zdenerwowaniu. Wiedziała, że troszczy się o Lillian i czuje się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. Carlton, jakby czując na sobie wzrok Mary, pochwycił jej spojrzenie w lusterku. Usiłowała pocieszyć go uśmiechem. Najbardziej prawdopodobny scenariusz - mówiła sobie - to taki, że znajdą Lillian w restauracji hotelu w Kikuyu nad najświeższym egzemplarzem „East African Standard”. Przypomniało jej się śniadanie, które jedli tam z Johnem następnego ranka po ślubie: wysuszone grzanki z czerwonym lub żółtym dżemem z nierozpoznawalnych owoców do wyboru; roztopiona grudka masła i zakrzepła, klajstrowata jajecznica. Teraz nowy hotelarz - afrykański biznesman z Dar es Salaam - przejął hotel po poprzednim właścicielu, który wolał zniknąć wraz z końcem kolonialnych rządów, lecz to wcale nie musiało oznaczać, że poprawiła się jakość dań. Mara sądziła, że Lillian szybko odkryje, jakie ma szczęście, jedząc posiłki Menelika.

Niespodziewane szarpnięcie land-rovera zmusiło ją do skupienia uwagi na drodze. Wjechali na paskudnie pofałdowany odcinek. Przyspieszyła i mocno ściskając kierownicę, najeżdżała z impetem na wyboje, a samochód trząsał się i rzęził. W normalnych okolicznościach wyjaśniłaby pasażerom, że trudniej pokonywać garby przy małej prędkości, lecz teraz prowadziła w milczeniu. Na zakręcie wykonała ciężkim pojazdem manewr w prawo i wjechała na kolejny prosty odcinek drogi. I wtedy, sztywniejac z wrażenia, z całej siły nadepnęła na hamulec.

Do jej świadomości przedarł się widok czarno-białego wzoru. Wyraźnie namalowane pasy w żadnym wypadku nie mogły należeć do zebry.

- O Boże! - jęknął Carlton.

Land-rover z Manyali zwiślał z drogi, zahaczony przednim zderzakiem o pień baobabu.

Mara zatrzymała swój samochód tuż obok. Wychyliła się z okna, żeby zajrzeć do środka tamtego. Serce ścisnęło się jej ze strachu. Miejsce kierowcy było puste.

- Nie ma jej - doszedł ją z tyłu głos Carltona.

Poczuła, że żołądek podszedł jej do gardła. Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak Lillian desperacko próbuje ominąć dziką blokadę na drodze: rząd beczek z ropą płonąca w ciemnościach. Widziała, jak land-rover uderza o drzewo, a ona czeka bezradna, podczas gdy z ciemności wyłaniają się czarne sylwetki, gromadząc się wokół ofiary. Zieją odorem bimbru, przekrwione oczy wędrują po bladym ciele kobiety - ich trofeum...

Wyskoczyła na drogę. W paru długich susach znalazła się przy baobabie. Opierając dłoń o fioletowawy pień, wdrapała się na maskę przeklętego land-rovera. Potem podciągnęła się na koło zapasowe i zajrzała do środka przez przednią szybę. Jej wzrok natychmiast przyciągnął niebieski sweter na środkowym siedzeniu. Kardigan Lillian. Mara omiotła spojrzeniem całą widoczną przestrzeń. Nie było torby ani innych osobistych rzeczy. Już miała się wycofać, gdy dostrzegła ledwo widoczną na ciemnej tapicerce plamę z krwi. Wpatrywała się w nią, czując, jak dreszcz przerażenia przenika jej ciało. Lillian była ranna, krwawiła. Nic dziwnego - pomyślała - musiała uderzyć w drzewo, jadąc z dużą prędkością. A jednak, pomimo wszystkich wad i słabości, jakie widziała u aktorki, nadal nie mogła uwierzyć, aby dotyczyły jej zwykłe prawa fizyki wynikające ze zderzenia się ciała i kości z metalem i drewnem.

Zeskoczyła na ziemię. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Carltona bezradnie rozłożyła ręce i pokręciła głową - nie było sensu przerażać go jeszcze bardziej i wspominać o krwi. Podeszła do tropiciela, który przysiadłszy w kucki, oglądał drogę. Jego kasztanowy, wojskowy beret niemal dotykał ziemi. Wodził palcami po śladach na piasku jak ślepiec czytający pismo Braila, przechylając przy tym głowę, jakby

nie tylko patrzył, ale i nasłuchiwał. Kefa trzymał się w pobliżu, uważając, by nie zadeptać śladów opon.

Wreszcie stary tropiciel się wyprostował.

- Była tu ciężarówka. - Mówiąc to, wskazał koleiny. - Zatrzymała się i ludzie podeszli do land-rovera. Widać stopoślady.

Pomimo zdenerwowania Mara zauważyła, że użył własnej wersji określenia „ślady stóp”. Słyszała, jak John poprawiał go kilkakrotnie, lecz tropiciel uparcie trwał przy swoim.

- Tutaj stopoślady są głębsze. - Wskazał płataninę drobnych odcisków na miękkiej nawierzchni. - Ludzie niosą ją do ciężarówki. Jedni mają buty, a inni nie. - Mara wpatrywała się w niego, czekając na dalszy ciąg, a jednocześnie bojąc się go usłyszeć. Tropiciel pochylił się i dotknął mikroskopijnej kupki ptasich odchodów na środku odcisku stopy. - To było dzisiaj, po wschodzie słońca.

Powiodła wzrokiem wzdłuż drogi.

- Potrafisz odnaleźć ciężarówkę?

Machnął lekceważąco dłonią.

- Znam ją. Ma trzy różne opony. Tylko jedna z nich jest nowa. A to - wskazał palcem odcisk buta - należy do Josepha.

- Do Josepha - powtórzyła Mara. - W takim razie jedźmy.

- Kim jest Joseph? - podchwycił Carlton.

Szła już do land-rovera, kiwnięciem przywołując resztę.

- Pracuje w szpitalu w misji.

Szybkim krokiem przecięła podwórko i nie zwracając uwagi na tłum zaciekawionych pacjentów, skierowała się prosto do jedynej pielęgniarki, jaką udało jej się zauważyć, młodej Afrykanki w uniformie w biało-różowe paski, stojącej przy kuchni opalanej drewnem. Z gara z wrzątkiem wyciągała długimi szczypcami poszczepiane narzędzia. Na widok Mary położyła je z brzękiem na tacy nakrytej lnianą ścierką.

- Przywieźli tu *mzungul* - spytała przybyła z napięciem w głosie.

- Europejka tu jest - potwierdziła pielęgniarka w suahili. - Doktor ją ratuje.

Mara patrzyła na nią przez chwilę, usiłując odgadnąć, co dziewczyna miała na myśli. Czy „ratuje” oznacza „leczy”? A może rzeczywiście ją ratuje? I gdzie oni są?

Szczypcami, z których kapała woda, pielęgniarka wskazała główny budynek szpitalny.

Przywoławszy gestem ręki Carltona, który wraz z Kefą i tropicielem czekał przy land-roverze, Mara popędziła do wejścia. Pokonała schody i pchnęła ciężkie zielone drzwi. Carlton dogonił ją, kiedy wchodziła do środka.

Powietrze, gęste od upału, stało nieruchomo. Silna woń środków dezynfekcyjnych zmieszana z zapachem świeżo wylanego cementu prawie, lecz nie do końca, maskowała ludzkie wyziewy. Pobielone korytarze ciągnęły się w obu kierunkach. Mara nie bardzo wiedziała, w którą stronę powinni się udać. Co prawda była raz w gabinecie zabiegowym z klientem, któremu trzeba było założyć szwy na rozciętej ręce, ale od tamtego zdarzenia upłynął ponad rok. Intuicyjnie skręciła w lewo z Carltonem deptającym jej po piętach, lecz po paru krokach przystanęła. Doszedł ją męski głos gdzieś zza pleców. Chociaż nie mogła wyłowić słów, intonacja była zdecydowanie angielska. Odwróciła się.

- Tam!

Głos przybierał na sile w miarę, jak zbliżali się do pomieszczenia, z którego dochodził. Teraz rozpoznała zdecydowany ton męża Helen, Tony'ego Hemdena, lekarza z misji. Wkrótce stanęli w otwartych drzwiach.

Mara zawahała się na progu. Doktor Hemden, ubrany w biały kitel, stał nad łóżkiem w końcu niewielkiej sali. Asystowała mu afrykańska pielęgniarka w białym uniformie i białym czepku. Śnieżna biel tworzyła ostry kontrast z jej skórą. Obie sylwetki niemal całkowicie zasłaniały widok na

łóżko, lecz Mara dostrzegła szczupłe, blade ramię leżące w poprzek niebieskiego koca.

- Jest tutaj - rzuciła do Carltona.

Doktor Hemden obejrzał się i napotykał jej spojrzenie, skinął głową. Podeszła do niego, ledwo zauważając, że pozostałe łóżka stały puste. Na większości nie było nawet materaców; metalowe ramy i poręcze wyglądały dziwnie niepokojąco, budząc skojarzenia z klatkami.

- Co z nią? - spytała Mara, podchodząc bliżej. - Znaleźliśmy land-rover.

Gdy doktor Hemden odstepił od łóżka, zatrzymała się w pół kroku. Nie od razu rozpoznała twarz na poduszce. Jedno oko kobiety było potwornie spuchnięte, okolica od brwi po kość policzkową przybrała fioletowy kolor. Dolną wargę miała rozciętą. Piękną, delikatną skórę twarzy znaczyły liczne drobne ranki zdezynfekowane czerwonym środkiem antyseptycznym. Przez częściowo ogoloną głowę biegła długa rana, a czarne szwy wyglądały jak muchy żerujące na krwawej kresce. Reszta włosów została zapleciona w dwa schludne warkocze.

Mara skoncentrowała się na nienaruszonym oku; na zamkniętej powiece pozostał ślad liliowego cienia. Tylko ta część twarzy wyglądała tak, jakby należała do Lillian.

- Co jej jest? - zapytała, przyciskając dłoń do ust.

- Ma dwa złamane zębra - wyliczał doktor Hemden - i paskudnie stłuczone kolano. Podeszło krwią. Część udało mi się ściągnąć igłą, ale sporo jeszcze zostało. Podałem jej środek uspokajający dla uśmierzenia bólu. Jak widzisz, ma sporo ran i sińców, ale to drobiazg. Pozostanie jedynie blizna na głowie, lecz nie będzie widoczna pod włosami. Zęby ocalały. Ciągle mnie o nie pytała.

Mara zerknęła na niego, zastanawiając się, czy doktor wie, kim jest pacjentka, czy też z góry założył, że wszystkie kobiety boją się okaleczeń twarzy.

- Dokuczaj jej też ból głowy - dodał. - Prawdopodobnie

doszło do wstrząśnienia mózgu. Trudno stwierdzić w tych okolicznościach. Równie dobrze może to być kac. - Powiódł spojrzeniem od Mary do Carltona, mrużąc oczy z dezaprobatą. - Przyznała, że wypiła w hotelu całkiem sporo. Do wypadku musiało dojść w nocy. Joseph znalazł ją o świcie, jadąc ciężarówką do Kikuyu. - Lekarz opuścił wzrok na nieruchomą postać na łóżku. - Miała szczęście. Mogło się skończyć znacznie gorzej.

- A więc dojdzie do siebie? - zapytał Carlton.

- Wyliże się - uspokoił go Hemden.

Producent przymknął powieki.

- Dzięki Bogu.

Wzrok Mary zatrzymał się w nogach łóżka na czymś, co wyglądało na starannie złożoną koszulę z materiału w cętki lamparta, jakie kobiety często nakładały w święto safari. Dopiero po chwili zorientowała się, że to bluzka Lillian z żółtego jedwabiu, poplamiona zakrzepłą krwią. Widziała tę bluzkę rozwieszoną w jej rondawelu, nawet ukradkiem pogładziła monogram Christiana Diora wyhaftowany na kieszonce. Ale to było jeszcze w czasach, gdy zazdrościła aktorce, wyobrażając sobie, że ta kobieta ma wszystko, czego dusza zapagnie, żeby czuć się bezgranicznie szczęśliwą.

Ciszę w sali zakłócało jedynie ledwo słyszalne skrobanie ołówka afrykańskiej pielęgniarki na bloczku z podkładką. Lekarz zaglądał jej przez ramię, a w tym czasie Carlton, pochylony nad Lillian, mrużąc oczy z rozpaczy, uważnie oglądał jej twarz.

Marze, kiedy podążyła za jego spojrzeniem, serce ścisnęło współczucie. Bezbronność Lillian, którą już wcześniej u niej dostrzegła, teraz się spotęgowała. Aktorka wyglądała tak bezradnie w tym białym pokoju, w obramowaniu metalowego łóżka. Przypominała skatowane dziecko, nikomu niepotrzebne i niekochane.

- Co będzie dalej? - spytał Carlton.

- Na szczęście mogliśmy ją umieścić w osobnej sali. Nie

wyobrażam sobie, aby leżała z innymi kobietami. Tu będzie oddział dziecięcy. Akurat zakończyliśmy remont. - Hemden wskazał plakietkę na ścianie. „Dar mieszkańców Bexhill-on-Sea” - informował napis ze złotych liter na tabliczce z wypolerowanego drewna. - Może tu zostać, dopóki nie zorganizujemy przenosin.

- Przenosin? - podchwyciła zaskoczona Mara. - Dokąd?

- Najlepiej do Princess Elizabeth Hospital w Nairobi. Joseph już dzwoni do MSL. - Hemden odwrócił się do Carltona. - To Misyjne Stowarzyszenie Lotnicze. Być może jeszcze dziś uda im się przysłać awionetkę. Będziecie musieli pokryć koszt. Jak rozumiem, jest pan zadowolony z takiego rozwiązania?

- Tak, naturalnie - odparł Carlton. - Cokolwiek doktor zaleci.

Mara wychwyciła wahanie w jego głosie. Nie musiała spoglądać mu w twarz, żeby wiedzieć, co myśli. Jeśli Lillian znajdzie się na lotnisku w Nairobi, na jakimkolwiek lotnisku, wiadomość szybko się rozejdzie. Zleci się tłum fotoreporterów i dziennikarzy żądnych sensacji. Bez problemu dotrą do wydarzeń w hotelu w Kikuyu. Już widziała te nagłówki. *Pijana hollywoodzka gwiazda ranna w wypadku*. Ludzie z radością będą oglądać sławną twarz w takim stanie jak teraz...

W Marze obudził się instynkt opiekuńczy.

- Czy naprawdę trzeba ją przenosić? - spytała. - Nie możesz się nią tutaj zająć? - Wiedziała, że Hemden jest doświadczonym chirurgiem i internistą.

- Naturalnie jej bezpieczeństwo jest na pierwszym planie - wtrącił się Carlton, zanim lekarz zdążył otworzyć usta. - Ale jestem pewien, że wolałaby tutaj zostać. Liczy się dyskrecja. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale ona jest bardzo znana. Właściwie sławna.

- Wiem, kim jest - uciął chłodno Hemden. - I dlatego chcę ją stąd wyekspediować. Mam mnóstwo pacjentów w znacznie poważniejszym stanie, a mój szpital nie jest od-

powiednim miejscem dla gwiazd filmowych. - Zamilkł i zapatrzył się w otwarte okno. Z podwórka doszedł ich dziecięcy płacz; to nie był bunt silnego dziecka, któremu coś dolega, tylko pełne rezygnacji zawrodoenie schorowanego malucha. Mara, podążając za jego wzrokiem, dostrzegła Helen krążącą w tłumie oczekujących pacjentów. Zapewne tłumaczyła, że doktora zatrzymał nagły wypadek. Jak zawsze schludna i spokojna, sprawnie nad wszystkim panowała.

- Pierwsza sprawa: kto będzie jej gotował i robił pranie? - Hemden zwrócił się do Mary.

Carlton przeniósł na nią pełen zaskoczenia wzrok.

- W szpitalach w buszu, takich jak ten, nie ma posiłków - wyjaśniła. - Jedzenie przynoszą krewni pacjentów. - Odwróciła się do lekarza. - A jeśli zorganizuję wszelką niezbędną pomoc, pozwolisz jej tu zostać?

Hemden milczał przez chwilę, jakby toczył wewnętrzną walkę. W końcu skinął głową.

- Niech będzie. Ale stawiam sprawę jasno: nie liczcie na szczególne traktowanie ze strony mego personelu.

- Dziękuję. Jesteśmy bardzo wdzięczni. - Mówiąc te słowa, Mara zastanawiała się, kogo może przysyłać tu ze wsi. Może żonę Kefy? Próbowała sobie wyobrazić, jak Edna w land-roverze na fotelu dla pasażera usiłuje utrzymać na kolanach tacę z małymi miseczkami Lillian. Uznałaby to za idiotyzm. Poza tym jej angielski jest zbyt ograniczony. Mara w napięciu skubała zębami dolną wargę, gorączkowo szukając innego rozwiązania. I wtedy jej wzrok powędrował ku oknu. - Jedną chwilę!

Wybiegła z sali, pędem pokonała korytarz i przecinając podwórze, podeszła do Helen stojącej pod starym figowcem.

Żona doktora odwróciła się zaskoczona.

- Szybko dotarliście! Joseph wyjechał zaledwie przed godziną.

- Nie przyjechaliśmy z Raynor Lodge, już wcześniej rozpoczęliśmy poszukiwania. Tropiciel nas tu przyprowadził.

/

Helen pokręciła głową.

- Biedactwo. Byłam tam, kiedy ją przynieśli. Mam nadzieję, że uda się ściągnąć awionetkę. Ona nie jest przyzwyczajona do takich miejsc. - Rozejrzała się wokół, jakby patrzyła na dobrze sobie znane otoczenie oczyma ich wytwornej pacjentki.

- Ona chce tu zostać - oznajmiła stanowczo Mara. W duchu założyła, że chociaż Lillian nie wyraziła takiej chęci, na pewno tego właśnie by chciała. Przecież jej dalsza kariera zależała od utrzymania wypadku w tajemnicy.

- Jesteś pewna? - zdziwiła się Helen. - Nie sądzę...

- Posłuchaj - Mara weszła jej w słowo i dla przyciągnięcia uwagi położyła jej dłoń na ramieniu. - Ile pieniędzy brakuje ci na te bilety lotnicze, żeby zabrać dzieci do Anglii?

Zaskoczona tym pytaniem Helen przyglądała się jej w milczeniu.

- Mnóstwa - odezwała się w końcu. - Pięćset funtów. Zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Dziewczynki były rozczarowane, ale potrafią to zrozumieć. To było takie nie-mądre marzenie. Nie ma widoków na zdobycie takich pieniędzy.

- Nieprawda - zaprzeczyła Mara. - Lillian potrzebuje kogoś, kto zajmie się posiłkami, praniem i może jeszcze jakimiś drobiazгами. Chętnie ci za to zapłaci.

Helen ściągnęła brwi.

- Nie mogłabym za coś takiego brać pieniędzy.

- Ależ mogłabyś - stwierdziła stanowczo Mara. - Ona jest bardzo majątna. Uwierz mi, możliwość pobytu tutaj jest dla niej warta o wiele więcej niż pięćset funtów.

- Jesteś pewna?

- Jak najbardziej.

- Nadal nie wydaje mi się, że mogę tyle zażądać - powiedziała żona doktora z powątpiewaniem.

- Nie musisz, ja się tym zajmę. Oczywiście o ile uważasz, że znajdziesz na to czas.

Oczy Helen rozbłyły z podniecenia.

- Znajdę. Naturalnie, że znajdę.

- W takim razie umowa stoi. - Mara się uśmiechnęła.

Kiedy wróciła do sali, Lillian już się obudziła, a doktor Hemden oglądał jej kolano.

- Możliwe, że ma pani pękniętą rzepkę - mówił - ale trudno to stwierdzić jednoznacznie, dopóki nie zejdzie obrzęk.

Marę zaskoczył jego łagodny ton. Nie było w nim śladu wcześniejszej dezaprobaty ani nawet zniecierpliwienia człowieka, którego czeka ogrom pracy.

Zbliżyła się cicho do łóżka, nie chcąc przeszkadzać w badaniu. Kiedy stanęła obok Carltona, Lillian poruszyła głową i zdrowym okiem spojrzała na nią. Łzy spływały z kącika i toczyły się po policzku.

- Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro - zniekształcone słowa wydobyły się z opuchniętych ust. - Wszystko zepsułam.

Zamknęła oczy i wcisnęła głowę w poduszkę, jakby chciała zniknąć jakimś cudownym sposobem. Łzy ciągle ciekły, spływając po skroniach we włosy. Czerwone plamki środka odkażającego rozmyły się w smugi na policzkach. Teraz obrażenia wyglądały jeszcze poważniej.

Mara, patrząc na pokancerowaną twarz, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to wewnętrzne rany Lillian wydostały się na powierzchnię. Te same, które pomagały jej osiągać szczyty w aktorstwie, a jednocześnie pchnęły ją w alkoholizm. Widok był żałosny. Wyciągnęła rękę, delikatnie pogładziła Lillian po poranionym policzku i poprawiła dziewczęcy warkocz.

- Ćśśś, nie przejmuj się, niczym się teraz nie martw - uspokajała ją. - Wszystko będzie dobrze. - Spojrzała na Carltona, chcąc zachęcić go do kilku słów pociechy.

- Oczywiście - przytaknął. - Coś wymyślimy. Zadzwonię do Los Angeles. Wynegocjuję przedłużenie.

Przedłużenie. Mara powtórzyła w myśli to słowo, czując, jak wzbiera w niej grzeszna radość. Przez jedną szaloną chwilę wyobraziła sobie, że filmowcy będą czekać na wyzdrowienie Lillian w Raynor Lodge. Ale rekonwalescencja zajmie jej wiele tygodni. Uznała, że prawdopodobnie wyjadą, a potem wrócą.

Tak czy owak Peter zostanie w jej życiu na trochę dłużej.

- Chcecie przesłać jej rzeczy? - Głos doktora wdarł się w myśli Mary. - Żeby poleciały razem z nią?

Pokręciła głową.

- Ona zostaje. Znalazłam kogoś, kto pomoże się nią opiekować.

- Błyskawicznie - skomentował Hemden, absolutnie nie pokazując po sobie, czy się domyśla, że może chodzić o jego żonę. - W takim razie proponuję, abyście jutro przyjechali z wizytą. Moja pacjentka musi teraz odpocząć. Potrzebuje spokoju - powiedział stanowczym tonem, jakby dokładnie rozumiał, jakiego rodzaju osobą jest pani Lane.

Musi odpocząć, dojść do siebie. Potrzebuje ucieczki od własnego życia. Chyba to miał na myśli.

- Dziękuję. - Mara uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Po pożegnaniu się z Lillian wyprowadziła Carltona z sali. Kojąca, przepojona współczuciem obecność lekarza zdawała się ją uspokajać. Ujrzała to miejsce w nowym świetle. W tym surowym, białym pomieszczeniu zostaną wyleczone nie tylko fizyczne obrażenia Lillian - pomyślała. To będzie jej azyl; może tutaj wreszcie odnajdzie spokój, wolna od napięć i stresów swego świata.

We dwójkę skierowali się do land-rovera. Kefa z tropicielem czekali przy samochodzie, pogrążeni teraz w rozmowie z pielęgniarką, która sterylizowała chirurgiczne narzędzia. Słońce stało w zenicie. Piekącymi promieniami głąaskało Marę po odkrytych ramionach. Nie patrząc na Carltona, wiedziała, że producent porusza się sztywno niczym robot.

Nagle zatrzymał się bez uprzedzenia.

- No i tyle - oświadczył. Odwrócił się do niej z twarzą ściągniętą z rozpaczy. - A było tak blisko.

Patrzyła na niego zagubiona.

- Co to znaczy?

- Już po nas. Nie majak dalej tego ciągnąć.

- Przecież... powiedziałaś, że załatwisz przedłużenie... zadzwonisz do Los Angeles.

Carlton machnął dłonią w stronę budynku, gdzie leżała Lillian.

- Musiałem coś powiedzieć. A prawda wygląda tak, że ubezpieczenie tego nie pokrywa. - Zaśmiał się gorzko. - Gdyby przydarzył się jakiś kataklizm lub inne zdarzenia losowe, wszystko byłoby w porządku. Mógłbym się domagać odszkodowania i z niego pokryć późniejsze zdjęcia. Ale nie ma osobnej klauzuli na Lillian. - Zawiesił na moment głos, po czym wyskandował, jakby czytał polisę: - Ubezpieczyciel nie bierze odpowiedzialności za wszelkie zdarzenia spowodowane przez... lub w jakikolwiek sposób wynikające z nadużywania alkoholu przez ubezpieczonego. - Pokręcił głową. - Oczywiście, angażując ją, ryzykowaliśmy. Idealnie jednak nadawała się do roli Maggie, dowiodła tego. A mnie tak zależało, żeby znowu wróciła do pracy. Naprawdę wierzyłem, że wytrzyma.

Carlton mówił to wszystko półgłosem bardziej do siebie niż do Mary. Słuchając go, zdała sobie sprawę, że jest naprawdę przegrany. Przez cały czas, gdy patrzyła na poturbowaną Lillian, miała mglistą świadomość, jak ten wypadek może wpłynąć na los filmu, ale po cichu liczyła, że producent wymyśli plan ratunkowy. Tymczasem on zdawał się mówić, że muszą zrezygnować z produkcji.

Zapadła drętwa cisza. Mara bezskutecznie szukała w głowie jakichś słów. Nagle naszła ją pewna myśl.

- A ci ludzie, o których wspominałaś, ci, co mieli dokończyć zdjęcia w zoo?

- Poręczyciele - odpowiedział Carlton. - Mogą później spróbować zrobić dokrętkę brakujących scen. Ale do tego czasu wygaśnie mój kontrakt ze studiem. W umowie jest określony termin odsprzedaży filmu. Ja im dam film, a oni mi pieniądze. Jeśli nie zdążę... Poręczyciele dogadają się ze studiem. A mnie wytoczą proces. Stwierdzą, że jestem wszystkiemu winien, bo zaangażowałem do głównej roli nieubezpieczoną aktorkę. Ale się porobiło! Totalne dno. - Urwał i wbił wzrok w ziemię. - Jedno, niestety, jest pewne. Stracimy nasze ranczo po rodzicach. Potrzebowałem dodatkowej sumy, więc zastawiłem je w banku pod kredyt. - Głos miał chrapliwy z emocji. - Przez dziesięć pokoleń stanowiło własność Millerów. Obaj z Leonardem mamy mieszkania w Los Angeles, ale Raven Hills jest naszym prawdziwym domem. Stamtąd się wywodzimy.

Mara słyszała w jego głosie takie samo cierpienie jak u Johna, kiedy wymyślał różne desperackie sposoby ratowania Raynor Lodge. Potrafiła sobie wyobrazić, co działo się w głowie Carltona; oczyma duszy widział już, jak ukochany dom trafia w ręce obcych ludzi. Tak bardzo pragnęła go jakoś pocieszyć. Tymczasem jedynie przyspieszyła kroku, zmuszając go, by podążał za nią. Instynktownie wyczuwała, że ruch nie pozwoli mu popaść w czarną rozpacz. Widok Carltona w takim stanie wytrącił ją z równowagi. Zawsze był taki silny, potrafił rozwiązać każdy problem. Pamiętała, że właśnie ta jego siła skłoniła ją do wynurzeń podczas pierwszej kolacji w dzień przyjazdu ekipy. Opowiadała, jak źle stoją sprawy w Raynor Lodge i jaka trudna jest rola żony myśliwego. Teraz, idąc obok niego, przypomniła sobie jego słowa.

„Prawie zawsze wszystko się w końcu układa - mówił z takim przekonaniem. - Nie wiedzieć czemu, przychodzi odmiana, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa”.

Zastanawiała się, czy nie przypomnieć mu teraz tamtych słów, sprowokować, by wykorzystał życiową mądrość. Kie-

dy zerknęła na jego twarz, zrozumiała jednak, że to się mija z celem.

Wyglądał jak człowiek, który już nie wierzy w bajki.

14

Kiedy Mara wjechała na parking, Leonard siedział na końcu ścieżki oparty plecami o słup bramy. Na widok samochodu zerwał się z ziemi i ruszył przybyłym na spotkanie. Szarpnięciem otworzył drzwi.

- Co się stało? - rzucił nerwowo.

Mara przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Nie dotarła do ciebie wiadomość z misji?

- Tylko tyle, że udaliście się tam w wielkim pośpiechu - odparł, zaglądając do wnętrza land-rovera. - Gdzie Lillian? - zapytał, spoglądając spanikowanym wzrokiem najpierw na Kefę, a potem na tropiciela.

Carlton tylko wzruszył ramionami, patrząc tępo przed siebie.

- Miała wypadek - wyjaśniła Mara. - Jest ranna, ale wyjdzie z tego.

Leonard wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Gdzie ona jest?

- W szpitalu w misji.

Producent nerwowo poprawił się na siedzeniu i odchrząknął.

- Dobra wiadomość jest taka, że dzięki Bogu się nie zabiła. Chociaż mało brakowało. Zła, że nie dokończy filmu.

Zszokowany reżyser potrząsnął głową. Otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Mara kątem oka dostrzegła Petera. Z wyrazu jego twarzy odgadła, że wszystko słyszał. Podeszedł do land-rovera.

- Naprawdę nie jest tak źle? - zapytał, mrużąc z troską oczy.

- Będzie dobrze - uspokoiła go. - Jest w dobrych rękach. W misji mają świetnego lekarza.

- Co ona robiła sama w samochodzie? - dociekał. - Nie zna tutejszych dróg...

- Pojechała do Kikuyu i się upiła - wyjaśnił krótko Carlton. - A potem miała wypadek. - Odwrócił się do brata. - W związku z tym nie dostaniemy pieniędzy z ubezpieczenia. - Powoli wypuścił powietrze z płuc. - To już koniec.

Leonard długimi krokami obszedł samochód i wsunął głowę w okno po stronie pasażera.

- Zostało tylko parę scen do nakręcenia!

Carlton bezradnie rozłożył ręce.

- Ale nie możesz ich nakręcić bez Lillian, prawda? Nie da się tego obejść.

- Nie. Jednak musi być jakieś rozwiązanie!

Producent zaśmiał się cierpko.

- Pewnie możemy poprosić misjonarzy, aby sfałszowali jej kartę, potwierdzając, że była trzeźwa w czasie wypadku. Ale nie liczyłbym na to za bardzo.

Leonard, zaciskając pięści, chwiejnym krokiem odszedł od samochodu. Odwrócony do nich plecami, przykucnął z głową opartą na rękach.

Mara obejrzała się na Petera. W jego oczach widziała odbicie własnych emocji: szoku i współczucia, ale też rozczarowania, że ich wspólny czas się skróci.

W pełnej napięcia ciszy wszelkie odgłosy zdawały się rażąco głośne: odległy brzęk talerzy w kuchni, skrzypienie winylowej tapicerki, gdy Carlton niezgrabnie poruszył się w fotelu, bzyczenie muchy uwięzionej pod przeciwsłoneczną osłoną nad szybą. Wreszcie Kefa otworzył boczne drzwi i wysiadł z samochodu. Reszta ruszyła za nim. Zbili się w grupkę, zrezygnowani i cisi.

Nagle Leonard odwrócił się do nich, podnosząc się z kucek. Mara patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, bo zamiast

rozpaczy zobaczyła w jego oczach błysk dziwnego zdecydowania.

- Mam pomysł - oświadczył. Spojrzał najpierw na nią, a potem na Petera. - Muszę z wami porozmawiać, na osobności.

Energicznym krokiem powiódł ich w odległy koniec ogrodu, gdzie drzewa wzdłuż płotu tworzyły naturalną osłonę.

- Nie musisz się zgodzić - zaczął, zwracając się do Mary. Przełknęła ślinę, czując narastające napięcie. - Proszę cię, żebyś zajęła miejsce Lillian i znowu zagrała Maggie.

Myślała intensywnie. Niemożliwe, aby rozwiązanie było aż takie proste, biorąc pod uwagę desperację Carltona.

- Hmm, jeśli to może jakoś pomóc - odezwała się ostrożnie. - Naturalnie, zrobię to...

Urwała, świadoma, że stojący obok Peter otwiera oczy ze zdumienia.

- Tyle że... - Leonard zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów. Po chwili zrezygnował i powiedział bez ogródek: - Wiesz, te sceny, które nam pozostały, to sceny miłosne. Zawsze zostawiam je na koniec. W ten sposób kumuluje się energia w miarę pracy nad zdjęciami.

Nie spuszczała z niego wzroku, gdy znaczenie tych słów przenikało do jej świadomości.

- Masz prawo odmówić - zastrzegł się, spoglądając na Marę, potem na Petera i z powrotem na nią. - Naprawdę cię zrozumieć. - Po tych słowach nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza. - Ale uważam, że znajdziemy taki sposób kadrowania, aby twarz Maggie pozostała niewidoczna albo ukryta w głębokim cieniu. - Nabrał powietrza w płuca, zanim wyrzucił z siebie resztę: - Maro, dostatecznie długo nam towarzyszyłaś, żeby wiedzieć, jak wygląda praca nad filmem. Wszystko będzie podzielone na pojedyncze ujęcia. Po montażu powstanie z tego scena miłosna między Lukiem i Maggie. Ale w praktyce będzie to wyglądać inaczej. Niemniej

muszę cię uprzedzić... - Przerwał z niepewną miną. - Maggie i Luke całują się. Dotykają. To wszystko będzie się dziać.

Mara pokiwała głową. Utkwiła wzrok w ziemi, żeby ukryć konsternację. Czując na sobie spojrzenie Petera, usiłowała sobie wyobrazić, co zobaczyłaby w jego oczach, gdyby w nie spojrzała. Zapewne wahał się, podobnie jak ona.

- W chacie poza wami i mną nikogo więcej nie będzie - kontynuował Leonard. - Rano ustawiliśmy oświetlenie, więc Brendan nie jest już potrzebny. Ujęcia mają być nieme, a ja stanę za kamerą. Tak więc nawet ekipa nie będzie wiedzieć, co się tam odbywa. Później, kiedy zobaczą film, uznają, że ten materiał został nakręcony wcześniej, jeszcze w Los Angeles. Dla personelu Raynor Lodge będą to kolejne zdjęcia, w których uczestniczysz. Nikt nigdy się nie dowie, że to nie Lillian Lane gra w tych scenach. Cały problem polega na tym, żeby utrzymać jej wypadek w tajemnicy, a jednocześnie dokończyć film. - Leonard odczekał chwilę, licząc, że Mara podniesie wzrok, po czym mówił dalej. Gorączkowe napięcie, jakie zdawało się go rozpierać, sprawiło, że poruszał się jeszcze bardziej nerwowo niż zwykle. - Prawdę mówiąc, zaczynam myśleć, że scena wypadnie ciekawiej, jeśli nakręcimy ją w nietypowy sposób. Będzie widoczna poprzez ekran z traw. Styl odda nastrój filmu, same ukryte, sekretne sprawy.

- A ty co o tym myślisz? - Odwrócił się gwałtownie do Petera.

- Ja się zgadzam - odezwał się aktor po chwili namysłu. - To mój zawód. Robiłem takie rzeczy już wcześniej. Ale Mara nie jest aktorką. I na tym polega różnica, dla nas obojga.

- Wcale nie musi tak być - dowodził Leonard. - Czasem masz w obsadzie ludzi bez doświadczenia, a czasem starych rutyniarzy, którzy wiecznie robią to samo. A Mara grała już Maggie. To tylko będzie jeden krok dalej.

Peter powoli kiwał głową. Widziała, że zмага się z tym

samym pytaniem, które ją nurtowało. Czy będą w stanie zachowywać się jak zakochani, skoro naprawdę nimi nie są?

„Maggie i Luke całują się. Dotykają. To wszystko będzie się dziać”.

Przypomniała sobie, co mówił Leonard o podzieleniu sceny na małe, odrębne kawałki.

- Przemyślcie to - zwrócił się do obojga reżyser - na spokojnie. Nie ma pośpiechu. - Mówiąc te słowa, wepchnął ręce w kieszenie, jakby tylko w ten sposób mógł nad nimi zapanować.

Mara odeszła na bok, stając ukryta za rozłożystym krzewem bugenwilli. Zapatrzyła się na teren poza granicą Raynor Lodge, gdzie dwóch małych chłopców pilnowało stada brązowych i białych kóz. Usiłowała na chłodno rozważyć wszystkie argumenty. Na jednej szali leżała przyszłość dzieła Leonarda, filmu, w który wszyscy włożyli tyle wysiłku. Kariery obu braci wisiąły na włosku. A także Lillian. I było jeszcze marzenie Rudiego, żeby skończyć z jeżdżeniem na taksówce. No i ratowanie Raven Hills, rodzinnego domu Millerów.

Na drugiej szali znalazły się wszelkie powody, dla których Mara powinna odrzucić propozycję Leonarda. Usiłowała je zdefiniować, lecz myśli miała rozbiegane. W miejsce słów pojawiły się twarze: Johna, Matildy, Pauli i dzieci. A także Petera. Starła się odgadnąć, jak każda z tych twarzy powinna wpłynąć na jej decyzję. Tak naprawdę jednak twarz, która najbardziej domagała się jej uwagi, nie należała do żadnego z nich.

To była jej własna twarz.

Żywa, silna twarz o błyszczących oczach i ustach z uśmiechem błakającym się w kącikach.

Powoli wróciła do Leonarda i Petera.

- I co, Maro, podjęłaś decyzję? - spytał reżyser, kiedy podeszła bliżej.

Pytanie zawisło w powietrzu w oczekiwaniu na odpo-

wieść. Mara, uciekając przed natarczymym wzrokiem Leonarda, odwróciła się do Petera. Ich spojrzenia się spotkały. Natychmiast nabrała niezachwianej pewności, jak zabrzmiała jej odpowiedź. Nigdy w życiu niczego nie była tak pewna. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał stanowczo i wyraźnie:

- Chcę to zrobić.

Chcę być z Lukiem - pomyślała.

Kiedy patrzył na nią, jego oczy były jak studnie - przepastne i spokojne. Powoli zaczerpnął powietrza.

- Ja też.

Leonard z ulgą przymknął powieki. Uśmiechnął się i jakby odmłodził.

- W takim razie od razu zabierzmy się do pracy. Jestem gotowy.

Długa czerwona suknia była uszyta z cienkiej, lejącej się tkaniny. Zaszeleściła delikatnie, gdy Mara włożyła ją przez głowę. Nie było na niej śladu perfum Lillian, wyjęto ją przed chwilą z opakowania; arkusze pomiętej bibułki zaszcierały klepisko, a pośród nich leżała ręcznie wypisana zawieszka z imieniem: „Maggie”. Mara z trudem naciągała suknię; chociaż przed godziną wzięła prysznic, skórę miała wilgotną od potu i materiał kleił się do ciała. W końcu ją nałożyła. Pasowała idealnie, jakby została uszyta dla niej.

Stała boso na sizalowej macie pośrodku chaty z trzciny. Światła wpadało tu niewiele; w ścianie było tylko jedno małe okno, a Leonard, wychodząc, zamknął za sobą drzwi. W półmroku dostrzegła zgromadzony wcześniej sprzęt: reflektor na statywie przymocowanym do dachu, złożony trójnóg do kamery na ziemi i srebrzysty arkusz, który, jak wiedziała, służył do kierowania światła podczas zdjęć. W normalnych warunkach ściany chaty znaczyłyby świetlne punkciki, lecz Brendan owinał całą konstrukcję po zewnętrznej stronie czarną folią, żeby stworzyć wrażenie, że jest noc.

Mara nasłuchiwała odgłosów z dworu, lecz panowała tam

martwa cisza. Miała dziwne odczucie zawieszenia w królestwie niebytu, gdzie czas stoi w miejscu. Leonard nie określił, czy powinna wyjść, gdy będzie gotowa, czy czekać na jego powrót. Przeszując niepewnie z nogi na nogę, zerkała w dół na suknię. Pąsowy jedwab opadał miękkimi fałdami, pieszcząc biodra i uda; dekolt był bardzo głęboko wycięty, a wąskie ramiączka odsłaniały ramiona. Ta suknia odkrywała więcej niż którakolwiek z kreacji, jakie widziała na paniach goszczących w Raynor Lodge. Nawet srebrzysta futełowa kreacja Matildy nie była tak efektowna. Pomyślała, że tak wystrojona kobieta nigdzie nie będzie wyglądać bardziej nie na miejscu niż w tej prymitywnej chacie. Leonard uznał jednak, że na tym właśnie polega dobre kino; zestawiając kontrasty, tworzy się nową jakość. Poza tym scenariusz narzucał taki kostium. Maggie i Luke postanawiają ubrać się elegancko na swój ostatni wspólny wieczór przed powrotem do Zanzibaru. Wspomnienie tej nocy ma towarzyszyć im do końca życia. Najpierw Maggie w czerwonej sukni i Luke w smokingu przechadzają się boso po sawannie (wcześniej chłopcy z obsługi starannie sprawdzili teren, czy nie ma tam kolców i owadów) z kieliszkami szampana w dłoni. Patrz, jak słońce chyli się ku zachodowi.

Potem w poszukiwaniu intymności wchodzi do chaty...

Mara odwróciła się powoli, kierując spojrzenie w głąb pomieszczenia. Ustawiono tam afrykańskie łóżko: prostą drewnianą ramę wymoszczoną krowimi skórami i nakrytą futrem lamparta oraz kilkoma płachtami *kitenge*. Na środku leżał kwiat hibiskusa, którego ostra czerwień współgrała z odcieniem sukni. Ze swego miejsca Mara widziała zarysy rozchylonych płatków o delikatnie karbowanych brzegach i drobinę żółtego pyłku wewnątrz kielicha. Kwiat wyglądał tak bezbronne na tle ogromnej czarno-złotej skóry lamparta. A jednak położenie go w tym miejscu miało sens, leżał dokładnie tam, gdzie powinien. To była genialna aranżacja Rudiego. To on stworzył to miejsce.

Oglądała to wszystko z niedowierzaniem. Czy naprawdę tu stoi, wystrojona jak gwiazda filmowa, czekając na Petera?

A on poprowadzi ją do łóżka i położy się tam razem z nią?

Zacisnęła dłonie, czując, jak paznokcie wbijają się w skórę. Zamknęła oczy.

Nie będziemy sobą. Tylko Maggie i Lukiem - upomniała się. To nie będzie się działo naprawdę. I dlatego możemy to zrobić.

Mara drgnęła na odgłos otwieranych drzwi i wstrzymała oddech z wrażenia. Zamiast smukłej sylwetki Leonarda w czerwonym kombinezonie zobaczyła mężczyznę w ciemnym garniturze. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ma przed sobą Petera. Dotąd widywała go wyłącznie w lekkim tropikalnym ubraniu lub w komplecie safari. Śnieżnobiały gors koszuli zdawał się połyskiwać w mroku chaty, a aktor wyglądał jeszcze bardziej olśniewająco niż zwykle.

Wpatrując się w niego, uświadomiła sobie, że on też nie odrywa od niej wzroku.

- Wyglądasz... zupełnie inaczej - odezwał się.

- Ty też - odparła.

Stali jak wmurowani. Narastało między nimi niezręczne napięcie. Mara nerwowo skubała szew sukni. Żeby nie patrzeć mu w twarz, zatrzymała wzrok na butelce szampana, którą miał w dłoni. W drugiej ręce niósł dwa kieliszki, trzymając ich nóżki między palcami. Podążając za jej spojrzeniem, uniósł butelkę i pokazał, że jest w połowie pusta.

- Połowę wypiliśmy na zewnątrz - powiedział.

Popatrzyła na niego, nie bardzo rozumiejąc. Myślała, że siedział z Leonardem, popijając szampana, kiedy ona się przebierała.

- Oglądaliśmy zachód słońca - przypomniał. - We dwoje nad wodopojem.

- Ach, tak - pokiwała głową. Przypomniała sobie, że

ujęcia nie są kręcone w chronologicznej kolejności. - Było przyjemnie?

- O tak - odparł. - Ale moskity nie dawały nam spokoju.

Oboje parsknęli śmiechem. Mara zaczęła się odprężyć. Peter uświadomił jej, że w tej chwili znajdują się w świecie podobnym do krainy czarów, do której trafiła Alicja, w miejscu, gdzie można wypić drugą połowę butelki przed pierwszą.

W miejscu, gdzie nic nie jest prawdziwe.

Peter odstawił butelkę oraz kieliszki i rozejrzał się po chacie.

- Pachnie sianem - zauważył. - Przypomina mi to wakacyjną pracę, do której się kiedyś nająłem. Ładowałem na wóz bece siana.

- Ciężka robota - stwierdziła Mara. Była mu wdzięczna, że znalazł sposób na wypełnienie ciszy. - To jedyny czas w roku, kiedy z radością zostawałam w domu i pomagałam mamie.

Zaczął ją wypytywać o życie na farmie. Nie przerwali rozmowy, nawet kiedy do środka wszedł Leonard i zajął się przygotowaniami do zdjęć. Patrzyli, jak zмага się z trójnogiem, żeby ustawić kamerę. Odrzucił propozycję pomocy ze strony Petera, lecz jednocześnie rozglądał się wokół, jakby zapomniał, że nie ma pod ręką ekipy i nie może nikogo przywołać. Kiedy wreszcie kamera bezpiecznie stanęła na trójnogu, reżyser przeszedł do sprawdzania oświetlenia. Najpierw włączył reflektor pod sufitem, kierując różową poświatę na łóżko. Potem włączył drugi reflektor ustawiony tuż za oknem. Ten rozjaśnił wnętrze mocną smugą srebrzystego światła.

- Według mnie wygląda na księżyc - orzekł. - A teraz, pamiętacie, jak było nad jeziorem? Popracujmy w taki sam sposób. Sceny, które będziemy kręcić, to wspomnienia, retrospekcja. A więc nie muszę was prowadzić. W ogóle najlepiej zapomnijcie o moim istnieniu. Peter, czytałeś scenariusz. Po prostu grajcie. A ja będę kręcił.

Mara spojrzała na partnera. Z jego miny odgadła, że nie tego się spodziewał. Metoda, jaką obrał Leonard, pod pewnym względem może była łatwiejsza, lecz pod innym znacznie trudniejsza. Bardziej ryzykowna, bliższa prawdy.

Peter pochwycił jej spojrzenie. Wiedziała, że w tym momencie mogli się wycofać na bezpieczniejszy grunt, powiedzieć Leonardowi, iż woła, aby reżyserował scenę krok po kroku, poruszał nimi jak kukiełkami.

Cisza się wydłużała. Mara, patrząc na Petera, przypominała sobie wszystko, co się między nimi działo - rozmowy, wspomnienia wspólnych doświadczeń - te wszystkie kroki, które doprowadziły ich do tego miejsca. Czuła, że jego nurtują podobne myśli.

Trudno powiedzieć, kto pierwszy podjął decyzję i czy zasygnalizowało ją skinienie głowy, grymas kącika ust, a może ruch dłoni, w każdym razie ramię w ramię równocześnie ruszyli w stronę łóżka. Mara skupiła uwagę na uginającej się pod stopami sizalowej macie, a później na twardości klepiska. Starła się spowolnić oddech i uciszyć bicie serca.

- Maggie, trzymaj się plecami do kamery - doszedł ją głos Leonarda. Pamiętajcie, żeby, o ile możliwe, unikać rozmów. Wtedy nie będziemy musieli robić postsynchronów. - Pochylił się i przyłożył oko do wizjera. O tym, że jest spięty, świadczyło jedynie ciche, pozbawione melodii pogwizdywanie. Po chwili zamilkł, ściągając usta w skupieniu. Ciszę przeciął skrzek przelatujących nad chatą papug.

- Dobra, Luke - odezwał się wreszcie, zniżając głos. - Zaczniemy, kiedy będziesz gotowy.

Mara czuła się jak pływaczka przed skokiem do wody; wszystkie nerwy miała napięte jak struny. Czuła, że Peter się zbliża i kurczy się przestrzeń między nimi, lecz to zdawało się trwać wieki, jakby działo się we śnie. I gdy już miała wrażenie, że uginają się pod nią nogi i za moment runie, otoczył ją ramionami, przygarniając do siebie.

Kiedy splekli się w uścisku, zamknęła oczy i oparła mu głowę na piersi, wdychając cynamonowy zapach i ciepło bijące od jego ciała. Czuła, jak ustami muskał jej policzek, smakując skórę. Potem ujął w dłonie jej głowę, wplatając palce we włosy. Jego wargi powoli sunęły na spotkanie jej ust, napierając na nie lekko i delikatnie.

Oderwał się od niej po dłuższej chwili. Uniosła powieki i zobaczyła skupione na sobie spojrzenie. Ciemne, rozwarte oczy lśniły w srebrzystoniebieskiej smudze.

Peter zdjął marynarkę i odwracając się, zamierzał rzucić ją na łóżko, gdy jego uwagę przyciągnął czerwony kwiat. Podniósł go ostrożnie i ułożył na otwartej dłoni. Wyciągnął rękę do Mary, jakby chciał, aby wraz z nim podziwiała jego urodę, po czym delikatnie umieścił go na brzegu narzuty z krowiej skóry. Rozpiął koszulę i wyjął spinki z mankietów, po czym podszedł do partnerki, objął ją i znów pocałował. Zamykając dłonie na jej nagich ramionach, z czułością ułożył ją na łóżku i pochylając się, zanurzył twarz w jej włosach.

Mara z zamkniętymi oczami chłonęła jego dotyk, smak, zapach. Świadomość rejestrowała wyłącznie wrażenia: sfałdowana *kitenge* pod plecami, twarz Petera nad nią, lok na jego czole muskający jej brew, czerwony jedwab owinięty wokół nóg, łaskotanie krowiej skóry, powietrze w zamkniętej chacie gorące od reflektorów, refleksy chłodnego niebieskiego światła na lśniącej od potu skórze, wilgotne pasma włosów rozsypane na futrze lamparta.

Usta Petera wędrowały po szyi i piersiach Mary okrytych jedwabiem.

Dłoń powoli, delikatnie uniosła spódnicę i musnąwszy kostkę, pieśczośliwie sunęła po łydce, zatrzymując się na kolanie.

Mara była mgliście świadoma dozwolonych granic. Czuła, jak Peter prowadzi ją ku nim, posuwa się coraz dalej i wybiera moment odwrotu. Jej skóra płonęła pod jego dotykiem. To był silny, słodki ból, jak napływ świeżej krwi

w członki zdętwiałe z zimna. Gorąca fala owionęła jej ciało, nowa energia musowała w żyłach.

Powiodła palcami po zarysie jego silnych barków i oparła dłonie na piersi, czując pod miękkim meszkiem włosów zwarte mięśnie. Sięgnęła do twarzy i gładząc ją, poczuła przenikającą ją radość. Badawczo spojrzała mu w oczy. Patrzyły na nią, otwarte i szczere. Nie było w nich śladu niepewności - nie zniechęcały jej, nie powściągały.

Chwycił ją w ramiona i przytulił, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Przywarli do siebie, zamknięci w uścisku, jakby nic na świecie nie było w stanie ich rozdzielić.

15

Na środku trawnika pod przenośnym grillem palił się ogień. Rozedrgane, pomarańczowe płomyki tańczyły w ciemności, strzelając w górę snopami jaskrawych iskier. Na stołach ustawionych wokół grilla lampy Tilleya rzucały kręgi światła. Szklane klosze zdążyły się nagrzać, więc tu i ówdzie białe obrusy znaczyły martwe owady. W pobliżu lamp zainstalowano rurki ze środkiem przeciwko moskitom i rozstawiono wazony z bukietami kwiatów, których czerwone i żółte kielichy zdawały się jarzyć w półmroku.

Mara, ukryta w cieniu werandy, obserwowała chłopców z obsługi chat roznoszących krzesła. Dzisiaj miała na sobie długą wersję stroju gospodyni safari. Suknia zwisała na niej, a materiał wydawał się sztywny i szorstki po jedwabście miękkiej wieczorowej toalecie Maggie.

Przyniosła ją; trzymała w ramionach starannie złożoną, żeby oddać z powrotem Rudiemu. Ubłocony rąbek pachniał lekko bagienną miętą. Wdychała ten zapach, pragnąc odtworzyć w myślach tamten epizod, gdy przechadzała się z Lukiem nad wodopojem, a słońce, chyląc się za horyzont, malowało zachodnie niebo ognistym kolorem.

Spacerowali wzdłuż brzegu, a Leonard wykrzykiwał wskazówki. Szła jak we śnie, skupiona wyłącznie na Luke'u, całą sobą wyczulona na dotyk jego ręki, muśnięcie ramieniem... a nawet materiałem koszuli.

Podniosła suknię do twarzy. Oprócz mięty pachniała leciutko szampanem. Zapach przywołał wspomnienie tamtego ujęcia, gdy Luke otwiera butelkę, nie patrząc na ręce, bo wzrok ma utkwiony w Maggie. Ponownie zobaczyła, jak podważa korek, a huk płoszy ptaki z pobliskich krzewów. Korek leci łukiem wysoko w niebo i spada z pluskiem do wyłóconej słońcem wody. Spieniony szampan spływa po dłoni Luke'a i ochlapuje jej suknię. Powietrze wypełnia ich radosny, beztroski śmiech.

Rytmiczne dudnienie wyrwało Marę z zadumy. W pobliżu ogniska jeden z chłopców z obsługi, pochylony nad bębniem, uderzał otwartymi dłońmi w naciągniętą kozią skórę. Obserwując jego płynne ruchy, kątem oka dostrzegła sylwetki wyłaniające się z ciemności. Brendan, dwaj Nickowie i Rudi zajmowali miejsca przy stole. Wszyscy elegancko ubrani i świeżo ogoleni. Kryształowe kieliszki w ich dłoniach, wypełnione winem, połyskiwały jak złote, żółte i ciemnoczerwone klejnoty. Po chwili doszli Daudi i strażnik w towarzystwie uśmiechniętego Carltona. Cała trójka niosła kufle napełnione bladym miejscowym piwem z grubym kożuchem piany na wierzchu.

Mara nie musiała się rozglądać, by wiedzieć, że w pobliżu nie ma Petera. Czuła jego nieobecność tak samo wyraźnie, jak słyszała rytm wystukiwany na bębnie. Oczyma wyobraźni widziała, jak w swym rondawelu zdejmuje smoking oraz koszulę i przebiera się we własne rzeczy. Była ciekawa, czy jego, tak jak ją, kusiło, by pozostać w kostiumie. Z jednej strony pragnęła odsunąć ostateczną rozłękę z Maggie, z drugiej natomiast intuicyjnie wyczuwała, że ubiór gospodyni safari stanowi coś w rodzaju ochronnej tarczy. Będzie jej przypominać, kim jest tu, w prawdziwym świecie.

Niestety, to tak nie działało. Pomimo swego stroju nie była do końca sobą. Nadal pulsowała w niej dziwna energia. Czuła się odważna i beztroška, a jednocześnie bezbronna i zagubiona, jakby odrodziła się w nowym, idealnie dopasowanym ciele, którego możliwości i siłę dopiero ma sprawdzić.

Odwracając się, zobaczyła, że Leonard zmierza ku niej z dwoma kieliszkami szampana. Nadal był w swoim czerwonym kombinezonie, ze scenariuszem zatkniętym za klapę na piersi i tylko zmienił zabłocone wysokie buty na pantofle. Jak przypuszczała, prosto z planu udał się do bufetu; twarz miał zaczerwienioną i lekko się chwiał. Ale podobnie jak brat promieniał z radości.

- Nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim. Skończone! - Postawił kieliszki na pobliskim stoliku i wyciągnął scenariusz zza kombinezonu. Pokazując go Marze, przerzucił strony. Na wszystkich widniały zamaszyste, czerwone ptaszki. - To wielki dzień, kiedy scenariusz tak właśnie wygląda! - wyjaśnił z szerokim uśmiechem. - Nie mogę się doczekać, kiedy obejrzę kopię roboczą z dzisiejszego materiału. Wiesz, tak naturalnie zachowujesz się przed kamerą, zresztą zawsze to powtarzałem. Ale dzisiaj to było jeszcze coś innego... - Urwał, napotykając wzrok Mary. Pokiwał powoli głową, jakby wiedział, że to, co sfilmował w chacie, nie było ani zawodowym, ani amatorskim aktorstwem. To nie była gra. To się działo naprawdę.

Milczała. Cóż mogła powiedzieć? Wszystko było tak oczywiste jak to, że po nocy następuje dzień.

Leonard, nie odrywając od niej wzroku, sięgnął po kieliszek i pociągnął długi łyk szampana. Gdy go odstawił, na jego twarzy malował się niepewny wyraz, jakby nagle ogarnęło go onieśmienie, tak kłóćące się z typową dla niego pewnością siebie. Dzięki temu wydał się przystępniejszy, bardziej zwyczajny. Taki Leonard mógłby robić zakupy albo trzymać dziecko za rękę.

Stali, milcząc, przez dłuższą chwilę.

- Wiesz... - Uśmiech z powrotem wypłynął na jego twarz. - Te sceny, które kręciliśmy dzisiaj, to będzie prawdziwy przełom w kinematografii. Ponieważ nie mogłem pokazać twojej twarzy, wszystko w tych ujęciach było niezwykle. Krytycy będą piąć z zachwytem. Studenci piszą o nich prace. - Gdy znów podniósł kieliszek, oczy błyszczały mu z podniecenia.

- Za ciebie i za Petera! - wznosił toast. - Za nas wszystkich!

Mara w odpowiedzi uniosła swój kieliszek akurat w chwili, gdy na trawniku pojawił się Peter. Palce automatycznie zacisnęły się na nóżce kieliszka. Teraz, gdy go zobaczyła, już nie jako Luke'a, nagle opadły ją wątpliwości. Przed oczyma stanął obrazek z tamtego dnia, kiedy odwiedziła ją Bina. Lillian i Peter całujący się przy wodopoju. Ich namiętność wydawała się taka prawdziwa. Może tam, w chacie, było tak samo. Kto wie, czy to, co dla niej tyle znaczyło, miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Rozglądał się; wyraźnie kogoś szukał. Gdy dostrzegł Marę, uśmiech opromienił mu twarz. Patrząc na niego, poczuła, jak ogarnia ją radość i rozwiewają się wątpliwości. Wypiła łyk szampana, po czym, zlizując słodycz z warg, odwzajemniła uśmiech.

Gdy skierował się ku niej, ledwo zauważyła, że Leonard się oddalił, wymrukując słowa przeprosin. Nie odrywała oczu od Petera. Był w lnianym garniturze i z poluzowanym krawatem. Włosy miał zaczesane do tyłu. Lekka nerwowość czająca się w ruchach odjęła mu lat; znowu był tamtym młodym surferem z plaży w Bondi. Zbliżając się, ogarnął spojrzeniem Marę, zatrzymując je na sukni zwiniętej pod pachą, a potem na twarzy. Zanim zdążyli wymienić uprzejmości, wyrósł przy nich kuchcik z dwoma parującymi emaliowanymi misami na tacy.

- Będziemy podawać kolację - poinformował, śpiewnie modulując głos.

- Dziękuję. - Marę zastanowiło, dlaczego chłopcy roz-

noszą jedzenie w zwykłych, prostych naczyniach, jakich używają kobiety we wsi, a nie w porcelanie Alice. Jednak w tej chwili wszelkie problemy związane z prowadzeniem Raynor Lodge wydawały się odległe i mało istotne.

- Świetnie! - odezwał się Peter. - Umieram z głodu!

Kiedy mówił, Mara przesuwiała oczyma po idealnie wykrojonych wargach.

- Chyba powinniśmy poszukać sobie miejsca przy stole - zasugerowała.

Ta wymiana zdań przypominała przesyłanie zakodowanych wiadomości, zastępując wszystko, co pozostało niedopowiedziane.

Ruszyła przodem do stolika, przy którym siedzieli już bracia Millerowie. Niepewnie popatrywali na stojące przed nimi spore misy z jedzeniem.

- Nie ma sztućców ani talerzy - poskarżył się Leonard, kiedy usiadła.

Zajrzała do trzech mis. Jedna była pełna *ugali* - bardzo gęstej owsianki. W drugiej był gulasz, a w trzeciej ciemnozielony sos, sądząc po kolorze, na bazie dzikiego szpinaku.

- To potrawa tutejszego plemienia Udogo - wyjaśniła.

W pierwszej chwili zdziwił ją wybór Menelika na ostatnią kolację, lecz po chwili stwierdziła, że pomysł jest trafiony. Po tygodniach ciężkiej pracy i wszelkich kłopotach po drodze film został szczęśliwie ukończony i wszystkich ogarnął teraz beztroski nastrój. Późna pora sprzyjała swobodnej atmosferze. Nie było nic niestosownego w jedzeniu rękami ze wspólnych naczyń. Zauważyła również, że stoły ustawiono w większy krąg, niż wymagała tego zwykła liczba gości. Po drugiej stronie ogniska dostrzegła somalijskich robotników siedzących z Brendanem i *bwaną* Parą. Tomba i Daudi byli pogrążeni w rozmowie z Jamiem, a strażnik milczał, zapatrzony w przestrzeń. Wolne miejsca czekały na chłopców z obsługi i Kefę. Podanie wszystkich potraw w taki właśnie sposób oznaczało, że nawet Menelik będzie

mógł później dołączyć do biesiadników. Wszyscy w Raynor Lodge wspólnie zjedzą tę ostatnią kolację.

- To sieje palcami - tłumaczyła Mara. - O tak. - Jej głos zabrzmiał donośniej, niż zaplanowała. Osoby siedzące przy sąsiednich stolikach podniosły się z krzeseł, żeby się przyjrzeć.

Prawą ręką nabrała z misy ciepłej, białej owsianki. Uformowała kulkę i kciukiem wyłobiła wgłębienie, dzięki czemu powstało coś w rodzaju miseczki. Zacerpnęła nią szpinakowego *mboga* i podniosła do ust. Niestety, zbyt późno przypomniała sobie, że powinna szybkim ruchem nadgarstka odczepić tuż nad misą ciągnące się łodyżki, i gdy usiłowała pochwycić zwisający szpinak ustami, zielona kapka wylądowała na brodzie. Zawstydziała się, lecz zaraz ją wytarła palcami, wruszając ramionami, parsknęła śmiechem. Tym zachowaniem trafiła we właściwą strunę, bo już po chwili wszyscy goście odważnie sięgnęli do mis z *ugali* i powietrze wypełnił szmer swobodnych rozmów.

Po jakimś czasie zauważyła, że bicie w bęben zastąpiła muzyka z płyty. Z bawialni popłynęły pulsujące rytmy *A Swingin' Safari*.

Leonard odwrócił się do Mary.

- Pycha! - pochwalił, oblizując palce. - Naprawdę, rozpieszczałaś nas. Nie będzie nam się chciało wracać do domu.

Jej dłoń zawisła w połowie drogi do ust. Pokiwała głową, lecz nie mogła wydobyć z siebie słowa. Uderzyło ją to użycie przeszłego czasu - „ropieszczłaś”, a nie „ropieszczasz” - jakby pobyt ekipy filmowej i obecność Petera w jej domu przeszły już do historii. Tępy ból zacisnął jej wnętrzności, pozbawiając apetytu. Bawiła się kulką *ugali*, obracając ją w palcach. Próbowwała odpędzić przykre myśli, koncentrując uwagę na Carltonie. Ze zmarszczonym czołem, w skupieniu nabierał owsiankę i sos, ładował całość do ust i żuł z wypchanymi policzkami. Pałaszował, jakby chciał nadrobić zaległości za te wszystkie dni, kiedy stres nie pozwalał mu cieszyć się jedzeniem.

- Mam dla ciebie niespodziankę - zwrócił się do Mary po kilku kolejnych kęsach, z ociekającą sosem kulką *ugali* w połowie drogi do ust. - Teraz, kiedy taśma siedzi bezpiecznie w swoim pudełku, myślę, że mogę wydać trochę pieniędzy.

Popatrzyła na niego zdziwiona. Przed paroma dniami uregulował ostatnią część należności za zakwaterowanie, zapłacił tantiemy dla wsi i dał Marze sporą sumę, którą nazwał jej honorarium. Miała wrażenie, że na to wszystko poszła reszta jego zasobów.

Szeroki uśmiech wypłynął na twarz Carltona.

- Kiedy pokażę roboczą kopię w Los Angeles, wszyscy zaczną do nas wydzwaniać. Szeroko otwarte portfele wesprą błagania o prawa do dystrybucji. A to oznacza, że mogę odwlec opłatę pewnych rachunków i zamiast tego trochę ci pomóc. - Machnięciem dłoni wskazał robotników budowlanych. - Zostawiam ci ich na miesiąc. Mogą dokończyć basen i wznieść platformę widokową z prawdziwego zdarzenia w miejscu, gdzie stoją tamte krzesła. W ten sposób będziesz przygotowana na najazd.

Mara zmarszczyła czoło, nadal nie bardzo rozumiejąc, o czym on mówi.

- Raynor Lodge stanie się znane na całym świecie - orzekł Carlton. - Coś jak hotel Fairmont w San Francisco - dodał, wyczekująco unosząc brwi, lecz ona pokręciła głową.

- Nie słyszałam.

- Hitchcock nakręcił tam kawałek *Zawrotu głowy* - wyjaśnił. - Od tego czasu hotel pęka w szwach. Właściciele musieli zbić na tym niezły majątek.

- To prawda - potwierdził Leonard. - Ludziska uwielbiają odwiedzać miejsca, gdzie kręcono filmy. - Wskazał werandę. - Kiedy zobaczą, jak Lillian Lane sący tam wieczornego drinka z Peterem Heathem, będą walić tu hurmem, żeby zrobić to samo.

- I wcale nie przyjadą myśliwi, żeby strzelać do zwie-

rzat - wtrącił Carlton - tylko turyści, rodziny, nowożeńcy w podróży poślubnej.

Uśmiechnął się z dumą do Mary. Zrozumiała, że ofiaruje jej rozwiązanie problemów, z których zwierzyła mu się podczas pierwszej kolacji. Przez chwilę wyobrażała sobie, jaka prosta przyszłość się przed nią maluje; wszyscy goście wyjadą, John wróci z Selous, zaczną się bezkrwawe safari. Będą żyli długo i szczęśliwie. I chociaż udało jej się wykreować tę wizję, patrzyła na nią tak obojętnie, jakby nie należała do tego świata.

- No i naturalnie - Leonard roztaczał kolejne widoki - będziemy wszystkim opowiadać o tym miejscu: o jedzeniu, obsłudze, o krajobrazach. Ach, przede wszystkim o jedzeniu! - Odwrócił się do Petera. - Ty też będziesz tak robił, prawda? Ludzie chętnie wsłuchują się w opinie aktorów - dodał nieco smętnym tonem.

- Jasne, po powrocie natychmiast rozpuszczę wieści - obiecał Heath. Jego głos zabrzmiał bezbarwnie.

Mara splótła dłonie na kolanach. Gdyby tak mogli zostać sami i zatopić się w myślach o tym, co się dziś wydarzyło, zamiast wbrew chęci snuć plany na przyszłość.

- Wyślę ci fotosa z produkcji filmu, żebyś mogła powiesić je na tej ścianie z fotografiami - obiecał Carlton. - Dziś też porobimy trochę zdjęć. Nastrzelamy wspólnych fotek personelu z ekipą, no i oczywiście z Peterem.

- Możemy zostawić parę rekwizytów - podsunął Leonard. - Egzemplarz scenariusza. - Wskazał wieczorową suknię Maggie leżącą na końcu stołu. - A nawet część kostiumów.

- I jeszcze jedna sprawa - obwieścił producent i zawiesił głos, żeby nabrać pewności, że Mara go słucha. - Możesz zatrzymać generator i dwa duże reflektory. - Rozłożył ręce efektywnym gestem prestidigitatora demonstrującego swe sztuczki. - Raynor Lodge będzie mieć iluminowany wiodopój.

Kiwała powoli głową, chłonąc jego słowa. John marzył o znalezieniu sposobu na oświetlenie wodopoju, aby nawet w bezksiężycowe noce goście mogli oglądać zwierzynę podchodzącą po zmroku. Generator był jednak zupełnie nowy. A duże reflektory musiały sporo kosztować.

- Już i tak za dużo mi zapłaciłeś - zaprotestowała.

- Drobiazg - odparł - w porównaniu z tym, co ty dla nas zrobiłaś. - Przeniósł spojrzenie na Petera. - Co oboje zrobiliście.

Co oboje zrobiliście.

W nagłej ciszy te słowa zawisły nad stołem jak elektryczny ładunek. Mara badawczo popatrzyła na Carltona, chcąc sprawdzić, czy on wie, co zaszło pomiędzy nią i Peterem. Jeśli tak, to dlaczego mówi o jej przyszłości, jakby nic się nie zmieniło? Być może stara się coś jej przekazać, roztańczając radosne perspektywy przed Raynor Lodge...

Spojrzała na Petera. Widziała napięcie w układzie ust i zagubiony wzrok, jakby bez wskazówek reżysera nie wiedział, co powinien zrobić i kim ma być. Patrząc na jego twarz, poczuła, jak wzbiera w niej siła i płynie ku niemu. Zawsze był taki pewny siebie i opanowany, lecz w tej chwili czuła, że to ona musi być silna i jasno myśleć.

- Zrobiłam to z przyjemnością - zapewniła Carltona, nie odrywając oczu od filmowego partnera. - To coś, czego nigdy nie zapomnę.

Peter uśmiechnął się i rysy mu złagodniały.

- Ja też nie.

Po kolacji rozpoczęła się sesja fotograficzna. Leonard prosił po kolei wszystkich członków ekipy o pozowanie ze sprzętem istotnym dla ich profesji; i tak Brendan trzymał reflektor, Jamie mikrofon i słuchawki, *bwana* Boom ustawił się ze swoim wysięgnikiem, a Nick obejmował ramionami kamerę jak niemowlę.

Co rusz wzywano do pozowania Petera. Bez odrobiny

zniecierpliwienia, na prośbę ludzi, kładł im dłonie na ramionach i uśmiechał się na życzenie. Mara, obserwując go, poczuła nagłe ukłucie bólu. Przyszło jej na myśl, że pewnie wierzy, iż robi to dla niej, dla jej przyszłości w Raynor Lodge. Patrzyła z rozpaczą, jak uśmiecha się do obiektywu. Czyż nie było sposobu na pozbycie się podobnych myśli? Tak bardzo pragnęła zostać z nim sam na sam - nic nie mówić, nie myśleć, nie snuć planów, a jedynie poddać się urokowi ciepłego światła lampy i pięknu nocnego nieba nad nimi.

- Maro, twoja kolej! - zawołał Leonard. - Chodźcie tu z Peterem. Tym razem nie jesteś Maggie stojącą z Lukiem, tylko *memsahib* Raynor Lodge cieszącą się towarzystwem gwiazdora filmowego.

Kazał im stanąć tak blisko siebie, że dotykali się biodrami i ramionami. Mara czuła, jak jej ciało rwie się do Petera, ciągle pamiętając tamtą wolność, jakiej doświadczyło w chacie.

- Peter, obejmij ją ramieniem! - dyrygował Leonard. - Zbliźcie twarze, tak żebyście niemal dotykali się policzkami. Robię zbliżenie. Teraz się uśmiechnijcie.

Po sekundzie było po wszystkim. Peter cofnął ramię, ich twarze się oddaliły. Teraz przywołano Kefę, polecając mu zająć miejsce obok Mary.

- Wyjdzie z tego dobre zdjęcie - skomentował reżyser. - Wy dwoje w uniformach Raynor Lodge razem z Peterem. - Ciche kliknięcie migawki i Leonard przewinął film.

- Tobie już dziękuję - powiedział do Mary. - Weźmy kucharza.

Odwracając się, wciągnęła w nozdrza zapach Petera, przytrzymując go głęboko w płucach, jakby chciała go tam uwięzić. Skierowała się do fotela. Z każdym krokiem czuła, jak rośnie odległość między nimi; wyobraziła sobie, że jej dusza uwalnia się z ciała i zostaje w tyle. Gdy przechodziła między gośćmi, jakimś cudem udało jej się przywołać na

twarz uśmiech gospodyni safari. To wszystko było ponad jej siły. Lawirując pośród stolików, chwiejnym krokiem uciekła z oazy światła w ciemności.

Stary, poskręcany konar figowca zdawał się stanowić solidną barierę chroniącą przed niebezpieczeństwem. Oparła na nim dłonie i zapatrzyła się w pogrążoną w mroku dal. Na czystym niebie wisiał półksiężyc, oblewając ziemię bladą poświatą. Wzrok Mary powędrował za szarą połąć sawanny z ciemnym okiem wodopaju, ku wypiętrzeniu skał. Powiodła spojrzeniem po ich zarysie, myśląc, jak zawsze, że trudno zobaczyć tam sylwetkę siedzącego lwa, gdy pozna się nazwę tego miejsca. Dziś ta konstatacja miała dla niej szczególny sens. Otóż rzeczywistość nie jest stała; można ją kształtować w zależności od punktu widzenia. W takim razie, być może, nie zawsze można orzec, co jest prawdziwe, a co nie. Albo co dobre, a co złe. I gdzie przebiega granica pomiędzy prawdą i kłamstwem.

Może to tylko kwestia wyboru, zależnego od sposobu patrzenia na sprawy.

Może wszystko, czego się pragnie, jest w zasięgu ręki...

Przymknęła powieki, wciągając w nozdrza zapach uroczymi i zieloną, leśną woń drzew otaczających ją ciemnym, gęstym pierścieniem. W wyobraźni usłyszała ciche stąpanie przyczajonych aksamitnych łap. Zobaczyła wpatrzona w nią nieruchome żółte oczy. Wiedziała, czym grozi pobyt tutaj bez bronii czy choćby kija do poganiania bydła, no i oczywiście latarki. Ale nie przejmowała się tym. Lekceważyła niebezpieczeństwo, jakby nowa siła, która w niej wezbrała, czyniła ją niepokonaną.

Usłyszała go - kroki, trzask gałązek, szelest odgarnianych na bok liści. Kątem oka dostrzegła snop światła latarki, zanim ją zgasił. Po chwili stanął przy niej; wysoka sylwetka w cieniu, tu i ówdzie muśnięta światłem księżyca.

- Przepuszczałem, że cię tu znajdę - powiedział Peter.

- Musiałam uciec od nich wszystkich - odparła i szybko dodała: - Nie od ciebie.

Uśmiechnął się, ale tylko przelotnie.

- Nie chcę jutro wyjeżdżać - mówił, jakby wcześniej zaczęli rozmowę o wyjeździe i tym wyznaniem chciał ją teraz dokończyć.

Pokiwała głową. Tu, na tym skalnym występie, otuleni cieniem, wydawali się odcięci od świata. Łatwo było sobie wyobrazić, że mogą zostać w tym miejscu, gdzie czas nie grał roli, ukryci przed wszystkim, co ich czeka. Ta myśl, przybierając kształt wizji, tańczyła jej przed oczyma.

Po chwili zastąpił ją inny obraz, wspomnienie prostej drewnianej chaty z blaszonym dachem na brzegu jeziora. Zobaczyła strużkę dymu unoszącą się z ogniska. Dwie identyczne płachty *kitenge* powiewające na linie. I gitarę opartą o framugę...

Serce zabiło jej mocniej, zanim się odezwała.

- Kiedyś wybraliśmy się z Johnem na safari daleko stąd. W środku pustkowia napotkaliśmy niemiecką parę. Ona i on siedzieli razem przed chatą, popijając herbatę. Nie byli misjonarzami ani zoologami. Po prostu tam mieszkali. Człowiek, który sprzedawał benzynę w pobliskim miasteczku, powiedział nam, że wybrali tamto odludzie, żeby być tylko we dwoje. Każde z nich zostawiło dawne życie za sobą.

„Uciekli razem”, dokładnie tak ujął to tamten mężczyzna. Mara jednak nie chciała użyć tego słowa, gdyż sugerowało panikę i tchórzostwo. A także zaniedbanie istotnych spraw.

- Byli w znoszonych ubraniach - ciągnęła dalej swe opowiadanie. - I mieli tylko dwie filizanki. Musieliśmy przynieść własne z land-rovera, żeby napić się z nimi herbaty.

- Jak sobie radzili? - zaciekawił się Peter.

- Jedli to, co urosło w ogrodzie. Hodowali tam najróżniejsze rośliny. Papaję. Fasolę. Bataty. Orzechy arachidowe. - Uśmiechnęła się. - Lubię sadzić fistaszki. Kiedy wyko-

pujesz krzaczek, znajdujesz mnóstwo łupinek przyczepionych do korzeni. To przypomina cud.

- Próbowałem hodować ananasy - wyznał. - Słyszałem, że jak się zetnie czubek z liśćmi i wsadzi do ziemi, wypuści korzenie.

- To prawda - potwierdziła. - Podobnie jest z papają. Wystarczy posadzić urwaną gałązkę. Tu wszystko pragnie rosnąć, oczywiście w porze deszczowej.

- Chciałbym tak zrobić - powiedział cicho Peter. - Chciałbym, żebyśmy razem zniknęli.

Jego głos zdradzał, jak bardzo cierpi. Był rozdarty pomiędzy tym światem i tamtym, do którego wracał. Mara pomyślała o jego zdjęciu z rodziną. Szczęśliwe, niewinne twarzązki dzieci. Ręka Petera na ramieniu żony. Westchnęła ciężko, zaciskając dłonie na konarze.

- Wiesz, że nie możemy tego zrobić. - Powiedziała to prawie szeptem, lecz kiedy słowa padły, poczuła, jak bardzo są prawdziwe. Rozwiązanie tego trudnego problemu zdawało się w niej dojrzewać i teraz je ujrzała, jasne i oczywiste.

Peter z rozpaczą w oczach pokiwał głową.

Znów westchnęła. Teraz wyobraźnia podsunęła jej wspomnienie twarzy Johna. Nie tego obojętnego, przegranego, z ostatnich miesięcy, lecz tamtego, który witał ją z taką radością, kiedy przyleciała, który delikatnie obmywał jej twarz, gdy zachorowała na malarię, i przekazał jej tyle wiedzy o życiu w Afryce. Tamtego Johna, który stojąc z nią przed jaskinią, poprosił, aby przyrzekła, że nigdy go nie opuści. Miała wrażenie, że ta ziemia, świadek jej obietnicy, w tej chwili bacznie ją obserwuje.

- Nawet gdybyś był wolny, nie mogłabym z tobą być.

- Wiem - odparł Peter.

Zdecydowana nuta w jego głosie rozdarła jej serce. Zapra gnęła odwołać wszystko, co powiedziała. Uprzec się, że musi być jakieś inne wyjście. Przygryzła wargę, pozwalając

popłynąć jedynie bezgłośnym słowem protestu. Przez dłuższą chwilę tak bardzo sobie nie ufała, że wolała nie otwierać ust. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos zabrzmiał lekko, jakby uwolniła się od ciężającej jej części siebie.

- Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innym czasie, w innym miejscu. Kiedy byliśmy młodsii...

- Na plaży w Bondi - podchwycił jej ton. - Już cię tam widzę. Masz nos zaróżowiony od słońca, ręcznik zarzucony na szyję i nowe bikini.

- Nie miałam bikini - zaprotestowała. - Tylko taki kostium z krótką spódniczką. Poza tym nigdy nie byłam w Bondi. Mieszkałam w Tasmanii, pamiętasz? A nawet gdybym się tam znalazła, na pewno nie zwróciłbyś na mnie uwagi.

- Jasne - przyznał. - Zawsze wolałem blondynki. - Uśmiechnął się na znak, że oczywiście, żartuje, błyskając zębami w mroku.

Mara roześmiała się i żartem pacnęła go w ramię. Gdy go dotknęła, odwrócił się ku niej i znieruchomiał, patrząc jej prosto w oczy. Z bijącym sercem wytrzymała jego spojrzenie. Szybko cofnęła rękę. Ciało Petera działało na nią jak magnes. A jednak oparła się tej magnetycznej sile, na wszelki wypadek chwytając się konaru i zaciskając na nim obie dłonie, jakby stanowił dla niej ostatnią deskę ratunku.

W nabrzmiałej z napięcia ciszy odgłosy nocy - buczenie owadów, nawoływania nocnych ptaków, powrzaskiwanie małpy gdzieś w głębi lasu - zdawały się ich okrążyć i nacierać na nich.

- Nie będę do ciebie pisywał - przerwał milczenie Peter. - Musiałbym pisać takie listy, jakie wszyscy mogliby czytać, nawet gdybym wiedział, że nie trafią w niepowołane ręce. Uprzejme listy. Nie chcę tego. Chcę nas zachować w pamięci takimi jak dzisiaj. - Spojrzał w kierunku chaty z trzciny. Mały, ciemny kształt był ledwo widoczny pośród odkrytych mrokiem drzew i skał.

- Ja też - powiedziała Mara. Wyobraziła sobie ich mi-

łość jako małe, idealnie gładkie ziarenko ukryte głęboko we wnętrzu owocu. Bezpiecznie utajone. - Na nic więcej nie mamy prawa liczyć - dodała. Zaskoczyła ją własny, stanowczy głos. Czuła, że kieruje nią jakaś wewnętrzna mądrość, podsuwając słowa, których wolałaby nie wymawiać, wiedząc jednocześnie, że niosą prawdę. - Oboje moglibyśmy zrujnować sobie życie, wiecznie roztrzaskując, pragnąc, licząc, wyczekując. Moglibyśmy się przez to zniechęcić. - Pod wpływem impulsu odwróciła się do Petera, czując, że to bardzo ważne, aby dobrze się zrozumieli i żeby nie było między nimi niedomówień. - Musimy sobie teraz obiecać, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Tylko w ten sposób możemy ocalić to, co mamy.

- Nigdy więcej się nie zobaczymy - powtórzył łamiącym się głosem. - Lecz tu... teraz... kocham cię. I nic na to nie poradzę.

Łzy zalśniły w jego oczach.

- Ja też cię kocham - odrzekła. - Bardzo głęboko, w sercu. I zawsze będę cię kochać.

- Nie planowałem tego - mówił. - Już na początku powinienem był przewidzieć, że praca z tobą będzie wyglądać inaczej, bo nie jesteś aktorką. Że zabraknie dystansu. - Potrząsnęła głową. - Ale nie w tym rzecz. Ty to sprawiłaś, Maro. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Kocham w tobie wszystko.

Po tych słowach zaległa długa cisza. Mara pogrzyżyła się w głębokim smutku. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był niepewny i drżący.

- Nie wiem, jak bez ciebie przetrwam.

Peter spojrzał jej w oczy.

- Przetrwasz. Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Widziałem to. I teraz widzę. Jesteś silną kobietą.

Spijała słowa z jego ust. Chciała je zachować; miały być źródłem siły, z którego mogłaby czerpać, gdy zajdzie potrzeba.

Niespodziewanie nad wodopojem rozbłysnął słup światła. Czarna plama wody zmieniała się w połyskliwą taflę, lekko sfałdowaną nocną bryzą. Oświetlone z boku trzciny rzucały długie cienie na błotniste brzegi. Wszystko srebrzyło się jak w scenie ze snu.

Od strony domu doszedł ich stłumiony aplauz. Po chwili drugi snop światła uwięził w smudze dwie zebry pijące wodę na płyciźnie; czarno-białe pasy na skórze odcinały się od wysrebrzonego tła. Rozejrzały się spłoszone, zanim na powrót zanurzyły pyski w wodzie. Na drugim brzegu hipopotam brnął przez błoto. Gazela, delikatna i bojaźliwa, przecięła chwiejnie świetlisty słup, kierując się do połyskliwej solnej skałki, i zaczęła ją lizać, rytmicznie podrzucając głową.

- Nie wydają się przestraszone - wyszeptał Peter.
- Według nich oświetla je księżyc - wyjaśniła Mara.

Przez długi czas stali tam, oglądając zwierzęta, które pojawiały się w kręgu światła i znikwały, niczym aktorzy odgrywający swe role na scenie. Czas stanął w miejscu; może mijały minuty, a może godziny. Na powrotną drogę Mara wybrała ścieżkę wydeptaną przez kozły wodne, która wiodła ku krawędzi świetlnego pierścienia, i wtedy wyczuła, że coś się dzieje w okrytej mrokiem przestrzeni za nimi. Poruszały się tam ogromne szare kształty podobne do monstualnych brył ziemi. Kiedy podeszły bliżej światła, nabrały masy i zarysu. Mara znieruchomiała z wrażenia, kiedy rozpoznała rozkołysane trąby, grube, krągłe nogi, krótkie ogony i połyskujące ciosy. Nigdy nie widziała tylu słoni naraz w pobliżu Raynor Lodge. Logika podpowiadała, że pora sucha dobiegała końca i coraz trudniej było o wodę. Kiedy patrzyła na samice z cielakami wchodzące w głąb wodopoju, żeby pić wodę i baraszkować, oraz na starych samców na brzegu, kiwających ciężkimi łbami jakby w zadziwieniu, była jednak gotowa uwierzyć, że to stado zostało tutaj przysłane celowo. Jego obecność oznaczała nadzieję.

Odwróciła się do Petera, chcąc się podzielić wzbierającymi w niej emocjami. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, przepłynęło między nimi ciepło, przenikając oboje mocno i głęboko. W tym momencie nabrała pewności, że wszystko się ułoży. Ziarno miłości przetrwa i będzie stanowić dla nich źródło siły na długie lata.

16

Mara rozglądała się po bawialni. Kolekcja zabytkowej porcelany Alice stała na półkach w kredensie. W biblioteczkę pierwsze wydanie powieści Hemingwaya, wstawione tam przez Rudiego, oraz biografie sławnych myśliwych oprawne w skórę, książki Johna, wróciły na swoje miejsce. Zniknął taboret obity skórą zebry i wszelkie inne drobiazgi, które nie należały do tego domu. Mara będzie mogła poinformować Carltona, że wszystko jest na dawnym miejscu. A jednak coś ją nurtowało, gdy omiatała wzrokiem wnętrze. W pokoju zdawała się panować inna atmosfera, jakby nastąpiła tu jakaś subtelna przemiana. Może to tylko świadomość, że tyle przedmiotów, choćby nawet na jakiś czas, zostało usuniętych. Przeszłość rozluźniła uścisk; Raynor Lodge nie jest już uwięzione w czasie. Wszystko można zmienić.

Mara przebiegła spojrzeniem po znajomych grzbietach książek Johna, zatrzymując je na podniszczonym wydaniu *Baśni* braci Grimm. Wpatrywała się w milczeniu w wytłoczony złotymi literami tytuł, a w głowie zadźwięczały słowa: „Dawno temu na terenach safari...”.

Przymknęła oczy trawiona żalem. Nie będzie baśniowego zakończenia dla niej i Petera; wczesnym popołudniem ostatecznie się pożegnają. Wczoraj wieczorem obiecali sobie, że nie będą oglądać się wstecz i spróbują odnaleźć szczęście w swoich światach. Teraz jednak cały optymizm, jaki ogarnął ją na widok słoni przy wodopoju, gdzieś wypa-

rował. Przyszłość rysowała się jako ciemna, zatrważająca góra. Już sama myśl o rozpoczęciu wspinaczki budziła zniechęcenie i pustkę.

Odwróciła się od biblioteczki i podeszła do okna. Na końcu trawnika zobaczyła mikrofon w puchatym pokrowcu sterzący na końcu „kija”. Przysuwając twarz do szyby, rozpoznała cztery stojące blisko siebie sylwetki: Leonarda, Tombę, Jamiego i... Petera. Nagrywali dodatkowy tekst, który reżyser dopisał w nocy, żeby zatuzszować brak pewnych scen z Lillian.

Mara patrzyła, jak aktor na chwilę nachyla się nad kartką, a potem podnosi głowę do mikrofonu. Jego usta się poruszają. Gestykuje, jakby pracowała tam również kamera. Kończy tekst i wyczekująco spogląda na Leonarda. Kiedy ten na znak aprobaty podnosi w górę oba kciuki, Peter ogląda się przez ramię na dom.

Wypatruje mnie - pomyślała.

Uczepiła się tej myśli, hołubiąc ją, jakby była czymś żywym i ciepłym. Już miała przejść do innego okna, żeby mu się pokazać, kiedy usłyszała kroki w korytarzu: lekki, szybki stukot butów o podłogę z wypolerowanych desek. Moment później do bawialni weszła Helen, jak zawsze starannie ubrana, z gładko ściągniętymi do tyłu włosami. Dziś jednak wyglądała jakoś inaczej - miała na ustach pomadkę w czerwono-pomarańczowym odcieniu, dopasowanym do koloru włosów.

Uśmiechnęła się, napotykać spojrzeń Mary.

- Kuchcik mnie wpuścił. Mam nadzieję, że nie przeskadzam. - Zająknęła się, nagle tracąc pewność siebie.

- Naturalnie, że nie. - Gospodyni odwzajemniła uśmiech. - Cieszę się, że cię widzę. - Spoważniała. - A jak się czuje Lillian? - Co prawda wczoraj Carlton odwiedził ją w szpitalu, lecz Mara wolała usłyszeć wieści z pierwszej ręki.

- Nie najgorzej - odparła Helen. - Bardziej chce odzyskać swoje rzeczy. Miałam przysłać Josepha, ale czułabym się winna, gdyby coś zostało albo się zagubiło.

- Zdaje się, że Kefa już zaczął pakować jej walizki. Chodź, zaprowadzę cię do pokoju Lillian.

Wyszły na dwór i skierowały się do rondawela aktorki. Przez drzwi usłyszały, jak Kefa krząta się w środku. Helen natychmiast do niego dołączyła, natomiast Mara przystanęła na progu. Obejrzała się na ścieżkę w stronę chaty Petera. Ciekawe, czy już się spakował. Wyobraziła sobie, jak składa tak dobrze jej znajome ubrania, zamyka kosmetyczkę z cynamonową wodą po goleniu, wsuwa rodzinne zdjęcie pomiędzy warstwy rzeczy. Na koniec wpycha wszystko do marynarskiego worka i ciasno zaciąga sznur.

Odwróciła się, gdy Kefa wychodził na zewnątrz z dwiema czerwonymi walizkami aktorki. Krótco po nim wyłoniła się Helen, mrużąc oczy przed słońcem. Niosła kilka szkicowników i oprawione zdjęcie z toaletki.

- Lillian wspomniała o zdjęciu jakiegoś Thea. Prosiła, żebym szczególnie na nie uważała. Ale znalazłam tylko to. - Pokazała fotografię kudłatego owczarka niemieckiego.

- To właśnie jest Theo - wyjaśniła Mara. - Myśli o nim jak o członku rodziny.

Oczy Helen poznaczone zielonymi cętkami zwęziły się pod wpływem czegoś, co wyglądało na mieszaninę współczucia i niedowierzania.

- Biedactwo - wymruczała. - No cóż, w każdym razie ucieszy się z przyborów do rysowania. Możesz mi wierzyć lub nie, ale już ją nudzi to przymusowe leżenie w łóżku. Zaczęła szkicować portrety dziewczynek na odwrocie starych kart zleceń. Rysuje nieźle, tylko nie ma zielonego pojęcia o budowie ludzkiego ciała. Musiałam jej zanieść *Anatomię Graya* Tony'ego, żeby sobie popatrzyła.

Mara wstrzymała oddech. Odrobina uczciwej krytyki na pewno Lillian nie zaszkodziła, lecz ciekawe było, jak na nią zareagowała.

- Była zachwycona - ciągnęła Helen. - Tony będzie miał szczęście, jeśli uda mu się odzyskać podręcznik.

- Nie sprawia problemów?
- Ależ nie - zapewniła żona doktora. - Śpi, je. Dziewczynki ją uwielbiają. Kiedy się lepiej poczuje, ma im pomagać w lekcjach.
- Dajesz sobie radę z gotowaniem?
- To żaden kłopot. Robię jednogarnkowe dania. - Łatwiej zanosić posiłki do sali na jednym talerzu.

Mara niemal się uśmiechnęła.

- Nie było mowy o osobnych miseczkach?
- Hmm, rzeczywiście, kiedy dziewczynki pierwszy raz zanosły jej obiad, wspominała coś o jakichś miseczkach. Lecz Hilary wytłumaczyła jej, że należy jeść to, co się dostaje, i być wdzięcznym. I na tym temat się urwał. - Helen pochyliła się do swej rozmówczynie, jakby zdradzała ważny sekret. - Według Tony'ego Lillian powinna zostać u nas jeszcze przynajmniej przez tydzień, a nawet dłużej, jeśli chce w pełni wyzdrowieć. Mam nadzieję, że tak się stanie. Dobrze nam z nią.

Mara, słuchając pani Hemden, umocniła się w przekonaniu, że jej wizja szpitala w misji jako azylu się sprawdziła. Oczyma wyobraźni ujrziała Lillian w otoczeniu córek Helen; szcزتkowały jej włosy, a ona z przymkniętymi oczami słuchała dziecięcej paplaniny, podśpiewywania, śmiechu...

- Dziękuję, że się nią zajęłaś - powiedziała.
- Towarzystwo białej kobiety stanowi miłą odmianę. Musisz nas odwiedzić, jak tylko odpoczniesz po swoich gościach. - Posłała Marze współczujący uśmiech. - Pewnie nie możesz się już doczekać, kiedy sobie pojadą. Z tego, co Lillian mi mówiła, wygląda, że miałaś sporo pracy. No i na pewno nie możesz się już doczekać powrotu Johna.

Przełykając gulę stojącą w gardle, Mara zdobyła się jedynie na skinienie głową. Nagle zapragnęła, tak jak Lillian, schronić się w bezpiecznym, spokojnym świetle Helen. Na szczęście w drzwiach stanął Kefa. Pokazał im różowe sombrero i buteleczkę perfum L'Air du Temps.

- Więcej nic nie ma.

Żona doktora wyciągnęła rękę po kapelusz, natomiast flakonika nie wzięła.

- Lillian chce, żebyś zatrzymała perfumy.

Mara wzięła je, skupiając wzrok na korku z mrożonego szkła w kształcie pary identycznych gołębi. Pamiętała je z tamtego dnia, kiedy aktorka rozpakowywała swoje rzeczy. Jak romantycznie wyglądały z dzióbkami złączonymi w pocałunku! Wtedy ów symbol miłości ją zasmucił, bo przypominał o własnym nieszczęściu. Nigdy by nie odgadła, co przyniosą nadchodzące tygodnie.

Teraz, patrząc na szklaną rzeźbę, dostrzegła to, co wcześniej jej umknęło. Ptaki miały rozpostarte skrzydła. Gołąbki nie siedziały na gałęzi, one spotkały się w locie. Za chwilę się rozstaną i każdy uda się w swoją stronę. Ale moment ich pocałunku został uwieczniony w szkłe. Ta refleksja wydała jej się dziwnie krzepiąca. Podniosła flakonik do twarzy. Nawet nie wyjmując korka, poczuła bogatą, słodką nutę perfum.

- Piękna butelka - skomentowała Helen.

- Tak, rzeczywiście.

Kefa wyniósł ostatnią walizkę. Najmniejszą wsunął pod pachę i dźwignął dwie pozostałe.

- Mam je zanieść do pani samochodu? - spytał panią Hemden.

- Poproszę - skinęła głową i odwróciła się do Mary. - Masz szczęście, taki chłopiec do pomocy to skarb.

- Chłopiec do pomocy - powtórzyła Mara. Niezmiennie dziwiło ją to określenie w stosunku do kogoś, kto ma czterdzieści lat i pięcioro dzieci. Teraz, kiedy zdała sobie sprawę, jak chętnie i fachowo Kefa zastępował ją w obowiązkach związanych z prowadzeniem Lodge, wydało się również co najmniej niewłaściwe. - Kefa nie jest chłopcem do pomocy - usłyszała własny głos. - To nasz zarządcą.

- Przepraszam - zwróciła się do niego Helen. - Musia-

łam źle zrozumieć kuchcika. - Spojrzała na suknię gospodyni i na koszulę Afrykanina. - Powinam się była domyślić.

- Nie trzeba przeproszać - odezwał się uprzejmie Kefa. Na moment schylił głowę. Kiedy ją podniósł, Mara zobaczyła, że w jego ciemnobrązowych oczach zakręciły się łzy.

Chłopcy z obsługi chat ładowali bagaże do pasiastych land-roverów. Samochód rozbity przez Lillian przedstawiał żałosny widok. Usunięto uszkodzony przedni zderzak, brakowało błotników i jednego reflektora. Jak to ujął Dudu: land-rover nadal potrafi chodzić, ale ma tylko jedno oko.

Mara patrzyła w otępieniu, jak znikają kolejne bagaże. Peter nie jechał w żadnym z samochodów, zdecydował się zabrać samolotem wraz z Carltonem i Leonardem. Była boleśnie świadoma, że kiedy reszta ekipy odjedzie, rozstanie z Peterem będzie tylko kwestią czasu. Oficjalne pożegnania mieli już za sobą. Cały personel oraz filmowcy zgromadzili się na trawniku przed jadalnią. Wymieniali deklaracje przyjaźni, dowcipkowali i wyrażali smutek. Jak bardzo różniła się ta scena od tamtej na parkingu w dniu przyjazdu ekipy filmowej!

Mara się zorientowała, że nie odstępuje jej wiejski snycerz; jego obecność zdradzał świeży zapach soku z drzew. W końcu zwrócił się do niej z zawiłym, oficjalnym powitaniem, zapytując o powodzenie w domu, w pracy, o obfitość jedzenia i o zdrowie.

- *Nzuri tu* - odpowiadała za każdym razem. - Jest dobrze.

Jest dobrze. Jest dobrze.

Słowa zaczęły brzmieć jak zaklęcie. Marę ogarnęła szalona, irracjonalna nadzieja, że jeśli powtórzy je odpowiednio wiele razy, być może nabiorą mocy, żeby odwrócić to, co nieuniknione. Sprawią, że niemożliwe stanie się możliwe.

- Nie spałem, tylko pracowałem - wyznał snycerz. - Zrobiłem parę specjalnych rzeźb. - Uśmiechnął się, poka-

żując zęby z czarnymi obwódkami, jakby wcześniej żuł węgiel drzewny.

Sięgnął do koszyka i wyjął stamtąd próbkę, żeby jej pokazać. To była jedna z tabliczek z napisem, ozdobiona ornamentem podobnym do tego na wcześniejszych pracach. Pod napisem „Raynor Lodge” widniały dwie twarze wyrzeźbione z profilu. Snycerz uchwycił podobieństwo z taką samą wprawą jak w przypadku zwierząt.

Portrety Lillian Lane i Petera Heatha.

Mara powiodła opuszkami palców po wyżłobionym męskim profilu. Przyszły jej na myśl wizerunki ludzi, którzy odeszli na zawsze, widywane na nagrobnych pomnikach. Oddała tabliczkę.

- Bardzo ładna - pochwaliła. Zapatrzyła się w przestrzeń, usiłując wymazać to skojarzenie z myśli.

Pasażerowie zaczęli zajmować miejsca w pojazdach. Zbici w gromadkę Rudi, Brendan, obaj Nickowie, strażnik leśny oraz Jamie stali w pobliżu łuku, rozmawiając, śmiejąc się i paląc papierosy. Niespodziewanie w powietrze wzniósł się chrapliwy okrzyk na wiwat. Mara rozejrzała się, szukając przyczyny. W polu widzenia ukazał się zadyszany z wysiłku Tomba z tobołkiem przyciśniętym do piersi. Miał na sobie nowe spodnie i swoją świeżo wypraną i wyprasowaną kowbojską koszulę. Szczercząc zęby w uśmiechu od ucha do ucha, wrzucił tobołek na pakę stojącego bliżej land-rovera. Mara przypomniała sobie, że słyszała, jak Daudi obiecywał przedstawić podopiecznego Jamiego jakimś filmowcom z Dar es Salaam, którzy kręcili filmy przyrodnicze. Kiedy oczy Tomby i *memsahib* się spotkały, twarz chłopaka pojaśniała radosnym uśmiechem. Jego podniecenie wyjazdem wydawało się prawie namacalne. Mara w odpowiedzi uśmiechnęła się niepewnie. Przeszło jej przez myśl, że powinna tam podejść i wypytać go o plany. Kiedy zrobiła krok w jego stronę, na parking wszedł Daudi, wyraźnie kierując się do niej. Towarzyszył mu jeden z chłopców z obsługi chat, nio-

sąc na głowie kartonową walizkę. Na boku widniała papierowa naklejka z napisem: „Rząd Tanzanii, Ministerstwo Informacji”.

Daudi zatrzymał się przed Marą. Był w swoim brązowym garniturze, spod nogawek spodni wystawały mu buty lśniące jak dwa lusterka.

- Wszystko obróciło się na dobre - powiedział. - Film pokaże Tanzanię. Ludzie nas zapamiętają. Kabeya będzie zadowolony. Sam prezydent będzie zadowolony. Pani dobrze wypełniła swoją rolę.

- Dziękuję. - Mara skłoniła głowę. - Bardzo cenię sobie pańską pomoc. Wiem, że Carlton i Leonard też są wdzięczni.

To prawda. Podczas zdjęć Daudi zawsze chętnie się włączał, czy w grę wchodziło nawiązanie kontaktów z mieszkańcami wioski, czy też pomoc Kefie przy przywoływaniu do porządku Somalijszczyków. Raz tylko doszło do zgrzytu. Leonard chciał nakręcić ujęcie z kilkoma młodymi pastuszkami. Daudi uparł się, że najpierw należy im rozdać nowe przepaski na biodra, bo nie można pokazać światu brudnych i obdartych Tanzańczyków.

- Pani mąż będzie bardzo zadowolony. - Machnięciem ręki wskazał Raynor Lodge. - Teraz interesy ruszą. Ale potrzeba wam tanzańskiego wspólnika, Afrykanina. To właściwy kierunek na przyszłość.

Mara się uśmiechnęła.

- Dziękuję za radę. Życzę udanego safari.

Z życzliwym wyrazem twarzy skinął głową i ruszył do land-rovera.

- Daudi! - zawołała za nim. - Proszę poczekać.

Odwrócił się do niej, pytająco unosząc brwi.

- Zajmie się pan Tombą, prawda? - upewniła się. - Jeśli nie znajdzie pracy, proszę go tu przysłać. Na mój koszt.

Przyjął jej słowa z uśmiechem, ale zaprzeczył ruchem głowy.

- Tomba nie jest dzieckiem. To mężczyzna.

Podchodząc do samochodu, przepędził chłopców z obsługi, którzy ciągle jeszcze zbierali napiwki wśród gości.

- Wystarczy. Dostaliście już zapłatę. Nie żebrać mi tu. Gdzie jest wasza duma?

Rzucił Marze smętne spojrzenie. Odpowiedziała uśmiechem, czując przyływ sympatii dla tego człowieka, który niez mordowanie wcielał w życie wizję nowej państwowości, niezrażony ciężarem leżących przed nim zadań.

Kiedy Daudi znalazł się w land-roverze, kierowcy uruchomili silniki i ruszyli kolumną. Chłopcy z obsługi puścili się biegiem za pojazdami; ich jasne pięty migały w powietrzu i znikwały, kiedy stopy uderzały o spieczoną słońcem ziemię. Mara machała na pożegnanie, dopóki land-rovery nie zniknęły z widoku, zostawiając za sobą jedynie gęstą chmurę kurzu.

Kawa Menelika była mocna i słodka. Leonard, Carlton, Peter i Mara siedzieli w jadalni, sącząc gorący czarny napar z małych glinianych czarek.

Aktor był w tej samej niebieskiej koszuli, którą miał na sobie w dniu przyjazdu. Wzrok Mary spoczął na cienkiej lnianej tkaninie, już pogniecionej z powodu upału. Wspominała tamto pierwsze spotkanie, kiedy wzięła go za członka ekipy i chciała przenieść do innej chaty. To się wydarzyło nieco ponad dwa tygodnie temu, a wydawało się, że od tamtej chwili upłynęły całe wieki. Szesnaście dni. Tak niewiele czasu wszystko zmieniło.

Peter podniósł głowę, starając się pochwycić jej spojrzenie. Nie odzywał się; czas na rozmowę już minął, powiedzieli sobie wszystko, co mieli do powiedzenia. Wciąż jednak była między nimi energia, ciepła i silna.

Z kadzidełka, które Menelik ustawił przy drzwiach, unosił się zapach. Cisza i ten aromat tworzyły wrażenie, że odbywa się tu jakiś starodawny rytuał o głębokim, ukrytym znaczeniu. Jedyłą oznaką codzienności była dochodząca

z dala paplanina chłopców z obsługi chat, sprzątających rondawe. Mara oczyma wyobraźni widziała, jak zamiatają podłogę w pokoju Petera, zdejmują pościel, usuwają ostatnie ślady jego obecności.

Carlton poruszył się i spojrzał na zegarek.

- Na pewno przyleci?

- Tak - uspokoiła go. - Przyszła wiadomość z misji. Jest potwierdzenie. Samolot powinien tu być lada moment.

W nieruchomej ciszy ćma obijała się o szybę. Mijały puste minuty.

Wreszcie doszedł ich cichy warkot silnika samolotu; z początku ledwo słyszalny, szybko się potęgował jak bzyczenie roju nadlatujących rozwścieczonych pszczół.

Wszyscy podnieśli się z miejsc. Zbierali futerały z aparatami fotograficznymi, butelki z wodą i marynarki. Bagaż czekał złożony na lądowisku. Pilnował go młody mężczyzna ze wsi, który miał także obowiązek przepłoszyć zwierzynę z pasa startowego, kiedy nadleci samolot. Mara podeszła do bufetu i wzięła stamtąd wcześniej przygotowane śrutówkę oraz pas z nabojami, żeby zabrać je ze sobą na sawannę.

- A więc teraz ty jesteś strażnikiem - odezwał się Peter.

Uśmiechnęła się.

- Nic się nie bój. Bezpiecznie was doprowadzę. - Słuchała swego głosu, zaskoczona jego naturalnym brzmieniem.

- W takim razie ruszamy - powiedział Carlton. Jego głos z kolei był przesadnie radosny, podobnie jak kolory hawajskiej koszuli.

Nie odzywali się więcej. Rozgrzane powietrze tłumiło odgłosy. Kroki wydawały się spowolnione i wyciszone. Czas włókł się, jakby wszyscy zagubili się we śnie.

Nie wiadomo kiedy znaleźli się na zewnątrz i szli przez teren Lodge. Carlton otwierał bezgłośny pochód, za nim podążali Leonard i Peter. Mara szła na końcu ze śrutówką przerzuconą przez ramię. Wpatrzona w stopy Petera, wydłużyła krok, wyrównując z nim rytm. Czuła za sobą obecność

Menelika i Kefy, a także chłopców z obsługi chat oraz kuchcików.

Przeszli pod zwieńczeniem ze starych ciosów i skierowali się na trakt obsadzony drzewami. Wkrótce dotarli do rozwidlenia, skąd prowadziła ścieżka do punktu obserwacyjnego. Mara widziała, jak Peter zawahał się w pół kroku, jakby myślał o zmianie kierunku. Zaraz jednak ruszył dalej.

Wyszli spod drzew na sawannę. Tam zatrzymali się jak na komendę, zadzierając głowy. Samolot był już w polu widzenia; ciemny ptak na błękitnym niebie zbliżał się, rosnąc z każdą chwilą.

Mężczyźni z wioski biegali wzdłuż lądowiska, machając kijami do zaganiania bydła. Gęsi wzbijały się w powietrze, a zwierzęta szczypiące trawę - małe gazele i para antylop dikdik - uciekały w podskokach, wyrzucając wysoko tylne nogi w dziwnie przesadnej manifestacji popłochu.

Samolot, tracąc wysokość, zatoczył koło nad Lodge. To nie była ta sama maszyna, którą Mara widziała wcześniej; podobnie jak land-rovery z hotelu Manyala maskował ją wzór w pasy zebry. Podążając wraz z całą grupą ku lądowisku, przyglądała się, jak pilot naprowadza samolot na pas. Potem posadził go wprawnie: oba koła równocześnie dotknęły ziemi, a skrzydła zaledwie nieznacznie się zakołysały.

Maszyna znieruchomiała, śmigła z warkotem wypychały wiry powietrza. Gdy Mara wysunęła się naprzód, gotowa powitać pilota, poleciał na nią grad kępek suchej trawy. Przymrużyła powieki i odwróciła twarz. Kiedy czekała, aż śmigła zwolnią obroty, drzwi się odsunęły i z kabiny wyłonił się pilot. Pomachał do niej złożoną mapą.

- To jest Raynor Lodge? - zapytał, przekrzykując huk silnika. Pokiwała głową, a jemu wyraźnie ulżyło. - Jestem tu nowy - mówił z mocnym południowoafrykańskim akcentem. Uniósł nadgarstek i postukał palcem w tarczę dużego złotego zegarka. - Musimy się zbierać.

Gdy dotarło do niej znaczenie tych słów, przygnębiona opuściła głowę. A więc zaraz odleca, a łoskot silnika odbierze szansę na wymianę ostatnich pożegnań.

- Mam napięty grafik! - wykrzyczał pilot. - Przykro mi!

Przez moment patrzyła na niego w milczeniu, po czym dała znak chłopcom z obsługi chat, aby wnieśli bagaże.

Pilot, odwracając się do pasażerów, ponaglił ich niecierpliwym gestem dłoni.

- Wsiadamy! Zaraz startujemy!

Carlton z Leonardem pospieszyli do samolotu, a Peter trzymał się w tyle.

- Jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w Los Angeles - wykrzyczał producent, gdy zrównał z Marą - odzyskaj nas!

- Powodzenia! - dopowiedział Leonard.

Po kolei uścisnęli jej dłoń. Ten gest tu, na sawannie, gdzie wiatr miotał kurzem w twarz i szarpał ubraniami, wydał się dziwnie oficjalny. Po wymianie uśmiechów z Menelikiem, Kefą oraz z chłopcami i wzajemnym machaniem na pożegnanie ruszyli pochyleni do kabiny dla pasażerów, kułac się odruchowo przed ogłuszającym łoskotem śmigła.

Mara odwróciła się do Petera, kiedy stanął przy niej. Wiatr zwiewał jej pasma włosów na twarz, smagając końcami policzki, a jemu szczyty kosmyki z czoła, przez co jego twarz wydawała się obnażona i bezbronna.

Patrzyła mu w oczy, czując, jak wzbiera w niej potężny ból. Za chwilę, była tego pewna, poszuka ujścia, rozrywając ją na strzępy. Starła się nad nim zapanować, oplatając się ramionami.

Przez łyzy dostrzegła, jak w małej, dzielącej ich przestrzeni pojawia się jego ręka. Wysunęła dłoń. Ciepły dotyk skóry. Palce splotły się z palcami.

Dłonie przylgnęły do siebie, zaciśnięte kurczowo, jakby miały się stopić w jedną.

I nagle Peter puścił jej rękę, porzucając ją uniesioną. Ode-rwał wzrok od jej oczu i niemal biegiem ruszył do otwartych

drzwi. Futerał z aparatem fotograficznym obijał się o jego udo, koszula trzepotała.

Przystanął jeszcze na pierwszym stopniu składanych schodków i obejrzał się. Po chwili zniknął w głębi samolotu i tylko zamazany zarys jego twarzy zamajaczył w pokrytym kurzem oknie.

Pilot zasunął drzwi kabiny; ich głuchy łoskot przebił się przez zawrodoenie silnika. Potem zasalutował Marze i zajął miejsce w kokpicie.

Samolot najpierw się zakołysał, a później, nabierając prędkości, kołował, podskakując na pasie. Afrykanie machali rękami, wykrzykując słowa pożegnania. Mara stała w milczeniu, sztywno wyprostowana. Wzbierający w niej niemy krzyk podążał za samolotem. Patrzyła, jak unosi się coraz wyżej i zmienia w ciemnego ptaka sunącego po niebie.

Śledziła łuk jego lotu nad sawanną aż ku skrajowi skarpy. Jak przez mgłę słyszała odgłosy dochodzące z pustoszejącego lądowiska. W dziecinną paplaninę chłopców z obsługi wmieszał się niższy, męski głos. A ona dalej stała niczym wrośnięta w ziemię, jakby w ten sposób mogła zatrzymać czas.

W końcu samolot zmienił się w punkcik i zniknął za horyzontem.

- Odlecieli - doszedł ją cichy głos o łagodnej barwie. Towarzyszyło mu stapanie i szelest materiału. Owionął ją ledwo wyczuwalny, smolny zapach kadzidła.

Wyrósł przed nią Menelik; koścista, wyprostowana sylwetka wyraźnie rysowała się w otwartej przestrzeni. Lekki wiatr poruszał tuniką, słońce odbijało się od koptyjskiego krzyża zawieszzonego na sznurze na piersi.

Starzec patrzył na Marę spokojnym, przenikliwym wzrokiem. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, poczuła, jak siła płynąca z jego obecności otacza ją i przenika do przyćmionej bólem świadomości. Zrozumiała, że on wie. Jak prorok potrafił dostrzec to, co dla innych pozostawało niewidoczne.

Rozumiał, co ona czuje. Spłynęła na nią ulga. Łzy wypełniły oczy i potoczyły się po policzkach.

Menelik nie uczynił żadnego gestu. Najwyraźniej nie zamierzał jej o nic pytać ani też pocieszać. Stał tylko i patrzył, jak płacze. Emanował z niego głęboki spokój, który przeni-kał ją powoli, niosąc ukojenie.

Gdy potok łez wreszcie ustał, stary człowiek skinieniem głowy wskazał dom.

- Czas wracać - odezwał się. Oczy patrzyły dobrotliwie, lecz głos zabrzmiał stanowczo. Ruszył przodem ku traktowi i obejrzał się po paru krokach, żeby sprawdzić, czy ona po-dąża za nim.

Zarzuciła śrutówkę na ramię i szła, dotrzymując mu kro-ku, prowadzona miarowym plaskaniem jego stóp o spaloną słońcem ziemię.

Milczeli oboje; ciszę zakłócał jedynie odgłos kroków i nawoływanie wodnego ptactwa. Wkrótce dotarli do szpale-ru drzew. Menelik odwrócił się raz jeszcze i zatrzymał spoj-rzenie na Marze. Na jego twarz wypłynął ledwo widoczny uśmiech.

- *Kesho ni siku nyingine* - powiedział silnym, dobitnym głosem.

Jutro wstanie nowy dzień.

17

Mara stała przy wykopie pod basen, przyglądając się, jak dwóch robotników budowlanych Carltona wyrzuca czubate łopaty rdzawej ziemi. Mężczyźni nie szczydzili sił, pracowali rozebrani do pasa, ich wilgotne od potu ramiona lśniły w słońcu. Praca nad wykopem dobiegała końca; boczne ściany były już wypionowane i ubite, a narożniki wyprofilo-wane. Można było wylewać beton. Pomalowany na niebie-sko basen pełen wody był wizją jak ze snu, z którego Mara

miała się lada chwila przebudzić. Stając odwrócona plecami do robotników, ogarnęła spojrzeniem teren Lodge, chłonąc wszystkie oznaki nowych czasów. W ciągu dziesięciu dni od wyjazdu filmowców rozstawiono bliźniacze stoły, zbite z miejscowego drewna, oraz dobudowano aneks do pawilonu z prysznicami. Za zabudowaniami gospodarczymi widać było zadaszenie powiększonego kurnika. Zza domu zaś niosły się uderzania młotków; to trwały prace nad platformą widokową. Chłopcy z obsługi chat wraz z paroma nowo najętymi pracownikami szykowali rondawełe na pierwszy najazd gości, których Carlton wyłowił z grupy turystów, przejeżdżając przez Dar es Salaam. Mieli się zjawić lada moment.

Podobnie jak John.

Wcześniej tego dnia Kefa odebrał wiadomość przez dopiero co naprawione radio. *Bwana* jest w Kisaki - doniósł Marze. Jedzie do domu prosto z Selous. Chce zostawić land-rover do naprawy w warsztacie w Kikuyu. Żona ma wyjechać po niego i czekać w hotelu. Jutro o jedenastej.

Mara, wyobrażając sobie powrót męża, poczuła, jak skurcz paniki zaciska jej żołądek. Próbowała skupić myśli na zdziwieniu i podnieceniu, jakie go ogarnie na widok inwestycji w Lodge. I uldze, jaką odczuje, kiedy się dowie, że nic już nie zagraża przyszłości tego miejsca. Pomimo wszystkich kreowanych w myślach optymistycznych wizji dręczyło ją jednak mnóstwo pytań.

Jak spojrzy Johnowi w twarz, udając, że nic się nie zmieniło? A jeśli nawet jej się to uda, on na pewno odgadnie, domyśli się, co się stało. Prędzej czy później będzie musiała mu wyjawić, co zaszło. Co powie? Że zakochała się w innym mężczyźnie? Że całowała się z nim i trzymała go w ramionach? Prawda była o wiele bardziej skomplikowana, niż by się mogło wydawać. Kochali się z Peterem wyłącznie przed kamerą Leonarda. Nie planowali tego, co między nimi rozkwitło. Robili to, czego od nich oczekiwano - pomagali reżyserowi i producentowi dokończyć film, ochronić Lillian,

uratować Raynor Lodge. Nie posunęli się do niczego zdrożnego.

Ajednak... Coś głębokiego i ważnego wydarzyło się między nimi. Nadal czuła tamtą aurę, która otaczała ją niczym słoneczny żar.

Schroniła się pod drzewem jacarandy i oparła głowę o gładki pień. Wywołała w myślach obraz twarzy Petera. Widziała wyraźnie jego rzeźbione rysy. Pukiel włosów opadający na czoło. Zielononiebieskie oczy.

I usta układające się w słowa, które wryły się w jej duszę.
„Jesteś taka piękna. Kocham cię. Nic na to nie poradzę”.

Objęła się ramionami, bo powrócił na nowo tamten ból rozstania; kurz i warkot samolotu, ostatnie, ukradkiem rzucone słowa, przelotny dotyk rąk.

Przymknęła powieki. Peter musi być już w domu, z dziećmi. I z Paulą. Przed oczyma wyobraźni przesuwała się przynębiająco wyraźna wizja ich powitania. Rozproszyła ją. Życie Petera nie ma z nią nic wspólnego. Nigdy więcej go nie zobaczy. Ta historia jest zakończona. Jej przyszłość jest związana z Raynor Lodge, z Johnem.

Bezradnie potrząsnęła głową, wyczerpana targającymi nią myślami i emocjami, które budziły zamęt i rozpacz. Znużenie ciążyło ołowiem w kościach. Miała ochotę się położyć, chociaż nie minęła nawet połowa dnia.

Do jej świadomości przedarł się odgłos zbliżających się kroków. Wyprostowała się, gdy stanął przed nią Kefa. Uśmiechnął się i wskazał jadalnię.

- Menelik zaparzył kawę. Położyłem na stole księgę rezerwacji.

- Dziękuję. - Teraz sobie przypomniała, że miała rzucić okiem na rezerwacje, żeby pomóc Kefie wyliczyć niezbędne zapasy.

- Pójdę sprawdzić, jak się posuwa robota - powiedział. Przyglądał się robotnikom, którzy odłożyli łopaty i na zmianę popijali wodę z tykwy. - Potem do pani dołączę.

- Tak. Dobrze - odparła. Wiedziała, że jej głos brzmi bezbarwnie i brakuje w nim entuzjazmu.

Kefa odwrócił się i badawczym spojrzeniem powiódł po jej twarzy.

- Proszę się nie martwić. Wszystko będzie gotowe na powrót *bwany*.

- Wiem. Nie martwię się.

Oboje zamilkli. Mara widziała niepewność w oczach Afrykanina. On też denerwował się powrotem Johna. Odkąd awansował na zarządcę Raynor Lodge, z radością pełnił nową funkcję i ochoczo przejął wiążące się z nią, dodatkowe obowiązki. Ale Mara nie będzie dłużej *bwaną memsahib*. Jak się wszystko wtedy potoczy?

- Kawa czeka - przypomniał, kryjąc niepokój pod maską uprzejmości. - Ostygnie.

Księga rezerwacji była zwykłym dziennikiem oprawionym w płótno, ze stronami opatrzonymi datami kolejnych dni. John zawsze na początku roku kupował taki dziennik u Biny. Mara, przyciągając księgę do siebie, poczuła pod palcami szorstkość materiału w miejscach, gdzie dobrały się do niego białe mrówki. To wrażenie przesadnie ją raziło, jakby straciła kontakt z rzeczywistością. Wszystko wydawało jej się albo abstrakcyjne, jak myśl o ukończeniu basenu, albo nadto bliskie i drażniące, jak zapach kawy Menelika w parującej filiżance przy łokciu. Przyrządził ją po etiopsku, dorzucając listki ruty do naparu. Zazwyczaj odpowiadała jej kombinacja zapachów kawy i ziela, lecz dziś ten intensywny aromat przyprawiał o mdłości. Odsuwając filiżankę, otworzyła księgę. Przekartkowała słabo wypełnione pierwsze półrocze i dotarła do rezerwacji ekipy Carltona. Tu czerwone kreski biegnące przez środek stron oznaczały pełne obłożenie. Wiedziała, że powinna się skupić na przygotowaniach na przyjęcie nowych gości, a jednak zatrzymywała się nad każdą przekreśloną na czerwono stroną, jakby tamte zaznaczone dni można było w jakiś sposób odzyskać.

Dochodząc do końca rezerwacji Carltona - dnia, kiedy Peter wsiadł do samolotu i odleciał - powoli przerzucała kolejne strony z datami, które oddalały jego obecność i jednocześnie przybliżały powrót Johna. Długie dni i nieprzespane noce, podczas których radość mieszała się z bólem.

Nagle znieruchomiała z ręką nad kartką. Utkwiła wzrok w szklanych oczach głowy bawołu, trofeum wiszącego na ścianie. Uderzyła ją pewna myśl i uporczywie kołatała się w głowie, jak ptak trzepocący o szybę. Ta myśl pojawiła się już wcześniej, lecz odsunęła ją, upatrując przyczyny w stresie i wytężonej pracy. Nie mogła już jednak dłużej przed nią uciekać. Kartkowanie dziennika nabrało nowego znaczenia. Gdzieś w tamtym czasie powinna była dostać okres. Nigdy dotąd nie spóźniał się więcej niż trzy, cztery dni. Bez zaglądania do kalendarza wiedziała, że tym razem minęły prawie dwa tygodnie. W jednej chwili poczuła, że w jej ciele zaszła zmiana. Czuła się dziwnie ociężała i pełna.

Pochyliła głowę, kryjąc twarz w dłoniach. Wróciła myślami do tamtej nocy przed wyjazdem Johna do Dar es Salaam. Krótkie, chłodne spotkanie ciał. Pamiętała, jak po wszystkim odwrócili się do siebie plecami, udając senność. A jednak właśnie wtedy powstało nowe życie. Ich dziecko.

Usiłowała sobie wyobrazić siebie jako matkę z niemowlęciem w ramionach. I Johna obok niej - dumnego, szczęśliwego ojca. Oczyma duszy widziała chłopczyka, który wspina się na drzewa na terenie Lodge. A może dziewczynkę, oczko w głowie ojca...

„Marzenia się spełniają” - zadźwięczało jej w uszach.

Przyszłość Raynor Lodge uratowana - upomniała siebie. Dziecko w drodze. Czas świętować.

Te słowa wydawały się jednak pozbawione treści i zanim pojęła ich znaczenie, uleciały w powietrze jak puch z kwiatów ostu.

*

W hotelowej restauracji pachniało zwietrzałym piwem, dymem z papierosów i smażonym jedzeniem. Mara wybrała stolik przy otwartym oknie, wystawiając twarz na świeże powietrze. Niemal natychmiast wyrósł przy niej młody kelner.

- Dzień dobry, *memsahib*. Czy mogę podać śniadanie? - Mówił staranną angielszczyzną, cyzelując każde słowo.

- Nie, dziękuję - odparła. - Poproszę wodę sodową z limonką.

- W takim razie może podam lunch? - zapytał kelner. - Chętnie służę.

Mara uniosła brwi, zdziwiona jego uprzejmością; personel tutaj, delikatnie ujmując, niechętnie przyjmował zamówienia nawet w porze posiłków.

- Nie, dziękuję - powtórzyła z naciskiem. - Później dołączy do mnie mąż i być może zechce coś zjeść. - Zerknęła na wejście. - Trudno powiedzieć, kiedy się pojawi.

Kelner z kurtuazją skłonił głowę.

- Proszę odpocząć. Poszukam dla *memsahib* najzimniejszej wody w lodówce.

Ciągle nie mogąc wyjść z podziwu, patrzyła, jak energicznie ruszył do baru. Później z powrotem odwróciła się do okna. Wychodziło na wybrukowane podwórko z wąskim pasem przesuszonej ziemi wzdłuż jednego z boków. Kury grzebały pośród niskich sukulentów o grubych zielonych liściach, jakby rośliny znalazły dojście do sekretnego źródła pożywienia. Podwórko zamykało ogrodzenie z siatki, przez które prześwitywał kawałek ulicy. Mara zapatrzyła się na widoczną tam scenę, żeby zatrzymać na czymś wzrok i nie myśleć o tym, co powie Johnowi. Pół nocy zastanawiała się, od czego zacząć; o świcie pytanie pojawiło się na nowo, a ona nadal nie miała odpowiedzi. Trędowaty starzec siedział w kucki w cieniu z żebraczą puszką. Dwóch młodych mężczyzn, stojąc okrakiem na rowerach, gwarzyło z kobietą sprzedającą banany. Miała na sobie barwny kaftan i turban

z tego samego materiału. Nie pochodzi stąd - oceniła Mara; jest przysadzista i ma za jasną skórę...

Nagle jej wzrok zawisł na drugiej stronie drogi. Zobaczyła Europejczyka w ubraniu khaki. Stał odwrócony plecami, włosy zakrywał mu kapelusz, a jednak natychmiast go rozpoznała. Uniosła się z krzesła. Teraz widziała również zaparkowany w pobliżu land-rover Johna. Chłopiec, prawdopodobnie wynajęty do pilnowania, siedział na oblepionej błotem masce. Kiedy przeniosła wzrok z powrotem na mężczyznę, akurat uniósł rękę i spojrzał na zegarek. Obejrzała się na zegar nad barem. Do jedenastej brakuje minuty czy dwóch. Pokiwała głową. Cały John, przyjechał punktualnie, mimo że zaczął podróż bladym świtem, wiele mil stąd.

Minęło kilka minut, zanim pojawił się w restauracji. Najpierw poszedł do toalety; świeżo umyta twarz i starannie przyczesane włosy kontrastowały z pomiętym i wyplamionym ubraniem. Mara podniosła się z krzesła, siląc się na powitalny uśmiech, lecz twarz Johna pozostała niewzruszona. Poczowała, jak rośnie w niej napięcie. Być może wcześniej załatwiał w Kikuyu jakieś interesy i ktoś powiedział mu o pobycie filmowców w Lodge. I o tym, że jego żona dublowała aktorkę. A może po pięciu tygodniach pieszej wędrówki w buszu i długiej jeździe był po prostu wyczerpany.

Pochylił się nad Marą i przelotnie pocałował ją w policzek; suche usta ledwo musnęły skórę. Kiedy się prostował, pod świeżym zapachem mydła poczuła woń starego potu i nafty.

- Przepraszam, jestem brudny. - Usiadł. - Odstawiłem klientów na pociąg w Morogoro i prosto stamtąd przyjechałem tutaj przez Massai Steppe.

- To kawał drogi - skomentowała. Ciekawe - pomyślała - czy w uszach Johna jej głos brzmiał równie bezbarwnie jak jego dla niej.

Położył na stole kluczyki od land-rovera. Wpatrywał się w nie przez moment, po czym podniósł oczy na Marę.

- Uznałem, że nie ma sensu jechać do agenta w Dar. Postanowiłem zamknąć Lodge.

Patrzyła na niego z na wpół otwartymi ustami. W ciszy słychać było popiskiwanie wentylatora pod sufitem.

- Nic z tego nie wyjdzie, teraz to widzę - ciągnął. - Safari z podglądaniem zwierząt było mrzonką - mówił pewnym tonem, w którym nie było miejsca na wątpliwości. - Postanowiłem też skończyć z organizowaniem polowań. - Wpatrywał się w swoje leżące na stole dłonie. - Maro, miałem mnóstwo czasu na przemyślenia. Ludzie, których poprowadziłem na safari, nie byli myśliwymi. W ciągu pięciu tygodni nie oddałem nawet jednego strzału.

- W takim razie co oni robili? - spytała, świadoma, że zadała to pytanie, żeby wypełnić ciszę.

- To zoolodzy - wyjaśnił. - Przeprowadzali badania, dzielili teren na sektory i liczyli zwierzęta. Było pośród nich paru specjalistów od słoni. Przez równo dwa tygodnie pomagałem im tropić stado. Któregoś wieczoru zapytali mnie, ile słoni w życiu zabiłem. Wiesz, jak wyglądała odpowiedź?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Sprawdziłem zapiski. Dwieście sześćdziesiąt siedem. - John podniósł wzrok i patrzył prosto na żonę. - Tamtego wieczoru podjąłem decyzję. Nie zastrzelę ani jednego słonia więcej. Wiem, już wcześniej tak mówiłem. Ale tym razem dotrzymam obietnicy.

Mara tylko pokiwała głową. Słyszała słowa, które powinny sprawić jej radość. Słowa, które wcześniej pragnęła usłyszeć. Ich znaczenie wydawało się jednak teraz takie odległe od jej życia, jej małżeństwa...

- Mam pewien pomysł - kontynuował. - Towarzyszył nam strażnik z departamentu łowiectwa. Mówił, że szukają ludzi do pracy w kontroli populacji muchy tse-tse. - Ironiczny uśmiech wykrzywił mu usta. - Chodzi o szukanie sposobów na tępienie much. Będę dużo czasu spędzał w terenie. A ty zamieszkas w Arushy.

- W Arushy - powtórzyła, usiłując ukryć zmieszanie.
- Spodoba ci się - orzekł John. - Sklepy. Mnóstwo Europejczyków. Wzięty klub.

Mara bawiła się papierową serwetką, drąc ją na strzępy. To był idealny moment, żeby powiedzieć mężowi o ciąży. Dziecko stanie się częścią czekającego ich nowego życia. Nie potrafiła jednak wydobyć z siebie tych tak prostych przecież słów. I wtedy podszedł do nich kelner z napojem dla niej. Kiedy stawiał ostrożnie szklanę, podkładając pod nią podstawkę, John też zamówił wodę sodową.

- Tak, *bwana* - odparł młody mężczyzna i przestępując z nogi na nogę, czekał na dalsze polecenia.

- Dziękuję. To wszystko - powiedziała.

Nachylił się ku Marze.

- *Memsahib*, jestem dobrym kelnerem. Mogę zmywać naczynia, robić pranie. - Wyprężył się i uśmiechnął. - Chciałbym u pani pracować.

- Przecież masz już dobrą pracę - spróbowała go zbyć lekkim tonem.

- Chcę pracować w Raynor Lodge - nalegał. - Mój kuzyn właśnie dostał tam pracę.

Kątem oka widziała, jak John, marszcząc czoło, usiłuje doszukać się sensu w tej rozmowie. Nic dziwnego. Kiedy wyjeżdżał na safari, służący, którzy jeszcze im zostali, nie mogli liczyć na regularną wypłatę.

Mara patrzyła na bar, licząc na to, że w ten sposób zniechęci kelnera do przedłużania rozmowy. Zauważyła, że z kuchni wyszedł hotelarz, pan Abassi. Wyglądał elegancko w wyprasowanej koszuli, której biel aż biła w oczy, kontrastując z czarną skórą. Poruszał się jak ktoś, kto jest wiecznie zapracowany. Wiedziała, że dotarły do niego słuchy o najnowszych inwestycjach w Lodge, i nie była pewna, czy postrzegał ją jako konkurentkę, czy raczej sprzymierzeńca w rozwijaniu turystyki w okolicy. Tak czy owak ściągnęła go wzrokiem i Abassi, machając ręką w geście po-

witania, ruszył prosto do ich stolika. Kelner pospiesznie się oddalił.

Hotelarz najpierw zwrócił się do Johna, pytając o safari. Mara słuchała zaniepokojona, że tamten może nawiązać do wydarzeń, które miały miejsce pod nieobecność jej męża. Wcześniej musi znaleźć okazję, żeby wytłumaczyć mu wszystko po swojemu. Niepotrzebnie się jednak obawiała. Grzecznościowa wymiana zdań zeszała gładko na temat zdrowia żony pana Abassiego i jego dzieci.

Wreszcie nastąpił kres kurtuazyjnych powitań.

- Przygotowałem większą część zamówienia Kefy - teraz hotelarz zwrócił się do Mary. - Ale nie mam tyle whisky i ginu. Jeszcze w tym tygodniu powinna nadejść nowa dostawa.

Skinęła głową. Nie miała odwagi podnieść oczu na męża. W całej historii Lodge Afrykanom absolutnie nie powierzano się kontroli nad zapasami. Tymczasem człowiek, którego właściciel domu znał jako „chłopca do pomocy”, zamawiał alkohole.

- Nic nie rozumiem - powiedział cicho John. Mara przeknęła ślinę przez ściśnięte gardło. - Co się tu dzieje?

Twarz Abassiego wyraźnie się ożywiła z zaciekawienia, kiedy wyczuł rosnące między nimi napięcie. Kelner, który akurat przyniósł wodę dla Johna, został przy stoliku, żeby popatrzeć, co się dzieje.

- Musimy porozmawiać - rzuciła Mara. - Ale nie tutaj.

Nie patrząc na siebie, duszkiem opróżnili szklanki, podnieśli się od stolika i wyszli z restauracji.

Na podwórzu Wallimohammeda wjechali dwoma land-roverami.

John zdjął z paki plecak i razem ze strzelbą przełożył go do samochodu Mary. Poruszał się w milczeniu, a ona siedziała zapatrzona przed siebie; to miejsce, podobnie jak hotel, nie nadawało się do prywatnej rozmowy. Od czasu do czasu ich spojrzenia się spotykały, lecz tylko przelotnie.

Ulżyło jej, kiedy pojawił się jeden z mechaników, wycierając ręce w wysmarowaną olejem szmatę. John poprowadził go do land-rovera, po drodze tłumacząc mu coś w suahili. Potem podnieśli maskę i obaj pochylili się nad silnikiem.

Mara skryła się przed upałem w cieniu rosochatych konarów cierniowego drzewa. Odczuwała znużenie, a czekająca ją rozmowa napawała zniechęceniem. Żeby rozproszyć dręczące myśli, przywołała wspomnienie swej ostatniej wizyty w tym miejscu i tamtego uczucia przerażenia, pomieszanego z pełnym szacunku podziwem, gdy patrzyła na zburzoną szopę oraz mogiły usypane przez słońce. Była ciekawa, czy znawcy słońi, z którymi był John, słyszeli o podobnych wypadkach. A może mieli w zanadrzu równie niesłychane historie?

Szukała w głowie jakiegoś innego tematu, na którym mogłaby skupić myśli. Przypomniała sobie niedawny wypadek do misji, żeby pożegnać się z Lillian. Kiedy przyjechała, była u niej Helen z dziewczynkami. Rozmowa miała dość ograniczony charakter; aktorka pragnęła już wracać do domu i do swego psa, była wdzięczna Marze oraz rodzinie Hemdenów i smuciła się z powodu rozstania. Mara zwlekała z odejściem, licząc, nie bez pewnej obawy, że uda jej się pożyć sam na sam z Lillian i być może porozmawiać o Peterze. Niestety, okazja do poufnej rozmowy się nie nadarzyła.

Z zadumy wyrwał ją trzask zamykanej maski. John kierował się już do land-rovera, przywołując ją skinieniem. Kiedy się zbliżała, otworzył drzwiczki po stronie kierowcy i zajął miejsce w fotelu. Zatrzymała się w pół kroku. Rzeczywiście, mąż zawsze prowadził, kiedy jeździli we dwoje. Był zdecydowanie bardziej doświadczonym kierowcą. Land-rover zaś, formalnie rzecz biorąc, należał do niego. A jednak, gdy skręciła na miejsce dla pasażera, poczuła, że grozi jej utrata nowo zdobytej odwagi i siły.

Patrzyła, jak za oknem znikają ostatnie zabudowania Kikuyu. Wkrótce samochód wjedzie na teren porośnięty ciernistymi drzewami oraz karłowatymi krzewami i tylko od czasu do czasu miną jakąś samotną glinianą chatę otoczoną ogródkiem.

John kątem oka zerkał na Marę. Teraz, w zaciszu samochodu, wyraźnie czekał na wyjaśnienia.

Nerwowo oblizwała usta. Sceneria nie pasowała do tego, co miała mu do powiedzenia.

- Odłóżmy jeszcze tę rozmowę - zaproponowała. - Możemy się zatrzymać w miejscu na piknik.

Skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Dobrze. Skoro chcesz.

Udała, że nie dostrzega zniecierpliwienia w jego głosie.

- Całe wieki tam nie zaglądałiśmy - zdobyła się na pogodny ton.

To prawda. A jednak był taki czas - dawno temu, gdy jeszcze wspólnie snuli marzenia o przyszłości - że zawsze zatrzymywali się tam w drodze z Kikuyu, delektując się chwilą wytchnienia przed powrotem do nawału obowiązków, jaki czekał ich w domu. Docierali pieszo z piknikowym koszem na swe ulubione miejsce położone w niewielkiej odległości od drogi. Tam z polanki ukrytej pośród spiętrzenia piaskowców patrzyli ponad sawanną na Raynor Lodge. Dom i zabudowania gospodarcze, ścieżki oraz ogrody przypominały makietę wioski. Zupełnie jakby oglądali własne życie z perspektywy innej osoby; wszelkie braki i niedociągnięcia zacierają się z tej odległości.

Mara wzięła głęboki, uspokajający oddech, kiedy land-rover mozolnie toczył się po wertepach. Może - myślała - magia tego miejsca pomoże jej ubrać w odpowiednie słowa to, co należało wyjaśnić. Tak aby nad przyszłością nie ciążyły niedomówienia.

Popołudniowe słońce prażyło ją w odkrytą głowę, kiedy podążała za Johnem wąską ścieżką, wijącą się pośród gęstwin karłowatych ciernistych drzew. On jak zwykle stapał ostrożnie, zręcznie omijając kolczaste gałęzie blokujące ścieżkę. W ręce niósł sztucer. Przy każdym kroku promienie słońca odbijały się w naoliwionej lufie. Błysk metalu przyciągał wzrok Mary. Wiedziała, że musiał zabrać ze sobą broń, mimo że nie odchodzili daleko od land-rovera, bo przecież żaden odpowiedzialny człowiek nie zostawia jej - zwłaszcza magnum 375 z pełnym magazynkiem - w niestrzeżonym samochodzie. Jednak sztucer w rękach Johna zdawał się mieć szczególne znaczenie po dopiero co podjętym przez niego postanowieniu dotyczącym zaprzestania polowań.

Ich miarowym krokom towarzyszyło szczebiotanie wikłaczy budujących gniazda. Milczeli podobnie jak wcześniej, w drodze z Kikuyu.

Wynurzyli się z zarośli na wąski szlak wydeptany przez zwierzęta, który prowadził do wąwozu o stromych ścianach. Ścieżka wiła się, kończąc ślepo za zakrętem. Zwykli tam się chronić w wietrzne dni. Dziś jednak powietrze stało nieruchomo. Zatrzymali się w przy ławie z piaskowca u wejścia do wąwozu, skąd rozciągał się widok na dolinę.

Usiedli dość blisko siebie. Oboje w milczeniu patrzyli na dom. Z tego miejsca nie było widać zmian. Korony akacji zasłaniały platformę widokową, a chata z trzciny wtapiała się w tło. Nic nie wskazywało, że miejsce, które John postanowił zamknąć, w tej chwili tętni życiem.

Mara otworzyła usta, jakby zamierzała się odezwać, lecz nie popłynęły z nich żadne słowa. Pomyślała o dziecku, widząc w wyobraźni maleńki kształt głęboko pod sercem. Dziecko - przekonywała się - z powrotem ich do siebie zbliży. I chociaż szczerze starała się w to uwierzyć, myślami odpłynęła do Petera. Między nimi wszystko wydawało się skończone, a jednak był obecny w każdej jej myśli i w każ-

dym oddechu. Nie miała pojęcia, jak da radę żyć dalej z Johnem, nie mówiąc już o wykrzesaniu miłości do niego. Jak przetrwa ich małżeństwo, jeśli powie mu o Peterze. Postanowiła zachować tę historię w tajemnicy przed mężem. Z drugiej strony zdążyła już poznać konsekwencje niedomówień. Z nagromadzenia niewypowiedzianych słów wyrasta niemożliwy do skruszenia mur. Może powinna wyznać, że wie o Matildzie. Czuła jednak, że to nie zrównoważyłoby zazdrości Johna ani poczucia odrzucenia. W końcu uznała, że odłoży ewentualną konfrontację na jakiś czas - może do narodzin dziecka. Albo jeszcze dłużej. Carlton obiecał, że film trafi do Kikuyu - i mimo że wierzyła Leonardowi, kiedy ją zapewniał, iż nikt nie rozpozna jej w roli Maggie - nie wyobrażała sobie, aby siedząc z Johnem, oglądała scenę, gdzie... Nie, musi mu teraz powiedzieć, nawet jeśli ma prawie pewność, że on nigdy nie zrozumie ani się nie pogodzi z tym, co zaszło.

Milczała, wpatrując się w przestrzeń i czując ogarniającą ją panikę. Nie ma wyboru i nie może dłużej zwlekać. Śledziła lot orła, który unosząc się na rozpostartych złotorudych skrzydłach, powoli zataczał krąg. Wyobraziła sobie, że porywają i unosi daleko od jej życia...

Nagle poczuła dotyk dłoni na ramieniu. Natychmiast zrozumiała ten gest - słuch myśliwego i wyostrzony instynkt wyłowiły coś niepokojącego. Zobaczyła, że John wpatruje się w wejście do wąwozu.

Po chwili zza skał wychynęły żółtawe ciosy, a za nimi szara, lekko zakrzywiona trąba. Stopniowo wyłaniała się reszta - ogromny łeb z malutkimi oczkami, stopy, stawiane z wdziękiem pomimo swej wielkości, potężna klatka piersiowa i uszy w kształcie mapy Afryki.

- Nie jest nami zaniepokojona - wymruczał John, nie ruszając się z miejsca. Mara również siedziała bez ruchu.

Słonica flegmatycznie skubała trawę, zmierzając do wąwozu. Tu i ówdzie omiatała trąbą ziemię. Można się było

domyślić, że chwyta zapach pozostawiony przez dwoje ludzi; szła tą samą ścieżką co wcześniej oni.

Od gigantycznego cielska dzieliło ich niecałe dwadzieścia stóp. Słyszeć było chrzęst ocierającej się o siebie suchej skóry przy każdym stawianym przez zwierzę kroku. Słonica górowała nad krzewami; potężne, majestatyczne stworzenie z pyskiem pooranym głębokimi bruzdami, świadectwem prastarej mądrości.

Mara kątem oka spojrzała na męża. Jego twarz również wyrażała szacunek i podziw. Wymienili zachwycone spojrzenia. Zupełnie jakby zaistniał związek pomiędzy pojawieniem się zwierzęcia i obietnicą Johna, że nigdy więcej nie zabije słonia.

Samica niespodziewanie przystanąła. Czujna, a może rozdrażniona, postawiła ogromne, postrzępione uszy. Dostrzegła ich. Nieznacznym ruchem głowy John dał znak Marze, by podążyła za nim, podniósł sztucer i wstał. Posuwał się powoli ścieżką w głąb wąwozu, a ona naśladowała jego ruchy. Wiedziała, że na końcu jest dróżka pomiędzy skałami - zbyt wąska i stroma dla słonia.

John cały czas przyspieszał, stawiając miarowe kroki. Nagle zatrzymał się bez ostrzeżenia. Mara zza jego ramienia zobaczyła słoniątko, które powoli wyłoniło się zza zakrętu, idąc w ślad za matką.

Chwytając Marę za ramię, John ściągnął ją ze ścieżki. Kolczaste gałęzie ciernistych krzewów napierały na nich ze wszystkich stron, blokując miejsce.

Nastała krótka, elektryzująca cisza. Oczy słonicy zatrzymały się na miejscu, gdzie stało jej małe.

W myślach Mary zadźwięczał głos męża: „Jesteśmy pomiędzy matką i cielakiem. W skalnej pułapce”.

Słonica uniosła łeb, zawzięcie wachlując uszami. Gniewny ryk rozdarł ciszę.

John znowu złapał Marę za ramię i pociągnął w stronę wąskiego przejścia między skałami piaszkowca, przez co

zbliżyli się do słońiatka, a jednocześnie zeszli mu z drogi do matki.

Cielak bez wahania potruczał do słońicy i ukrył się za nią. Mara wypuściła długo wstrzymywany oddech i kiedy z ulgą odwróciła się do męża, rozległ się kolejny, głośny ryk. Słońica szarżowała na nich.

- Uciekaj! - John wskazał wawóz, a sam puścił się biegiem w kierunku zwierzęcia, krzycząc i wymachując sztucem.

Potykając się, odbiegła kilka kroków i w osłupieniu partryła, jak kurczy się odległość między mężczyzną i słońicą.

- John! Wracaj! - krzyknęła.

Zmienił kierunek, nie przestając wymachiwać rękami. Chce ją odciągnąć - zorientowała się Mara. Jak najdalej od niej.

Nagle John stanął. Spojrzał na broń z twarzą wykrzywioną udręką. Widziała u niego wahanie - emocje kłójące się z wpojonym zachowaniem myśliwego. Minęło kilka sekund, zanim podniósł sztucer i złamał go, opierając o biodro. Odciągnął zamek, załadował magazynek i pchnął zamek do przodu. Przykładając lunetę do oka, wycelował. Zanim jednak pociągnął za spust, szarpnął lufą, celując nią znacznie ponad głową zwierzęcia.

Huk wystrzału przetoczył się echem przez dolinę.

Słońica podrzuciła łbem i młóćąc trąbą powietrze, wydała wściekły ryk. Obniżyła kły i ruszyła przed siebie.

Mara patrzyła, jak John gorączkowo przeładowuje broń. Wiedziała, że jest już za późno - zwierzę było zbyt blisko. Z przerażeniem obserwowała, jak słońica rzuca się na niego.

Potężna trąba jednym machnięciem owinęła się wokół ramienia Johna i wyrzuciła go w powietrze. Sztucer poleciał w bok, jak patyk pochwycony przez wiatr. Z ust mężczyzny wydarł się krótki, zdławiony krzyk. Towarzyszył mu głuchy łoskot ciała ciśniętego o ziemię.

Sparaliżowana strachem Mara z trudem chwyciła po-

wietrze. Jakaś cząstka jej osoby nakazywała biec do męża. A jednocześnie wewnętrzny głos podpowiadał, że nie wolno jej wystawiać się na niebezpieczeństwo. Ani narażać dziecka. Ich dziecka.

Słonica uniosła stopę i zatrzymała ją w powietrzu na ułamek sekundy, jakby się namyślała. A potem opuściła ją, miażdżąc bezwładne ciało. Mara odwróciła się twarzą do liwej ściany wąwozu. Wstrząsnął nią szloch; przerażenie odebrało władzę w członkach. Grudki piaskowca odrywały się od skały, gdy bezskutecznie próbowała się na nią wdrapać.

Słyszała i... czuła zbliżające się stąpanie olbrzyma. Rozpaczliwie obmacywała skały, na darmo szukając drogi ucieczki.

Ogarnął ją dziwny spokój. Wiedziała, że zbliża się śmierć.

Odwróciła się do słonicy, wsparta plecami o skały. Serce tłukło się jej w piersi. Dostrzegała nieważne szczegóły: kolor nieba, chropowatość kamienia pod plecami, luźną skórę zwierzęcia fałdującą się podczas ruchu. Zmysły natarczywie domagały się wrażeń. Ostatni ssący głód, zanim ciemności...

Powoli dotarło do niej, że słonica zwalnia. Uszy nadal łopotwały, ich postrzępione brzegi wachlowały powietrze. Mara wrośnięta w ziemię wpatrywała się w zbliżające się końce kłów. Zacisnęła dłonie na brzuchu, jakby coś kazało jej wierzyć, że ochroni w ten sposób miejsce, gdzie właśnie kiełkuje życie.

Słonica zatrzymała się kilka stóp przed nią. Wysunęła ku niej uniesioną trąbę. Błede nozdrza badały dzielącą je przestrzeń, zbliżały się, lecz nie dotykały. Przesunęły się wzdłuż twarzy, a potem piersi i zawisły nad dłońmi ciągle obejmującymi brzuch.

Mara spojrzała w górę, prosto w oczy zwierzęcia. Osłonięte długimi prostymi rzęsami, były ukryte w fałdach skóry. Połyskiwały wilgotno, odbijając światło.

I nagle bury łeb z trąbą zaczął się oddalać kołyszącym ruchem. Masywna pierś malała.

Słonica się wycofywała.

Mara oparła głowę o skałę i ledwo mogąc oddychać, parzyła, jak słoniatko rusza w ślad za matką i oboje zmierzają do wylotu wąwozu.

Powoli podeszła do miejsca, gdzie leżał John. Ogarnęła wzrokiem nieruchomy kształt, wzdrygając się na widok krwawych szczątków, i zatrzymała spojrzenie na twarzy. Pozostała nietknięta, bez grymasu strachu czy bólu. Wargi lekko rozchylone, oczy zamknięte. Gdyby nie strużka krwi sącząca się z kącika ust, można by pomyśleć, że John śpi.

Przykłęła i drżąca dłonią dotknęła jego policzka, ciepłego i miękkiego. Wyglądał tak młodo. Przypominał chłopca, który położył się tutaj, udając ofiarę dziecięcych igraszek. Zaraz się uśmiechnie, usiądzie i wróci do zabawy.

Cichy jęk wydobył się z gardła Mary. Potrząsnęła głową, jakby chciała zaprzeczyć, że to wszystko jest prawdą. Zaciśnięta powieki, lecz przed jej oczyma raz po raz przesuwała się scena ataku, uporczywie zmierzając do tego samego upiornego finału.

Łzy spłynęły jej po policzkach. Patrzyła przez mgłę łez wdzięczna, że zasnuwa widok ociekającej czerwienią piersi Johna.

Myśli formowały się w głowie - jasne i proste - jak urywki komunikatu: Mógł zabić słonicę, zamiast próbować ją spłoszyć. Odciągnął ją ode mnie. Chciał mnie uratować.

Wiedziała, że te myśli będą ją prześladować przez wiele lat, a może nawet do końca życia. Podobnie jak wspomnienia tego, co ich łączyło i na zawsze zostało utracone. Bolała świadomość, że tyle spraw pozostało niewyjaśnionych, tyle słów niewypowiedzianych.

Jedna z nich była szczególna.

Kłęcząc, pochyliła się nisko nad mężem. Liczyła, że być może pozostał w nim przebłysk świadomości, że jego dusza krąży w pobliżu, że on jeszcze słyszy.

- John, jestem w ciąży. Noszę twoje dziecko.

Patrzyła na jego oczy, teraz zamknięte, na zawsze. Pamiętała, że kiedy były jasne i pogodne, miały odcień nieba. I że ostatnio zbyt często zasnuwał je smutek i ból.

Wszystko skończone.

Wpatrywała się w twarz Johna, chłonąc wszystkie tak dobrze znane szczegóły: wargi, lekko spierzchnięte po wielu tygodniach spędzonych na dworze; blizny po skaleczeniach z dzieciństwa, które pozostały, bo nie założono szwów; gęste jasne włosy. Zamknęła ten obraz w pamięci. Pomimo rozpacz i szoku wiedziała, że nadejdzie taki dzień, kiedy dziecko, stojąc przy niej, będzie słuchać opowieści o śmierci ojca. Musi zatrzymać tę chwilę na zawsze; jest to winna i mężowi, i temu dziecku.

To jest twój ojciec. Jesteś obecny przy jego śmierci. To cały czas, jaki przyszło ci z nim spędzić - mówiła do niego w duchu.

Uwagę Mary przyciągnął cichy łopot. Na pniu suchego drzewa przysiadł sęp, starannie składając strzępiaste skrzydła. Patrzyła drętwo na ogromnego ptaka - ostateczny dowód, że pojawiła się śmierć. Wpadła w szal. Podniosła odłamek skały i cisnęła nim w sępa. Kamień odbił się od pobielającego na słońcu drewna, ptak wzbił się w powietrze, pokrzyżył chwilę i usiadł w tym samym miejscu.

- Uciekaj! - wrzasnęła. Okrzyk niósł się echem po dolinie, podobnie jak wcześniej wystrzał, i wrócił, żeby ją prześladować.

- Uciekaj! Uciekaj!

Ptak nie ruszył się z miejsca; głodne oczy patrzyły czujnie, zakrzywiony dziób czekał w gotowości. Po chwili dołączył drugi. A po nim nadleciał trzeci.

Wiedziała, że prędzej czy później musi wrócić do land-rovera i zostawić Johna. Nie uniosłaby go. Obłoży twarz kamieniami, żeby osłonić oczy przed sępami, i najszybciej, jak to możliwe, wróci po niego z ludźmi ze wsi - z jego tra-

garzem broni i z innymi, którzy będą gotowi zająć się ciałem. Nie odwiezie Johna do biura komisarza regionalnego w Kikuyu, chociaż tak właśnie powinna postąpić. Zabierze go do Raynor Lodge, do miejsca, które kochał. Do jego domu.

Ale jeszcze nie teraz. Zostanie tu i odpędzając gromadzące się roje much oraz sępy, spróbuje zatrzymać czas. W luce, którą stworzy pomiędzy tym, co się stało, a tym, co ją czeka, zbierze siły.

„Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Jesteś silną kobietą” - powróciły do niej słowa Petera. Chwytała je jedno za drugim i tuliła do piersi jak tarczę.

18

Afrykanie zaczęli się schodzić przed świtem; niczym zjawy wyłaniaли się z ciemności, wnikając w krąg światła otaczający Lodge. Mara siedziała w głowach trumny ustawionej na kozłach na werandzie. Roztrzęsiona i bezradna, szykowała się do witania żałobników. Ulgę sprawiała jej obecność Kefy i Menelika stojących niczym wartownicy po jej obu bokach. Przez ostatnią dobę nie odstępowali jej na krok - gdy zamawiała trumnę u sikhijskiego stolarza w Kikuyu i potem, kiedy ściągała doktora Hemdena, żeby wypisał świadectwo zgonu. Wyręczyli ją nawet w przygotowaniu ciała Johna do pochówku. Planowała sama się tym zająć. Z naręczem ręczników i misą wody podeszła do łóżka, zbierając się w sobie, aby podnieść pled i zdjąć strzępy koszuli z potwornie zmasakrowanego ciała. Stała tam całą wieczność, niezdolna do najmniejszego gestu. Z odrętwienia wyrwał ją chłodny i pewny dotyk dłoni na ramieniu. Menelik delikatnie wyjął ręcznik z jej drżących palców.

- *Si kazi yako* - powiedział stanowczo jak do dziecka. - Zostaw to nam.

Popatrzyła na trumnę. Twarz Johna okrywał cień, lecz

ciało, owinięte w biały etiopski szal obrzeżony czarnym haftem, zdawało się świecić w półmroku. Ze spowitej całości nieruchomej postaci zdawał się emanować głęboki, posmiertny spokój.

Mara skinieniem głowy przyjmowała składane półgłosem kondolencje. Pośród żałobników rozpoznała sporo ludzi z pobliskiej wioski. Dzisiaj zastąpili zwykłe koszule i spodnie opaskami na biodra lub *kitengami*, niektórzy z nich pokryli błotem twarz i ciało. Część przyszła w garniturach. Przemieszani, wyglądali jak uczniowie skrzyknięci z różnych szkół. Pojawiła się też grupa mężczyzn, których Mara nigdy przedtem nie widziała; ubrania mieli pokryte kurzem, a na ramieniu nieśli wędrowne kije.

- Szli tu przez całą noc - skomentował Kefa.

Uśmiechnęła się z uznaniem. Cieszyło ją, że tylu ludzi przyszło oddać Johnowi ostatnią posługę. Była świadoma, że niektórzy czynili to z uprzejmości, a nawet ze zwykłej ciekawości. Wiedziała jednak, iż większość dobrze go znała. Często jeszcze jako młodzieńca. A potem byli świadkami, jak dorastał, by w końcu zostać *bwaną* Raynor Lodge. Słuchali jego poleceń - nierzadko wydawanych szorstkim tonem - i wyciągali ręce po zapłatę. Towarzyszili mu również podczas wędrówek w buszu, spożywali posiłki przy wspólnym ognisku, snuli myśliwskie opowieści i razem z nim stawiali czoło zagrożeniom na szlaku. Jak Mara sądziła, pomimo skomplikowanych relacji społecznych panujących w tym kraju, prawdopodobnie należeli do najbliższych przyjaciół Johna.

Nowo przybyli trwali przez chwilę nieruchomo nad trumną, wpatrzeni w twarz i w biały kokon ciała. Niektórzy pochylali się i do rosnącej w nogach trumny kolekcji dokładali różne drobne przedmioty - skórzany worek, flaszkę z naftą. Jako pierwszy postąpił tak tragarz broni; włożył do trumny emaliowany kubek oraz łyżkę i widelec z niezbednika Johna.

- *Vifaa vya safari* - wyjaśnił Marze. - Konieczne na safari.

Menelik wsunął pomiędzy fałdy szala kawałeczki kadzidłanej żywicy. Kefa zaś zapytał Marę, w co ona zamierza wyposażyć Johna. Wybrała jego ukochaną powieść, *Kopalnie króla Salomona*. Teraz, kiedy patrzyła na cienką, mocno podniszczoną książkę, wciśniętą przy ścianie trumny, przypomniała sobie, jak otwierając ją, zobaczyła na tytułowej stronie nazwisko Johna wypisane niewprawnym, dziecinnym pismem. Na myśl, jaki samotny i odrzucony przez rodziców musiał się czuć w tamtej szkole z internatem, ścisnęło się jej gardło. Podniosła wzrok znad trumny i podążyła spojrzeniem ku ścianie w jadalni, gdzie wisały pamiątki po Billu Raynorze. Poczuła głęboką wdzięczność dla starego myśliwego za miłość, jaką obdarzył swego młodego praktykanta, gdy ten znalazł w końcu sposób, żeby powrócić do Afryki.

Procesja żałobników przesuwawała się jednostajnie, a ona siedziała ze wzrokiem utkwionym w grzbiet książki. Nagle zapragnęła włożyć do trumny coś, co ją z Johnem łączyło. Przeprosiła gości i poszła do jadalni. Tam, na gzymsie kominka, leżał kamień, który znaleźli razem podczas wyprawy na safari w pierwszym roku małżeństwa. Mara, zaciekawiona jego mlecznozieloną barwą, wskazała bryłkę Johnowi. Gdy ją podniósł i obrócił w dłoniach, ujrzeli we wgłębieniach ciemnoczerwone, przezroczyste kryształki.

- To rubin - orzekł. - Słyszałem, że można tu na nie trafić.

Trzymając bryłkę pod światło, oglądali jeden z najcenniejszych szlachetnych kamieni. Jego wnętrze znaczyło mnóstwo drobnych pęknięć.

- Nie ma żadnej wartości - stwierdził John.

- Nieprawda - zaprzeczyła Mara. - Jest piękny.

Wtedy uśmiechnął się do niej.

- Jak rozumiem, będziemy go taszczyć aż do domu. - Mówiąc to, pochylił się i schował kamień do plecaka. Po po-

wrocie położyli go na kominku jako jedyny dodatek do kolekcji Raynorów. Goście czasami o niego pytali.

- To skarb Mary - zwykł mawiać John. - Jest wart majątek.

Z kamieniem zamkniętym w dłoniach przeszła z powrotem przez jadalnię. W bawialni przystanęła, dostrzegając dużą fotografię, którą ostatnio powiesił tam Kefa.

Lillian Lane i Peter Heath stali razem pod łukiem z ciosów, w wejściu na teren Raynor Lodge.

Mara zatrzymała wzrok na twarzy Petera. Dłonie bezwiednie zacisnęły się na chropawej powierzchni kamienia. Niespodziewanie ogarnęła ją tak wielka tęsknota za jego kojącą obecnością, że na chwilę zaparło jej dech. Ta tęsknota nie budziła wyrzutów sumienia. Dwa różne uczucia istniały w niej równolegle, nie kolidując ze sobą. W jej sercu było miejsce i dla Petera, i na ból po stracie Johna.

Przez moment stała nieruchomo, oszołomiona własnymi emocjami. A potem je stłumiła. I John, i Peter odeszli - upomniała się. Została sama. I sama musi sobie radzić.

Wzięła głęboki oddech i wróciła na swoje miejsce przy katafalku. Pochylając się nad trumną, z włosami opadającymi na twarz, delikatnie włożyła kamień do środka - nie obok innych przedmiotów u stóp Johna, lecz po lewej stronie owiniętej całunem piersi, blisko serca.

Poranne słońce odbijało się w wypolerowanych deskach trumny, gdy ustawiono ją obok grobu na palecie przykrytej liśćmi bananowca. Nieopodal dwa kamienie nagrobne znaczyły miejsce pochówku Raynorów: Alice, z prostą hebanową tabliczką, oraz Billa, z grawerowaną, mosiężną. Mara stała przy trumnie, wpatrzona w sawannę, próbując z tego widoku czerpać spokój i ukojenie.

Za plecami słyszała odgłosy tłumu: szmer rozmów, pokasywanie, kwilenie niemowlęcia. Do Afrykanów, którzy wcześniej stawili się w domu i pokonali pieszo krótki od-

ciniek drogi za trumną wiezioną przez nią w land-roverze, dołączyli kolejni żałobnicy. I chociaż stała do nich tyłem, oczyma duszy widziała rzędy przygnębionych twarzy. Przyjechała Bina. Otoczona krewnymi, u boku swego drobnego męża, wyglądała potulnie w skromnym pastelowym sari. Stawiła się również grupa ludzi z misji, w tym cała rodzina Hemdenów. Dziewczynki, ciche i zalężnione, tuliły się do Helen. Zjechało się mnóstwo mieszkańców Kikuyu; byli pośród nich przedstawiciele różnych urzędów, Abassi wraz z grupką pracowników hotelu, a nawet Wallimohammed. Zjawiono się też trzech podstarzałych Europejczyków, sądząc z wyglądu: zawodowych myśliwych. Marę zastanowiło, czy przypadkiem nie poproszą o zgodę na wyrucie motta ich stowarzyszenia na nagrobku Johna. *Nec timor, nec temeritas*. Ciekawe, co by pomyśleli, wiedząc, że John nie zginął przez strach ani przez brak rozwagi, lecz zapłacił życiem za pragnienie dochowania danego słowa.

Ktoś położył jej dłoń na ramieniu.

- Czas zacząć.

Kiedy odwróciła się do żałobników, przed zgromadzonych wysunął się pastor z Kikuyu. Odczytał psalm, recytując każdy wers po angielsku i powtarzając go w suahili. Potem odmówił prostą modlitwę. Kiedy skończył i wsunął zamknięty modlitewnik pod pachę, ludzie odwrócili się ku trumnie, przekonani, że teraz zostanie złożona do grobu. Tymczasem Mara skinieniem głowy dała znak tragarzowi broni Johna. Tłum zareagował na ten gest zaskoczonym pomrukiem. Stary człowiek - wysoka, chuda postać w starannie wyprasowanym stroju myśliwskim - wystąpił przed żałobników. W swym przebraniu kronikarza safari uniesioną ręką wskazał horyzont, jakby zwracał się do zmarłego w królestwie niebieskim, w którym teraz przebywał, i głosem drażniąco wysokim, a zarazem czystym i mocnym, wyśpiewał historię jego życia.

Kiedy ostatnie słowa kronikarza wybrzmiały w nierucho-

mym porannym powietrzu, tragarze dźwignęli trumnę z bananowych mar i przenieśli nad grób. Gdy spuszczała ją do ziemi na mocnych sizalowych linach, afrykańskie kobiety zaczęły zawodzić i łkać. Tłum poddał się emocjom i płacz stawał się coraz głośniejszy i bardziej rozpaczliwy. Mara rozumiała, że nie wyrażali jedynie żalu z powodu śmierci Johna. To był lament wywołany wszystkimi smutkami życia - wycierpianymi stratami i uczuciem pustki po tym, co nigdy się nie wydarzyło i nie wydarzy. Ten zbiorowy ból mieszał się z jej bólem i spływał dziwnym spokojem w jej duszę.

Na stołach w jadalni stały bezładnie filiżanki, spodki i szklanki. Pośród nich, niczym siedem okrętów zakotwiczonych na morzu chaosu, tkwiło siedem ozdobnych, srebrnych pater z resztkami hinduskich, słodkich i pikantnych, przekąsek dostarczonych przez Binę. Obsiadły je osy, zwabione zapachem cukru.

Właśnie wyszli ostatni goście, i chłopcy z obsługi zabrali się do sprzątania. Mara ruszyła, żeby im pomóc. Kiedy zaczęła zbierać filiżanki, popatrywali na nią niespokojnie.

- *Memsahib* jest zmęczona - odezwał się starszy z nich. - Powinna odpocząć.

Uśmiechnęła się, wzruszona ich troską. Jednocześnie domyślała się, że bronią swojej pozycji. Nie chcieli, aby Mene-lik zobaczył, że ona pomaga im w obowiązkach. Przeszła więc do bawialni i usiadła na jednym z trzciniowych foteli. Oparła głowę o poduszkę i przymknęła powieki. Chociaż padała z nóg ze zmęczenia, absolutnie nie byłaby w stanie zasnąć. Adrenalina, która pozwoliła jej przetrwać pogrzeb i stypę, nadal musowała w żyłach. Strzępy odbytych rozmów odbijały się echem w głowie.

- A więc wracasz do Australii - zawyrokowała Bina, jak gdyby powrót owdowiałej żony na łono rodziny był czymś z góry przesądzonym. - Będzie mi ciebie bardzo brakować.

- Zamieszkać z nami w misji - zaproponowała Helen, jakby Raynor Lodge po śmierci Johna nie było dłużej jej domem.

- To nie jest dobry czas na podejmowanie jakichkolwiek decyzji - orzekł doktor Hemden.

Mara była świadoma, że wszyscy bacznie obserwują jej reakcje. Oczywiście wydawało im się, że doskonale rozumieją jej położenie, a tymczasem najważniejsza sprawa, która stanowiła o jej dalszym życiu - była wyłącznie jej tajemnicą.

Teraz, siedząc w fotelu, wyobraziła sobie swoją macicę wtuloną w ciało. Wiedziała, iż wiele kobiet bardzo długo nie orientuje się, że są w odmiennym stanie, lecz ona nie miała wątpliwości. Czuła to w sercu, w ciele, we krwi. Wyobraziła sobie, jak dziecko rośnie, a ona przemienia się w kogoś innego. W matkę...

Zapach świeżo zaparzonej kawy kazał jej otworzyć oczy. Menelik przysunął stół, żeby postawić filiżankę. Wpatrywała się w nią przez chwilę.

- Przepraszam, ale nie będę pić kawy - powiedziała.

- Naturalnie - odrzekł szybko, gotów się wycofać. - Odpędzi sen. Lepiej się dobrze wyspać.

- Nie w tym rzecz. - Pokręciła głową. - Nie odpowiada mi już ani jej smak, ani zapach.

Lekko ściągnął rysi, wyraźnie urażony.

- Jestem w ciąży. - Podniosła głowę i pochwyciła jego spojrzenie. - Noszę dziecko Johna.

Menelik w skupieniu, patrząc jej w oczy, powoli pokiwał głową. A potem szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- To naprawdę dobra nowina! Kiedy umiera bezdzietny mężczyzna, jego życie się kończy. Ale jeśli nasienie zostanie zasiane, pozostaje. A żona nie jest samotna.

Mara uśmiechnęła się, chłonąc jego słowa.

A żona nie jest samotna.

Zapadła między nimi serdeczna cisza. Z jadalni docho-

dził brzęk zbieranej porcelany. Kefa łagodnym głosem skarcił któregoś z chłopców. Chwilę później wszedł do bawialni. Na widok Menelika i Mary patrzących na siebie w milczeniu chciał się wycofać.

- Przepraszam.

- Nie, nie, wejdz. - Ruchem ręki wskazała wolne miejsca. - Siadaj, proszę. Obaj usiądźcie.

Widziała, jak wymieniając niespokojne spojrzenia, sztywnym krokiem skierowali się do foteli.

- Chcę wam powiedzieć, że nie zamierzam wyjeżdżać z Raynor Lodge - oznajmiła. - Wszystko będzie wyglądać tak jak dawniej.

Kefa z ulgą przymknął na moment oczy.

- Oczywiście, o ile dalej będziecie pełnić swoje funkcje - dokończyła. - Potrzebuję waszej pomocy. - Odwróciła się do nowego zarządcy. - Jestem w ciąży. Noszę dziecko Johna.

Oczy Kefy zrobiły się okrągłe, jakby miał kłopot z pojęciem znaczenia tych słów.

- *Memsahib* będzie chciała urodzić swe pierwsze dziecko w domu matki.

Pokręciła głową.

- Chcę, żeby moje dziecko urodziło się tutaj, w Tanzanii, w domu Johna.

Menelik w zamyśleniu przechylił głowę na bok.

- W takim razie - odezwał się po chwili - użyję słów *bwany* Carltona. Potrzebny jest plan B.

- Plan B? - zdziwiła się.

- To proste. Musi *memsahib* sprowadzić matkę.

Cichy śmiech wyrwał się z ust Mary.

- Niemożliwe.

Menelik wydawał się zaskoczony.

- *Memsahib* mówiła, że ma wielu krewnych, dużo braci. Mężczyzna też może pracować w domu, jeśli zachodzi taka potrzeba.

Pokiwała głową. Racja. Co prawda bez gospodyni czuwającej nad gospodarstwem Hamiltonów pożywne posiłki zastąpi mięso z grilla oraz jajka na bekonie, lecz nikt nie umrze z głodu. I chociaż dom pod kupą brudnych rzeczy zmieni się pewnie w chlew, nie wyniknie z tego żadna większa szkoda. Wydatki też nie powinny stanowić problemu; farma od lat dobrze prosperowała.

- To kawał drogi - zauważyła.

Kefa rozłożył dłonie.

- Skoro obcokrajowcy przyjeżdżają tutaj dla rozrywki, to kobieta, która ma zostać babką, chyba może się udać w taką podróż?

Mara w zadumie zapatrzyła się w podłogę. W jej głowie coraz wyraźniej kształtowała się pewna wizja. Zobaczyła, jak Lorna przechadza się po Lodge, zrywa kwiaty, wymienia przy kuchennym stole przepisy z Menelikiem, a nawet udaje się na spacer do Lion Rock. Przeżywa przygodę, którą wymarzyła dla swojej córki. Gdy Mara podniosła głowę, w jej oczach błyszczały łzy tęsknoty.

- Zapytam ją. Może przyjedzie.

- Przyjedzie - stwierdził Menelik z takim przekonaniem, że przyjazd matki wydał się Marze tak oczywisty jak fakt, że po nocy nastaje dzień.

Uśmiechnęła się. Popatrzyła na swoich współpracowników. Jakie to szczęście - pomyślała - że obaj czuwają nad nią wraz z innymi ludźmi, którzy teraz stali się częścią jej życia w Lodge. Przyszła jej na myśl Bina; alez będzie szczęśliwa, kiedy Mara podzieli się z nią nowiną! I Helen, która służyć jej będzie wieloma pożytecznymi radami. A dziewczynki na pewno pokochają maleństwo.

Utraciła Johna. Peter nigdy nie mógłby do niej należeć. Ale nie jest samotna.

Epilog

Pomarańczowe kwiaty sterczały niczym dzidy spomiędzy ostro zakończonych liści aloesów, rosnących na skalistym zboczcu wzgórza. Mara patrzyła na nie z góry. Siedziała na drewnianej ławeczce przycupniętej pomiędzy rzewniami. Za jej plecami piętrzyły się potężne granitowe głazy Whaler's Lookout. Czuła ich obecność, wiekową i masywną, stanowiły osłonę przed wichurami z południa.

Wychylając się z ławeczki, popatrzyła na drewniany domek u stóp wzgórza. Podziwiała jego prostą, elegancką formę i symetrię okien z sześcioma szybami po obu stronach wejściowych drzwi. Prześliznęła się spojrzeniem po solidnym kominie i zatrzymała wzrok na plamach rdzy na blaszanym dachu od strony morza i obluzowanej rynnie. Uśmiechnęła się smętnie do siebie. Kiedy wprowadzała się do tego domu przed ośmioma miesiącami, nie zdawała sobie sprawy, ile różnych napraw ją czeka. Bracia chcieli przyjechać i obejrzeć posesję, zanim podpisze umowę, ale się nie zgodziła. Cokolwiek by powiedzieli, i tak kupiłaby ten dom. Decyzja zapadła w chwili, gdy sięgnęła wzrokiem poza werandę, na której umieszczono tablicę z wyblakłym napisem: „Na sprzedaż”. Miała przed sobą egzotyczną dżunglę z sizalu, opuncji, bugenwilli oraz aloesów, a wszystko posadzone kilka pokoleń temu i bujnie rozkrzewione w kamienistej ziemi. Kiedy pierwszego ranka wspięła się na wzgórze, natychmiast poczuła się u siebie. To miejsce przywodziło jej na myśl Afrykę.

Przesunęła się na ławeczce jeszcze odrobinę i spojrzała poza swoją parcelę na wieś i pas przybrzeżny. Dobrze znany krajobraz. Miała stąd widok na trawiasty teren, gdzie kiedyś harcerki rozbijały obóz - miejsce tyłu beztroskich wspomnień z dzieciństwa. Teraz znajdował się tam nadmorski rezerwat; rodzime krzewy wyrosły w miejscu leciwych sosen,

lecz skały i wydmy wyglądały dokładnie tak samo, jak je zapamiętała. Natomiast sama wioska Bicheno nieco się od tamtej pory rozrosła. Otwarto nowe sklepy i założono firmy, powstała też nowa dzielnica, ale rozwój nie ujął uroku temu miejscu. Mara powiodła spojrzeniem po dachach domów rozrzuconych wzdłuż linii wybrzeża, a potem przeniosła je na biały rogal plaży. Rybackie łodzie o jaskrawych kadłubach stały zacumowane w zatoce. W oddali z turkusowego morza wyłaniała się Diamond Island o skałach pokrytych pomarańczowym porostem. Uśmiech wypłynął na jej twarz. Krajobraz był taki piękny. A od kiedy została właścicielką tego skrawka wzgórza, naprawdę czuła się tu u siebie.

Objęła się ramionami, bo zaczęła dygotać z zimna, patrząc, jak słońce osuwa się po zachodniej stronie nieba. Miała na sobie tylko cienką koszulę i dżinsy. Dzień był słoneczny i ciepły, lecz teraz powiewało od morza chłodem zimowej nocy.

Szykowała się, by zejść ze wzgórza, gdy doszedł ją warkot silnika. Rzuciła okiem na drogę wiodącą wzdłuż linii domków i zobaczyła podjeżdżający samochód - lśnił i wyglądał na nowy. Zanim rozpoznała tablice rejestracyjne wypożyczalni, domyśliła się, że jadą nim turyści z głównego lądu. Lubili, krążąc powoli, oglądać tutejsze posesje. Mara skuliła się na ławeczce i schowała za gałęzie drzewka herbacianego. Już słyszała te komentarze na temat zaniedbanego wyglądu domu w zachwaszczonym ogrodzie. Mogą uznać, że właściciel nie ma do niego serca, i zapytać, czy przypadkiem nie chce go sprzedać. Niestety, zjawili się za późno. Ta myśl sprawiła jej ogromną przyjemność. To miejsce należało do niej. I za żadne skarby z niego nie zrezygnuje.

Pedałowała główną ulicą, podzwaniając łańcuchem wysłużonego roweru. Wraz ze świeżym powietrzem wdychała zapach ziół płynący z koszyka zaczepionego na kierownicy. Właśnie zerwała ich cały pęk i wraz z zimowymi jarzynami

wiozła do restauracji, gdzie pracowała. To część jej pierwszego zbioru. Zaraz po przeprowadzce zabrała się do zakładania ogródka - wytyczyła pas żyznej ziemi u stóp wzgórza i ogrodziła go przed oposami i borsukami. Posadziła trochę kwiatów: lawendę, aksamitki oraz krzew czerwonego hibiskusa, lecz przede wszystkim obsiała grządki ziołami i warzywami, które planowała sprzedawać we wsi. Teraz, jadąc, spoglądała na kosz. Jak na tę porę roku szpinak i rukola pięknie obrodziły, lecz zioła - mięta, pietruszka, szałwia i tymianek - wyrosły dość słabo. Miała nadzieję, że Chantal, właścicielka restauracji i jednocześnie szefowa kuchni, nie będzie rozczarowana. A gdyby jednak była, niewątpliwie otwarcie jej to powie. Podczas ostatnich sześciu miesięcy, odkąd Mara zaczęła dzielić obowiązki kelnerki z jej nastoletnią córką, szczerze się polubiły. Z początku uważała to zajęcie za tymczasowe, widziała w nim sposób na wrośnięcie w tutejszą społeczność. Obecnie praca u Chantal dawała jej tyle radości, że nie miała zamiaru z niej rezygnować.

Jadąc po długim łuku drogi do wsi, minęła zaniedbany kompleks hotelowy na skraju zatoki. Skrzydła mieszkalne ziały pustką, nikt dłużej nie chciał zatrzymywać się w hotelach; turyści woleli umeblowane apartamenty, pensjonaty oferujące nocleg ze śniadaniem oraz schroniska. Natomiast bar nadal stanowił centrum lokalnego życia towarzyskiego. Z okien sączyło się żółte światło. Mara wyobraziła sobie panujący tam tłok, ogorzałe twarze rybaków powracających z morza, szmer rozmów i przytulną atmosferę, jaką tworzyły płonące polana w dwóch kominkach.

Kiedy przejeżdżała obok nieużywanej murawy do gry w kule, popłynął ku niej ciężki zapach palonych eukaliptusów. Przyniósł ze sobą wspomnienie Raynor Lodge, gdzie dym z przydomowych ognisk witał ją o świcie i żegnał wieczorem. Ogarnęła ją nostalgia. Zapragnęła z powrotem znaleźć się w domu, który opuściła przed dwunastu laty, lub przynajmniej mieć przy sobie kogoś, kto rozumiał jej więzy

z tamtym miejscem. Z synem Jessem mieli mnóstwo wspólnych wspomnień, lecz on niedawno się ożenił i wyjechał do pracy w Melbourne. Oboje z Sarą namawiali ją, żeby się tam przeniósła i zamieszkała gdzieś w pobliżu, znaleźli nawet dla niej niewielki szeregowy domek w Carlton. Propozycja była kusząca; od narodzin Jessego byli bardzo ze sobą związani i z trudem wyobrażała sobie życie bez codziennych kontaktów z synem. Wiedziała jednak, że nadeszła pora, żeby się wycofać i pozwolić mu pójść własną drogą.

Był taki czas, kiedy wspomnienia o życiu w Raynor Lodge mogła snuć z matką. Godzinami rozmawiały o podróży, którą Lorna odbyła, żeby być przy narodzinach wnuka. O tym, jak z początku obie odczuwały skrępowanie po tylu latach dzielących je, skomplikowanych rodzinnych relacji. Potem z uśmiechem wspominały fakt, że nie miały zbyt wiele czasu na przejmowanie się uczuciami, bo Lorna nawet nie zdążyła rozpakować walizek, gdy Mara, dwa tygodnie przed terminem, poczuła bóle porodowe.

Wróciła myślami do tamtego pamiętnego dnia. Kiedy tylko zaczęły się skurcze, wyruszyli do szpitala w misji nowiutkim land-roverem. Kefa prowadził, a Mara i Lorna siedziały obok niego. Poród szybko postępował i w połowie drogi było już jasne, że nie dojadą. Afrykanin zaparkował samochód na poboczu. Pomógł wysiąść Marze, obszedł auto, złożył tylne fotele, a na podłodze rozpostarł *kitenge*.

- Wiesz, co robić - zwrócił się do Lorny, po czym dyskretnie się oddalił.

Oczy kobiety zrobiły się ogromne z przerażenia, ale głos pozostał opanowany.

- Wiem, co robić - potwierdziła, jakby chciała przekonać samą siebie. - Urodziłam ich siedmioro. Wiem, co robić...

Mara, zamroczona bólem, jak przez mgłę słyszała, że matka odmierza czas pomiędzy skurczami i każe jej oddychać. Pomiedzy falami miazdzącego bólu czuła na głowie

kojący dotyk jej dłoni i słyszała krzepiący, spokojny głos. Cierpienie wydawało się nieustępliwe i daremne, aż nagle, bez ostrzeżenia, poczuła, że musi przeć. Zaledwie parę minut później Lorna przyjęła na świat małego chłopczyka i położyła go na nagim brzuchu jego matki.

- To chłopiec - oznajmiła. - Śliczny, malutki chłopczek.

Mara przez dłuższy czas nie mogła oderwać oczu od noworodka - po prostu przyglądała się w zadziwieniu maleńkim rączkom, różowym piętkom, jasnym włoskom przyklejonym do główki. Kiedy pierwszy płacz rozdarł powietrze, popatrzyła w górę, w oczy Lorny. W tej samej chwili między matką i córką nawiązała się głęboka więź i natchnęła je siłą. Mara czuła, jak ta sama siła obejmuje niemowlę, tego małego człowieczka, który był częścią ich obu, a jednocześnie kimś osobnym i niepowtarzalnym.

- Jest taki śliczny - wymruczała, dotykając zwiniętych piąstek.

- Ty też byłaś ślicznym noworodkiem - powiedziała Lorna.

- Wszystko dobrze? - doszedł je głos Kefy.

Mara uśmiechnęła się, tuląc policzek do pokrytej puszką główki. Spojrzała na Lornę oczami zamglonymi od łez.

- Powiedz mu, że tak. Jest dobrze. Bardzo dobrze.

A potem się odwróciła i przez otwarte tylne drzwi land-rovera skierowała wzrok na niebo. Wezbrała w niej wielka radość pomieszana z bólem.

John, to twój syn. Twój mały chłopczyk.

Przez resztę pobytu w Raynor Lodge Lorna pozostawała pogodna i beztroska. Nie widać było u niej oznak zmęczenia, znikły gdzieś bóle głowy. Najwyraźniej zmieniło ją doświadczenie narodzin i posłużyła ucieczka od domowych obowiązków. Uczyła Marę pielęgnować Jessego albo pomagała Menelikowi w kuchni. Razem z Dudu chodziła po warzywa do *shamby* i układała w wazonach cięte kwiaty.

Kiedy córka odpoczywała czy zajmowała się dzieckiem, przejmowała rolę gospodyni, bawiąc rozmową klientów wracających z afrykańskimi przewodnikami z bezkrwawych safari.

Ani się obejrzały, jak ta ważna dla obu kobiet wizyta dobiegła końca. Mara, żegnając się z matką, przyrzekła raz w tygodniu pisać list i dotrzymywała tej obietnicy przez wiele lat. Wysyłała wyczerpujące relacje o wszystkim, co działo się w życiu Jessego, który wzrastał otoczony miłością domowników i przyjaźnią mieszkańców wioski. Wszelkie wydarzenia, każdy drobny wypadek czy choroba, każdy mały sukces, zostały odnotowane na niebieskich kartkach poczty lotniczej, które wędrowały na drugi koniec świata.

Chociaż mówiło się o kolejnym przyjeździe Lorny, ten plan nigdy nie został zrealizowany. Wiele lat później Mara i Jesse zjechali natomiast do Tasmanii. Nareszcie matka i córka mogły się znowu zobaczyć i snuć wspomnienia, a także dać podstawę nowym. Tamte dni należą już do przeszłości. Lorna zmarła przed rokiem, zaledwie kilka tygodni po śmierci swego męża, jakby do końca nie miała wyboru i musiała podążać za nim każdą drogą, jaką zdecydował się wybrać. Mara była zadowolona, że Jesse miał szansę spędzać sporo czasu z jej rodzicami w jesieni ich życia. Chłopakowi udało się nawet zdobyć miłość dziadka. To była jedna z tych jasnych stron rozdzierającej serce decyzji o wyjeździe z Tanzanii i opuszczeniu Raynor Lodge.

Mara dokładnie pamiętała dzień, kiedy dokonała tego wyboru. Jesse miał rozpocząć naukę w Rift Valley Academy w Kenii. Uściła już nawet chesne za pierwszy semestr. Podobnie jak wcześniej Hemdenowie zorganizowała synowi korespondencyjny kurs szkoły podstawowej, lecz kiedy skończył trzynaście lat, nadszedł czas na naukę w szkole z internatem. Mara pojechała do sklepu Biny po blaszany kufer na rzeczy Jessego. Starając się opanować drżenie ręki, wypisywała na wieku jego nazwisko; tłumaczyła sobie, że przecież

nie wysyła go do Anglii. W końcu Kenia leży w Afryce. Akademia oferowała ponadto bardzo dobrą edukację. Mimo tych racjonalnych argumentów czuła w sercu pustkę. Spakowanie rzeczy syna przerastało jej siły; stała przed otwartą szufladą i wdychała jego zapach, a także znajomą woń szybko schnącego kleju, którego używał do sklejanania modeli samolotów.

W końcu nadszedł dzień wyjazdu na lotnisko w Arushy. Błaszany kufer wylądował na tylnym siedzeniu land-rovera, a cała obsługa Raynor Lodge wyległa na zewnątrz, żeby pożegnać Jessego. W ostatniej chwili chłopiec uczepił się słoniowych kłów w bramie Lodge i za żadne skarby nie chciał ich puścić. Mara musiała na siłę oderwać jego chude, długie ramionka, podobne do wierzbowych witek, i ciągnąć synka do samochodu. Jego twarz, zazwyczaj otwarta i pełna życia, tym razem była zacięta i nieruchoma. Wyobraziła sobie, że Jesse z jasnymi włosami i niebieskimi oczyma musi wyglądać jak John w jego wieku. Odszukała spojrzeniem Menel ika, a potem Kefę. Obaj nie zdradzali żadnych emocji - nie chcieli w żaden sposób wpływać na jej decyzję. Mara obejrzała się na Jessego, obserwując w milczeniu szczupłą figurkę. Nowe, duże buty szurały o ziemię, wzbijając kurz. Dziwnie i obco wyglądały na stopach stwardniałych od hasania w buszu na bosaka.

Poczuła, że nie zniesie tego ani chwili dłużej. Zdecydowanym krokiem ruszyła do tylnych drzwi land-rovera. Wytaszczyła kufer i z rozmachem postawiła na ziemi. A Jesse odwrócił się do niej z takim wyrazem twarzy, który na zawsze wrył jej się w serce.

- Nigdy nie chcę się z tobą rozstać - oświadczył. - Nigdy, przenigdy.

Przytuliła go do siebie z ogromnym uczuciem ulgi.

- Nie chcę, żebyś kiedykolwiek się ze mną rozstawał.

To jednak oznaczało konieczność powrotu do Tasmanii. Mara dobrze wiedziała, jak istotne dla przyszłości syna jest

zdobyć odpowiednie wykształcenia, co pozwoli mu na swobodne kierowanie swym życiem. Sprzedała więc Raynor Lodge Abassiemu, hotelarzowi z Kikuyu, stawiając dwa warunki: Kefa ma zostać jego współnikiem, a Menelik po przejściu na emeryturę zatrzyma swój pokój w budynku gospodarczym. Pakowała się i żegnała z sercem krwawiącym z bólu. A jednak to oznaczało, że nie musi rozstawać się z synem.

Oczywiście, w końcu każde z nich poszło własną drogą. Jesse dorósł i odnalazł swoje miejsce w życiu. I bardzo dobrze sobie radzi - pomyślała. Jest młodym człowiekiem, z którego każdy rodzic byłby dumny.

Tęsknota za synem bardzo jej doskwierała, a samotność zdawała się wywoływać niemal fizyczny ból.

Starła się otrząsnąć z tych przygnębiających emocji. Jeszcze przed chwilą - przypomniała sobie - cieszył ją nowy dom, ogród, życie na wsi. Przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Wiedziała, że prędzej czy później przywyknie do życia w pojedynkę. Nauczy się gotować dla jednej osoby i znajdzie przyjemność w spożywaniu posiłków wyłącznie przy dźwiękach płynących z radia. Będzie musiała. Nie ma wyboru.

Stojąc na pedałach, pokonywała ostatni odcinek drogi na wzgórze do restauracji. Wkrótce zobaczy masywną fasadę kamienicy z czasów króla Jerzego. Tablica z wywieszonym francuskim menu na pewno została już wystawiona na chodnik.

Wprowadziła rower za krzewy geranium i przystając na chwilę, poprawiła czarną spódnicę i wsunęła brzeg białej bluzki do środka. Sprawdziła, czy żadne pasemko włosów nie wymknęło się z francuskiego koczka. Na koniec odpięła koszyk i ruszyła do wejścia.

Pchnęła energicznie drzwi, a te otwarły się z donośnym skrzypnięciem. Namawiała Chantal, żeby naoliwiła zawiasy, lecz szefowa twierdziła, że lubi wiedzieć, kto i kiedy wcho-

dzi do środka. Teraz przerwała krojenie mięsa i odwróciła głowę w stronę szerokiego kontuaru dzielącego kuchnię od części restauracyjnej.

- Dobry wieczór! - zawołała.

Była w dobrym humorze. Z odtwarzacza CD płynęła piosenka jej ukochanej Niny Simone. Kieliszek czerwonego wina stał pod ręką na desce do krojenia. W pomieszczeniu panowało miłe ciepło, znak, że szczęśliwie udało się rozpaścić chimeryczny piec na drewno.

Mara postawiła kosz z zieleniną na kontuarze. Chantal podziękowała kiwnięciem głowy, po czym podniosła nóż i wróciła do krojenia mięsa. Jej wprawne, szybkie ruchy przywiodły Marze na myśl Menelika w kuchni w Raynor Lodge i jego słynny nóż z damasceńskiej stali. Odwróciła się i zajęła nakrywaniem stolików. Ogarnął ją dziwny nastrój. Zapach płonącego drewna przywoływał wspomnienia z przeszłości. Wszystko, co wokół widziała, budziło z nią skojarzenia.

- Nalej sobie wina! - zachęciła ją Chantal.

Kiedy Mara nachyliła się ponad kontuarem po kieliszek, szefowa obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- Jadłaś coś? - spytała.

- Kanapkę.

- Niewiele. - Chantal z dezaprobatą pokręciła głową, ale w jej głosie pobrzmiwała łagodna nuta.

Zazwyczaj potrafiła się wczuć w nastrój Mary. Pewnie dlatego, że jej także towarzyszyły wspomnienia innego życia w innym kraju. Przed piętnastoma laty wyjechała z Paryża po rozwodzie z mężem. Tęskniła za Francją, lecz nie zamierzała tam wrócić, podobnie jak Mara nie planowała powrotu do Tanzanii. Rozmawiały o tamtych, zamkniętych na dobre, rozdziałach życia. Poza tym łączyła je świadomość, że czasem to, co minęło, wydaje się bardziej wyraziste i intensywne od tego, co dzieje się tu i teraz.

Pojawili się pierwsi goście i Mara doprowadziła ich do

stolika najbliżej pieca. Towarzystwo składało się z dwóch kobiet i mężczyzny. Cała trójka charakteryzowała się nie-dużą nadwagą. Byli ubrani w wygodne, praktyczne stroje. Mężczyzna miał siwe włosy, a jedna z kobiet, lekko się garbiąc, poruszała się w taki sposób, jakby się bała o coś potknąć. Kiedy usiedli przy stoliku, położyli etui do okularów na blacie, a kobiety postawiły torebki na wolnym krześle. Mara dostrzegła u nich pewne cechy typowe dla ludzi przechodzących z wieku średniego w podeszły.

Dopiero później, kiedy recytując menu, przyjrzała się ich twarzom, oceniła, że mogli dobiegać sześćdziesiątki. A więc różnica wieku między nią a nimi nie przekraczała dziesięciu lat. Ta myśl tak ją zszokowała, że zająknęła się przy „daniu rybnym dnia”. W ogóle nie czuła swego wieku, a ci ludzie wydawali jej się znacznie starsi. Teraz dopiero do niej dotarło, dlaczego kiedy sprzedała dom w Hobart, w którym mieszkała z Jessem, znajomi namawiali ją, żeby kupiła parterowy, najlepiej nowy dom, z łatwym dostępem. Uśmiechnęła się, myśląc o swoim wyborze. Została właścicielką drewnianego domku z zapadniętym tarasem, łuszczącą się farbą i przerdzewiałymi rynnami, których kawałki ulatywały wraz z wiatrem. Było to niewątpliwie miejsce odpowiednie dla osoby patrzącej w przyszłość. Ta myśl wydała się Marze wielce krzepiąca. Odchodząc od stolika, wyprostowała plecy i uniosła głowę. Znowu przed oczyma stanął jej Menelik, tym razem nie w kuchni przy pracy, lecz na sawannie, w swej długiej szacie poruszanej przez wiatr.

„Jutro będzie nowy dzień” - przypomniała sobie jego słowa.

Gdy podeszła do kontuaru, żeby złożyć zamówienie, z prywatnej części domu wyłoniła się Lucie, córka Chantal. Była w krótkiej spódniczce, rajstopach i w kozaczkach do kolan. Miała mocny, lecz wprawnie zrobiony makijaż, a wyprostowane włosy zwisały jej do ramion.

- Świetnie wyglądasz - rzuciła Mara.

- Dzięki - rozpromieniła się Lucie. - Idę z Andrew na kolację do pubu.

- Mam nadzieję, że nie jesteś głodna.

- Wiem. Dają tam paskudne jedzenie. Ale muszę na maksa wykorzystać wolny wieczór. - Poruszyła głową, demonstrując nowe kolczyki. - Pasują?

- Idealne - pochwaliła Mara.

Poczuła się dumna, że Lucie ją pyta o zdanie w kwestii ubioru, a nie matkę, chociaż ta była młodsza od niej o co najmniej parę lat. Niewątpliwie dziewczyna widziała w niej kogoś, kto otarł się o olśniewający i egzotyczny świat - a wszystko dlatego, że któregoś wieczoru Mara wspomniała jej, iż prowadząc ośrodek turystyczny w Tanzanii, miała okazję poznać paru sławnych ludzi. Co prawda Lucie nigdy nie słyszała o Lillian Lane, Peterze Heasie ani o braciach Millerach, bo sława obsypanego nagrodami filmu, który razem zrobili, nie przetrwała do następnego pokolenia, niemniej ta historia zrobiła na niej wrażenie.

Gotowa do wyjścia, zarzuciła torbę na ramię. Mijając Marę, zawahała się z nieco niewyraźną miną.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że wczoraj wieczorem była tu para Amerykanów. Mężczyzna zamówił *crepe poulet du Mara*. Chciał wiedzieć, skąd się wzięła nazwa tego dania.

Mara kiwnęła głową. Chantal zrobiła te naleśniki na jej urodziny, a potem dodała je do menu. Już wcześniej gościom zdarzało się pytać o pochodzenie ich nazwy.

- Kiedy wyjaśniłam, że tak ma na imię nasza druga kelnerka, wydał się naprawdę... no nie wiem. W każdym razie bardzo się zainteresował - ciągnęła Lucie. - Powiedział, że być może cię zna, bo Mara to bardzo rzadkie imię. Chciał wiedzieć, jak wyglądasz.

Mara, zaskoczona, uniosła brwi.

- I co mu powiedziałaś?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam, że masz długie, ciut siwe włosy i ciem-

ne oczy. Jesteś wysoka. No i tyle. Nic więcej nie mówiłam. Zastanawiałam się, kim on jest. Przyznam, że robił sympatyczne wrażenie.

Po co spekulować, kto to mógł być? - pomyślała Mara. Pewnie ktoś z Hobart albo jakiś dawny kolega ze szkoły, który przyjechał z północy. Tasmania jest mała...

Lucie powiedziała jednak, że to Amerykanin. Mara poczuła nerwowy skurcz w okolicy żołądka. Postawiła koszyk z chlebem na najbliższym stoliku.

- Jak on wyglądał? - spytała, mając świadomość, że głos z trudem przeciska jej się przez gardło.

Dziewczyna zerkała na nią podejrzliwie.

- Tak jak ty, ani stary, ani młody. Właściwie mu się nie przyglądałam. Patrzyłam na kobietę, z którą przyszedł. Była taka piękna. Miała długie, kręcone, rude włosy i niesamowite błękitne oczy.

- A tam! - Mara wstrząsnęła ramionami, udając obojętność. - Nieważne.

Lucie wyraźnie ulżyło. Odwróciła się do małego lustra na ścianie i sprawdziła makijaż.

Mara wbiła wzrok w dłonie, zaciśnięte tak mocno, że pobiełały jej kostki. Myśli kłębiły jej się w głowie. Amerykanin. W jej wieku. Pytał o nią. I piękna ruda kobieta z błękitnymi oczyma. Wydaje się to niemożliwe - a jednak ktoś inny mógłby to być?

Peter.

Stanął jej w oczach jego twarz. Zobaczyła go w tamtej niebieskiej koszuli, z twarzą oświetloną z boku, ze swobodnym uśmiechem na ustach. Minęło dwadzieścia pięć lat, a ona widziała go tak wyraźnie, jakby pożegnali się wczoraj.

Wzięła głęboki oddech, żeby powściągnąć emocje.

Peter.

I Paula.

Skąd się tu wzięli?

Nie ma w tym nic aż tak dziwnego - powiedziała sobie.

Peter jest Australijczykiem. Prawdopodobnie przywiózł tu żonę na wakacje. Wyobraziła sobie, jak wraca do Sydney, pokazuje Pauli dom na plaży w Bondi, w którym dorastał, i wszystkie miejsca, gdzie surfował. Przy okazji mogli zrobić wycieczką na Tasmanię. Mnóstwo turystów właśnie tak postępuje. A Peter mówił, że nigdy nie był po drugiej stronie cieśniny Bass Strait.

Jeszcze inna myśl przyszła jej do głowy: może pracuje tutaj, gra w jakimś filmie. Nie śledziła jego kariery. Po śmierci Johna, kiedy prowadziła jeszcze Raynor Lodge, turyści czasem próbowali skierować rozmowę na temat aktora. Bywało, że ktoś rzucił jakieś informacje o nowym filmie, w którym akurat grał. Mara nieodmiennie jak najszybciej zmieniała temat. Po przeprowadzce do Tasmanii nie zaglądała do magazynów filmowych ani do programów kinowych i opuszczała strony poświęcone rozrywce w weekendowych wydaniach gazet. W tym czasie bardzo rzadko się zdarzało, aby natknęła się na zdjęcia Petera. Nie poszła na żaden z jego filmów. Nie zniosłaby tego. A poza tym to nie byłoby właściwe; czułaby się tak, jakby w pewnym sensie chciała go zawłaszczyć.

Lucie odwróciła się od lustra ze stropioną miną.

- Jeszcze jedna sprawa. Zdaje się, powiedziałam mu, że będziesz tu dziś wieczorem. To chyba nic złego?

Mara ukryła szok pod wymuszonym uśmiechem.

- Oczywiście, że nie - wydusiła. - Nie mam żadnych wrogów!

Dziewczyna z poczuciem winy obejrzała się w stronę kuchni.

- Nie mów nic *maman*, dobrze? Spodziewa się po mnie bardziej profesjonalnych zachowań.

- Nic się nie martw - uspokoiła ją Mara. Podnosząc koszyk z chlebem, pochyliła głowę, żeby ukryć zdenerwowanie.

- Do zobaczenia! - Lucie, wychodząc, pomachała matce ponad kontuarem.

Kiedy skrzypnęły zamykane drzwi, Mara ruszyła prosto do małego stolika w rogu sali. Trzymały na nim zapasowe karafki do wody, szklanki oraz księgi zamówień. Obok kasy znajdował się tam nieco przestarzały czytnik do kart kredytowych i metalowy szpikulec służący do nabijania zapłaconych rachunków. Właśnie od nich zaczęła. Jako trzeci z kolei na szpikulcu był ten za *crepe poulet du Mara* oraz butelkę czerwonego tasmańskiego wina z dobrego rocznika. Zdjęła rachunek i przebiegła wzrokiem nazwy dań, śledząc, co jadł on, a co ona, zanim zatrzymała wzrok na podsumowaniu. Otworzyła kasę i szperała w odcinkach kart kredytowych tak długo, aż natrafiła na kwitek z identyczną kwotą. Nazwisko właściciela karty widniało wydrukowane w lewym górnym rogu. Zaciskając świstek w dłoni, wpatrywała się w kłujące w oczy litery. „Peter M. Heath”. Z trudem przełykając ślinę, skupiła się na podpisie. Ledwo czytelne zawijasy. Rozpoznawalne „P” na początku imienia. I jakby nieco wyraźniejsze „H”.

Gdy wrzuciła kwitek z powrotem do kasy, skrzypnęły wejściowe drzwi. Zastygła na moment, sztywna z napięcia, po czym powoli się odwróciła.

Para uśmiechniętych młodych Japończyków zaglądała do restauracji. Mara wzięła się w garść, podniosła jadłospisy i gestem ręki wskazał im stolik. Mając pewne doświadczenie, odgadła z wyrazu twarzy gości, że raczej słabo znają angielski. Ulżyło jej, gdy zobaczyła, że kobieta wyjmuje słownik japońsko-angielski. Mara prostymi słowami opisała dania dnia i zostawiła ich, dając czas na przejrzanie menu. Wróciła do pomocniczego stolika i stojąc tam, niewidzącym wzrokiem wodziła po błyszczącym blacie poznaczonym drobnymi rysami. Wszystkie myśli krążyły wokół Petera. Był tu. Za ledwie poprzedniego wieczoru stał w tym samym miejscu, gdzie teraz ona. I nic o tym nie wiedziała. To nie w porządku. Powinna była intuicyjnie przeczuć jego obecność, gdy wniknął w jej świat...

Pytania wirowały w głowie. Czy wróci do restauracji, żeby ją odnaleźć? A może już wyjechał? Żałowała, że nie wydobyła z Lucie więcej szczegółów. Na ile wydawał się zainteresowany? Jaki miał ton głosu? A wyraz oczu? Tłumaczyła sobie, że pytania Petera mogły wypływać ze zwykłej ciekawości. Przejeżdżając przez Bicheno, zapytał o nią, bo przeszło mu przez myśl, że być może tu mieszka.

Dwadzieścia pięć lat to szmat czasu.

Dania dla pierwszych gości wjechały na kontuar. Mara zanosła je do stolika. Poruszała się z werwą, nie pozwalając sobie na moment bezruchu, który klienci mogliby ewentualnie wykorzystać na próbę nawiązania rozmowy. Przyjęła zamówienia od Japończyków. Pomimo roztargnienia była mile zaskoczona, że poradzili sobie z rozszyfrowaniem całego menu; dziś wieczorem nie będzie zmuszona naśladować kaczki, kurczaka czy krowy.

Przekazawszy zamówienia Chantal, przeszła w drugi koniec restauracji i otworzyła drzwi do ogrodu. Wyszła na świeże powietrze i prawie biegiem puściła się wąską ścieżką do budynku z toaletami, który stał w niewielkiej odległości od restauracji. Zazwyczaj spacer obsadzoną lawendą dróżką przy drzewie laurowym sprawiał jej przyjemność i lubiła tam przystanąć na chwilę, aby spojrzeć na nocne niebo, lecz dziś szła ze wzrokiem utkwionym przed siebie. W toalecie pochyliła się nad umywalką i ochlapała twarz zimną wodą, przynosząc ulgę płonącym policzkom. Podniosła głowę i oglądała się w niewielkim, poznaczonym pleśnią lustrze. Nawet w mdłym świetle pojedynczej żarówki pod sufitem widziała na twarzy zmiany wynikające z wieku. Cera wyglądała na zmatowiałą. W zewnętrznych kącikach oczu pojawiły się zmarszczki. Pionowe linie zarysowywały się wokół ust. Ale policzki pozostały pełne i gładkie, a włosy prawie czarne. Przymknęła powieki, żeby zatrzeć ten widok. I zobaczyła siebie sprzed lat. Młoda, piękna...

Jeszcze raz pochyliła się nad umywalką, napiła się wody

z kranu i otarła usta wierzchem dłoni. Odgarniając włosy z czoła, wyszła na ścieżkę i pospieszyła do restauracji.

Boczne drzwi otwierały się bezszelestnie, pozwalając jej niepostrzeżenie wśliznąć się do środka. Podchodząc do konuaru, z ulgą stwierdziła, że nie ma na nim talerzy z parującymi daniami. Widziała, że Japonka słabo sobie radzi z nabieraniem porcji kaczki. Skierowała się do kuchni po pałeczki. W połowie drogi do wahadłowych drzwi stanęła jak wryta. Przed wejściem do restauracji zamajaczyła postać. Mara zamarła, a serce zabiło jej jak oszalałe. Coś charakterystycznego w układzie sylwetki sprawiało, że nie mogła się mylić.

On. Wiedziała, że to on.

Odwracając się ku niemu, odniosła wrażenie, że nagle znalazła się w środku filmu emitowanego w zwolnionym tempie - czas się wydłużał, a każdy gest sprawiał trudność. Pochwyciła jego spojrzenie, kiedy wszedł w krąg jaśniejszego światła.

Szła ku niemu, jakby przyciągana jakąś siłą. Pokonała dzielącą ich przestrzeń i stanęła przed nim na wyciągnięcie ręki. Wpatrywała się w jego twarz. On też, podobnie jak ona, trochę się postarzał - skronie przyprószyła siwizna, pogłębiły się mimiczne zmarszczki - lecz poza tymi powierzchownymi zmianami pozostał taki sam. Nadal, tak jak zapamiętała, ubierał się na sportowo. Niesforny kosmyk włosów opadał mu na czoło...

Zamknęła się wokół nich gęsta cisza. Brzęk naczyń w kuchni zdawał się dochodzić z daleka. Głos Niny Simone wsparty akompaniamentem akordeonu sączył się jakby z innej, równoległej istniejącej sfery. Nic nie było rzeczywiste, nic nie było prawdziwe poza świadomością, że oto stoją ze sobą twarzą w twarz.

- Wyjdź na zewnątrz. - Głos Petera zabrzmiał cicho, a jednocześnie wyraźnie. Nie poruszyła się i wtedy dotknął jej ramienia. - Proszę, tylko na chwilę.

Skrzypnięcie drzwi zburzyło wrażenie ciszy. Na nowo rozbrzmiały wszelkie odgłosy: szmer rozmów, hałasy w kuchni, muzyka w sali. Mara wyszła za Peterem na małe patio, kierując się ku drzewu lillipilly.

- Zaskoczyłem cię. Przepraszam - odezwał się. - Rozchyliła usta. Jego głos brzmiał zupełnie tak samo, jak zapamiętała. - Ale... musiałem się z tobą zobaczyć - dodał.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, usiłując uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. W końcu, oszołomiona, potrząsnęła głową.

- Skąd wiedziałeś, że mieszkam w Bicheno?

- Nie wiedziałem. Aż do wczorajszego wieczoru, kiedy tu zaszedłem - wyznał. - Zwiedzam Tasmanię razem z Melanie, moją córką.

- Melanie - powtórzyła. O mało nie zaczęła się śmiać z samej siebie, bo naraz dotarło do niej, że zachowała w pamięci obraz Pauli sprzed lat. Jak żona Petera mogłaby przyciągnąć uwagę kogoś w wieku Lucie? Przecież ona też musiała się zestarzeć! Córka Petera ma teraz pewnie z trzydzieści lat. W tamtym czasie... była małą dziewczynką.

- Tak. - Peter się uśmiechnął, patrząc jej w oczy.

Mara niespodziewanie doznała wrażenia, że te wszystkie lata rozpływają się w nicość. Znowu byli w Lodge i wybierali dla jego zwierzątko dla jego dzieci.

Kiedy ten moment minął, wzięła głęboki oddech.

- Co cię skłoniło do przyjazdu do Tasmanii?

W tym pytaniu pobrzmiwała obojętność, a nawet chłód.

- Byliśmy w Sydney i zostało nam trochę czasu - doposażał się do jej tonu i mówił lekko, niemal niefrasobliwie. - Dotąd nigdy tu nie byłem, więc uznałem, że nadarza się dobra okazja... - Zamilkł i spuścił oczy. - Tak naprawdę chciałem zobaczyć okolice, gdzie dorastałaś. Zapamiętałem, co mówiłaś o obozach harcerskich w miejscowości na wybrzeżu o nazwie brzmiącej z francuska. Bicheno. Chciałem zwiedzić wyspę i zobaczyć pingwiny. Przyjechaliśmy więc

trochę się rozejrzeć. - Kiedy podniósł oczy, była w nich skrucha. - Sądziłem, że ty i John najprawdopodobniej nadal mieszkacie w Afryce.

Patrzyła na niego, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. To, co musiała mu powiedzieć, miało szczególną wagę i było dalekie od tego, co spodziewał się usłyszeć.

- Mogę cię odwiedzić? - zaskoczył ją pytaniem. W jego głosie była pewna natarczywość. Wodził oczyma po jej twarzy, zdając się chłonać wszelkie, najdrobniejsze nawet szczegóły. Pod intensywnością tego spojrzenia dłoń Mary bezwiednie powędrowała do włosów, jakby chciała odgarnąć je z twarzy, starym nawykiem z czasów, gdy nosiła rozpuszczone. - Wiem, umówiliśmy się, że nigdy więcej się nie zobaczymy - dodał pospiesznie. - Ale skoro cię odnalazłem, nie potrafię spytać „jak się masz” i pojechać dalej. Nie chcę wkraczać w twoje życie, niepokoić rodziny, pragnę jedynie popatrzeć na ciebie i porozmawiać z tobą.

Mara powoli pokiwała głową, czując, jak wzbiera w niej podniecenie.

- Mieszkam niedaleko stąd. W małym domku na stoku wzgórza, pod takim dużym skalnym występem.

Peter uśmiechnął się nieznacznie.

- Wiem, gdzie to jest.

Przypomniała sobie wynajęty samochód, który zatrzymał się na drodze i krótko potem odjechał.

- Przejeżdżałeś tamtędy po południu.

- Tak - przyznał. - Sprzedawca w sklepie żelaznym wskazał mi drogę. Wyjaśniłem mu, że jesteśmy starymi znajomymi.

Odwróciła wzrok. Starzy znajomi. Trochę ją to ubodło. Czy tym właśnie byli? Starymi znajomymi, którym nadarza się okazja, by zobaczyć się po latach?

- Pomyślałem, że najpierw spotkam się z tobą i spytam, czy mogę was odwiedzić - ciągnął Peter. - Ciebie i Johna. Wolałem sprawdzić, czy nie masz nic przeciwko temu.

Mara patrzyła na niego w milczeniu. Powtórzyła w myślach jego słowa. Ciebie i Johna. Oni obaj od tak dawna nie należeli do jej świata. Przygryzając wargę, zastanawiała się, jak sformułować to, co zostało do powiedzenia. I wtedy słowa, krótkie i bezpośrednie, same popłynęły z ust.

- John nie żyje.

Peter, zszokowany, otworzył szeroko oczy. Poruszał ustami, szukając odpowiedzi.

- Przyjmij wyrazy współczucia. Kiedy to się stało?

Potrząsnęła głową. To nie był odpowiedni czas ani miejsce na opowiadanie, co, jak i kiedy się wydarzyło.

Nie naciskał i tylko patrzył na nią bez słowa, a w jego oczach odbijał się jej ból, jakby dokładnie rozumiał, co ona czuje. Po chwili wyciągnął rękę i położył ciepłą, ciężką dłoń na jej ramieniu.

Skrzypnęły drzwi za ich plecami. Ręka Petera zsunęła się z jej barku, gdy odwróciła się na widok siwowłosego mężczyzny stojącego w wejściu. Trzymał w dłoni butelkę wina.

- Można to jakoś otworzyć? - Obrzucił parę zaciekawionym spojrzeniem. Kiedy jego wzrok spoczął na Peterze, zrobił zaintrygowaną minę, jakby zobaczył znajomego i nie mógł skojarzyć, skąd go zna.

- Przepraszam, już idę - odezwała się Mara. Zerkając do wewnątrz, zobaczyła, że Chantal ustawia talerze na kon-tuarze. Odwróciła się do Petera, bezradnym gestem wskazując gości przy stolikach. - Muszę wracać.

W tej samej chwili na ścieżce przed restauracją ukazała się sześćoosobowa grupa nowych klientów.

- Możemy się jutro zobaczyć? - spytał.

Wzięła się w garść i zdobyła na uśmiech.

- Przyjdźcie oboje na śniadanie. Bardzo chcę poznać Melanie. I dowiedzieć się, co słyhać u ciebie i twojej rodziny. - Jej słowom towarzyszyło napięcie i sztuczna radość. Pomachała mu dłonią na pożegnanie i ruszyła do drzwi.

- Maro... - dogonił ją głos Petera.

Przystanęła i obejrzała się przez ramię, lecz nowo przybyli już weszli na patio i zasłonili go. Zanim przepuściła ich przodem, zdążył zniknąć. W pustej przestrzeni pozostała jedynie strzelista, ciemna sylwetka drzewa lillipilli.

Chantal siedziała wyciągnięta w fotelu, obejmując dłońmi lampkę koniaku. Nadal miała na sobie fartuch poplamiony sosami w najróżniejszych odcieniach. W jej nieruchomej postaci pozostało wspomnienie energii po intensywnej pracy przez ostatnie kilka godzin.

Mara podniosła kieliszek do ust. Czuła nieznaczne drżenie ręki. Zaciśnęła mocniej palce na nóżce. Nie wspomniała Chantal o wizycie Petera; właściwie chciała zwierzyć się przyjaciółce, lecz jej odczucia były zbyt zagmatwane i niejasne, żeby ubrać je w słowa. Udawała więc, że wodzi oczyma po sali i po pustych stolikach bez obrusów, kryjąc pod maską obojętności myśli oraz pytania wirujące w głowie.

Jutro zobaczy się z Peterem, który przyjdzie ze swą dorosłą córką Melanie. To logiczne, że w podróży towarzyszy mu córka; zapamiętała, jak mówił, że Paula nie lubi ruszać się z domu. Mara sączyła koniak, pozwalając, by szczypał ją w usta. Lekki ból rozpraszał ją na chwilę, lecz za moment znów wracała myślami do jutrzejszej wizyty. Dowie się o nim tylu rzeczy. Czy nadal robił meble? Czy udało mu się kiedykolwiek namówić Paulę na wycieczkę do buszu?

I czy przez te wszystkie lata czuł się szczęśliwy.

Chantal dźwignęła się z fotela.

- Pójdę zaparzyć kawy.

Kiedy znikła w kuchni, Mara utkwiała niewidzący wzrok w złotym płynie w kieliszku. Czuła, jak nieuchronnie wciągają przeszłość.

Powróciło wspomnienie, jasne i wyraźne.

Siedzi w ciemnej sali kinowej, oazie spokoju i prywatności w centrum chaosu śródmieścia Dar es Salaam. Po obu stronach stoją rzędy pustych krzeseł. Oprócz niej na po-

południowym seansie jest tylko grupa Hindusów. W powietrzu unosi się zapach *samosów* i dymu z papierosów.

Kiedy na ekranie wyświetliły się napisy, zacisnęła dłoń na oparciu krzesła. Początek filmu: popadające w ruinę kamienne domy i wąskie uliczki Zanzibaru. Pojawiają się Lillian i Peter, oboje w eleganckich ubraniach, których nigdy u nich nie widziała. Na taśmie filmowej wydają się tacy obcy i nierealni, jak nieznajomi, jak wszystkie gwiazdy Hollywood. Pierwsza połowa filmu upływa Marze na śledzeniu ruchomej plamy z rozmytych kolorów. Patrzy i czeka na to, co ma nastąpić.

Wreszcie są, Maggie i Luke, w znajomej okolicy Raynor Lodge. Idą ramię w ramię po spieczonym słońcem stoku wzgórze. Puszczają kaczki na jeziorze, gdzie brodzą flamingi. Na koniec wchodzi do trzciny chaty. Stoją blisko siebie, poświata księżyc srebrzy ich skórę i odbija się w oczach. Obejmują się. Usta łączą się z początku w nieśmiałym, a potem coraz bardziej namiętnym pocałunku.

Oczy Mary zachodzą mgłą, obraz na ekranie drży. W mrocznym kinie nie tłumi łez, pozwala im toczyć się po policzkach. Jeszcze raz przeżywa ich wspólne chwile - śmiech, czułość, fascynację. I cierpienie, bo wiedzą, że nie mogą być razem. A także potworny ból rozstania, kiedy samolot nabiera wysokości...

Gdy film się skończył, nie ruszyła się z miejsca. Ze wszystkich sił próbowała opanować emocje. Śledziła nazwiska sunące po ekranie. Pierwszy pojawił się Peter Heath - drukowane słowa wyglądały nadto zwyczajnie i pospolicie, żeby mogły się z nim kojarzyć. Po nim Lillian Lane, a za nią, w jednej linii, Leonard Miller i Carlton Miller. Potem długa lista członków głównej ekipy i wreszcie nazwiska ludzi, którzy brali udział w zdjęciach w Raynor Lodge: Daudi Njoma, Kefa Nichema, Tomba „Bwana Boom” Milenge. Obok nazwisko Menelika, Abdissy, i jego funkcja: catering drugiej ekipy. I jej nazwisko: Mara Sutherland, dublerka Lil-

lian Lane. Później pojawiły się jeszcze podziękowania dla różnych osób, a na koniec informacja: „Film nakręcono w całości w plenerach Tanzanii, we wschodniej Afryce”.

Muzyka ucichła, ekran wygasł. Zapatrzona w ciemność, Mara czuła się zawieszona w próżni. Jak ma teraz wyjść na słońce i wrócić do swoich zajęć? Zacisnęła dłonie na oparciu krzesła w rzędzie przed nią i opierając głowę na ramionach, ocierała łzy na policzkach.

Siedziała bez ruchu, krążąc myślami wokół scen z filmu. Minał ponad rok od chwili, gdy ekipa z hollywoodzkiego studia - i Peter - zjawili się w Lodge. Potem była śmierć Johna i wszystkie związane z tym przeżycia. No i urodził się Jesse. Na powrót zbliżyła się z Lorną. Raynor Lodge świetnie prosperowało. Wiele się zdarzyło, a jednak wspomnienia przywołane przez film tak mocno nią wstrząsnęły, jakby to, co było między nią i Peterem, miało miejsce wczoraj. Jak dobrze, że po raz pierwszy mogła obejrzeć film w samotności! Wkrótce pokażą go w Kikuyu. Będzie go oglądać razem z pracownikami. Tak jak Leonard obiecał, wszystkie ujęcia, w których uczestniczyła - łącznie z tymi w chacie - zostały idealnie wmontowane w sceny z Lillian. Nikt nigdy nie odgadnie, jak było naprawdę. Naturalnie pod warunkiem, że sama się nie zdradzi.

Podniosła głowę i zapatrzyła się na czerwoną kurtynę, która teraz zasłaniała ekran. Szkoda, że nie może tu zostać, ukryć się w zacisznych ciemnościach przed realnym światem.

Po raz tysięczny pytała siebie, czy wolałaby nigdy nie spotkać Petera. Nigdy się w nim nie zakochać. Czy tamte cudowne wspomnienia były warte bólu rozstania i tęsknoty, którą nadal odczuwała? Zamętu uczuciowego w stosunku do Johna? Niepokoju, jaki targał nią teraz?

Oczywiście, że były warte. Czuła ich moc gdzieś głęboko w sobie. Cokolwiek przyniesie przyszłość, wiedziała, że miłość do Petera była ziarnem, które pozwalało jej trwać.

Ziarno. W stanie uśpienia...

Odstawiła kieliszek, wychlapując koniak na palce. Przeżyła wstrząs. Nagle stało się dla niej jasne, co Peter uczynił, przyjeżdżając tu i ją odnajdując. Zerwał tamtą zasłoną szczelnie otulającą przeszłość. Dał dostęp światłu, które mogło obudzić uśpione ziarno.

Gdy Chantal pojawiła się z dzbankiem kawy, Mara zerała się na równe nogi, z szurgotem odsuwając krzesło.

- Co jest? - spytała tamta zaskoczona.

- Muszę iść.

- Źle się poczułaś? - Chantal ściągnęła brwi, wyraźnie zaniepokojona.

- Nie, nie, nic mi nie jest.

- Powiesz mi później, o co chodzi? - nalegała szefowa.

- Powiem - rzuciła Mara za siebie w drodze do drzwi.

Jechała pustymi ulicami środkiem jezdni, chaotycznie lawirując między dziurami w asfalcie. Wkrótce znalazła się na wysokości pensjonatu w kolonialnym stylu, gdzie oferowano noclegi ze śniadaniem. Zajrzała przez bramę na mały parking, lecz nie dostrzegła tam żadnych samochodów. Potem przejechała wzdłuż rzędu nowych letniskowych apartamentów; ani śladu wynajętego samochodu. Podobnie było na parkingu przed motelem. Pocąc się mimo wieczornego chłodu, skręciła w stronę kompleksu hotelowego. Bar był jeszcze otwarty - sylwetki poruszały się za oknem bezszelestnie jak kukiełki w teatrze. Wjechała na parking. Przeważały tam furgonetki rybaków i stare, pordzewiałe kombi. Stał również samochód kempingowy z tablicami rejestracyjnymi z Queensland oraz wojskowy jeep. I na tym koniec.

Nie było już więcej miejsc, gdzie mogłaby szukać, więc skręciła w kierunku domu. Po prostu musi jakoś przetrwać noc przed jutrzejszą wizytą Petera. Wmawiała sobie, iż dobrze się stało, że nie namierzyła jego samochodu. Co on, no i Melanie pomyśleliby sobie, gdyby odwiedziła ich o tak

późnej porze? Jak wyjaśniłaby to najście? Pedałując teraz znacznie wolniej, walczyła z ogarniającą ją paniką. A jeżeli Peter zmieni zdanie i się nie pojawi?

A jeśli nigdy więcej go nie zobaczy?

Skręcając za ostatni narożnik, zacisnęła dłonie na kierownicy. Z daleka dostrzegła ciemną sylwetkę samochodu, który stał zaparkowany przed jej domem. Zwolniła na moment, po czym ruszyła pędem. Oстрыm łukiem wjechała na podjazd i zatrzymała się dopiero na ścieżce przed frontowymi drzwiami. Przy stopniach zeskoczyła z roweru i opuściła go na ziemię.

Otwierając drzwi, zajrzała do salonu. Światło księżycy wpadało przez boczne okno, więc natychmiast się zorientowała, że nikogo tam nie ma. Pobiegła do ogrodu za domem, omiatając spojrzeniem stok. Płatanina roślin wyglądała jak odlana ze srebra; wygięte liście aloesów o ząbkowanych brzegach i spiralnie skręconych czubkach mogłyby stanowić dzieło wytrawnego artysty rzemieślnika. Najmniejszy powiew wiatru nie poruszał roślinami. Jedynym odgłosem było pohukiwanie sowy i odległy szum oceanu.

Raz jeszcze rozejrzała się po pustym stoku, zanim cofnęła się do domu. Idąc opasującą go werandą, która miała osłaniać ściany budynku przy złej pogodzie, weszła na taras od frontu. Peter stał plecami do niej, patrząc w stronę morza. Odwrócił się na odgłos kroków. Oczy mu rozbłyły.

- Mara.

Skamieniała. Otworzyła usta, lecz nie była w stanie wydobyc słowa i tylko patrzyła na niego. Teraz, gdy go odnalazła, nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Myślała wyłącznie o tym, że on należy do kogoś innego.

- Postanowiliśmy nigdy więcej się nie zobaczyć - odezwała się w końcu. - I trzymaliśmy się tego przez te wszystkie lata. - Bezradnie pokręciła głową. - A teraz jesteś tutaj...

Peter uniósł dłonie, jakby chciał powstrzymać dalsze słowa.

- Paula zmarła przed dwoma laty. Miała raka. - Po tym

wyznaniu nastąpiła krótka, głęboka cisza. - Walczyła dzielnie - mówił teraz ciszej, a jednocześnie dobitnie. - Wszyscy wierzyliśmy, że pokona chorobę. Jednak w końcu przegrała. - Głos mu zadrżał, oczy nabrały bolesnego wyrazu. - Zostałem sam.

Serce Mary zacisnęło się ze współczucia. Co prawda w tym małżeństwie nie brakowało problemów, lecz Paula była matką jego dzieci. Przebyli razem długą drogę. Smutek Petera i ciężar samotności wydawał się wypełniać powietrze.

- Ja też jestem sama - wyszeptwała przez ściśnięte gardło.

Patrzyła mu prosto w oczy, targana sprzecznymi emocjami. Wiadomość o śmierci Pauli nią wstrząsnęła. Było jej żal Petera. A jednocześnie powoli docierało do niej, że nikt już ich nie rozdziela.

Ujrzała promyk nadziei. Poczwała przypływ radości.

Natychmiast pojawiły się też obawy. Czy to możliwe, aby pomimo upływu lat i wszystkiego, co się w tym czasie wydarzyło, z powrotem się odnaleźli? A jeśli nawet, to czy ich miłość rozgorzeje na nowo? Nie są już tymi samymi ludźmi.

Widziała, że jej rozterki odbijają się w oczach Petera. Ale była w nich także czułość i siła. On miał czas - mówiła sobie - pogodzić się z rzeczywistością.

Odwróciła głowę i zatrzymała wzrok na łodziach zakotwiczonych w zatoce, monotonnie kołysanych falami. Spróbowała sobie wyobrazić, że udziela jej się spokój emanujący z tego widoku.

Wtem coś zachrobotało na dachu. Mara spojrzała znów na Petera, który z zadartą głową wpatrywał się w miejsce, skąd dochodził zagadkowy odgłos.

- Co to? - spytał.

Znad krawędzi dachu wychynęła kosmata sylwetka oposa i sunęła wzdłuż rynny. Na dźwięk głosu zwierzak znieruchomiał i świdrował mężczyznę jednym żółtym okiem.

Pomimo huśtawki emocji Mara parsknęła śmiechem.

- To Matata, mój dziki lokator - wyjaśniła. - Jego imię oznacza kłopoty.

Peter podszedł bliżej.

- Ostatni raz widziałem oposa w dzieciństwie.

Słyszała ekscytację w jego głosie. Zaciekawienie ożywiło jego twarz, przez co stała się jakby młodsza i... dobrze znajoma. Mara poczuła, jak powoli opuszcza ją napięcie i onieśmielenie.

- Pozjadał mi wszystkie pączki na czereśni - poskarżyła się. - Sąsiedzi mówią, że powinnam go złapać i wywieźć gdzieś daleko, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć. To nie byłoby w porządku. On się tu wprowadził przede mną. Poza tym ma tylko jedno oko.

- Jak długo tu mieszkasz? - spytał Peter.

- Osiem miesięcy.

- Urokliwe miejsce. - Szerokim gestem objął dom i ogród.

- Tak. To prawda. Jestem w nim zakochana - wyznała. Powiodła spojrzeniem po fasadzie domu. - Niestety, wiele rzeczy wymaga naprawy.

Peter wskazał drewnianą balustradę blisko miejsca, gdzie stali. Wyjął z kieszeni scyzoryk i zeskrobał nim nieco wierzchniej warstwy. Teraz dopiero zauważyła, że pod zmurszałą powierzchnią kryje się złotożółte drewno.

- To sosna nadbałtycka - wyjaśnił. Odłupał kolejny kawałek. - W środku to drewno jest tak samo zdrowe jak w dniu, kiedy to zbudowano. Wystarczy się trochę przyłożyć i będziesz miała śliczny dom.

- Muszę poszukać cieśli - odrzekła.

- Hmm, rozglądam się za pracą - odezwał się po celowo przeciąganym milczeniu. - Niestety, nie jestem fachowcem.

Mara odgarnęła luźne pasmo włosów, unosząc ku niemu głowę.

- Nie ma takiego wymogu - stwierdziła. - Zaczynj od udawania, a wkrótce staniesz się nim naprawdę.

Uśmiechała się, mówiąc te słowa. W środku wciąż czuła się tamtą młodą kobietą w długiej czerwonej sukni. Włosy, bez śladu siwizny, spływały jej ciemną, miękką kaskadą na ramiona. Serce przepełniała miłość. Ciało pulsowało z pragnienia.

Nagle nabrała niezachwianej pewności, że to, co kiedyś było prawdziwe, nadal takie jest. Patrząc Peterowi w twarz, czuła, jak łzy wdzięczności napływają jej do oczu. Los zaskoczył ich cudem. I nieważne, czy będzie im dane spędzić razem dni, tygodnie, miesiące czy lata, każda chwila jest darem.

Ich historia, rozpoczęta tak dawno temu w innym miejscu, została nagle przerwana.

A teraz - w innym miejscu i w innym czasie - dopiszą do niej nowy rozdział.